

a

3

(133) 2013

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Bogusław Wróblewski: *Emigracyjna odyseja w listach*

- M. Danielkiewicz, M. Jagiełło, E. Mazur, M. Melecki, S. Kitsch – wiersze ● Nowe przekłady Kawafisa
- Czy Białorusini chcą wskrzesić unię polsko-litewską
- Dziennik Anny Frajlich ● Chopin w muzyce rockowej ●
- Opowiadania Ł. Suskiewicza, I. Laurynecza, A. Bindugi
- Stanisław Baj, ostatni romantyk w malarstwie polskim

akcent

Zespół redakcyjny
MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
JANINA HUNEK
ŁUKASZ JANICKI
ELŻBIETA KUSEK
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHALSKI (*sekretarz redakcji*)
TADEUSZ SZKOŁUT
JAROSŁAW WACH
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (*redaktor naczelny*)

Lamanie
MAC Arkadiusz Makowski

Stale współpracują:

*Bogusław Biela (Francja), Jarosław Cymerman, Marek Danielkiewicz,
Ewa Dunaj, Józef Fert, Anna Frajlich (USA), Ludwik Gawroński, Michał Głowiński,
Anna Goławska, Andrzej Goworski, Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk,
István Kovács (Węgry), Marek Kusiba (Kanada), Jerzy Kutnik,
Eliza Leszczyńska-Pieniak, Jacek Łukasiewicz, Łukasz Marcińczak,
Anna Mazurek, Wojciech Młynarski, Dominik Opolski, Wacław Oszejca,
Mykoła Riabczuk (Ukraina), Emilia Ryczkowska, Sergiusz Sterna-Wachowiak,
Małgorzata Szlachetka, Jerzy Święch, Aneta Wysocka, Bohdan Zadura*

Czasopismo patronackie **Instytutu Książki**
wydawane na zlecenie
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Numer zrealizowano przy pomocy finansowej
Miasta Lublin



Projekt „Akcentu” zatytułowany
Twórcy za granicą. Polskie rodowody, polskie znaki zapytania
jest współfinansowany ze środków **Ministerstwa Spraw Zagranicznych**
przeznaczonych na realizację zadania
„Współpraca z Polonią i Polakami za granicą.”



Partnerem medialnym „Akcentu” jest **Radio Lublin S.A.**



PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2013 by „Akcent”

a

rok XXXIV

nr 3 (133)

2013

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki
Stanisław Baj: *Rzeka Bug*, olej, pł., 65 x 81 cm, 1999 r.

Na czwartej stronie okładki
Stanisław Baj: *Matka*, olej, pł., 34 x 27 cm, 2005 r.

Zdjęcia prac Stanisław Baja wykonali Agata i Erazm Ciołkowie oraz Halina Pluciennik.
Fot. S. Baja na stronie 156 – Piotr Pękala.

Adres redakcji:

20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro

tel. 81 532 74 69

e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl

www.akcentpismo.pl

Stronę www prowadzi Anna Goławska

Wersja pierwotna (referencyjna) czasopisma to wersja drukowana.

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, Ruch SA, Kolporter SA i Ars Polona.

Zamówienia na prenumeratę realizowaną przez RUCH S.A
można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godzinach 7⁰⁰–18⁰⁰.

Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Cena prenumeraty krajowej na okres jednego roku wynosi 38 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 50 1240 1503 1111 0000 1752 8667
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Mira Puacz; „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawcy:

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, 20-112 Lublin, ul. Grodzka 3

Instytut Książki, Dział Wydawnictw
02-086 Warszawa, al. Niepodległości 213
tel. 22 608 23 74, tel./fax 22 608 24 88
e-mail: czaspatron@instytutksiazki.pl

Nakład 1000 egz. Druk ukończono 8 sierpnia 2013 r.

Druk: IF Drukarnia

Cena zł 10,- (w tym 5% VAT)

Spis treści

Marek Danielkiewicz: *wiersze* / 7

Emigracyjna odyseja w listach – Bogusław Wróblewski: artykuł wstępny / 11

Emigracyjna odyseja w listach – listy Jana Leszczy do Jana Kowalika / 28

Łukasz Suskiewicz: *Bydle* / 63

Michał Jagiełło: *wiersze* / 66

Małgorzata Krakowiak: *Kraj wielkich nadziei i widma przeszłości.*

O powieściach Diane Armstrong / 70

Ewa Mazur: *wiersze* / 77

Anna Frajlich: *Pięć miesięcy z życia (1990)* / 80

Maciej Melecki: *wiersze* / 93

Imre Laurinyecz: *Ucieczka* / 96

Karolina Przesmycka: *Dziady nad Rzeczpospolitą. O tym, jak Białorusini*

chcą wskrzesić unię polsko-litewską / 99

Samantha Kitsch: *wiersze* / 106

Adam Binduga: *Goryle* / 108

Małgorzata Szlachetka: *Kabaret bez numerów* / 113

Konstandinos Petrou Kawafis: *wiersze* / 118

PRZEKROJE

Wybory, opracowania, syntezy

Bartłomiej Krupa: *Cień zagłady* [„Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944-2010”. Red. Feliks Tych, Monika Adamczyk-Garbowska]; Małgorzata Szlachetka: *Dehnel nie rozmienia się na drobne* [Jacek Dehnel „Młodszy księgowy. O książkach, czytaniu i pisaniu”]; Marcin Orliński: *W stanie rozproszenia* [Arkadiusz Bałajewski „Mapy dwudziestolecia 1989-2009. Linie ciągłości”]; Dominika Kurek: *Polskie smoki i polscy rycerze* [Małgorzata Tkacz „Baśnie zbyt prawdziwe. Trzydzieści lat fantazy w Polsce”]; Karolina Ewa Wieliczko: *Zawsze (poza) fragment* [Jacek Łukasiewicz „TR”]; Rafał Czekaj: *Erudyta na szajcach kultury masowej* [Umberto Eco „Po drugiej stronie lustra i inne eseje”]; Arkadiusz Bałajewski: *Obecność romantyzmu* [Magdalena Rabizo-Birek „Romantyczni i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej”] / 122

PLASTYKA

Lechosław Lameński: *Ekspresyjne portrety i nostalgiczne pejzaże*

Stanisława Baja, ostatniego romantyka w malarstwie polskim / 149

MUZYKA

Jarosław Sawic: *Między artystem a banałem. Motywy szopenowskie*

w muzyce rockowej / 158

TEATR

Magdalena Jankowska: *Wesołe czarnowidztwo* / 167

BEZ TYTUŁU

Leszek Mądzik: *Park* / 172

NAMIĘTNOŚCI

Marek Danielkiewicz: *Fotografie* / 174

NOTY

Krystyna Rybicka: *100 lat / 100 x Malewicz. Muzeum Książki Artystycznej w Łodzi* / 176

Noty o autorach / 180

Contents and Summaries / 184

MAREK DANIELKIEWICZ

Positki

Zsiadłe mleko z kartoflami w lipcowe dni
Chleb moczony w wodzie i posypyany cukrem
Gruszki z kompotu lub woda z sokiem malinowym
Twarożek ze szczypiorkiem i maślane rogałe
Szarlotka pachnąca cynamonem
Kakao lub ciepłe mleko od krowy ciotki Marianny
Świeże mięso smażone w dniu uboju wieprza
Kiełbasa i szynka wędzone przed świętami Wielkiej Nocy
Kaszanka pieczona w brytfannie
Wino owocowe z piwnicy za domem
Pyzy z mięsem i tłuszczem wielkie jak pięści robotników sezonowych
Bigos z kapusty, którą udeptywało się bosymi stopami w dębowej beczce
Jabłka obowiązkowo na drugie śniadanie –
Jak pacierz przed snem

Lato 1968

Samoloty nad Lubartowem
Ludzie mówią, że będzie wojna
To na Czechy lecą Rosjanie –
Może babcia być spokojna

Wdrapujemy się na czereśnię
Oślamy się przed pszczołami
Samoloty kryją się w chmurze
My strzelamy do nich pestkami

Z Maurycym w Firleju

Był chłopiec, którego nie ma
A przecież jeszcze wczoraj żył
Jego cień obok cienia drzewa
W dzień goniący resztkami sił

Ćma włochata w cukiernicy
Na serwetce pokruszone ciasto
Klomb z bratkami, studnia, wiadro
Kot sąsiadów na leżaku zasnął

Ostatni wiersz

Dzisiaj żegnam się z tobą biedronko
I z tobą dębnie zanurzony w chmurze
Na niewielkim dziedzińcu
Przed pałacem Zamoyskich w Kozłowie

Pozostańcie szczęśliwe motyle
Jak ja pozostaję sam ze sobą
W nieruchomym wnętrzu fotografii
Pośród lewkonii, mięty i rumianku
Obok domu z czerwonej cegły
Z mroczną klatką schodową
I pokojem osiemnastoletniej samobójczyni

Żegnam się z każdym cieniem
Przebiegającym mi drogę
Płoszącym zapchłone koty
Które nie powrócą z polowań w 1965 roku

Przepraszam, że nie nauczyłem się waszej mowy –
Szelestu, mruczenia, świergotu i pohukiwania
Byłem głupi –
Nie zgłębiłem tajemnicy zapachu hiacyntów
Gdzie mi tam do sprawności myszy
I zwinności konika polnego
Nie potrafię milczeć jak ryba
Śpiewać jak słowik
I cieszyć się wiernością jak pies

Dzisiaj żarty się skończyły
Stoję przed drzwiami Nicości
Nie pukam –
Samo się wszystko otworzy i zamknie

W Janowcu nad Wisłą

Ukryty w zieleni
W lipcowej spirali
Owalne mrużąc bajki
Tłustymi wargami
Zamykam wnętrza lasu
Uśpione dobrobytem farb

1978 (*inspirując się malarstwem Piotra Potworowskiego*)

Pochwała neandertalczyka

Porzuciliśmy jaskinie
I ogniska pachnące pieczoną rybą
Nie kucamy za potrzebą pod drzewem
Okryci niedźwiedzią skórą

Drażnią nas muchy krążące wokół żyrandola
I dzieci wrzeszczące pod blokiem
Dziś żadne zwierzę nie przegryzie nam tętnicy
Chyba że jesteśmy treserami w cyrku
Albo globtroterami poszukującymi wrażeń

Złapać równowagę

Oswoić się ze starością –
Jeśli już jest, to niech będzie
Doskonała pod każdym względem
Jak siwe włosy w uszach
Bóle pleców i nadciśnienie tętnicze

Polubić jej przykry zapach
I irytację z powodu zapominania
Gdzie się położyło okulary
Długopis i tabletki nasenne

Nie zważać na poplamiony kołnierzyk
I przetarty na łokciach sweter
Przecież kupiony tak niedawno –
Jakieś trzydzieści lat temu

Uroczą jest wiara w solidność przedmiotów
Nabytych w epoce młodości
Gdy wełna była z wełny
Buty z prawdziwej skóry
A herbata pachniała angielską królową

Pogodzić się z demencją –
Czymś tak oczywistym
I w pewnym sensie niezbędnym
Jak próchnica zębów
I problemy z potencją

Świat ma ważniejsze problemy na głowie:
Upadek krwawych reżimów
Bankructwa deweloperów
Zawirowania na giełdzie
Źródła energii odnawialnej
A także nieustanne wirusy komputerowe
I ptasiej grypy

Dlatego trzeba wyjść starości naprzeciw –
Wspólnie można daleko zejść
Przystając co parę metrów, żeby złapać oddech

(w dniu śmierci Wisławy Szymborskiej)

Marek Danielkiewicz



Stanisław Baj: *Matka* – fragment, olej, pł., 170 x 110 cm, 2005 r.

BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI

Emigracyjna odyseja w listach

Wstęp

Wydawnictwo Walter de Gruyter (Berlin – Nowy Jork) opublikowało niedawno obszerną, przygotowaną przez międzynarodowy zespół, monografię jednego z ważniejszych zjawisk społeczno-kulturowych dwudziestego wieku: emigracji pisarzy z terenów Europy Środkowowschodniej¹. Opracowano szereg tematów istotnych dla obrazu literatury węgierskiej, czeskiej, rumuńskiej czy narodów byłej Jugosławii. Wśród zadań postawionych polskim współautorom tej książki (Włodzimierzowi Boleckiemu, Jerzemu Jarzębskiemu, Katarzynie Jerzak i niżej podpisanemu) znalazły się oczywiście takie zagadnienia jak fenomen paryskiej „Kultury”, twórczość Witolda Gombrowicza czy Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, kariera dziennika, eseju, prozy autobiograficznej.

Ale osobno zwrócono też uwagę na kulturowe znaczenie pewnej części wojennego wychodźstwa polskiego, którą określić można jako „emigrację żołnierską”² – obejmującą twórców, którzy uczestniczyli w walkach frontowych lub w ruchu oporu na terenie okupowanej Polski, a po wojnie zdecydowali się nie wracać do kraju lub ten kraj opuścili (często już przez tzw. zieloną granicę). Spora część z nich to pisarze młodzi, rówieśnicy „Kolumbów”, którzy decydując się na emigrację, nie mieli poważniejszego dorobku literackiego – ich debiuty książkowe, a w większości nawet debiuty prasowe, miały miejsce dopiero w warunkach emigracyjnych, co naturalnie wpłynęło na charakter ich twórczości³.

Nie są to twórcy o takim samym znaczeniu jak Czesław Miłosz, Witold Gombrowicz czy wielcy poeci Skamandra należący do szeroko pojętej „emigracji wojennej” czy „pojałtańskiej” – spowodowanej drugą wojną światową i związanymi z nią przemianami ładu geopolitycznego. Jednak znajdujemy wśród młodych „żołnierzy emigrantów”, debiutujących na obczyźnie, również takie nazwiska, których znaczenie dla historii literatury polskiej XX wieku zostało na przełomie stuleci zauważone, choć nie zawsze wystarczająco energicznie podkreślone, na przykład spośród prozaików osiadłych w USA – Zygmunt Haupt i Danuta Mostwin. Warto także pamiętać, że do młodszego pokolenia emigracji żołnierskiej, do tej samej formacji biograficznej i duchowej co wspomniani twórcy, która miała w Europie tak wybitnego przedstawiciela jak Gustaw Herling-Grudziński (ur. 1919), a np. w Austr-

¹ *Exile and Return of Writers from East-Central Europe. A Compendium*. Edited by John Neubauer and Borbála Zsuzsanna Török. Verlag de Gruyter, Berlin – New York 2009.

² Takiego terminu używa m.in. Danuta Mostwin w swych pracach socjologicznych. Zob. Danuta Mostwin, *Emigranci polscy w USA*, Lublin 1991 (tu m.in. wyniki badań statystycznych publikowane w USA w studium *Transplanted Family*, New York 1980) i *Trzecia wartość. Wykorzenie i tożsamość*, wyd. 2, KUL Lublin 1995. Natomiast historycy dokumentujący życie kulturalne i polityczne emigracji polskiej w USA Wojciech Białasiewicz posługuje się jeszcze dokładniejszym określeniem „emigracja żołniersko-dipisowska”.

³ Por. Bogusław Wróblewski, *Polish WW II Veteran Émigré Writers in the United States* (w:) *Exile and Return of Writers...*, wyd. cyt., ss. 189-203. W języku polskim zagadnienie to omówiłem w artykule *Emigranci rocznik 20 w USA. O pisarzach z pokolenia tzw. emigracji żołnierskiej debiutujących na obczyźnie*. (w:) *Słowa i metody. Księga jubileuszowa dedykowana Profesorowi Jerzemu Świąchowi*. Red. A. Kočańczyk, A. Niewiadomski i B. Wróblewski, Wyd. UMCS, Lublin 2009, ss. 115-129. Uehonorowany tą księgą jubilat jest m.in. autorem tomu szkiców i rozpraw ukazujących znaczenie toposu wygnańca we współczesnej literaturze: *Nowoczesność. Szkice o literaturze polskiej XX wieku*, PWN, Warszawa 2006.

lii interesującego prozaika i poetę Andrzeja Chciuka (ur. 1920), należały również późniejsze znakomite postaci międzynarodowego (a szczególnie polskiego i amerykańskiego) życia politycznego, na przykład Jan Nowak-Jeziorański (ur. 1913) – doradca państwowej Rady Bezpieczeństwa USA, Jan Karski (ur. 1914) – legendarny kurier, który przewiózł na Zachód raport o zbrodniach niemieckich wobec Żydów w Polsce, czy historyk Jerzy Lerski („Emisariusz Jur”, ur. w 1917 r., osiadł w San Francisco).

Właśnie losom tej części pokolenia emigracji żołnierskiej, która jako miejsce zamieszkania wybrała Stany Zjednoczone, możemy się przyjrzeć czytając dziesięć listów Jana Leszczy do Jana Kowalika prezentowanych na następnych stronach tego numeru „Akcentu”. Wyłania się z tej korespondencji wielka dokumentalna opowieść o czasach niezmiernie interesujących, a ciągle nieopisanych – dlatego objętość przypisów powstałych w rezultacie żmudnych źródłowych poszukiwań musiała przekroczyć rozmiary samych listów⁴. *Przywołanie kontekstu, tak aby dzisiejszemu czytelnikowi uświadomić sytuację, w której znajdowali się nadawca i adresat, jest konieczne i niesłychanie trudne – stąd waga komentarza. Nie powinniśmy „podawać do druku” listów bez objaśnienia kontekstu, w jakim powstawały – tę elementarną zasadę przypomina autor opublikowanego niedawno kompendium wiedzy o współczesnym edytorstwie*⁵.

Rozpoczynając lekturę przenosimy się w realia powojennych Niemiec okupowanych przez zachodnich aliantów (wojska amerykańskie, brytyjskie i francuskie), gdzie znalazło się po wojnie około miliona polskich „dipisów” (DP – displaced persons) – jeńców wojennych z kampanii wrześniowej i powstania warszawskiego oraz robotników przymusowych, więźniów obozów koncentracyjnych, a także uciekinierów z Polski w ostatniej fazie wojny⁶. Są oni w sytuacji swoistego „zawieszenia” przed ostateczną decyzją o emigracji lub powrocie do kraju (choć większość decyzji o powrocie została podjęta, zanim rozpoczyna się prezentowana korespondencja⁷), ale mimo owego zawieszenia próbują organizować sobie życie i tworzyć wspólnotowe instytucje. Rzuca się w oczy bogactwo życia intelektualnego i organizacyjnego tego środowiska – czasopisma, dodatki literackie, stowarzyszenia, zjazdy, zebrania, publikacje. Jest w tym coś z intensywnego odreagowania po wojennym wytłumieniu.

Autora i adresata listów, Jana Leszczy i Jana Kowalika, którzy przed wojną się nie znali, łączy zatem przede wszystkim to, że obaj są dipisami i obaj próbują swoich sił w literaturze, która w ich życiu odgrywa istotną rolę. Ale bardzo ważne jest także to, że obaj są Ślązakami – pochodzą ze Śląska Cieszyńskiego, a miejsca ich urodzenia dzieli zaledwie dwadzieścia parę kilometrów.

Listy te odwołują najpierw proces odnajdowania pokoleniowej wspólnoty młodych ludzi, ciężko doświadczonych i rzuconych w obce otoczenie – po kilku miesiącach są już po imieniu, toczą zażarte dyskusje o charakterze czysto literackim, piszą o sprawach organizacyjnych związanych z działal-

⁴ W artykule na temat Jana Leszczy, analizując niewydolność krajowej krytyki wobec niektórych dzieł pisarzy emigracyjnych, Wacław Iwaniuk napisał: *Ale czym jest prawda poety w naszych zdruzgotanych czasach, gdy ją ktoś inny musi interpretować, nie mając dojścia ani do psychiki autora, ani do jego słowa. Jak ono kielkuje i jakimi sokami żyje? Bo Leszcza, jak Robinson Krusoe, żyje w otoczeniu prawie że krytykom nieznanym. Pisze czasem na znane nam tematy, czasem zupełnie nam obce.* (Wacław Iwaniuk: *Wykluczony z klik*. „Fraza”, 1994 nr 5, s. 110). Wierzę, że wiedza wyniesiona z lektury listów Leszczy do Kowalika opatrzonych obszernymi objaśnieniami poprawi naszą możliwość wglądu w dorobek emigrantów.

⁵ Łukasz Garbał: *Edytorstwo. Jak wydawać współczesne teksty literackie*. PWN, Warszawa 2011, s. 297.

⁶ Zob. Rafał Habielski: *Życie społeczne i kulturalne emigracji*, Warszawa 1999 (szczególnie rozdział zatytułowany *Wracać czy nie wracać*, ss. 5-21); Andrzej Friszke: *Życie polityczne emigracji polskiej 1945-1990*, Warszawa 1999; Czesław Luczak: *Polacy w okupowanych Niemczech 1945-1949*, Poznań 1993. O sytuacji i aktywności kulturalnej dipisów w pierwszym okresie istnienia obozów przejściowych pisze także Jerzy Świątek w fundamentalnym opracowaniu *Literatura polska w latach II wojny światowej*, Warszawa 1997, ss. 339-342 (więcej o poezji na str. 384-387).

⁷ Do końca 1947 r. do Polski powróciło ok. 67-75% Polaków, którzy znajdowali się na terenie Niemiec w strefach okupacyjnych zachodnich aliantów i grubo ponad 90% spośród blisko 750 tys. ze strefy radzieckiej. Dane liczbowe według źródeł wskazanych w poprzednim przypisie.

Jest tylko sprawa wolności ...

Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...

Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...

Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...

Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...

Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...

Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...
Przedstawicielstwo...

Proces Maniu

Proces Maniu...
Proces Maniu...
Proces Maniu...

Proces Maniu...
Proces Maniu...
Proces Maniu...

Proces Maniu...
Proces Maniu...
Proces Maniu...

Proces Maniu...
Proces Maniu...
Proces Maniu...

Proces Maniu...
Proces Maniu...
Proces Maniu...

Proces Maniu...
Proces Maniu...
Proces Maniu...

Mikołajczyk w Londynie

Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...

Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...

Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...

Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...

Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...

Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...
Mikołajczyk w Londynie...

ODWIEDZ WYSTAWĘ „PRACA POLSKA NA OBCYZNIU”
10 PAŹDZIERNIKA - 11 LISTOPADA 1947
MIEJSCOWOŚĆ: MARIENPLATZ, 10 (WZDŁUŻ UL. BRUNNENPLATZ 10)

Pierwsza strona wydawanego we Frankfurcie (w amerykańskiej strefie okupacyjnej) tygodnika „Kronika” z 9 listopada 1947 r. z informacją o przybyciu do Londynu premiera Stanisława Mikołajczyka po ucieczce z Polski.

nością Polskiego Klubu Literackiego, który tam, w Niemczech, powołali do istnienia. Jest rzeczą zdumiewającą, że w takich warunkach, ciągle zagrożeni i niepewni przyszłości dipisi toczą spór o znaczenie konkretnych sekwencji czy metafor w wierszach albo o stosunek do tradycji literackiej. Już pierwszy list jest pod tym względem charakterystyczny, gdy Jan Leszcza narzeka na selekcję utworów do „Kroniki” preferując tych, którzy piszą jak zwykli pisać wychowankowie szkoły neoklasycznej z Hemarem na czele. A więc z leżką a la Iłłakowiczówna, Lechoń, Wierzyński, chociaż Wierzyński jest za śmiały, raczej Wittlin, Baliński, Kiersnowski, gdy chodzi o młodszych. Poszukiwacze „Kroniki” nie lubi. Nie znosi autentystów, awangardy, żagarystów, jednym słowem poezji młodszych szkół poetyckich Polski przedwojennej. Musi być strofka, rym, cezura e t c.

Wierzyński, „za śmiały” dla konserwatywnych redaktorów, odegrał potem dużą rolę w biografii literackiej Leszczy i jego rówieśników osiadłych w USA, chociaż twórczość samego Leszczy od końca lat pięćdziesiątych poszła raczej w kierunku owych „młodszych szkół poetyckich”, szczególnie żagarystów – o jego związkach z Czesławem Miłoszem będzie jeszcze w tym wstępie mowa.

Jesienią 1948 r. dojrzewa decyzja o emigracji za ocean. W długim i bardzo emocjonalnym liście, zawierającym podwójne postscriptum, pisanym w dniu Święta Zmarłych pojawiają się gorzkie opinie o porządkach panujących w okupowanych Niemczech, hipokryzji zachodnich aliantów, materialnym niedostatku, stosunku miejscowej ludności do dipisów, nacisku „repatriacyjnym” (do tej kwestii jeszcze wrócimy) oraz kategoryczne uwagi o Niemcach i ich zbiorowej odpowiedzialności. *Jestem – wiem o tym, nie-odrodnym dzieckiem zasranej epoki. Resztki idealizmu, którymi człowiek żyje nie uratują bryły staczającej się do przepaści. Czas by zaśpiewać requiem dla Europy, bo czasy są obłąkane.* Leszcza wierzy w rychły wybuch trzeciej wojny światowej (zresztą dzielił tę wiarę nie tylko z innymi dipisami, ale ze znaczną częścią korpusu oficerskiego byłych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie⁸).

Listy z 1949 r. ukazują postępujący rozpad środowiska, osłabienie działalności literackiej, przygotowania do opuszczenia Niemiec: Leszcza myśli m.in. o wyuczeniu się praktycznego zawodu, odbiegającego od profilu jego dotychczasowych studiów, i o zawarciu małżeństwa przed wyjazdem do USA.

W 1951 r. Leszcza jest już w Chicago, ciężko pracuje fizycznie, skarży się na brak motywacji twórczych i trudności ze znalezieniem formy wyrazu poetyckiego odpowiedniej dla nowych doświadczeń, narzeka na kłopoty przy próbach ponownego zbudowania więzi w środowisku rówieśników parających się literaturą i dziennikarstwem: (...) *nie było jeszcze ani raz posiedzenia gdzie rozmawialoby się na tematy literackie w sensie samokształceniowym (np. wieczór autorski i krytyka, dyskusje itp.) lub ażeby zorganizować sekretariat, nawiązać kontakty z Wierzyńskim, Lechoniem, Jantą, Gombrowiczem, Iwaniukiem itd., pomyśleć o ożywieniu org.* (list 10; jednak jak wiemy dużą część zamiarów Leszczy udało się później zrealizować, doszło np. do spotkań z Kazimierzem Wierzyńskim i Marianem Hemarem). Wreszcie zostaje zaproszony do Kalifornii, gdzie spotkał się z Janem Kowalikiem i gdzie w 1959 r. osiadł w końcu na stałe, uzyskując wreszcie względną stabilizację.

Oto „modelowa” biografia sporej części tego pokolenia.

Wybrałem te listy przed dwunastoma laty z większego zbioru papierów po Janie Kowaliku przechowywanych w archiwum Hoover Institution przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii (sygnatura 93047-71.04/1)⁹. Warto dodać, że w Bibliotece Uniwersytetu Stanforda (Dept. of Special Collections and University Archives, sygn. MO672) znajdują się dwa pudła dokumentów Jana Leszczy – być może tam należałoby szukać odpowiedzi, jakich Kowalik udzielał swemu przyjacielowi (przynajmniej tych z okresu amerykańskiego).

Przyjrzyjmy się teraz bliżej bohaterom tej opowieści, oprócz rekonstrukcji danych biograficznych odczytując także – przynajmniej po części – przekaz zawarty w ich twórczości literackiej, literaturze bowiem podporządkowali wiele swych życiowych decyzji.

⁸ W rozmowie Piotra Zychowicza z Janem Ciechanowskim, polskim historykiem z Londynu, przeprowadzonej dla „Plusa-Minusa” z 2-3.10.2010 r., czytamy: *Po zdemobilizowaniu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, o czym mało kto wie, nasze wojsko wcale nie przestało istnieć. Przeszło raczej w stan uśpienia. Zachowano struktury poszczególnych jednostek, tzw. kola oddziałowe, w oparciu o które w każdej chwili – na wypadek wybuchu III wojny światowej – można było błyskawicznie odtworzyć armię. W Londynie działał nawet zakamuflowany sztab generalny gen. Andersa. (...) Oficjalnie nazywało się to Biuro Historyczne. W tym zakonspirowanym sztabie działał między innymi komandor Bogdan Wroński czy pułkownik Zygmunt Jarski, przyjaciel mojego ojca sprzed wojny. Ludzie ci przygotowywali w tajemnicy plany udziału Polaków w III wojnie światowej. Dostałem je później, przestudiowałem, a potem złożyłem w Studium Polski Podziemnej. Wroński jeszcze w latach 70. przyszedł do mnie i prosił, żebym na razie o nich nie mówił i nie pisał. Słowa dotrzymałem. Ale dziś już chyba mogę o tym mówić.*

⁹ Dziś czytamy w internecie, że cały zbiór dokumentów po Janie Kowaliku zajmuje na półkach prawie 38 stóp (www.oac.cdlib.org/findaid/ark:/13030/kt6p3038sc/entire_txt).

Nadawca

Jan Leszcza (1918-1992; właściwe imię i nazwisko Wiktor Londzin) urodził się w Zabrzegu na Śląsku Cieszyńskim¹⁰. Maturę zdał w gimnazjum humanistycznym w Bielsku, a po ukończeniu podchorążówki przy 3 Pułku Strzelców Podhalańskich otrzymał przydział do 1 Pułku tej formacji w Nowym Sączu, w którym służył w czasie kampanii wrześniowej. Ciężko ranny pod Przemysłem został po powrocie z frontu aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau, a potem przeniesiony do Gusen.

Po zakończeniu wojny przebywał w Ratzbonie (Regensburgu) w strefie amerykańskiej, gdzie współpracował z „Dziennikiem Polskim”. Tak wspomina tamten czas Róża Nowotarska: *Pisaliśmy oboje dla redakcji „Dziennika Polskiego” w Regensburgu (Bawaria), pierwszego polskojęzycznego pisma codziennego w amerykańskiej strefie okupacyjnej ówczesnych Niemiec Zachodnich. Ja w tym dzienniku sekretarzowałam, parając się równocześnie reporterką i będąc tzw. piórem do wszystkiego, Leszcza natomiast schodził co jakiś czas na nasz redakcyjny parter ze swojego Parnasu na trzecim, a może piątym piętrze, by łaskawie przynieść do sobotniego wydania kilka swoich wierszy. Był trochę wyniosły, trochę ironiczny, mało mówny, niezależny kot chodzący własnymi drogami. Wszelkie namowy redaktora naczelnego Stefana Benedykta (majora WP w stanie spoczynku, legionisty 1 Brygady i więźnia obozu koncentracyjnego w Mauthausen), aby dołożył swój talent do naszych codziennych wysiłków, i wszedł do ścisłego zespołu redakcyjnego, Leszcza zbywał trochę pogardliwym „Nie nadaję się do siedzenia za biurkiem.” Istotnie, nie nadawał się. Chciał być wolnym, nie związanym obowiązkami „od – do” człowiekiem. Wszystko co miał i co chciał zaferować redakcji, to były wiersze, o których po latach napisał: „Ubożuchne były te nasze poczynania tuż po wojnie... wiersze też były biedne.” W wierszach zamykał przeszłość, tęsknotę za krajem, tradycję, przywiązanie do krajobrazu ziemi śląskiej, z której pochodził¹¹.*

Po pewnym czasie przeniósł się do Monachium, gdzie na uniwersytecie utworzonym w lutym 1946 r. z inicjatywy UNRRA podjął studia – prawo i nauki polityczne według słownika *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*¹², filozofię i filologię według Róży Nowotarskiej¹³ (ale to raczej ta słownikowa wersja znajduje potwierdzenie w treści listów, gdzie mowa o egzaminach z prawa autorskiego, prasowego, z historii i ekonomii). Tu energicznie włączył się w działalność środowiska literackiego (dokumentują to pierwsze listy do Jana Kowalika), współorganizując Związek Pisarzy Polskich w Niemczech (w strefie amerykańskiej), a później Polski Klub Literacki, w którym pełnił funkcję sekretarza. Współpracował z polskimi czasopismami wydawanymi na terenie Niemiec, m.in. „Kroniką”, „Ostatnimi Wiadomościami”, „Studentem polskim na obczyźnie” (szczegóły podaję w przypisach do listów).

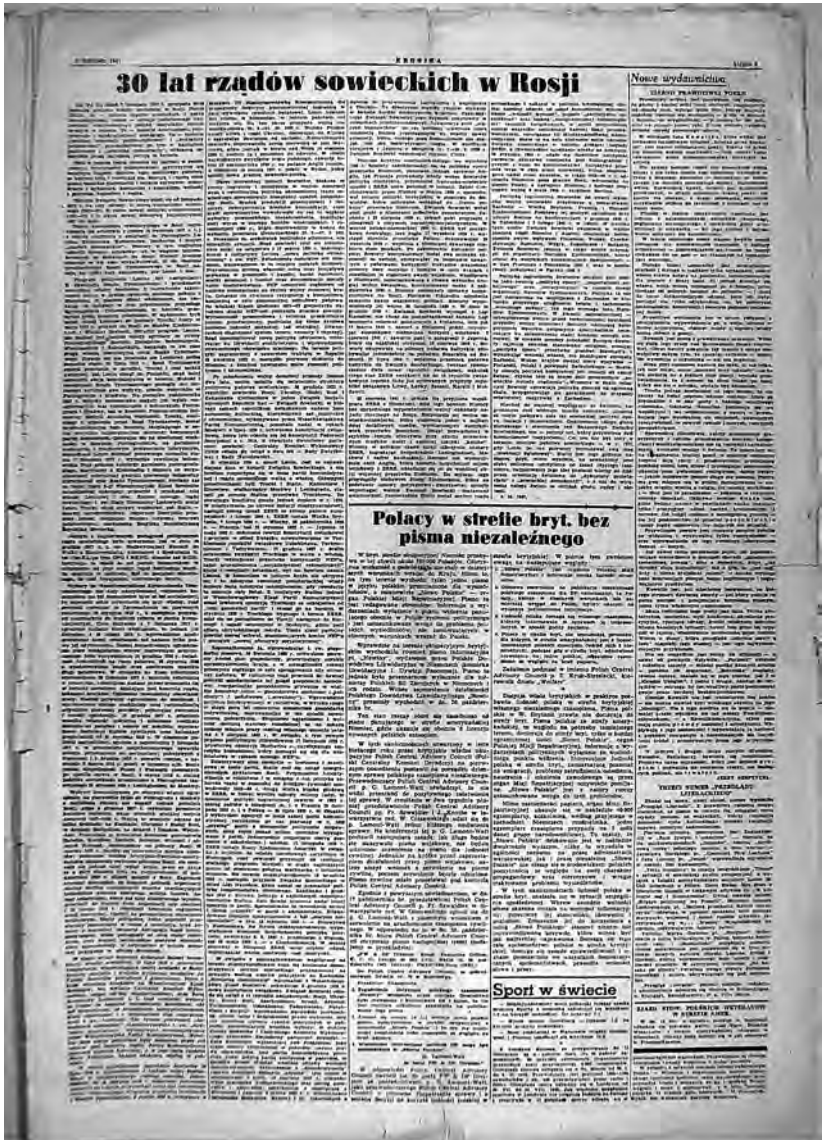
Debiut książkowy Leszczy to niewielki (32 str.) zbiór wierszy pt. *Czas obłąkany*, wydany w 1947 r. przez Koło Organizacyjne Związku Pisarzy Polskich w Niemczech (Monachium) jako drugi tom Biblioteki ZPP. Na pierwszej stronie widnieje motto z wiersza *Książka* Czesława Miłosza, Miłoszowi jest także dedykowany jeden z utworów. To nie przypadek, chociaż poetyka tych wierszy jest jeszcze dość odległa od najlepszych doświadczeń Drugiej Awangardy – Leszcza zbliżył się do nich wyraźnie dopiero w okresie amerykańskim i to dopiero wtedy, gdy otrząsnął się nieco z fascynacji twórczością Kazimierza Wierzyńskiego.

¹⁰ *Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939 – 1980* opracowany przez Bolesława Klimaszewskiego, Ewę R. Nowakowską i Wojciecha Wyskiela (Warszawa 1992) jako miejsce urodzenia Leszczy błędnie podaje Zabrze.

¹¹ Róża Nowotarska: *Wspomnienia, opowiadania, rozmowy, recenzje, szkice z Antkiem Czerwocowym w środku*. Chicago 2002, s. 93.

¹² *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*. Oprac. zespół pod red. Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szalagan, t. 5, Warszawa 1997, s. 62.

¹³ R. Nowotarska, dz. cyt., s. 94.



Piąta strona tygodnika „Kronika” z artykułem o tłumieniu swobody polskiej prasy w brytyjskiej strzelnicy okupacyjnej oraz recenzją Jerzego Szeptyckiego ze zbioru wierszy Kowalika *Ścieżka przez Steinata* i krótkim omówieniem 3 numeru „Przeglądu Literackiego”, gdzie autor z uznaniem odnotowuje pojawienie się nazwisk M. Gordona, J. Horskiego i J. Leszczy.

Znajdujemy tu natomiast frazy, które znakomicie współbrzmiały z wierszami jego rówieśników – czołowych przedstawicieli pokolenia spełnionej apokalipsy, które przecież właśnie Drugiej Awangardzie wiele zawdzięcza.

*W rzeki ustronne, w stawy jeziorne
Gwiazdy, uliczki, domy spadały.
Światłość wojenna rosła potwornie
I łuki kul i brzeszczot strzały.*

To początek wiersza Leszczy *Post scriptum*. Jakże blisko jesteśmy opublikowanego kilka lat wcześniej w podziemiu, w okupowanej Warszawie, utworu innego autora:

Nad nami – noc. Goreją gwiazdy,
Dławiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
I głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

Nie tylko ton katastroficzny, właściwy całemu pokoleniu, ale nawet podobieństwo obrazowania łączy tutaj Leszcza z innym dipisem, zdecydowanie bardziej rozpoznawalnym przez czytelników w Polsce: Tadeuszem Borowskim (cytat pochodzi z utworu *Pieśń* z tomu *Gdziekolwiek ziemia*, 1942). Leszcza i Kowalik przebywali w Niemczech znacznie dłużej niż Borowski (ten ostatni powrócił do kraju w czerwcu 1946 r.) i choć nie mieli za sobą – kluczowych dla twórczości Borowskiego – doświadczeń oświęcimskich¹⁴, to „przejmującą diagnozę upadku i reifikacji człowieka” (określenie T. Drewnowskiego) można dostrzec także w ich utworach napisanych w powojennych Niemczech.

Po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych w 1951 r. wraz z poślubioną w Niemczech żoną Olgą (zob. list z 4 listopada 1949 r.) Leszcza zamieszkał w Chicago. Jego twórczość poetycka na pewien czas osłabła. *Szukałem i szukam dla Chicago odpowiednika w poezji – na co jeszcze wciąż za wcześnie* – napisał w liście z 1 grudnia 1951 r. (Podjął pracę jako robotnik w przemyśle maszynowym, stale podnosząc swoje kwalifikacje i awansując, o czym również informuje w listach.) Włączył się natomiast w życie kulturalne chicagowskiej społeczności polskiej, organizując w latach 1951-1956 wspólnie z Józefem Białasiewiczem, Zbigniewem Chałką¹⁵, Markiem Gordonem¹⁶ i Kazimierzem Nawrockim tzw. żywe dzienniki, cieszące się wielką popularnością¹⁷. Ta mówiona gazeta, prezentowana w pewnych okresach regularnie co miesiąc, miewała edycje tematyczne (np. programy poświęcone rocznicom Konstytucji 3 maja i powstania warszawskiego), wystawiała szopki polityczne, gościmi „Żywego Dziennika” byli Kazimierz Wierzyński (13 marca 1954 r.) i Marian Hemar (24 lutego 1956 r.). Na spotkaniu z Wierzyńskim to właśnie Leszcza wygłaszał laudację. Niejednokrotnie zresztą dawał wyraz zauroczeniu twórczością wielkiego skamandryty, a Róża Nowotarska omawiając listy Wierzyńskiego do przyjaciół w Chicago nazywa Jana Leszcza i Zbigniewa Chałkę jego „poetyckimi dziećmi”¹⁸. W poświęconym poezji emigracyjnej lat 1940-1960 szkicu Mieczysława Giergielewicza nazwisko Leszczy pojawia się w pozytywnych kontekstach¹⁹.

Wpływ Wierzyńskiego wyczuć można jeszcze przez pewien czas po tym, gdy Leszcza w 1959 r. wyjeżdża z żoną z Chicago i na stałe osiedla się w Los Altos w Kalifornii. Ale gdy czytamy zbiór *Konie drewniane* (Londyn 1967), widzimy poetę w pełni oryginalnego, o wyraźnie wyrobionym własnym stylu, ze skryzalizowanym światopoglądem poetyckim, w którym wątki katastroficzne ciągle odgrywają znaczącą rolę. Czytając wiersz tytułowy, a także publikowany dwie strony dalej *Wiersz w rytmie marsza* – oba ukazujące upadek młodzieńczych ideałów (symbolizowanych przez pielęgnację dziecięcego wierzchowca wypchanego trocinami) i klęskę przedwzręśniowej

¹⁴ Zarówno Leszcza, jak Borowski przeszli przez Dachau, ale gdy Borowski tam trafił (wiosną 1945 r.), Leszcza był już w Gusen. Gdyby spotkali się w Niemczech 4-5 lat później, byłiby po przeciwnych stronach barykady. Borowski wrócił do Niemiec jako referent kulturalny w Berlinie, członek partii pracujący dla rządu komunistycznego. Popelniał samobójstwo mniej więcej w tym samym czasie, gdy Leszcza wsiadał na statek odplywający do USA.

¹⁵ Zob. przypis 88 do listów. Ze względu na mocne osadzenie jego twórczości w realiach powstającej Warszawy Chałka jest jednym z bohaterów książki Wojciecha Ligęzy *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*. Wyd. Baran i Suszczyński, Kraków 1998.

¹⁶ Zob. przypis 51 do listów.

¹⁷ Zob. przypis 80 do listów. Tak o „żywym dzienniku” opowiadał Marek Gordon: *Sami byliśmy zaskoczeni zainteresowaniem, jakie temu towarzyszyło. Najpierw przyszła setka ludzi, potem dwieście i trzysta. Wprowadziliśmy bilety wstępu i mimo to frekwencja dalej rosła, nie malała.* (Rozmowa z 1984 r. zatytułowana *Tulacze losy Marka Gordona* [w:] Wojciech A. Wierzewski, *Pegaz za oceanem. Ludzie pióra i kultury poznani w Ameryce*, Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2002, ss. 246).

¹⁸ R. Nowotarska, dz. cyt., s. 56. Zob. też przypis 86 do listów i stosowne fragmenty listów 9 i 10.

¹⁹ Mieczysław Giergielewicz: *Twórczość poetycka* (w:) Tymon Terlecki (red.), *Literatura polska na obczyźnie 1940-1960*, tom I, wyd. B. Świdorski, Londyn 1964.

wiary tamtego pokolenia – nie mogą się uwolnić od skojarzeń z obrazami kreowanymi przez Tadeusza Kantora (nb. – ur. 1915): *konie się rwały drewniane / na sznurkach do dzielnej roboty, / trudno je było utrzymać. / przypasawszy szablę i / lancę przytroczywszy do / boku rumaka, krzyknąłem – naprzód / przejechały czołgi / po nas chrześzcząc gąsienicami / kilka sztukasów górą. / dużo / trocin zostało na szosie gliwickiej (...)*²⁰.

Na osobne studium komparatystyczne zasługują związki między twórczością Jana Leszczy i Czesława Miłosza. Znakomity poemat Leszczy ze wspomnianego zbioru zatytułowany *Ten ruch morza jest wszędzie obecny*²¹ ukazuje pisarza z temperamentem historiozoficzno-epistemologicznym. Jego postawa wobec meandrow historii, wobec możliwości poznawczych człowieka i jego gatunkowej obecności w świecie jest zdumiewająco bliska Miłoszowi. Skojarzenia stają się jeszcze mocniejsze, gdy na następnej stronie, w wierszu *Autodedykacja*, znajdujemy odniesienie do Jakuba Boehme, do którego pism chętnie odwoływał się noblista. Leszcza pisze: *Boehme miał rację – wszystko magia / co umysł zachował lub zdystansował. // tam gdzie stopą dotknąłeś popiołu / wschodzi kwiat, tryska bluszcz angielski. / nazywamy to wiosną ludzkości i ziemi / przy tym mieszamy jedno pojęcie z drugim.*

Można przypuszczać, że zbieżności wynikają nie tylko bezpośrednio z faktu, że młodszy poeta od lat wrażliwie czytał utwory starszego Kalifornijczyka (notabene – Los Altos dzieli od San Francisco zaledwie czterdzieści mil drogą wzdłuż zatoki; mieszkali obok siebie przez trzy dziesięciolecia). Pamiętajmy, że obaj znali i tłumaczyli lirykę amerykańską (Leszcza przekładał także poetów czeskich i niemieckich – według Nowotarskiej „wszystkimi trzema językami władał biegle i bezbłędnie”²²). Iwaniuk, który sprzeciwiał się opinii o pokrewieństwie poetyki Leszczy i Różewicza wygłoszonej przez M. Sprusińskiego²³, wskazuje na twórczość poetów amerykańskich, poczynając od Whitmana, jako źródło inspiracji i artystyczny układ odniesienia dla autora *Koni drewnianych*²⁴.

Wiersze i przekłady Leszcza ogłaszał m.in. w „Kulturze”, „Wiadomościach”, „Oficynie Poetów”, „Kontynentach” i „Tematach”. Nakładem nowojorskich „Tematów” ukazał się w 1969 r. kolejny zbiór jego wierszy zatytułowany *Szkicownik*. Tytuł po części odpowiada zawartości – połowa utworów sprawia wrażenie zanotowanych przed ostateczną krystalizacją. Ale w kontekście krytycznych opinii o rzeczywistości amerykańskiej wyrażonych w listach do Kowalika zwracają uwagę *Wiersz o przyspieszaniu pośpiechu* oraz *Legenda o drzewie dolarowym*²⁵ (pojęcie „dolaryzacji” pojawia się w liście pisanym z Chicago 1 grudnia 1951 r.). Oto fragment drugiego z wierszy: *Wycinamy stare, wymarłe / drzewa dolarowe, / Sadzimy nowe / obok łóżka w sypialni. (...) Zasypiamy (...) w połowie niedokończonej modlitwy / do boga dolara, / z ustami spalonymi / z gorączki i zmęczenia.*

Ostatni zbiór, zatytułowany *Trzy ściany*, dorównujący siłą wyrazu poprzedniemu tomowi wydanemu przez OPiM, opublikował Leszcza w 1980 roku. Licznych „wierszy rozproszonych” i przekładów – dotknięty długotrwałą depresją po śmierci żony – nie zdołał już zebrać w kolejnej książce.

Pisze Waclaw Iwaniuk: *Jak to się stało, że wybitny poeta, Jan Leszcza (...) uszedł uwagi naszych krytyków i historyków literatury? Nie jest to poeta drugorzędny, wystarczy porównać najlepsze jego wiersze z osiągnięciami*

²⁰ Jan Leszcza: *Konie drewniane*. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1967, ss. 12-13.

²¹ Tamże, ss. 29-32.

²² R. Nowotarska, dz. cyt., s. 94. Przekłady Leszczy znalazły się w książce *Czas niepokoju. Antologia współczesnej poezji brytyjskiej i amerykańskiej*. Wybrał i opracował Paweł Mayewski. Wstęp napisał Karl Shapiro. Criterion Books, Nowy Jork 1958 (antologia ta była pierwszą publikacją tego typu i odegrała dużą rolę w kształtowaniu polskiej świadomości literackiej).

²³ M. Sprusiński: *Ten ruch poezji jest wszędzie obecny*, „Twórczość” 1968 nr 9.

²⁴ W. Iwaniuk, dz. cyt., ss. 108-109.

²⁵ J. Leszcza: *Szkicownik*. „Tematy”, Nowy Jork 1969, ss. 39-41.



Od lewej: Jan Leszcza, Józef Białasiewicz, Zbigniew Chałko, Kazimierz Wierzyński, Kazimierz Nawrocki. W restauracji Old Heidelberg, Chicago, 11 marca 1954 r.
Fot. z archiwum Wojciecha Białasiewicza

*modnych dziś poetów (...), by dojść do wniosku, że Leszcza im nie ustępuje w obrazowaniu i organizowaniu materiału językowego*²⁶.

Adresat

Jan Kowalik (1910-2001; właśc. Jan Sławiczek²⁷) urodził się w Skoczowie na Śląsku Cieszyńskim. Ukończył seminarium nauczycielskie, uzyskał dyplomy Państwowych Wyższych Kursów Nauczycielskich w Mysłowicach i w Krakowie, studiował też jako wolny słuchacz na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Do wybuchu II wojny światowej pracował jako nauczyciel, publikując jednocześnie artykuły na tematy ludoznawcze, regionalne i pedagogiczne (pierwszym jego drukiem zwartym była broszura *Z dziejów zboru ewangelickiego w Skoczowie*, 1937 r.). W okresie okupacji działał w podziemiu (kolportaż prasy konspiracyjnej) w Generalnej Guberni, gdzie się przedostał zagrożony aresztowaniem, do momentu gdy w 1944 r. trafił do niemieckiego obozu pracy. Po oswobodzeniu przez armię amerykańską przebywał w sanatorium dla chorych na gruźlicę w Steinatal, najpierw jako pacjent, a potem jako administrator zakładu. Powstały wówczas m.in. wiersze *Chorzy* i *Zaproszenie* publikowane w debiutanckim zbiorze *Ścieżka przez Steinatal* (Monachium 1947). Drugi z wspomnianych utworów to intrygująca próbka ironii, czy nawet autoironii, dzięki której wrażliwi z dipisów nie tracili ducha w ekstremalnych okolicznościach:

*Zabłysnęł szpital w mroku okien rozsypiskiem.
Na mleczną drogę wóz wytoczono do jazdy.
Woźnica-wicher strzelił świerka smagłego biczyskiem:
Umarli dzisiaj, wsiadać! Jedziemy za gwiazdy!*²⁸

Później znalazł się w obozie dla dipisów w Landau (pełnił funkcję komendanta), a przed wyjazdem do USA pracował w Międzynarodowej Służbie Poszukiwań (ITS) w Arolsen.

W Niemczech założył i redagował międzyobozowy tygodnik „Polak w Waldeck”, publikował także w innych czasopismach (m.in. w mannheimskich „Ostatnich Wiadomościach”, monachijskim „Słowie Katolickim”

²⁶ W. Iwaniuk, dz. cyt., s. 106.

²⁷ Zob. przypis 48 do listów.

²⁸ Jan Kowalik: *Wiersze wybrane*. Wstęp, wybór i redakcja Bogusław Wróblewski, Norbertinum, Lublin 1994, s. 13.

i frankfurckiej „Kronice”) oraz ogłosił dwa pierwsze tomy wierszy (drugi nosił tytuł *Wiatr w gałęziach*, Monachium 1948). Tutaj także zaczęła się jego pasja bibliograficzna – wyjeżdżając do USA w 1950 r. zabrał ze sobą zbiory, które stały się zaczątkiem wielkiej kolekcji czasopiśmiennictwa polskiego na emigracji.

W San Francisco dołączyła do niego poznana w Niemczech narzeczona Emma, która była rodowitą Niemką. W liście z 1 grudnia 1951 r. Leszcza komentuje wiadomość o ich planowanym ślubie (*Jako żonaty mogę polecać. Sam osobiście jestem bardzo szczęśliwy* – pisze Leszcza. Wiele lat później Kowalik żartował, że Emma wyszła za niego, żeby odkupić niemieckie winy wobec Polaków). Przed wyjazdem za ocean dedykował jej wiersz, opublikowany w „Ostatnich Wiadomościach”. Oto pierwsza zwrotka:

*Od morza wiało wiatrem słonym,
a wiatr się niośł na mewach białych.
Tak cicho pociąg ruszył z miejsca,
że zanim serce me pojęło
jak mi cię przestrzeń z nagła bierze,
już tylko ręce twoje blade
jak ćmy się w oknie trzepotały. (...)*²⁹

W 1952 r. małżonkowie osiedli w Kalifornii, ostatecznie zamieszkując w San Jose (od 1976 r.). Cały swój czas Kowalik poświęcił dokumentacji historyczno-bibliograficznej polskiej diaspory, a szczególnie prasie emigracyjnej. Dzieło to pochłonęło wszystkie posiadane przez niego środki materialne (w niektórych okresach, szczególnie na początku pobytu, bibliograf utrzymywał się z pracy fizycznej³⁰); usiłował mu nadać formę instytucjonalną, zakładając w San Jose American-Polish Documentation Studio (istniejące właściwie dzięki staraniu jego i żony, przy niewielkim wsparciu instytucji emigracyjnych).

Po latach ta benedyktyńska praca zaowocowała publikacjami, bez których trudno sobie dziś wyobrazić funkcjonowanie warsztatów badawczych nie tylko prasoznawców, lecz także historyków, socjologów, krytyków i historyków literatury. Wymieńmy kilka najważniejszych: *Polonica niemieckie za czas od 1 IX 1939 do 31 XII 1948*, Paryż 1952; *Polskie czasopiśmiennictwo emigracyjne po roku 1939. Zarys historyczno-bibliograficzny*. (w:) *Literatura polska na obczyźnie 1940-1960* pod red. Tymona Terleckiego, tom II, Londyn 1965; *Prasa polska w Niemczech w latach 1945-1971*, Toronto 1976; *Bibliography of Helena Modjeska*, San Jose 1977; *The Polish Press in America*, San Francisco 1978; *Pope John Paul II in the American Press*, San Jose 1979 (kontynuacja w 1987 r.); *Miłosz – laureat Nobla 1980 a polska prasa emigracyjna* (San Jose 1981) i wreszcie *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami kraju od września 1939 r. World Index of Polish Periodicals Published Outside of Poland Since September 1939*, tomy I-IV, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Lublin 1976; tom V, Katolicki Uniwersytet Lubelski, Lublin 1988. To pięciotomowe dzieło, jedyne tego typu w polskim piśmiennictwie, ma charakter monumentalny – zawiera opis bibliograficzny 4617 (!) tytułów czasopism polskiej diaspory, stwarzając bardzo solidny fundament dla dalszych opracowań na jej temat.

Oprócz pracy historycznej i bibliograficznej Jan Kowalik redagował w USA kilka czasopism (m.in. „Polak w Kalifornii” w latach 1951-1952 i „Migrant Echo” w latach 1972-1980), a także pisał szkice i felietony publikowane m.in. w paryskiej „Kulturze”, londyńskich „Wiadomościach”, nowojorskim „Nowym Dzienniku” oraz w prasie kanadyjskiej. Tam również ogłaszał swe nowe wiersze i opowiadania, bowiem po ponadtrzydziestoletniej przerwie

²⁹ „Dodatek Tygodniowy »Ostatnich Wiadomości«, Mannheim 1950 nr 39, s. 3.

³⁰ Zob. przypis 84 do listów.

powrócił do twórczości literackiej: w latach osiemdziesiątych ukazał się w Paryżu tom wierszy pt. *U drzwi Twoich* (Editions Polemika, 1983) oraz następujące zbiory utworów wydane w USA (wszystkie w wydawnictwie Sigma Press z Albany): *Exsul familia* (wiersze, 1983), *Krzyż Malika* (małe formy prozatorskie, 1985), *Zatrzymać czas* (wiersze, 1987), *Zapis w kalendarzu* (wiersze, 1989).

Za prace bibliograficzne Jan Kowalik otrzymał nagrodę Fundacji Alfreda Jurzykowskiego (1968) i nagrodę im. Anny Godlewskiej (1973). Przeznaczył je na sfinansowanie podróży badawczych. W 1993 r. został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

Bogaty zbiór czasopism przekazał w połowie lat 80. Bibliotece Towarzystwa Chrystusowego w Poznaniu (ok. 1000 tytułów, w większości pierwsze numery). Choroba serca utrudniła Kowalikowi dokończenie wielkich projektów dokumentacyjnych, m.in. bibliografii polskiej diaspory, do której zgromadził ponad 2000 pozycji, oraz szóstego tomu bibliografii czasopism polskich wydawanych za granicą. *Przeczuwam, że tego nie dokończę* – powiedział mi w rozmowie, jaką toczyliśmy w jego domu-pracowni w San Jose 26 lutego 1992 r. I dodał: *Wie pan, bibliografia to bardzo niebezpieczne zajęcie, bo jak się raz zacznie, to później bardzo trudno skończyć...*

Na temat Jana Kowalika pisali m.in. Maria Danilewicz Zielińska, Jan Szczepański, Małgorzata Szejnert, Zygmunt Lichniak, Rafał Habielski, Jerzy Piekarski i Róża Nowotarska, której artykuł w kontekście biograficznym zasługuje na szczególną uwagę³¹, ale w sumie jest to postać mało znana poza wąskim kręgiem specjalistów. Próbowałem przypomnieć krajowemu czytelnikowi o jego istnieniu, przygotowując w 1994 r. obszerny wybór wierszy Kowalika³², ale warto pamiętać, że sam autor za swe zasadnicze powołanie uważał pracę bibliograficzną, poezję uprawiając jakby na marginesie właściwych zajęć. Jego literacka spuścizna nie zasłużyłaby z pewnością na tak wysoką ocenę Wacława Iwaniuka, jaką uzyskała twórczość liryczna Jana Leszczy. Z drugiej strony trzeba uwzględnić oczekiwania publiczności czytającej, które trafnie scharakteryzował Czesław Miłosz, pisząc historię literatury polskiej przeznaczoną dla anglojęzycznych odbiorców:

*Mówi się, że poezja nie może istnieć w oderwaniu od rodzimej gleby i od codziennej mowy narodu; czy twierdzenie takie jest prawdziwe, czy nie, trzeba oceniać, przywołując liczne przykłady dawniejszych poetów, jak choćby tych z polskiej Wielkiej Emigracji. Podczas wojny poezja cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród żołnierzy (...). Później gust publiczności poza Polską zastępnym w swoim przywiązaniu do łatwego, lirycznego rytmu wierszy Skamandra, i poeci, zaspokajając to upodobanie, powtarzali tylko dawne schematy; w Polsce taką poezję uważano za przestarzałą*³³.

Powtórzę tu kilka swych uwag ze wstępu do *Wierszy wybranych* Kowalika. Znajdujemy w jego utworach zarówno odbicie indywidualnych doświadczeń autora, jak i zbiorowego losu polskiej diaspory. W dwóch pierwszych książkach, wydanych w Niemczech, szczególną uwagę zwracają utwory pisane piękną gwarą śląską (np. *Sikorka* czy *Myslim o matce przed spaniem* z tomu *Wiatr w gałęziach*). Wiersze z tamtego okresu są wyrazem gorzkich doświadczeń wojennych, dipisowskiej nostalgii i tęsknoty za ojczyzną, np. *Krajobraz powojenny*, interesujący głównie jako świadectwo stanu ducha, bo pod względem literackim powielający tonację i rekwizytornię młodopolskich liryków „końca wieku”. Lecz jest w nich także ciągle trwające zauroczenie światem, wartością przyjaźni i miłości, są liczne odniesienia do świata przyrody, czynione z pełnym zaufaniem do jej wiecznej witalności. Te

³¹ Róża Nowotarska: *Zapis w kalendarzu (o Janie Kowaliku)* (w:) *Wspomnienia, opowiadania, rozmowy, recenzje, przyczynki, szkice ze Świętym Jerzym w środku*. Chicago 2003, ss. 24-26.

³² Jan Kowalik: *Wiersze wybrane*, wyd. cyt.

³³ Czesław Miłosz: *Historia literatury polskiej*. Wydanie drugie uzupełnione. Przełożyła Maria Tarnowska, Znak, Kraków 2010, s. 598.

wątki i motywy powracają w książkach z lat osiemdziesiątych, uzupełnione o dojmującą świadomość przemijania. Ale nawet pobieżne spojrzenie na tę twórczość ujawnia, że jest ona dwudzielna: między wydaniem drugiego a trzeciego i czwartego tomu minęło 35 lat – okres, w którym zajęty pracą bibliograficzną autor bardzo rzadko wypowiadał się jako poeta.

Kowalik powraca do liryki zbiorem *U drzwi Twoich* (Paryż, 1983), gdzie oprócz wierszy nowych znajdujemy powtórzenia i skróty dawnych utworów. Jednocześnie w USA ukazuje się tom *Exsul familia*, należący już w całości do drugiej fazy twórczości. Krystalizuje się tu nowy krąg „amerykańskich” tematów i nowa perspektywa wynikająca z powiększenia przestrzeni dzielącej autora od kraju i większej odległości w czasie od wojennej apokalipsy. Przy tym, jeśli w tomach z lat czterdziestych widać było jeszcze fascynację twórczością Młodej Polski i Leśmiana, to w tych późnych czytelne jest większe dążenie do nowoczesności formy, wyrażające się m.in. w rezygnacji z regularnego metrum i w typie stosowanej metafory, która bywa bardziej dynamiczna czy aforystyczna, oparta na paradoksalnym spięciu znaczeń (co może nadal ma nieco wspólnego z Leśmianową tradycją, ale odbierana już przez doświadczenia liryki powojennej). W drugiej połowie lat osiemdziesiątych pisze Kowalik coraz więcej tekstów krótkich, aforystycznych właśnie, formułujących na nowo podstawowe prawdy egzystencjalne. Coraz więcej tu podsumowań, spojrzeń za siebie, prób „oswojenia” starości, choroby i śmierci.

*Od lat modłę się skrycie,
Aby pozostał po mnie
Jeden wiersz.
Czym go napisać:
Piórem?
Życiem?*

(z tomu *Zatrzymać czas*)

Paralele i okoliczności

Wspomniałem już, że podobny model biografii wyabstrahować można z losów tych żołnierzy emigrantów osiadłych w USA, którzy jako pisarze spełniali się w twórczości epickiej: Zygmunta Haupta i Danuty Mostwin³⁴, a także mniej znanego Pawła Łyska (1914-1978), profesora City University of New York, który opublikował dwa tomy wspomnień i cztery powieści³⁵ oparte na folklorze Beskidów, skąd – co ciekawe w kontekście rodowodu Leszczy i Kowalika – pochodziła jego rodzina (niektóre utwory napisał gwarą śląską). Bardzo podobnie ułożyło się życie poetów, o których była mowa przy okazji chicagowskich „żywych dzienników” i literackiej opieki Wierzyńskiego nad tym środowiskiem: Zbigniewa Chałko i Marka Gordona – obaj znaleźli się w USA w latach 1950-1951.

Jednak proces przystosowania do życia w USA przebiegał szybciej w przypadku prozaików osiadłych na wschodnim wybrzeżu, wolniej w przypadku poetów znajdujących oparcie głównie w licznej polskiej społeczności Chicago. Po pewnym czasie adaptacji Danuta Mostwin i Paweł Łysek zostali zatrudnieni w amerykańskich instytucjach akademickich, zaś Zygmunt Haupt znalazł pracę w sekcji polskiej radia Głos Ameryki. Natomiast poeci Zbigniew Chałko i Jan Leszcza, którzy nie zdecydowali się pisać w języku angielskim, musieli początkowo podjąć pracę fizyczną. Taką pracę wykonywał też Jan Kowalik, zanim dał się poznać jako bibliograf podejmujący zadania przekraczające polski horyzont etniczny.

³⁴ Więcej na ich temat w: B. Wróblewski, *Polish WW II Veteran Émigré Writers in the United States*, dz. cyt., ss. 192-194.

³⁵ *Przy granicy*, Londyn 1966; *Twarde żywobycie Jury Odcesty*, Londyn 1970; *Marynka, cera gajdosza*, Londyn 1973; *Jeno i jego zbójnicy kamraci*, Londyn 1977.



Jan Kowalik w domu, San Jose, lata 90. Z archiwum A. Lizakowskiego

Może zastanawiać, że wymienieni wcześniej prozaicy znaleźli swoje miejsce na wschodnim wybrzeżu USA, zaś poeci osiedli gdzie indziej – najczęściej, przynajmniej na początku, w Chicago. Być może powód był stosunkowo prosty (przypomnę tu hipotezę, którą wyartykułowałem we wspomnianym szkicu *Emigranci rocznik 20*): na wschodnim wybrzeżu istnieją liczniejsze niż gdzie indziej instytucje edukacyjne i naukowe uwzględniające w projektach badawczych i działalności dydaktycznej problematykę etniczną, przy której można wykorzystać potencjał i doświadczenie dobrze wykształconego nowego emigranta zdecydowanego na opanowanie języka angielskiego. Tam również częściej niż gdzie indziej spotyka się dwujęzyczne, amerykańsko-polskie media (czasopisma, rozgłośnie radiowe), z którymi można współpracować. Zaś poeci szukali oparcia niemal wyłącznie w polskim środowisku językowym (nb. konserwatywnym w swych gustach estetycznych, o czym pisał cytowany wcześniej Miłosz). Wystarczyły im media jednojęzyczne, polskie, bo przecież pisarz łatwiej zmienia język wypowiedzi narracyjnej niż lirycznej. Odpowiednie środowisko i media istniały w Chicago.

Jakkolwiek by było – lata 1950-1951 jako moment przyjazdu do USA stanowią wyraźną cezurę nie tylko w życiu, ale i w twórczości wspomnianych autorów. Znajdujemy tu interesujące potwierdzenie koncepcji Stanisława Beresia, który podejmując próbę periodyzacji literatury emigracyjnej 1945-1990, właśnie rok 1951 wskazuje jako otwarcie drugiego z trzech okresów w jej dziejach (trwającego do 1976 r.), pisząc, że jest to *okres w którym dochodzi do wyodrębnienia się podstawowych środowisk literackich oraz ukształtowania się emigracyjnych reguł życia artystycznego*³⁶.

Właśnie na ten czas przypada szczytowa fala polskich wychodźców³⁷ osiedlających się w USA – łączna do końca 1952 r. przybyło ich tam prawie 150 tysięcy, głównie dzięki tzw. DP Act (Displaced Persons Act of 1948), który wszedł w życie w czerwcu 1948 r.³⁸. Na mocy tej ustawy USA zobowiązały się przyjąć w ciągu 3 lat 205 tys. dipisów – obywateli państw Europy Środkowo-wschodniej, którzy przed końcem roku 1945 znaleźli się w Niemczech,

³⁶ Stanisław Beres: *Literatura emigracyjna (1945-1990). Zarys periodyzacji* (w:) *W kręgu twórczości pisarzy emigracyjnych. Studia i szkice*. Pod red. Zbigniewa Andresa, Rzeszów 1999, s. 24.

³⁷ W odniesieniu do emigrantów tej formacji określenie „wychodźca” nie budzi wątpliwości, które pojawiają się niekiedy, gdy rozważamy różne „modele” emigracji, czy po prostu różne motywacje osiedlenia się poza ojczyzną, i o których przejrzyście i błyskotliwie pisał tuż po roku 1989 Stanisław Barańczak w szkicu „*Emigracja*”: *co to znaczy?* (w:) *Między Polską a światem. Kultura emigracyjna po 1939 roku*. Pod red. Marty Fik, Wyd. Krag, Warszawa 1992, ss. 10-20.

³⁸ R. Habielski, dz. cyt., ss. 50-51.

Austrii i we Włoszech. Nie mogli z tej możliwości skorzystać Polacy, którzy nie mieli statusu „dipisa” lub nie należeli do najbliższej rodziny. Oto dlaczego Leszcza pragnie poślubić swą narzeczoną jeszcze przed wyjazdem do USA (list 8).

Obszerniejszych wyjaśnień wymagają okoliczności poprzedzające decyzje Leszczy i Kowalika o opuszczeniu Europy, a szczególnie atmosfera panująca wówczas w okupowanych Niemczech, której odzwierciedlenie znajdujemy w listach z lat 1948-1949. Niechęć ze strony miejscowej ludności musiała pogłębiać poczucie wyobcowania, a określenia kierowane pod adresem dipisów (i skwapliwie podchwytywane przez komunistyczną propagandę zachęcającą do powrotu do kraju) w rodzaju „nazarta hołota obozów koncentracyjnych, która nas wysysa i pragnie nami rządzić” uruchomiły skrajne emocje (list 5). Niemiecki historyk Andreas Lembeck w doskonałej książce poświęconej powojennej obecności Polaków w okręgu Emsland przy granicy holenderskiej, gdzie założono słynny Maczków (od nazwiska dowódcy 1 Dywizji Pancerniej) i gdzie znalazło schronienie wielu dipisów, pisze: *Niemców Niemców swoją zbiorową i indywidualną odpowiedzialność za zbrodnie państwa narodowosocjalistycznego próbowało zrelatywizować, porównując je z uciążliwościami i biedą, jakich sami lub ich rodacy doświadczyli w latach powojennych. Za takie „wspomnienia przesłaniające” krzywdy wyrządzone niemieckim i cudzoziemskim więźniom w emslandzkich obozach koncentracyjnych i ich okolicy (...) służyły wielu Emslandczykom „wypędzenie” z własnych domów i mieszkań oraz „przestępczość dipisowska”. Już w czasach tuż powojennych niejeden Emslandczyk odmawiał dipisom roli ofiar. (...) W 1995 roku wydawca „Spiegla” Rudolf Augstein we wstępie do wydania specjalnego poświęconego latom powojennym w Niemczech sformułował obiegową, jak się wydaje, jeszcze dzisiaj opinię – że dipisi byli ludźmi zdziczałymi, przed którymi alianccy żołnierze bronili Niemców (...)*³⁹.

Przez cały czas dipisi podlegali podwójnemu naciskowi: z jednej strony zachęcająca do powrotu propaganda rządu zainstalowanego w kraju przez Stalina (początkowo wspierana przez specjalnie utworzony aparat organizacyjny: przedstawicielstwa władz warszawskich oraz Misje Repatriacyjne), z drugiej strony działalność utworzonej w 1943 r. w Waszyngtonie UNRRA (United Nations Relief and Reconstruction Administration⁴⁰), organizacji wykonującej zalecenia ONZ, która w lutym 1947 r. podjęła uchwałę definiującą główne zadanie wobec wysiedleńców jako *zachęcenie ich i dopomożenie „we wszelki możliwy sposób” w szybkim powrocie do kraju pochodzenia*⁴¹. Niektóre, udokumentowane, działania UNRRA w niemieckiej strefie okupacyjnej mogą się wydawać szokujące przeciętnemu polskiemu czytelnikowi, który ze wspomnień lub opowieści zna wdzięczność żywności dla tej instytucji przez ludność cywilną spustoszonej przez wojnę Polski. Mam przed sobą opublikowane w 1948 r. opracowanie, bardzo starannie przygotowane i poprzedzone badaniami statystycznymi, zawierające dokładną analizę sytuacji ludności polskiej w Niemczech pod względem demograficznym, socjalnym, edukacyjnym, kulturalnym. Oto jedna z konkluzji:

Potem [od 1946 r. – przyp. B.W.] nastąpił jednak okres niesławnej pamięci nacisków repatriacyjnych U.N.R.R.A’y – szalona propaganda za powrotem; przerzucanie ludzi z obozu do obozu w coraz to gorsze warunki; ograniczenie przydziałów żywności; groźby represji w stosunku do tych, którzy odmawiali powrotu i ostre represje w stosunku do tych, którzy głośno podawali motywy, skłaniające ich do pozostania na obczyźnie (uznano to za zakazaną agitację antyrepatriacyjną); ograniczenie swobody poruszania się; zamykanie szkół, bibliotek i świetlic; niszczenie prasy uchodźczej i zakaz kolportażu pism z Za-

³⁹ Andreas Lembeck (współpraca Klaus Wessels): *Wyzwoleni ale nie wolni. Polskie miasto w okupowanych Niemczech*. Przełożyła Barbara Ostrowska, Świat Książki, Warszawa 2007, ss. 10-11.

⁴⁰ Zob. przypis 30 do listów.

⁴¹ R. Habielski, dz. cyt, s. 11.

chodu; lekceważący stosunek personelu U.N.R.R. Aż do D.P. (...) Skuteczność nacisków repatriacyjnych okazała się jednak ograniczona. Ponad 200 tysięcy Polaków przetrwało w Niemczech i Austrii falę terroru unrowskiego, co więcej przetrwali oni samo istnienie tej instytucji, która w pamięci Polaków zapisała obok pięknej karty pomocy materialnej dla zniszczonego kraju niechlubną kartę „opieki” nad uwolnionymi z niewoli hitlerowskiej Polakami⁴². W tej sytuacji możliwość skorzystania z postanowień DP Act stała się dla wielu Polaków najlepszą szansą wydostania się ze ślepego zaułka. Warto przy tym pamiętać, że osiedlenie tak dużej liczby emigrantów w USA nie byłoby możliwe bez pomocy powstałego w maju 1944 r. Kongresu Polonii Amerykańskiej, którego lobbing przyczynił się do sformułowania wspomnianych aktów prawnych. Polonia amerykańska w sposób planowy i zorganizowany pomagała przybyszom w znalezieniu mieszkania i pracy, udzielała pożyczek, finansowała przejazdy wewnątrz USA.

W listach Leszczy znajdujemy pewne informacje o drodze, jaką przebyć musiał wychodźca, zanim rozpoczął w miarę stabilne życie za oceanem. Uzupełnieniem i komentarzem może być reportażowa wypowiedź adresata listów oraz wspomnienie jednego z przyjaciół – przywoływanego już wcześniej Marka Gordona. Pierwszy z fragmentów niech będzie nieco dłuższy, bo dobrze ukazuje koloryt tamtego czasu i miejsca:

*Emigracja dipisowska w Niemczech ruszyła z kopyta. Żelazną miotłą wy-
miata się bez pardonu wszystkich maruderów, czekających, niezdecydowanych,
chorych i od dawna zapomnianych.*

*Przekonałem się o tem na własnej skórze. Przeszło jedenaście miesięcy
czekałem na wyjazd do USA tracąc w miarę czekania: na wadze, nadzieję,
cierpliwość, wreszcie poczucie humoru. Aż tu nagle, akurat kiedy z panią
Grypą leżałem w łóżku, zjawił się u mnie policjant irowski z ITS, i oznajmił
mi w sobotę po południu, że w poniedziałek rano zjawić się mam w Butzbachu
przed komisją lekarską. (...)*

*Fakt, że o Butzbachu mówi się w tej chwili w Australii i na Alasce, w We-
nezueli, Nowym Jorku, w Ottawie i Adis-Abebie nie uderzył bynajmniej But-
zbaszanom do głowy. Przeciwnie, w dalszym ciągu boczą się i klną (między
sobą) na koszernych i trefnych „Auslaendrów”, którzy splekawszy europejską
gorzyc amerykańską nadzieją, wojennymi okrzykami zakłócają nieraz uroczy
sen ich miasteczka.*

*Nie przeszkadza im to z drugiej strony, w myśl sędziwej zasady „pecunia non
olet” ciągnąc z tych „barbarzyńców” wcale pokaźne zyski. Wystarczy przejść
się główną ulicą miasta, aby stwierdzić, że handel tego grodu wykazuje zdu-
miewające zdolności dostosowania się do koniunktury: co krok napotykamy
w oknach wystawowych sterty walizek, aparatów fotograficznych, porcelany,
biżuterii i zegarków. (...)*

*Po przejściu pierwszej komisji lekarskiej taśma procedury podjeżdża z tobą
przed drugą komisją lekarską, tzw. amerykańską, to znaczy lekarze są tam
niemieccy, tylko że urzędują w imieniu amerykańskiej medycyny. Badanie,
które tu przechodzisz, nie ma już nic wspólnego z gimnastyką, odczytywaniem
hieroglifów i próbą krwi; trwa krótko, jest dokładne, rzeczowe i... decydujące.*

*Po wyrwaniu się z objęć Eskulapa stajesz się niespostrzeżenie wielocyfrowym
numerem, który powoli, poprzez niezliczone biurka, progi, maszyny do pisania
i powielania toczy się w stronę Ameryki. Dipis-biała karta pokrywa się coraz
bardziej pieczętkami, cyframi, datami i klauzulami. Jego kieszenie puchną od
stosów dowodów, kontraktów, formularzy, ostrzeżeń i zobowiązań. (...)*

*Ceremonia kończy się kilkakrotną przysięgą, i wreszcie człowiek jest wolny –
wolnością bielizny, która co dopiero wyszła z magła, i wolnością wygniezionej*

⁴² Polacy w Niemczech. Społeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech w Londynie Delegatura na Niemcy, [Londyn] 1948, ss. 4-5.

cytryny. Optymiści próbują blade uśmiechać się. Powiadam blade, bo pełną gębą jeszcze nie można, gdyż do odjazdu jeszcze daleko⁴³.

A oto jak Marek Gordon opisuje samą podróż i amerykańskie powitanie: *Amerykanie używali wojskowych transportowców „Liberty”, które zabierały około tysiąca osób w warunkach prawdziwie obozowych. Piętrowe prycze, żadnych kabin. Znaleźliśmy się w porcie Bremen, gdzie takich jak nas były setki i tysiące. Byli tam Węgrzy, Żydzi, Polacy. Płynęliśmy 10 dni, z tego 6 w czasie sztormu. Górne pokłady były zamknięte. Ludzie przez cały czas chorowali. Były oczywiście konflikty narodowościowe: jak zwykle – Ukraińcy, Żydzi, Polacy. Wydawaliśmy znów gazetkę okrętową, mam wciąż jeszcze jej egzemplarze w swoich archiwach. Przybyliśmy w końcu do portu w Nowym Jorku. Wzruszającym momentem było wynurzenie się Statuy Wolności. (...) Schodziliśmy po trapie, kiedy zobaczyliśmy dwie starsze panie w strojach krakowskich, które z akcentem amerykańskim wygłosiły formułkę: „Witaj Rodaku na wolnej ziemi Washingtona”²⁴⁴.*

Uwagi edytorskie

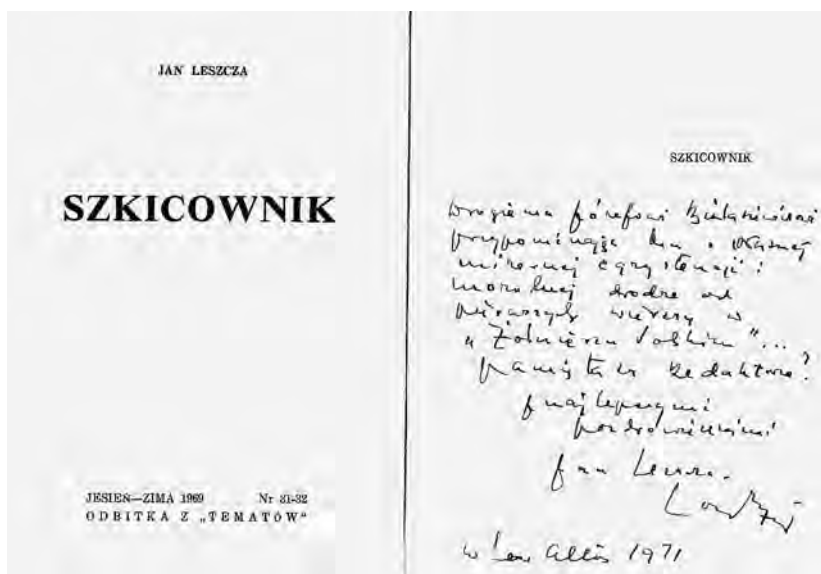
Leszcza umieścił w nagłówku pierwszego listu tylko datę dzienną, nie podając roku. Teoretycznie kontakt między pisarzami mógłby mieć miejsce już w 1946 r., ale wiosną tego roku Leszcza przebywał jeszcze w Regensburgu (Ratyzbonie), a list napisany jest już z Monachium, więc zdecydowanie bardziej prawdopodobny jest rok 1947. Przy okazji trafiamy jednak na interesujący, choć w istocie drobny problem. Otóż w liście tym mowa o wierszach Kowalika w „Kronice”. Tymczasem – jeśli wierzyć opracowanej przez Kowalika wielkiej *Bibliografii czasopism polskich wydanych poza granicami kraju od września 1939 r.* (Lublin 1976) – pierwszy numer tygodnika „Kronika” (redagowanego przez Klaudiusza Hrabyka i Józefa Białasiewicza) ukazał się 21 grudnia 1947 r., a więc prawie 8 miesięcy później niż datowany jest ten list. Czy w *Bibliografii czasopism...* powinien być Kowalik przy „Kronice” umieścić datę 1946, a nie 1947? Owszem, Kowalik się pomylił i ten błędny rok 1947 zamiast 1946 powtarza również mechanicznie w broszurze *Prasa polska w Niemczech w latach 1945-1971* (Toronto 1976), chociaż w dalszej części akapitu można – czytając uważnie – wykryć niekonsekwencje. Przy tym Rafał Habielski podając biogram Hrabyka w książce *Życie społeczne i kulturalne emigracji* (wyd. cyt., s. 333) wskazuje na redagowanie przez niego „Kroniki” w latach 1946(!)-1949. Przypuszczalną pomyłkę Kowalika potwierdzić można zaglądając do zbiorów czasopiśmienniczych, np. w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL, gdzie zachowały się (wprawdzie niekompletne) roczniki „Kroniki”. Drobnych błędów nie uniknąłby jednak nawet cały sztab ludzi, a co dopiero jeden człowiek podejmujący tak wielkie zadanie bibliograficzne.

Opracowanie listów odpowiada podstawowym standardom omówionym we wspomnianej książce Łukasza Garbala⁴⁵. W zapisie listów wprowadzono polskie znaki diakrytyczne. Leszcza, zarówno w Niemczech, jak i na początku pobytu w USA, posługuje się maszynami do pisania nieposiadającymi polskich czcionek i na ogół (wyjątkiem jest np. list publikowany tutaj jako trzeci) nie dokonuje później odręcznej korekty. Na szczęście właściwa postać graficzna słów w zdecydowanej większości wątpliwych przypadków wynika z kontekstu – wydaje się, że autor – być może na skutek przyzwyczajenia – zaczyna w pewnym momencie odruchowo dbać o taki kontekst. Polskie czcionki w maszynopisie pojawiają się dopiero późną jesienią 1951 r., po

⁴³ Jan Kowalik: *Butzbach – Brama nadziei*, „Ostatnie Wiadomości”, Mannheim, 1950 nr 40, s. 3. Pod nazwiskiem autora wydrukowano nazwę miejscowości: Bremen-Grohn. Prawdopodobnie Kowalik pisał ten reportaż niedługo przed tym, zanim odpłynął z Bremy do USA.

⁴⁴ *Tulacze losy Marka Gordona* (w:) Wojciech A. Wierzewski, dz. cyt., ss. 239-240.

⁴⁵ Łukasz Garbal, dz. cyt., w szczególności rozdział *Edycje korespondencji*, ss. 295-313.



Dedykacja na zbiorze wierszy Jana Leszczy *Szkicownik: Drogiemu Józefowi Białasiewiczowi, przypominając Mu o naszej mizernej egzystencji i mozolnej drodze od pierwszych wierszy w „Żołnierzu Polskim”... Pamiętasz Redaktorze? Z najlepszymi pozdrowieniami Jan Leszcza – Londzin, w Los Altos 1971.*

kilku miesiącach od przyjazdu do USA – na takiej maszynie został napisany ostatni z prezentowanych tu listów.

Interpunkcja stosowana przez Leszczę jest dość specyficzna. Często nie wprowadzał przecinków tam, gdzie powinny być się znaleźć, zaś niekiedy wstawiał je w miejscach, w których są całkowicie zbędne. Poprawek dokonywałem jednak tylko wówczas, gdy pozostawienie błędnej wersji mogłoby utrudniać zrozumienie tekstu.

Zachowałem pewną archaiczną formę wyrażenia przyimkowych oraz partykuł „nie” i „by”, poprawiając tylko formy rażąco błędne z dzisiejszego punktu widzenia (np. „na prawdę”, „narazie”, „z tamtąd”, „czytałem nie dawno Reymonta”, „nie źle pomyślane”).

Nad nagłówkami niektórych listów pojawiają się wpisane na maszynie oznaczenia literowo-cyfrowe (np. L 13/47), które nie pochodzą od archiwisty, lecz prawdopodobnie są śladem po próbach porządkowania korespondencji przez autora lub przez odbiorcę (trwa to do listopada 1948 r.).

Dla uzyskania większej przejrzystości tekstu cytaty i tytuły utworów literackich wyróżniono kursywą (zachowując jednocześnie cudzysłowy tam, gdzie wstawił je autor). Kursywą oznaczono również dopiski odręczne poczynione na maszynopisie, bowiem są one nieliczne i występują wyłącznie w takich kontekstach, że nie ma możliwości pomylenia ich z tytułami. Wszystkie podkreślenia i wyróżnienia spacją pochodzą od autora listów.

Na koniec pragnę serdecznie podziękować osobom, które przyczyniły się do powstania tej publikacji, w szczególności doktorowi Wojciechowi Zalewskiemu, który jako kurator zbiorów słowiańskich w Stanford pomógł mi odnaleźć właściwe ścieżki w tamtejszych archiwach, doktorowi Wojciechowi Białasiewiczowi, który służył mi pomocą w Chicago i dziś wspiera radą z rodzinnego Zwierzyńca, a także profesorowi Jerzemu Święchowi, którego cennym uwagom wiele zawdzięczam.

Bogusław Wróblewski

Emigracyjna odyseja w listach

(opracowanie, przypisy i komentarze:
Bogusław Wróblewski)

[1]

Londzin Wiktor
psudo lit. Jan Leszcza

Monachium 29.4.b.r. [1947]¹

Szanowny Panie!

Proszę mi się nie dziwić, że piszę do Pana. Wprawdzie nie znamy się i nic nas właściwie ze sobą nie wiąże – tzn. nic nas na razie nie wiąże, jeśli by wziąć pod uwagę okoliczności, w których następuje zapoznanie się ludzi zupełnie sobie obcych. Mam tu na myśli formy towarzyskie. A jednak, gdy przyjrzeć się bliżej rodzajowi tych wszystkich „za”... to nie będzie się Pan specjalnie dziwił. Chciałbym je tu po kolei wymienić, aby uzasadnić Panu, że list ten piszę po doświadczeniu, że raczej nic nie stoi na przeszkodzie, jeśli się odezwę.

O kolejność przy wyliczaniu nie będę dbał. Poszereguję je tak, jak mi się nasuwają na myśl. Bezsprzecznie duży plus to jest moim zdaniem fakt, że jesteśmy Ślązakami. Pan, jak miałem możliwość zorientować się z dyskusji polemicznej o Wala², a następnie, gdy przeczytałem w świątecznym Nr. Kroniki³ o skoczowskim Judoszu – jest najprawdopodobniej Skoczowianinem, czyli jak się to mówiło – Cieszyniakiem. No, a ja też. Jestem z bielskiego. Mam kolegów szkolnych ze Skoczowa, n.p. Jurczyńskiego, albo Pawłowskiego. Jurczyński, rosły chłopak, dziś już młody mężczyzna, Pawłowski, mały, syn policjanta. Z Pawłowskim służyłem w 38. w podchorążówce przy 4 PSP w Cieszynie.

Dalej. Zwróciłem uwagę na nazwisko Pańskie już po ukazaniu się pierwszych Pańskich wierszy w Kronice. Zainteresowałem się też – polemiką o Wa-

¹ Kwestię datowania pierwszego listu omawiam w artykule wstępnym.

² Wala²? Bliższych informacji na temat tej postaci nie udało się odnaleźć.

³ „Kronika. Niezależny Tygodnik Demokratyczny” – czasopismo wydawane w okresie 21.12.1946 – 8.05.1949 we Frankfurcie nad Menem, redagowane przez Klaudiusza Hrabyka (1946-1947) i Józefa Białasiewicza (1948-1949). Wydawcą pisma był Jerzy Ponikiewski. Jan Kowalik nazywa „Kronikę” *najpopularniejszym piśmie rzesz „Dipisowskich” w Niemczech i najczęściej, obok quakenbrueckowskiej „Informacji Prasowej” cytowanym regionalnym wydawnictwem polskiej diaspory*. Kowalik podkreśla, że na łamach „Kroniki” uprawiano odważną publicystykę polityczną, pismo prowadziło dział poświęcony literaturze i sztuce (redagowany później przez pewien czas przez Jana Leszcę), przynosiło wyczerpujące przeglądy z życia Polaków w Niemczech, wiadomości z kraju, dział poszukiwań oraz – co było wówczas niezwykle – dział sprawozdań z politycznego czasopiśmiennictwa niemieckiego. (Jan Kowalik: *Prasa polska w Niemczech w latach 1945-1971*, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Toronto, 1976, s. 8; zob. także Jan Kowalik: *Bibliografia czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku*, KUL, Lublin 1976, t. 2, s. 56 – w obu publikacjach początkowa data wydawania „Kroniki” zawiera błąd – jest „1947”, a powinno być „1946”; że jest to pomyłka raczej mechaniczna, można się zorientować, czytając uważnie dalszy ciąg odpowiedniego akapitu w broszurze *Prasa polska...*).

lacha, lecz z listem do redakcji Kroniki wystąpiłem za późno, a mianowicie po odpowiedzi Szeptyckiego⁴ i jego obronie przez Podoskiego⁵. I właśnie to było bodźcem napisania listu. Pan Hrabyk⁶ listu nie wydrukował, tłumacząc mi, że nie chce przeciągać w nieskończoność mało ważnej polemiki. Stałem tam częściowo po Pańskiej stronie, chociaż w pewnym miejscu, aby dać Panu Szeptyckiemu do zrozumienia, ażeby nie zabierał się do spraw poezji, na której rozumie się tylko tyle – czy mu się p o d o b a czy nie – zaatakować (choć źle to określiłem) musiałem Pański wiersz p.t. *Las* (pierwszy z drukowanych). Wiersz mi się podoba, bezsprzecznie! (to samo co p. Szeptyckiemu) z tą różnicą, że podszedłem do niego jako (też) piszący, no i w tym wypadku – półkrytyk. P. Szeptycki napisał, że „w skądinąd świetnym wierszu o lesie nie powiedział (Pan) nic o rzeczach, które (p. Szeptyckiego) interesują bliżej”. Otóż już to... czy to nie jest naiwne? Zaś wiersz „*Las wieczorem*” jest naprawdę świetny, ale jest w nim jedno... ale, które nie każdy zauważy, kto czyta pobieżnie, i kto się poezją nie zajmuje w tym stopniu – powiedzmy – co my. Aby nie być gołosłownym. Mam na myśli ostatni dwuwiersz. Od słów... „Wysoko...” U Pana księżyc, wieczna lampa, żarzy się w starego dęba ołtarzu... Doskonale Pana rozumiem. Wiersz powstał, żeby tak powiedzieć – prawdopodobnie – pod wrażeniem, kontrolowany on jest – rozumem, ale to, co się nazywa natchnieniem (wyświechtane, zużyte słowo!) było mocniejsze. Dlatego wiersz jest i równy i spokojny. Ale do rzeczy. Na skutek powyżej wymienionych „też poetyckich” nastąpiło niedopatrzenie w czasie pisania wiersza. Wieczna lampa żarzy się przecież przed ołtarzem... Można zaryzykować i takie przemiejscowienie, jak to ma miejsce u Pana. Ale w każdym wypadku jest to miejsce, moim zdaniem, co do którego można się sprzeczać.

Chciałbym wiedzieć, co Pan o tym myśli...

No i proszę mi nie brać za złe.

Że się ośmieliłem zabrać głos w powyższej sprawie – i powracając do przyczyn dla których piszę list – powód jeszcze ten, że w czasie wiadomego Panu zjazdu Koła Organizacyjnego P.P.⁷ czytane były prace piszących kolegów, m.in. p. Jura Stena⁸, Pańskie wiersze i moje. Frekwencja była marna.

⁴ Jerzy Szeptycki – dziennikarz wspomniany przez Kowalika jako jeden z redaktorów działu kulturalnego w „Kronice” (w numerze z 9.11.1947 znajdujemy jego interesujące omówienie debiutanckiego zbioru wierszy Jana Kowalika *Ścieżka przez Steinatal*), a także jako jeden z autorów miesięcznika „Salamandra” wydawanego od października 1946 pod auspicjami Pierwszej Polskiej Dywizji Pancerniej w Quakenbrück w brytyjskiej strefie okupacyjnej (J. Kowalik, *Prasa polska...*, wyd. cyt., s. 8 i 12). Sporo uwagi poświęca „Salamandrze” Jerzy Święch w klasycznym już opracowaniu *Literatura polska w latach II wojny światowej*, PWN, Warszawa 1997, ss. 341-342.

⁵ Wiktor Podoski – dziennikarz wymieniony przez Kowalika jako jeden z redaktorów działu kulturalnego w „Kronice” (J. Kowalik, *Prasa polska...*, wyd. cyt., s. 8).

⁶ Klaudiusz Hrabyk (1902-1989), w tym czasie redaktor naczelny frankfurckiej „Kroniki”. Dziennikarz, publicysta, działacz Narodowej Demokracji, w 1934 przeszedł do obozu rządzącego, 1937-1939 zastępca redaktora naczelnego „Kuriera Porannego”. Podczas okupacji jeden z przywódców Obozu Polski Walczącej i redaktor jego czasopism, żołnierz ZWZ-AK. Od 1945 w Niemczech (prezes Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech), od 1949 w USA, gdzie redagował m.in. pismo „Sprawa Polska” (1951-1953). Po 1956 opowiadał się za rewizją stosunku emigracji do PRL, w 1959 powrócił do Polski. W latach 1959-1970 redaktor naczelny Krajowej Agencji Informacyjnej przeznaczony dla prasy polonijnej, publikował także pod pseudonimami na emigracji; przeciwnik emigracji o charakterze politycznym. (Rafał Habielski: *Życie społeczne i kulturalne emigracji*. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999, s. 333).

⁷ Pisarzy Polskich.

⁸ Jerzy Jur-Sten – to nazwisko (obok Jana Leszczy i Róży Nowotarskiej) wymienia Kowalik wśród „narybku literacko-dziennikarskiego dipisów” skupionego wokół „Dziennika Polskiego” wydawanego w Regensburgu od maja 1945 do września 1946. (J. Kowalik: *Prasa polska...*, wyd. cyt., s. 6).

Natomiast plusem zebrania była obecność red. Lechtolda⁹, który, jak się zorientowałam, krytycznie (nie złośliwie) i w bardzo duże wiadomości wyposażony – oceniał trafnie i prozę i wiersze. P. Jur zna się na prozie, laikiem jest natomiast, gdy chodzi o poezję. W każdym wypadku ma wycucie dla poezji i wie, gdzie się znajduje, a gdzie nie. Mieliśmy i owszem sporo prac autorów, którzy mianują się poetami – ale to wszystko. P. Lechtold wyraził się o Panu w ten sposób. (W przybliżeniu.) Pan K. jest poetą. Duże czytanie i kultura poetycka. Wiersze miejscami nierówne. Stwarza umiejętnie efekty poetyckie, lecz je psuje. (Moje. Przesłał Pan wiersze opracowane śmieiej niż te które drukuje Kronika). Chodziło o pewne miejsca. Szuka jeszcze wciąż własnej drogi. Silne echa skamandryckie.

Otrzyma Pan w tej sprawie odpowiedź od p. Jura. Dowiedziałem się też, że zamierza Pan wydać swoje wiersze drukiem. Słusznie. Dobrej poezji jest mało. Chciałbym się tu podzielić z Panem wiadomościami o ostatnich wydarzeniach literackich w postaci publikacji poetyckich biblioteki Kameiny w Hanowerze. Doszedłem do przekonania, że zalewa ją tandeta. Tylko Ubysz¹⁰ i Niemojowski¹¹ to dojrzały poeci, Lurczyński¹² dopiero ostatnio

⁹ Chodzi najprawdopodobniej o Stanisława Lechtolda. Wątpliwości związane z tym nazwiskiem nie mają zasadniczego znaczenia, ale są wymowną ilustracją problemów, jakie napotyka badacz życia literackiego polskiej diaspory w tamtym okresie. W opracowanej przez Kowalika *Bibliografii czasopism polskich wydanych poza granicami Kraju od września 1939 roku* (t. 1-4, KUL, Lublin 1976, suplement 1988) występuje Stanisław Lechtold jako redaktor „Biuletynu Wieczoru Prasy Polskiej” (Karlsruhe/Darmstadt; 1947) a także Stanisław Lechtold jako redaktor tygodnika „Przegląd Literacki” (m.in. Stuttgart-Darmstadt-Karlsruhe; 1947-1948), ale – co gorsza – również Witold Lechtold jako redaktor „Tygodnika Obozowego” (Karlsruhe, 1945-1946), który później przekształcony został w „Mysł Demokratyczną”. Tu jednak jako redaktor figuruje w *Bibliografii...* Stanisław Lechtold. Ponadto w broszurze *Prasa polska w Niemczech...* (wyd. cyt.) Kowalik wspomina Witolda Lechtolda w Stuttgarcie jako redaktora tegoż „Przeglądu Literackiego”, który miał być przecież – według wspomnianej *Bibliografii...* – redagowany przez Stanisława Lechtolda. Nie tylko dwie wersje nazwiska, ale i dwa różne imiona...

¹⁰ Mieczysław Ubysz, 1915-1970, pseud. Vik, poeta. Absolwent prawa i nauk społecznych na Uniwersytecie Stefana Batorego. W 1938 pracował w Rozgłośni Polskiego Radia w Wilnie jako spiker. We wrześniu 1939 walczył jako ochotnik w obronie Warszawy. Po kapitulacji przebywał w Krakowie, potem przeniósł się do Warszawy, gdzie dowodził patrolem megafonowym Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, a później jako spiker współtworzył powstańczą radiostację „Błyskawica”. Wywieziony do stalagu w Zeithen. Wydał w Northheim tomik pt. *Czas wirujący* (1945), a w Hanowerze *Krew* (1946) – to właśnie o tej książce wypowiada się Leszcza. Jerzy Świąć, omawiając jego twórczość wojenną, określa go jako „drugiego pod względem znaczenia poetę powstańczej Warszawy” (J. Świąć, dz. cyt., ss. 173-174). Kowalik wspomina o nim jako o redaktorze dwutygodnika „Świetlica Kompanii Wartowniczej” wydawanego w Mannheim do lutego 1947 (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 3, s. 221). W tym samym roku wrócił do Polski. (Bolesław Klimaszewski, Ewa R. Nowakowska, Wojciech Wyskiel: *Mały słownik pisarzy polskich na obczyźnie 1939 – 1980*. Warszawa 1992, s. 328. Źródło to w dalszych przypisach będę oznaczał skróttem MSPPnO).

¹¹ Jerzy Niemojowski (wł. Jerzy Kłosowski Niemojowski), 1918-1989, poeta, eseista, tłumacz. Pochodził z Nowego Sącza, gdzie uzyskał maturę w 1937. W latach 1937-1939 studiował prawo na UJ. Ochotnik w kampanii wrześniowej, uczestnik ruchu oporu, aresztowany w 1943, więziony w obozach Heidelager, Sachsenhausen, Sangerhausen. Do 1947 przebywał w brytyjskiej strefie okupacyjnej, później wyjechał do Anglii, gdzie zamieszkał na stałe (studiował ekonomię, pracował jako urzędnik transportu brytyjskiego). Nakładem Polskiego Związku Wychodźstwa Przymusowego w Hanowerze ukazał się w 1946 nie tylko jego *Najkosztowniejszy poemat*, o którym z uznaniem wspomina Leszcza, ale także *Zmartwychwstanie zabitych*. *Nivola* (opowiadanie) oraz *Wyszywane orlami*. *Dramat w 3 aktach wierszem*, o którym obszerniej pisze Jerzy Świąć (dz. cyt., ss. 451-452). W Anglii ogłosił kilka zbiorów wierszy, publikował również w wydawnictwach krajowych („Czytelnik”, Wydawnictwo Literackie). Drukował w najważniejszych pismach emigracyjnych i w kilku czasopismach krajowych („Poezja”, „Twórczość”, „Życie Literackie”). (Por. *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*. *Słownik biobibliograficzny*. Oprac. zespół pod red. Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szalagan. t. 6, Warszawa 1999, ss. 53-55; MSPPnO, ss. 246-247 – tutaj błędnie wskazano miejsce pobytu Niemojowskiego jako amerykańską strefę okupacyjną).

¹² Mieczysław Lurczyński (pseud. Jan Kozłowski, Władysław Szreniawa), 1907-1992; poeta,

zaczął pisać trochę na poziomie. (Kronika – *Hoplita*). Lurczyński wypuścił już – bodajże 10 tomików wierszy, poematów i jakąś sztukę poetycką. Płodność to straszna rzecz. Otóż ze wspomnianych nowości są to *Ubysza Krew*, wiersze, Niemojowskiego *Najkosztowniejszy poemat*, poświęcony pamięci poety Zdzisława Wróblewskiego, który zmarł w Gusen. Rzecz b. ciekawa, eksperymentująca, wymagająca miejscami uwagi przy czytaniu. Dziewięciozgłoskowiec. Dalej. *Sonety* Lurczyńskiego. Wszystkie słabsze od *Hoplity*. Kozłowskiego¹³ *Wiersze związane*, (próbka):

Lampa, 1 zwrotka.

Nie zgaszona nie wygaśniesz

Lampko, co w owy wieczórnoc

Płomieniem tliłaś po niewczacie

Światłem złocistym w ciemność brnąc. itd.

(Jest to młodopolszczyzna w złym wydaniu) i jeszcze Kozłowskiego *Tancerka* (lepiej), *Kirke* i napuszona w stylu nowela z czasów okupacji niem. *Anioł i Bonifacjusz*, lepsza w każdym razie od wierszy. Władysław Szreniawa¹⁴ *Romans warszawski*, nowela (słaba, niepotrzebny barok słowny i kliwie). Reszta wznowienia. Norwid. Natomiast doskonała rzecz Z. J. Zaleskiego¹⁵ *Drogi i bezdroża biografii*, felieton naukowy, literacki.

Udało mi się dostać wiersze p. Kaczkowskiego, które był Pan przesłał p. Jurowi. Dziś nie będę pisał na ich temat. Jednym słowem. U nas, w strefie amerykańskiej – drukować ciężko. Warunki są, nie ma forsy i licencji, chociaż te ostatnie to jeszcze nie jest ta zasadnicza przeszkoda...

Z adresu Pańskiego korzystam, jak Pan widzi, chociaż dosyć długo zwlekałem. Przesłał mi go p. Białasiewicz¹⁶, którego znam (nie osobiście) z okresu

prozaik, dramaturg, tłumacz, artysta malarz. Studiował w Warszawie nauki polityczne i kształcił się malarzko. Jako poeta zadebiutował w „Kamieniu” 1936 nr 2. Aresztowany w Warszawie (1943), przebywał w obozach na Majdanku, w Buchenwaldzie i Hecht. Po wyzwoleniu był w Hanowerze współzałożycielem – jak to określa Kowalik – „placówki wydawniczej” Związku Wychodźstwa Przymusowego, gdzie ukazywały się (przeważnie pod pseudonimami) jego książki. Osiedł (1949) w Paryżu. Drukował w najważniejszych pismach emigracyjnych, wystawiał we francuskich galeriach. Opublikował kilkanaście tomów wierszy i prozy, a także utwory dramatyczne i szereg tłumaczeń. (*Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii* pod red. Kazimierza Dopierały, t. 3, Toruń 2004, ss. 190-191. Zob. także J. Święch, dz. cyt., ss. 450-451, gdzie sztuka Lurczyńskiego *Alte Garde*, ogłoszona drukiem dopiero w 1970, określona została jako jedno z najbardziej wymownych świadectw epoki obozów koncentracyjnych).

¹³ Jan Kozłowski – pseudonim Mieczysława Lurczyńskiego (zob. poprzedni przypis).

¹⁴ Władysław Szreniawa – pseudonim Mieczysława Lurczyńskiego (zob. przypis 12).

¹⁵ Zaleski Lubicz Zygmunt, 1882-1967, historyk literatury, poeta, publicysta. Studiował w Warszawie i w Paryżu, doktoryzował się na UJ. Po wybuchu wojny przedostał się do Francji, w Grenoble działał w Towarzystwie Opieki nad Polakami we Francji, brał udział we francuskim ruchu oporu. W 1942, po wkroczeniu Niemców do „wolnej strefy”, został aresztowany i osadzony w obozie. Po wojnie pozostał we Francji. Publikował po polsku (w wydawnictwach międzywojennych i emigracyjnych) i po francusku. (MSPPnO, ss. 358-360).

¹⁶ Józef Białasiewicz, 1912-1986, jeden z najwybitniejszych dziennikarzy i publicystów emigracyjnych, twórca i redaktor czasopism polskich w okupowanych Niemczech i w USA. Urodził się w Zwierzyńcu na Roztoczu, w Zamościu zrobił maturę (1930), po czym wyjechał do Warszawy na studia prawnicze. W czasie studiów podjął pracę w „Gazecie Warszawskiej”, współpracował też z tygodnikiem „Szczerbiec”. Od 1938 był kierownikiem działu zagranicznego w „Kurierze Porannym”. W czasie wojny redagował periodyki konspiracyjne („Przegląd Polityczny”, „Państwo Polskie”, „Agencja Polski Walczącej”). W marcu 1943 osadzony na Pawiaku, wywieziony do Oświęcimia, w styczniu 1945 ewakuowany do obozu we Flossenburgu, w kwietniu uwolniony przez Amerykanów. W bawarskim Stamsried rozpoczął wydawanie pisma „Wiadomości Polskie”; później – po wyjeździe do obozu w Langwasser koło Norymbergi redagował (określany przez Kowalika jako „znakomity”) periodyk „Pismo Żołnierza”. W grudniu 1946 przeniósł się do Eppstein k. Frankfurtu, gdzie wzmocnił zespół dziennikarski „Kroniki”, zostając później jej naczelnym redaktorem.

Monachium 29.4. b. r.

Szanowny Panie!

Proszę mi się nie dziwić, że piszę do Pana. Wprawdzie nie znamy się i nic nas łączyło ze sobą wczoraj - t. zn. nic nas na razie nie łączy, jeśli by wziąć pod uwagę okoliczności, w których następuje zapoznanie się ludzi zupełnie sobie obcych. Mam tu na myśli formy towarzyskie. A jednak, gdy przyjrząc się bliżej rodzajowi tych wariantów... to nie będzie się Pan specjalnie dziwił. Chciałbym je tu po kolei wymienić, aby ukazać Panu, że list ten piszę po doświadczeniu, że chociaż nie raz nie stoisz na przeszkodzie, jeśli się odezwę.

O kolejność przy wyliczaniu nie będę dbał. Poszczególne je tak, jak mi się nasuwają na myśl. Bezprzeznaczenie duszy ^{plukęto} jest moim zdaniem fakt, że jesteśmy Ślązakami. Pan, jak miałem możność zorientować się z dyskusji polemicznej o Wulacha, a następnie, gdy przeczytałem w *Świątecznym Nr.* *Mam kolegów szkolnych ze Skoczowa, n. p. Jurczynskiego, albo Pawłowskiego.* Kro niki o skoczowskim Judaszu - jest najprawdopodobniej Skoczowianinem, czyli jak się to mówiło - Cieszyńszczykiem. No, a ja też. Jestem z Bielskiego. Mam kolegów szkolnych ze Skoczowa, n. p. Jurczynskiego, albo Pawłowskiego. Jurczynski, rośli chłopak, dziś już młody mężczyzna, Pawłowski, młody, sym Polijanta. Z Pawłowskim siałysiem w 38. w podchorążowie przy 4 PSP w Cieszyńsku.

Dalej, zwróciłem uwagę na nazwisko Panakie już po ukazaniu się pierwszych Panakich wierszy w *Kronice*. Zainteresowałem się też - polemika o Wulacha, lecz z listem do redakcji *Kroniki* wystąpiłem za pozno, a mianowicie po odpowiedzi Szeptyckiego i jego obronie przez Podostkiego. I właśnie to było bodźcem napisania listu. Pan wrabyk listu nie wydrukował, tłumacząc mi, że nie chce przedpisać w nieskonczoność mało ważnej polemiki. Stałem tam oświeceniowo po Panakiej stronie, chociaż w pierwszym miesiącu aby dać Panu Szeptyckiemu do zrozumienia, żeby nie zabierał się do spraw poezji, na której rozumie się tylko tyle - czy mu się p o d o b a czy nie - zaatakować, (choćby się to okrył) musiałem Panaki wiersz p. t. *Las* (pierwszy z drukowanych). Wiersz mi się podoba, bezprzeznaczenie! (to samo co p. Szeptyckiemu) z tą różnicą, że podszedłem do niego jako (też) piszący, no i w tym wypadku - pol-krytyk. P. Szeptycki napisał, że "w skądinąd świątecznym wierszu o lesie nie powiedział (Pan) nic o rzeczach, które (p. Szeptyckiego) interesują bliżej". Otóż już to... czy to nie jest najniższe wiersz "Las wieczorem" jest na prawdę świąteczny, ale jest w nim jedno... ale, którego nie każdy zauważy, kto czyta pobieżnie, i kto się poezji nie zajmuje w tym stopniu - powiedzmy - co my. Aby nie być połosłowny. Mam na myśli ostatni dwuwiersz. Od słów... "Wysoko..." U Pana, kiedyś, wieczna lampa zarzy się w starego deba oltaru... Dosko - nale Pana rozumie. Wiersz powstał, żeby tak powiedzieć - prawdopodobnie - pod wrażeniem; kontrolowany on jest - rozumem, ale to, co się nazywa natychmiastem (wysięczone, wszystkie słowa) było mocniej jasz. Dlatego wiersz jest i równy i spokojny. Ale do rzeczy. Na skutek rozmów wymienionych "tekstów" nastąpiło niedopatrznie w czasie pisania wiersza. Wiesz, wieczna lampa zarzy się przed oltarzem... Można zarzykować i takie przemiejacowienie, jak to ma miejsce u Pana. Ale w każdym wypadku jest to miejsce moim zdaniem, co do którego można się sprzeczać.

Chciałbym wiedzieć, co Pan o tym myśli...

No i proszę mi nie brać za złe.

Ze się ośmieliłem zabrać głos w powyższej sprawie - i powracając do przyczyn dia, których piszę list - parod jeszcze ten, że w czasie wiadomego Panu zjazdu Koła Organizacyjnego P.P. czytane były prace piszących kolegów, m. l. p. Jura Stena, Panakie wiersze i moje. Prezentacja była marna. Natomiast pluszem zebrała obecność red. Lechtolda, który, jak się

działalności Pisma Żołnierza, drukowałem tam przeważnie wiersze, napisałem też do P.Ż. o Zegadłowiczu, dowiedziawszy się o Jego przedśmiertnych perypetiach¹⁷. Śp. Zegadłowicza znałem osobiście.

Pan Białasiewicz zapowiadał zjazd pisarzy Kroniki i chciał mnie również nań zaprosić. Na razie o tym cicho. Zmuszony jestem w końcu – napisać. Widzi Pan. Brak ludzi piszących, a zwłaszcza poetów, brak wymiany myśli, brak dyskusji – daje się odczuwać. Nie wszystko można samemu skontrolować. Trzeba drugich. Każdy z nas w pewnym stopniu cierpi na autosugestię. Selekcja zaś wierszy przez Kronikę jest pro tych, którzy piszą jak zwykli pisać wychowankowie szkoły neoklasycznej z Hemarem¹⁸ na czele. A więc z Iżakową, Lechoń, Wierzyński, chociaż Wierzyński jest za śmiały, raczej Wittlin, Baliński, Kiersnowski¹⁹, gdy chodzi o młodszych. Poszukiwaczy Kronika nie lubi. Nie znosi autentystów, awangardy, żagarystów, jednym słowem poezji młodszych szkół poetyckich Polski przedwojennej. Musi być strofka, rym, cezura et c.

Bardzo proszę, o ile Panu czas na to pozwoli – odpisać.

Którzy poeci Panu najwięcej odpowiadają? (Emigracyjni i krajowi). Pozwolę sobie przesłać coś z moich prac (nowszych) do przedyskutowania... Gdybym się narzucał, proszę mi to otwarcie dać do zrozumienia. Ot, tak po śląsku... po naszymu... otwarcie i szczerze.

Kończąc – życzę Panu dalszej pomyślności w pracy literackiej.

Z głębokim poważaniem

jl Londzin

Był też prezesem Syndykatu Dziennikarzy Polskich, zyskując wdzięczność miejscowej społeczności dziennikarskiej wyrażoną w specjalnej uchwale z 1 października 1949 podjętej po jego wyjeździe do USA. Osiedł w Chicago, gdzie początkowo pracował fizycznie, jednocześnie włączył się energicznie w życie Polonii, m.in. organizując z grupą piszących przyjaciół tzw. żywe dzienniki. Od stycznia 1951 znalazł zatrudnienie w „Dzienniku Chicagowskim” – po siedmiu latach został redaktorem naczelnym tej gazety i kierował nią aż do likwidacji przez wydawcę w 1971. Był w tym czasie m.in. wiceprezesem Związku Dziennikarzy Polsko-Amerykańskich i przewodniczącym Komisji Prasy Polskiej Kongresu Polonii Amerykańskiej. Założył korporację, która przez ponad pięć lat wydawała tygodnik „Polonia” (1971-1976), zlikwidowany wobec rozdrobnienia i wewnętrznych sporów społeczności polskiej. Obszerne artykuły na temat Józefa Białasiewicza, pióra Władysława Kucharskiego, ukazał się w „Akcentach” 1993 nr 1-2.

¹⁷ Emil Zegadłowicz zmarł 24 lutego 1941 i został pochowany na cmentarzu w Sosnowcu. W listopadzie 1940 leczył się w sosnowieckim szpitalu, a na początku lutego trafił na krótko do szpitala w Będzinie. Przed śmiercią zanotował w dzienniku: „Jako człowiek, jako socjalista – zostałem obrażony, zdradzony przez Kreml”. (Dyskusja na ten temat – zob. m.in. www.super-nowa.pl/art.php?i=2386&p=0&cn=5424).

¹⁸ Nie opatruję przypisami powszechnie znanych nazwisk z kręgu skamandryckiego, ale warto zaznaczyć, że w momencie, gdy Leszcza pisał te słowa, wszyscy wymienieni przez niego poeci przebywali poza krajem. Stanisław Baliński po zakończeniu pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rządu RP na uchodźstwie zamieszkał w Londynie, gdzie Marian Hemar (mający w biografii żołnierską kartę w Brygadzie Karpackiej) prowadził teatr kabaretowy, a Jan Lechoń, Józef Wittlin i Kazimierz Wierzyński w Nowym Jorku, gdzie m.in. redagowali „Tygodnik Polski”. Wszyscy oni pozostali na emigracji na stałe. Natomiast Kazimiera Iżakowiczówna w 1947 wróciła do Polski z Siedmiogrodu, gdzie się ewakuowała w 1939.

¹⁹ Ryszard Kiersnowski (pseud. Ryszard Pobóg), 1912-1977, poeta, komediopisarz, współpracownik przedwojennego Polskiego Radia. Pierwsze lata wojny spędził w Wilnie, w 1941 udało mu się wyjechać do Kanady, a później do Wlk. Brytanii – jako korespondent wojenny brał udział w kampanii belgijskiej i holenderskiej. Po wojnie osiadł w Londynie i podjął pracę w BBC (od 1947), publikował w wydawnictwach i prasie emigracyjnej. (Por. *Współcześni polscy pisarze...*, wyd. cyt., t. 4, Warszawa 1996, ss. 117-119).

Polski Klub Literacki
Sekretariat: München 27
Wasserburgerstr. 10

Monachium 12.10.47 r.

L 13/47²⁰

WP! Jan Kowalik
Steinatal

Kochany Janie!

Dnia 17 i 18 bm.²¹ odbyło się w Monachium zebranie Zarządu PKLu²², z udziałem p. Horskiego Jarosława²³, przew. Komisji Rewizyjnej. Omówiliśmy wiele spraw, nawiązując do spraw poruszanych na Zjeździe w Eppstein. Postanowiliśmy po każdorazowym zebraniu Zarządu wysyłać do członków komunikat o powziętych uchwałach Zarządu.

Komunikat będzie powielany. Rozesłania 1 komunikatu podjął się Jerzy Jur Sten, który rozporządza w Regensburgu powielaczem. Komunikat otrzymasz. Z uwagi na to, pomijam treść rozmów i powziętych uchwał.

Chciałbym Ci zakomunikować w sprawie nowych zgłoszeń. Wczoraj wpłynął do Sekretariatu list p. mgr Podolaka–Pietrzykowskiego²⁴, z Monachium 19. Hohenlohe str. 77/1. Rozmawiałem z nim telefonicznie. Powołał się na p. Lechtolda, od którego otrzymał zaproszenie na Zjazd, „jako publicysty gospodarczego”. Píše: „Będąc w tym czasie w sprawach służbowych w Kafertalu (KOM.WART!)²⁵ na Zjeździe tym uczestniczyć nie mogłem”.

²⁰ W nagłówkach kilku listów widnieją oznaczenia, które z pewnością nie są późniejszymi adnotacjami archiwisty – mogą pochodzić od samego autora, który zostawiał sobie kopie większości listów. „13” oznacza zapewne numer kolejny, a „47” – rok. Możliwe także – choć czcionka maszyny do pisania w tych adnotacjach wydaje się identyczna jak w treści listów – że „porządkujące” dopiski zrobione zostały na maszynie przez adresata. Litera „L” byłaby wówczas skrótowym oznaczeniem nazwiska nadawcy.

²¹ Chodzi raczej o miesiąc ubiegły, mniej prawdopodobne jest, że Leszcza antydatowała list.

²² Polskiego Klubu Literackiego. O działaniach organizacyjnych, które doprowadziły do jego powstania, wspomina Leszcza w poprzednim liście.

²³ Jarosław Horski – jeden z redaktorów działu kulturalnego w „Kronice” (zob. przypis 3).

²⁴ Rezygnuję z poszukiwania danych na temat osób piszących lub aspirujących do statusu pisarza, jeśli pierwsza kwerenda pokazuje, że nie odegrały one nawet śladowej roli w życiu literackim polskiej diaspory.

²⁵ Kom. Wart. – skrót od Kompania Wartownicza. Polskie kompanie wartownicze, tworzone przy amerykańskich wojskach okupacyjnych w Niemczech oraz we Francji i Belgii, istniały od maja 1945. Formowano je z byłych żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej NSZ, byłych więźniów niemieckich obozów jenieckich i koncentracyjnych, przymusowych robotników w III Rzeszy i uciekinierów z kraju. Kompanie pełniły służbę przy ochronie obiektów wojskowych, magazynów, składów, portów, obozów i więzień dla niemieckich przestępców wojennych, uczestniczyły w budowie nowych obiektów wojskowych i w pracach transportowych. Ich stan liczebny zwiększał się, osiągając na początku 1946 ok. 40 tys. żołnierzy. W dalszych latach ich liczebność dość szybko spadała, redukcję wstrzymała jednak sowiecka blokada Berlina w 1948. Żołnierze Polskich Oddziałów Wartowniczych uzbrojeni byli w lekką broń, a umundurowani w ufarbowane na czarno amerykańskie mundury wojskowe z polskimi orzełkami i naszywkami „Poland”. Na czele kompanii wartowniczych stał płk Franciszek Sobolty, ale faktycznie podlegały one amerykańskim władzom okupacyjnym, a nie Rządowi RP na uchodźstwie. Ich kwatera główna znajdowała się w Heidelbergu. W Polskich Oddziałach Wartowniczych prowadzono również działania oświatowo-kulturalne, takie jak nauka języka angielskiego (od 1948 obowiązkowa), specjalistyczne kursy zawodowe (np. na kierowców i mechaników samochodowych, rzemieślników różnych branż), zajęcia sportowe, działalność wydawnicza (pismo pt. „Ostatnie Wiadomości”). Wsparciu działań oświatowych i kulturalnych oraz pomocy społecznej służył założony z inicjatywy płk. Sobolty Fundusz Społeczny, na który wartownicy przeznaczali 2% swoich

Z rozmowy telefonicznej wynika, że p. Podolak nie posiada żadnych materiałów literackich, które mógłby przekazać na Twój adres, do oceny. Sprawę p. Podolaka chcę przekazać do rozstrzygnięcia Zarządu, z tym, że poinformuję o tym przed czasem p. Laskowskiego²⁶ i p. Stena. Wyślę do niego ponadto list, z prośbą o podanie nam informacji o jego dotychczasowej działalności publicystycznej i jeszcze raz zażądam materiałów dla celów zakwalifikowania. O rezultacie powiadomię Cię pisemnie.

Drugą osobą, która zgłasza chęci przystąpienia do Klubu, jest kol. student Zdzisław Marek²⁷ z Monachium, piszący na łamach Studenta²⁸ (poezja i felieton). Kol. Marek podjął się współpracy z Przeglądem Literackim²⁹, tak, że do pewnego stopnia będzie miał możliwość zapoznania się z jego twórczością p. Laskowski. Po otrzymaniu materiałów, prześlę je Tobie do zakwalifikowania.

Kochany Janku! A teraz już mniej „służbowym” tonem. Dochodzę do przekonania, że jesteś zapracowany. Wierz mi, u mnie to samo. Nosilem się już od paru dni z zamiarem napisania do Ciebie, ale zawsze jakoś zeszło to, i dopiero dziś zdobywam się na kilka słów. Co do naszego zebrania... Jak się to mówi – „rozmowy toczyły się w atmosferze zaufania et c.”, skrapialiśmy mocno gardła... wódką. I było cholernie miło. Laskowski to przemiły i koleżeński człowiek, nie można go nie lubić. Przywiózł ze sobą 1 numer Przeglądu. Było sporo na ten temat gadania. 1 Nr jest słaby, przyznał to sam Laskowski. Nie rozumiem tylko dlaczego puścił takie bzdury i świństwka na 5 stronie. Wiedz, że p. Bystrzyński Leszek to Lechtold. DP Express³⁰ jest

dochodów. W Käfertal koło Mannheim istniało od 1946 Centrum Szkoleniowe Polskich Kompanii Wartowniczych im. T. Kościuszki. Przeszkolono tam 133 kompanie – łącznie ponad 40 tys. wartowników. Polskie kompanie wartownicze funkcjonowały ponad 22 lata i były wyróżniającym się środowiskiem polskiej emigracji. Pod koniec lat 50. jednostki były przekształcane w Oddziały Służby Technicznej i w tej postaci funkcjonowały do 1967. (Wojciech Jerzy Muszyński: *Polskie serce pod obcym mundurem*, „Niezależna Gazeta Polska. Dodatek specjalny IPN z 2 listopada 2007 r.”; R. Habielski, dz. cyt., ss. 70-71; Wojciech Zaleski: *Spoleczność wartownicza*, „Kultura” 1950 nr 10; Marian E. Rojek: *O dorobku społecznym, życiu i ofiarności na cele publiczne Polskich Oddziałów Wartowniczych w Niemczech*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, 13.06.1951). Zob. także list z 23.7.1949 i przypis 75.

²⁶ Janusz Laskowski, 1908-1975, w czasie wojny w Wielkiej Brytanii, pracował w tajnej radiostacji „Świt” i jako korespondent wojenny; Jerzy Święch przypomina go jako redaktora wydawanego w Szkocji przez 1. Brygadę Strzelców od grudnia 1940 pisma „Odwet” i członka Zespołu Literackiego „Odwet”. Uczestniczył w procesie norymberskim jako polski korespondent prasowy, po wojnie osiadł we Francji, pracował w sekcji polskiej Radio France Internationale, drukował m.in. w „Kulturze” i londyńskich „Wiadomościach” (MSPPnO, s. 194; J. Święch, dz. cyt., s. 302).

²⁷ Zdzisław Marek – ur. 1923, poeta, autor kilku zbiorów wierszy wydanych przez londyńską Oficynę Poetów i Malarzy. Do 1949 studiował medycynę w Monachium, później wyjechał do Australii, gdzie dokończył studia medyczne. Ostatecznie osiadł w Tasmanii (od 1964). (MSPPnO, s. 223; więcej w *Encyklopedii polskiej emigracji*, wyd. cyt., s. 253).

²⁸ „Student Polski na Obczyźnie” – miesięcznik wydawany w Monachium od kwietnia 1947 do marca 1949, początkowo z pod tytułem „Wydawnictwo Bratniej Pomocy Studentów Polskich w Strefie Amerykańskiej”, a od numeru 5 (wrzesień 1947) „Wydawnictwo Związku Studentów Polskich w Strefie Amerykańskiej” (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 3, s. 208).

²⁹ *Ośrodek Stuttgart podjął ambitną, słabszą niestety w wykonaniu, próbę wydawania pierwszego w strefie amerykańskiej pisma literackiego. Nosilo ono tytuł „Przegląd Literacki” i redagowane było kolejno przez Witolda Lechtolda [zob. przypis 9] oraz Janusza Laskowskiego. „Przegląd Literacki” zwalczany był w niewybredny sposób przez krajową „Odrę” [zob. przypis 61] w anonimowych artykułach pióra Zdzisława Hierowskiego – pisze Jan Kowalik w *Prasie polskiej w Niemczech...* (dz. cyt., s. 9). Pismo oznaczone było jako tygodnik, wydawany nieregularnie przez rok, począwszy od 28 lipca 1947 (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 3, s. 120).*

³⁰ „D.P. Express” – wielojęzyczny tygodnik przeznaczony dla dipisów różnych narodowości redagowany w okresie 7.07.1945 – 12.12.1947 przez Jerzego Szwedego (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 1, s. 132). Pismo licencjonowane było przez UNRRA [United Nations Relief and Reconstruction Administration], organizację utworzoną w 1943 w Waszyngtonie przez Narody Zjednoczone (określenie stosowane w odniesieniu do aliantów jeszcze w czasie wojny, przed powstaniem ONZ) w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie

oburzony. Chciano już wlepić Przeglądowi co tylko wejdzie. Powstrzymał ich od tego p. Horski, który był osobiście u red. Szwedego³¹. Prosił o to Laskowski, doszedł ponadto do przekonania, że „twórczość” p. Lechtolda musi być przykrócona i poddana rewizji. Jestem zdania, że o ile 2, względnie 3 Nr miałby mieć ten sam poziom co pierwszy, Przegląd zbankrutuje³².

Jasiu! Co u Ciebie?... Jak podoba Ci się recenzja Twojej „Ścieżki”³³ w Przeglądzie? Króciutka, ale miła. Do Studenta o Ścieżce napisze kol. Marek, ponieważ zainteresował się Twoimi wierszami. Marek to bardzo miły człowiek, traktuje życie i pracę poważnie. Studiuje medycynę, z tym że głównym jego fachem jest psychologia która – jego zdaniem – będzie mu potrzebna dla dalszej twórczości literackiej. Marka uważam za b. zdolnego i sumiennego człowieka. Znam jego wiersze, nawet te które przesłał do Przeglądu. Uważam je za dobre i jestem przekonany o tym, że red. Laskowski będzie je drukował.

Ukazał się kilka dni temu 1 numer niemieckiego czasopisma studenckiego w Monachium. Numer ten załączam do listu.

Jasiu! zebrało się u mnie sporo prasy monachijskiej, mianowicie chodzi tu o Süddeutsche Zeitung i Münchener Mittag. O ile masz zainteresowania co do wymienionych pism, wyślę je pocztą. Proszę o odpowiedź.

Jak żyjesz? Jak zdrowie? Jak dojechałeś z Monachium do Steinatal. Jak ze sercem? Czy dużo piszesz? Domyślam się, że tak? Czy posłałeś już wiersze do Przeglądu. Laskowski wspominał mi o tym, że ma zamiar dać w 3 nr Przeglądu wiersze tutejszych autorów, chodzi mu bardzo o to, ażeby zaprezentować przede wszystkim Klub i chciałby między innymi widzieć Twoje wiersze.

Spędziłem z Laskowskim kilka godzin na przerzucaniu moich wierszydeł, zabrał ze sobą kilka sztuk. Między innymi wiersz o Beskidzie. Ten drugi, który Tobie się podobał (o emigrantach), jemu nie bardzo. Każdy ma inny gust. Stara historia.

Jeśli chodzi o mnie, zważyło się na mnie kupa roboty. Nie wiem nawet, czy zdołam dać coś do świątecznego numeru Kroniki i do numeru noworoczne-

i Azji po zakończeniu II wojny światowej. Ok 70% świadczeń na rzecz UNRRA pochodziło z USA. Organizację rozwinęto w 1947.

³¹ Jerzy Szwede, 1913-1997, księgarz i bibliofil, jedna z bardziej interesujących i zasłużonych postaci polskiej emigracji, która nie doczekała się poważniejszego opracowania w wydawnictwach encyklopedycznych. Więziony w Oświęcimiu i Dachau, po wyzwoleniu zamieszkał w Monachium, gdzie był redaktorem tygodnika „D.P.Express” (zob. poprzedni przypis). Tam poznał Irenę Fedorenko (córkę Czeszki i ukraińskiego przedsiębiorcy zamordowanego przez Niemców), z którą się ożenił. W 1948 młode małżeństwo wyemigrowało do Nowego Jorku, a następnie do Los Angeles – tu Irena podjęła studia na Uniwersytecie Kalifornijskim. W 1959 osiedlili się w Palo Alto, gdzie otworzyli Szwede Galery. W latach 1963-1979 firma pod nazwą Szwede Slavic Books prowadziła działalność wyłącznie wysyłkową – z domu. Irena Szwede zrezygnowała z pracy naukowej (wcześniej obroniła doktorat o Stanisławie Przybyszewskim na Stanford University) i wraz z Jerzym uruchomili w 1979 w Palo Alto stacjonarną księgarnię, która – podobnie jak dom państwa Szwede – stała się miejscem spotkań intelektualistów rosyjskich, polskich i czeskich. Po śmierci Jerzego i w zmieniającej się sytuacji rynkowej po roku 2000 księgarnia podupadła i ostatecznie uległa likwidacji w maju 2010. Szwede Slavic Books wniosła ogromny wkład w kulturę polską w Ameryce, w tym w budowę dużych zbiorów piśmiennictwa polskiego na prawie wszystkich znaczących uniwersytetach amerykańskich. (Wojciech Zalewski: *Podzwonne dla Szwede Slavic Books*, „Przegląd Polski”, dodatek „Nowego Dziennika”, Nowy Jork, 16.7.2010).

³² We frankfurckiej „Kronice” z 9.11.1947 pisano: *Ukazał się nowy, trzeci numer tygodnika „Przegląd Literacki”. Z prawdziwą radością można stwierdzić, że pismo to rozwija się, osiągając coraz wyższy poziom, co wszystkich, którzy rozumieją doniosłość życia kulturalnego polskiej emigracji, napawa szczerym zadowoleniem. (...) Godne podkreślenia jest pojawienie się w tym numerze nowych autorów (Horski, Leszcza, Irving i Gordon), którzy zaprezentowali duże talenty i możliwości pisarskie. Zatem obawy Leszczy nie potwierdziły się, w każdym razie – nie od razu.*

³³ Chodzi o tom *Ścieżka przez Steinatal* (Monachium 1947), debiutancki zbiór wierszy Kowalika. Jako wydawcę podano Koło Organizacyjne Związku Pisarzy Polskich w Niemczech.

go, chyba najwyżej kilka wierszy. Podejmę się prawdopodobnie z kol. Markiem pracy, która będzie polegała na napisaniu kilku wierszy i opowiadań do Kalendarza, który ma być wypuszczony jeszcze przed świętami. Otrzymałem jeszcze inną propozycję. Jest ktoś, kto chciałby wydać moje wiersze. Zaproponowałem mu zamiast wierszy coś bardziej rentownego, mianowicie opowiadania (prozę). Muszę się zabrać rzetelnie do pracy, przepisać tych kilka nowelek względnie opowiadań i napisać jeszcze 1 albo 2 ażeby dokończyć do mniej więcej 100 lub 120 stron druku. Projektowane jest wydawnictwo książkowe³⁴. Chodzi mi w głównej mierze o to, ażeby ukazało się w druku to wszystko, co już zdążyłem napisać terminując jako prozaik, no i nie mniej ważną rolę gra tu aspekt... kieszeniowy. Trzeba żyć...

Z prasy niewiele się zarobi. Widzę że Hrabycy zrezygnował z literatury, ostatnio nawet ze sztuki. Kronika przekształca się powoli w pismo polityczno-społeczne. Przegląd jest ubogi. Laskowski przeznaczą na numer 1000 marek honorarium, co nie jest zbyt dużo. Wątpię, czy da za wiersz 50 marek. Lech³⁵ nie płaci, przynajmniej mnie nie zapłacił. Cóż więc zostało?... Chcemy rozkręcić Studenta, ażeby stamtąd coś nie coś... Zobaczymy. Jestem ciekaw Twoich prac, które ukażą się w Kronice. Ma to być o ile się nie mylę artykuł o Klubie.

Jur ma trudności w drukarni. Jego powieść miałyby już dawno znaleźć się na rynku. To samo z Torami³⁶.

Jasiu! To byłoby właściwie wszystko. Na dyskusję literacką nie mam specjalnie czasu. Mam jeszcze sporo rzeczy do odwalenia. Sprawozdanie ze Zjazdu, parę listów, nawet pozamiejscowych, tzn. Londyn. No i trzeba mi pisać.

Napisz – w miarę możliwości. Donieś co nowego.

Ściska Cię mocno i pozdrawia

Twój

Jasio z Leszczykowa

Wybacz, że nie zrobiłem polskich znaków!

³⁴ Ostatecznie nic z tego projektu wydawniczego nie wyszło.

³⁵ „Lech. Tygodnik Polski” wydawany w Monachium od 5.08.1947 do 20.02.1949 (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 2, s. 75.). *Grupa dziennikarzy Stronnictwa Narodowego pod kierunkiem J. F. Procha i J. Klukowskiego wydaje tygodnik „Lech”* – pisze Kowalik w broszurze *Prasa polska w Niemczech...* (dz. cyt., s. 5).

³⁶ „Tory. Notatnik literacki” – w sierpniu 1947 ukazał się tylko jeden numer zamierzonego periodyku pod redakcją Jerzego Szulca i Jana Leszczy. Jako wydawcę Kowalik podaje „Związek Pisarzy Polskich w Niemczech, Koło Organizacyjne [w Monachium]” (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 4, s. 29).

Polski Klub Literacki
Sekretariat München 27
Wasserburgestr. 10

M. 28.10.47

L.23/47

WPan
Jan Kowalik
Steinatal

Kochany Janie!

Otrzymaliśmy list od p. Samczuka z podziękowaniem za dostarczenie mu komunikatu z naszego Zjazdu, a następnie w kilka dni potem wpłynęło zaproszenie na zjazd Pisarzy Ukraińskich (MUR)³⁷. Podam Ci w krótkości treść zaproszenia, bo może będziesz miał zamiar wziąć w nim udział.

Zjazd odbędzie się 5, 6go listopada w M a i n z, w obozie ukraińskim, Koszary (W oryginale – Kastel. Tekst zaproszenia w języku ukr. Druk)

W porządku dziennym omówienie twórczości dramatycznej pisarzy ukraińskich i odczytanie wyjątków z ich dzieł.

Z literaturą ukraińską zaznajomić można się w ukraińskim muzeum–archiwum, w Augsburgu, C o m e Kaserhe.

Zebrań rozpoczyna się o godz. 10-tej, 5 listopada. Zarząd MURu prosi gości i członków, ażeby przyjeżdżać najpóźniej 4-go listopada wieczorem.

W sprawie tej rozpisałem list do Kolegów, nawołując do wzięcia udziału w zjeździe. Z uwagi na bliskość terminu zjazdu proszę o zatelegrafowanie mi o gotowości wyjazdu do Mainz, ażebym mógł wysłać zaproszenie. Byłoby istotnie pożądanym, ażeby wysłać delegata. Nie mogę jednak obarczyć tym obowiązkiem nikogo z kolegów i zdany jestem wyłącznie na ich dobrą wolę.

Kochany Janie, wydaje mi się, że Tobie stamtąd łatwiej dojechać niż nam. Gdyby Ci dopisywało zdrowie i czas na to pozwolił, przyznam Ci się, że Ty jako wielce reprezentatywna J e d n o s t k a byłbyś tam na miejscu. Mógłbyś pojechać nawet bez zaproszenia, ponieważ zna cię p. Samczuk.

Przesyłam Ci też w załączeniu formularz PRZ, z prośbą o natychmiastowe wypełnienie i odesłanie na adres Polskiej Rady Zawodowej w R e g e n s - b u r g u, Brunnleite 7/III Stock. Rejestracja ta związana jest z pewnymi możliwościami emigracyjnymi. Czyli ważne. Wypełnić po ang. Formularze otrzymałem od Jurka Stena.

Czy otrzymałeś mój list? (einschr)³⁸

Nad czym pracujesz, że milczysz tak uparcie? Czy może zdrowie Ci nie dopisuje? Nie gniewaj się, że forma mojego listu jest zbyt oschła, ale spieszę się i mam huk pracy.

³⁷ Warto wiedzieć, że sytuacja dipisów ukraińskich była (przynajmniej do wiosny 1947 r.) szczególnie trudna. Np. Brytyjczycy nie uznawali istnienia osobnej narodowości ukraińskiej. Tych Ukraińców, którzy przed wrześniem 1939 r. mieszkali na terenie Polski zagarniętym przez ZSRR, władze sowieckie w myśl postanowień jałtańskich uważały za swych obywateli, a tym, którzy mieszkali na zachód od obecnej polskiej granicy, groziła przymusowa „repatriacja” do ZSRR w ramach akcji przesiedleńczej prowadzonej przez władze komunistyczne. Żeby się przed tym uchronić wielu Ukraińców podawało polską narodowość. (Zob. Andreas Lembeck: Wyzwoleni ale nie wolni. Polskie miasto w okupowanych Niemczech. Przeł. Barbara Ostrowska, Świat Książki, Warszawa 2007, ss. 164-165).

³⁸ Skrót od niem. Einschreibesendung – przesyłka polecona.

Czy otrzymałeś może materiały kwalifikacyjne od p. Bielskiego J e r z e - g o ³⁹ i p. Burskiego Anatola⁴⁰? Posyłam im w tej sprawie drugą z kolei notatkę. Jeśli nie nadeślą do następnego zebrania Zarządu, sprawę tę poruszę.

Jak Ci wiadomo z Komunikatu (z drugiego posiedzenia Zarządu⁴¹ w Monachium) następne posiedzenie odbędzie się we Falkensteinie u Jurka. Twoja obecność jest konieczna z uwagi na ocenę materiałów, przeznaczonych do wieczoru Lit. Wieczór Lit. ma odbyć się początkiem grudnia w Monachium. Możliwości dla Ingolstadtu przedstawiają się nie najkorzystniej, doniosłem już o tym p. Laskowskiemu.

W Kronice wyczytałem, że nowela Jura Stena, pt. *Powieść bez tytułu*, tłumaczona będzie na język grecki. Jest to sukces indywidualny Jurka i sukces Klubu.

Kochany Janie! W oczekiwaniu na wiadomości
życzę Ci zdrowia i pozdrawiam serdecznie

Twój Jan

[4]

Polski Klub Literacki
Sekretariat München 27
Wasserburgestr. 10

M. 4.11.47

L 38/47

WPan
Jan Kowalik
Steinatal
Ref. Kwal.

Kochany, Drogi Janie!

Dziękuję Ci z całego serca za dwa piękne listy (25.10 br i 30.10 br). Nie odpisałem na pierwszy, ponieważ nie mogę pozbiierać się z czasem. Jestem

³⁹ Nazwisko „Bielski” (bez imienia) wymienia Kowalik wśród „zawodowych dziennikarzy”, którzy w marcu 1946 założyli *pierwszą na terenie okupacji amerykańskiej „Agencję Prasową” typu publicystycznego* (J. Kowalik, *Prasa polska w Niemczech...*, wyd. cyt., s. 5). Na tej samej stronie wspomina Jerzego Bielskiego jako „przedwojennego dziennikarza”, współpracownika Jerzego Szwedego wydającego gazetę „D.P. Express” (zob. przypis 30). W wykazie oficerów Brygady Świętokrzyskiej sporządzonym przez Fundację Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego (utworzoną z inicjatywy rektora UJ oraz władz wojewódzkich i miejskich Krakowa) znajdujemy Jerzego Bielskiego (ur. 1906) z adnotacją „od 24 X 1945 jako oficer do specjalnych zleceń w grupie mjr. Aleksandra”. W *Bibliografii...* Kowalika (wyd. cyt., t. 3, s. 81) nazwisko Jerzy Bielski pojawia się później wśród członków komitetu redakcyjnego miesięcznika „Polonia” wydawanego w Sydney w latach 1965-1967.

⁴⁰ Anatol Burski – oto odnalezione przeze mnie ślady bibliograficzne (bez gwarancji, że chodzi o tego samego autora): *Polsko-angielski przewodnik po Polsce. Guide of Poland. Polish and English*. Oprac. Anatol Burski, Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Turystyczne „Universal”, Warszawa-Poznań-Kraków [b.r., po 1928]; Burski Anatol: *Marszałek Edward Śmigły-Rydz*, 1939; Burski Anatol: *Co wiedzieć powinien Kierowca?* Wydawnictwo „Tola”, Hohenfels, 1947 (według: *Bibliografia druków polskich w amerykańskiej strefie okupacji Niemiec, 29.IV.1945-1.II.1947*. Opracował Jerzy Klukowski. Zrzeszenie Wydawców i Księgarzy Polskich Zagranicą. Wydano nakładem „Słowa Polskiego”. Dachau-Freiman-Monachium-Dillingen, 1947).

⁴¹ Zob. początek poprzedniego listu.

M. 28. 10. 47

1. 23/47

W Pan

Jan K o w a l i k
Steinatal

Kochany Janie!

Otrzymałem list od p. Samozuka z podziękowaniem za dostarczenie mu komunikatu z naszego Zjazdu, a następnie w kilka dni potem wpłynęło zaproszenie na zjazd Pisarzy Ukraińskich (MUR). P. Samozuk Ci w krótkości treść zaproszenia, bo może będziesz miał zamiar wziąć w nim udział.

Zjazd odbędzie się 5, 6 - go listopada w M a i n z, w obozie ukraińskim, Kossary (W oryginale - Kastel. Tekst zaproszenia w języku ukr. Druk)

Na porządku dziennym omówienie twórczości dramatycznej pisarzy ukraińskich i odczytanie wyjątków z ich dzieł.

Z literatura ukraińska zaznajomić można się w ukraińskim muzeum - archiwum, w Augsburgu, C o m e Kaserbe.

Zebrańie rozpoczyna się o godz. 10- tej, 5 listopada. Zarząd MURu prosi gości i członków, ażeby przyjeżdżać najpóźniej 4 go listopada wieczorem.

W sprawie tej napisałem list do Kolegów, nawołując do wzięcia udziału z uwagą na bliskość terminu zjazdu prosząc o natychmiastowe mi o gotowości wyjazdu do Maina, ażeby mogli wysłać zaproszenie. Byłoby istotnie ~~pożądany~~, ażeby wysłać delegata. Nie mogę jednak obarczyć tym obowiązkiem nikogo z kolegów i zdany jestem wyłącznie na ich dobrą wolę.

Kochany Janie, wydaje mi się, że Tobie z taką łatwością dojechać niż nam. Gdyby Ci dopisywało zdrowie i czas na to pozwolił, przyznam Ci się, że Ty jako wielce reprezentatywna J e d n o s t k a, byłbyś tam na miejscu. Mogłobyś pojechać nawet bez zaproszenia, ponieważ zna cię p. Samozuk.

Przesyłam Ci też w załączeniu formularz PEZ, z prośbą o natychmiastowe wypełnienie i odesłanie na adres Polskiej Rady Zawodowej w R e g e n s b u r g u, Brunnelite 7/III Stok. Rejestracja ta związana jest z pewnymi możliwościami emigracyjnymi. Czyli ważne. Wypełnić po ang. Formularze otrzymałem od Jurka Stena.

Czy otrzymałeś mój list? (einschr)

Nad czym pracujesz, że milczysz tak uparcie? Czy może zdrowie Ci nie dopisuje? Nie gniewaj się, że forma mojego listu jest zbyt ochyła, ale spieszą się i mam huk pracy.

Czy otrzymałeś moje materiały kwalifikacyjne od p. Bielskiego J e r z e g o i p. Burskiego Anatola? Posyłam im w tej sprawie drugą z kolei notatkę. Jeśli nie nadesła do następnego zebrania Zarządu, sprawę tę poruszę.

Jak Ci wiadomo z Komunikatu (z drugiego posiedzenia Zarządu w Monachium), następne posiedzenie odbędzie się we Falkensteinie u Jurka. Twoja obecność jest konieczna z uwagi na ocenę materiałów, przeznaczonych do wieczoru Lit. Wieczor Lit, ma odbyć się początkiem grudnia w Monachium. Możliwość w dia Ingolstadt przedstawiają się nie najkorzystniej, doniosłem już o tym p. Leakowskiemu.

W Kronice wyczytałem, że nowela Jura Stena, pt: Powieść bez tytułu, tłumaczona będzie na język grecki. Jest to sukces indywidualny Jurka i sukces Klubu.

Kochany Janie! W oszukiwaniu na wiadomości

szczę Ci zdrowia i pozdrawiam serdecznie

twój Jan

List Jana Leszczy do Jana Kowalika z 28.10.1947 r.

przepracowany jak nigdy. Podjąłem się dla celów zarobkowych pracy literackiej i pólliterackiej. Ażebyś wiedział, że nie leniuchuję, wyliczę po kolei. Pomijając pracę sekretarza, którą uważam za mało wdzięczną, są to – 1) tłumaczenia z polskiego na niemiecki, urzędowe, nie związane jednak z PKLem, 2) większe tłumaczenie z niemieckiego na polski (dwa tygodnie), 3) wiersze i proza dla kalendarza, zarobkowe, 4) przygotowuję w dalszym ciągu tomik opowiadań, nowel. Pozostaje (nie zacząłem) napisać dla noworocznego numeru Kroniki, dla Studenta. Wystarczy. No i uniwersum.

W sprawach służbowych: List w sprawie p. Dudzińskiego⁴² otrzymałem, jako też jego nowelę pt. *Powrót*. Był u mnie Jerzy Sten, bawił cztery dni. Rozmawialiśmy na temat Dudzińskiego. Doszliśmy do wniosku, że z p. Dudzińskim należałoby się wstrzymać, z uwagi, że primo strefa angielska, secundo – nowela prorepatriacyjna wskazuje na to, że powieść będzie krytyką stosunków polskich przed wojną w znaczeniu ataku na obecny rząd w Londynie. Taniaść wydawnictwa wskazuje na pochodzenie funduszy⁴³.

Wartości literackie. Na poziomie, nie rewelacyjne.

Drugie, bądź łaskaw przesłać mi materiały p. Targa⁴⁴. Domaga się zwrotu. Oddam osobiście albo odesłę pocztą.

Twoje wiersze i ewentualnie moje prześlemy razem do p. Samczuka. Cel wiadomy.

W załączeniu przesyłam Statut i komunikat Nr 1.

Pisał do mnie kol. Burski. Nosi się z zamiarem wzięcia udziału w Zjeździe pisarzy ukraińskich. Zna język ros. i ukraiński. Tłumaczył. Chce nawiązać ponadto kontakt osob. z pisarzami ukrain. z zamiarem późniejszego tłumaczenia ich książek. Pracuje obecnie nad tłumaczeniem powieści Georga Orwella pt. *Animal Farm*. Będzie gotów prawdopodobnie końcem listopada. Materiał ten prześle w celach przekazania go referentowi kwalifikacyjnemu.

Od Bielskiego w sprawie powyższej (kwal.) nie ma żadnej odpowiedzi.

Czy otrzymujesz już Przegląd?

Powieść Jurka gotowa, pokaże się za tydzień. Miałem ją w rękach. Niezła prezentacja. Z Torami źle. Będzie musiał zawiesić. Trudności w drukarni. Mamy zamiar wydawać w zamian za Tory magazyn, względnie wydawnictwo o charakterze zbiorowym. Wiersze, proza (nowele, opowiadania, wyjątki,

⁴² Chodzi zapewne o Jerzego Dudzińskiego, wymienionego przez Kowalika jako redaktor (do kwietnia 1946) tygodnika obozowego dipisów pt. „Jutro pracy” wydawanego w okresie sierpień 1945 – wrzesień 1946 (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 1, s. 249) oraz publikowanego przez tego samego wydawcę w latach 1946-1947 miesięcznika dla młodzieży pt. „Młody Polak” (tamże, t. 2, s. 104), a także jako współredaktor ukazującego się nieregularnie w Westfalii w 1946 periodyku „Promyczek szczęścia. Czasopismo dla dzieci” (tamże, t. 3, s. 115). Później „Jerzego Dudzińskiego” znajdujemy jako redaktora czasopism polskich w Australii w latach 1952-1953, 1955-1958, 1967 (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 1, s. 84; t. 2, s. 135).

⁴³ Kwestię nacisku repatriacyjnego, zarówno ze strony aliantów, jak ze strony nowych władz w Polsce, omawia Andrzej Friszke w pierwszym tomie dzieła *Druga Wielka Emigracja 1945-1990* zatytułowanym *Życie polityczne emigracji* (Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999, rozdział *Bitwa o repatriację*, ss. 232-241). Sporo uwagi poświęca tej sprawie również Rafał Habielski w przywoływanym już trzecim tomie wspomnianego dzieła (*Życie społeczne i kulturalne emigracji*, wyd. cyt., ss. 10-14). Więcej w artykule wstępnym.

⁴⁴ Trudno powiedzieć, o kogo chodzi. Nazwisko Targ z inicjałem imienia T. pojawia się w *Bibliografii* Kowalika przy opisie tygodnika „Wiadomości Polskie” wydawanego w australijskim Sydney, jako redaktora tego czasopisma na przełomie 1950/1951 (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 4, s. 88). Natomiast Targ Alojzy to działacz niepodległościowy na Śląsku (w czasie wojny jeden z zastępców śląskiego okręgowego delegata rządu RP na wychodźstwie, badacz dziejów społeczności polskiej w Niemczech, po wojnie w składzie Instytutu Zachodniego) – według źródeł w Internecie. Ale nie wiadomo, czy któryś z nich przebywał w 1947 roku w Niemczech.

wspomnienia, essay itd.), mniej więcej w rodzaju angielskiego wydawnictwa pt. Nowa Polska.

Na tym kończę część sprawozdawczą.

A teraz na nasze tematy, krótko, bo czas to straszna rzecz. Wyrzuciłem kalkę. Jasio, pieruchu sakramynki... Tyś je jedyn chłop, który pamięto. Takiego kamrata szukać ze świeczką. Wiesz, listy Twoje cieszą mnie do tego stopnia, że... nie mam słów. Nie gniewaj się na mnie, że nie napisałem Ci na temat *Ścieżki*. Przyjdzie jeszcze na to czas. Napisałem natomiast recenzję do Studenta. Gdy się pokaże – prześlę.

Biedaku! Współczuję, że jesteś bez forsy. Wiem... wiem... U mnie mniej więcej to samo, ale mam nadzieję, że niedługo wykaraskam się z biedy.

Wysyłam Ci prasę niemiecką.

Co do formularza Rady Zawodowej – ja go jeszcze nie wypełniłem i nawet się waham. Wypełniałem prawie że takie same gówno (przepraszam) w 45 r. kiedy byłem jeszcze pracownikiem Komitetu.

3 Nr Przeglądu lepszy od drugiego.

Jurek, jak już wspomniałem, był 4 dni, zabrał się do pisania artykułu dla Przeglądu, temat wyobraź sobie... e g z y s t e n c j a l i z m albo egzystencjonalizm.

Reportaż o mogiłach w Staina – b. ładny. Wczułeś się. Miejscami cudowny styl. O tak, wyobrażam sobie styl noweli albo powieści. Oczywista – miejscami. Nowela nie może być pisana w całości stylem literackim. Jasiu, Tobie odpowiada temat, który poruszyłeś, Ty zaświatowy człowieku!

Wybacz mi styl. Nie jestem w pokoju sam, gadają. Mimo to piszę. Muszę, bo mnie ta robota zawali. Wiesz, ja Ciebie rozumiem, orzesz tam w tym Staina jak wariat, ale że jesteś Cieszyniakiem nie umiesz, nie masz odwagi, siły zwalić to ze siebie i zająć się wyłącznie sobą. Ale powinieneś, musisz, dla Twojego dobra, dla naszego (Klub), dla Śląska. Ty kochany pierrronie! Żal mi tego Maksa, biedne dziecko i biedne te dzieci. Współczuję ludziom, którzy nie mogą cieszyć się tym zdrowiem, co my... jako tako zdrowi, chociaż... Jasiu!... nie ma ludzi zdrowych. Myśl o sobie. Oddaj się Twojej pracy, bo wchodzisz w okres dojrzałości i należy Ci tworzyć i jeszcze raz tworzyć, dla Śląska i to rzeczy dobre⁴⁵. Jesteś na najlepszej drodze. Wiesz, reportaż czytałem i jeszcze go sobie raz przeczytam, raz?... może kilka razy. Owszem są tu i ówdzie usterki, ale kto ich nie robi. Czytałem niedawno Reymonta, znalazłem i u niego słabizny...

Otóż wiersze moje ukażą się⁴⁶, ma być lepsza oprawka. Zależy na tym ponoć Kucharskiemu⁴⁷, czytałem jego list (pokazał mi Jurek). Czekam – wiesz i jestem ciekawy. Jak każdy młody ojciec, który czeka na swój pierwszy płód... miłosny. Co za porównania. Nie myśl potem, że spałem tej nocy z dziewczynką... Ustatkowałem się nieco. Robota.

Ja, mosz racyjom. „Nie chytej synku tela wron za łogony, bo ci na koniec nic w gorści nie zostanie”... Ja, ja, święto racyjo!... ale. Przypuszczam, że jeśli zadebiutuję prozą, to chyba mnie nie wyśmieją. Nie będzie to jeszcze takie, jakieby powinno być, albo jak ja sobie to wyobrażam, ale wiesz... początek

⁴⁵ Warto zwrócić uwagę na lokalny, śląski patriotyzm i wyraźnie ujawniane poczucie własnej „śląskiej” godności.

⁴⁶ Tomik zatytułowany *Czas obłąkany*. Poezje datowany jest na rok 1947. Wydawca: Koło Organizacyjne Związku Pisarzy Polskich w Niemczech [Monachium].

⁴⁷ Ludwik Korab-Kucharski był w 1947 wydawcą miesięcznika literackiego „Żagwie” w Moringen-Solingen, a w 1948 „Gazety Obozowej” w Northeim (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 1, s. 257; t. 2, s. 157; t. 4, s. 156).

zawsze jest... początkiem. Raz trzeba zacząć, zwłaszcza, że jest człowiek, który ma zamiar drukować. Zobaczymy, czy sobie dam radę.

Do Kroniki coś spłodzę. Mam pomysł. Będzie to poemacik, składający się z antyfon nie antyfon i będzie miał przedstawić rolę emigranta u żłobka Pana. Chodzę z pomysłem od dłuższego czasu, rozmyśliwam, oglądam et c.

Jasiu! Kończę – dwunasta. Trzeba lecieć na obiad do miasta. Taki to kawalerski los. Ściskam Cię, dziękuję... całuję, rymuję, et c.

Serwus
Twój Jan

[5]

L430/48

M. Wszystkich Świętych
1/11.48

Kochany, Drogi Janku!

No, wreszcie, bo ja już różnie myślałem. Tłumaczyłem sobie Twoje milczenie chorobą i przepracowaniem, to prawda, ale były i momenty, kiedy wydawało mi się, że albo machnąłeś na mnie ręką, albo się gniewasz. Nie myśl potem, że z mojej strony występowała w tym wypadku zła wola lub tp. Przypuszczałem, że doszło jedynie do ochłodzenia się stosunków przyjacielsko-koleżeńskich, zwłaszcza po moich uwagach na temat *Ojczenasza*. No, nie ma już o czym pisać. Cieszę się że napisałeś. W międzyczasie zmieniło się wiele zwłaszcza u mnie. Chciałbym pokrótce zobrazować Tobie sytuację itd.

Ale najpierw sprawy „urzędowe” i półurzędowe, gwoli tego, że należymy do tzw. Klubu literackiego.

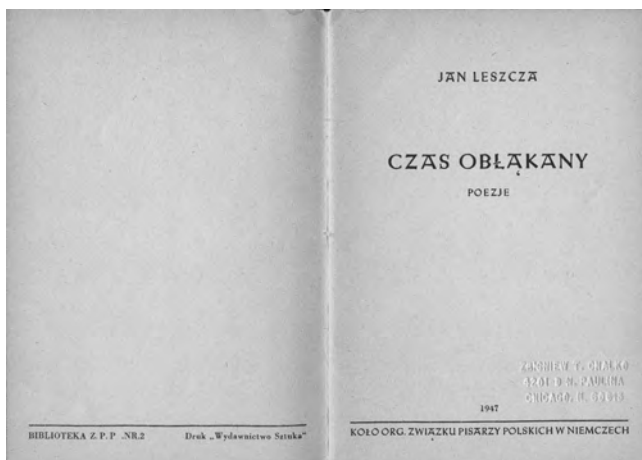
Legitymacje są już gotowe. Gdyby Twoje uwagi na temat tego projektu były przyszły wcześniej, może bylibyśmy zrobili jakieś zmiany. Wydaje mi się jednak, że legitymacje jako takie są niezłe pomyślane. Projektowaliśmy je we trójkę, Jurek, Genio i ja.

Proszę Cię, prześlij fotografię i podaj mi Twoje właściwe nazwisko⁴⁸, a raczej podaj mi nazwisko, na które opiewają Twoje dokumenty. Pseudo Twoje znam. Chodzi bowiem o podanie nazwiska które występuje w dokumentach jako własne, jak na przykład u mnie Londzin. Legitymację będziesz mógł otrzymać w Monachium albo prześlij ją Tobie pocztą.

Piszę w tej sprawie dlatego tylko, że bardzo wątpliwe, czy będziemy mogli zwołać zjazd w tym terminie, który Ty nam podałeś. Wczoraj był Jurek. Przeczytałem mu odnośne ustępy, dotyczące spraw PKLowskich. Dlaczego projektujemy opóźnienie zjazdu?

Po pierwsze, ciężko byłoby z mieszkaniem w Monachium. Kiedyś mogłem przemocować u siebie kilka osób, dziś jest to niemożliwe. Oddałem mianowicie mój duży pokój i mieszkam teraz w małej norze. Powód brak forsy. Pokój, który miałem kiedyś na górze, jest już od dłuższego czasu zajęty przez kogoś innego.

⁴⁸ Właściwym nazwiskiem Jan Sławiczek podpisywał Kowalik prace ludoznawcze publikowane w latach trzydziestych. Później jako pisarz podpisywał się „Jan Kowalik”, a jako publicysta używał także pseudonimów „Jan Pokrzywa” (na łamach redagowanego przez siebie międzyobozowego tygodnika „Polak w Waldeck”, 1946) oraz „Jan Franciszek Suchy” (w czasie pobytu w Cleveland bezpośrednio po wyjeździe do USA, 1950-1951).



Karta tytułowa debiutanckiego zbioru wierszy Jana Leszczy

Druga sprawa. Pisałem Tobie kiedyś o tym, że p. Ponikiewski⁴⁹ przeznaczył na zjazd 20 miękkich. Niestety w okresie dwumiesięcznym były różne wydatki, tak że uszczupliły bardzo naszą kasę. Jurek był w Monachium kilka razy, w różnych sprawach, zawsze przy tym załatwiał się to i owo. Jurek wiadomo nie pracuje, bieda u niego. Pokryłem mu raz kosztą podróży. Legitymacje kosztowały 20 DM, pieczęć 10 DM, dolicz do tego pocztę. Posyłałiśmy np. prasę do więzień. Proszono nas o to. To znaczy otrzymywaliśmy listy z więzienia, adresowane na PKL z prośbą o prasę i książki. Jak można było odmówić. Otóż te lub tp. wydatki – nie będę wyliczał pozycji, prowadzę notatki i zdam sprawozdanie na zjeździe – uniemożliwiają np. ażeby płacić bilet Lurczyńskiemu. Lurczyński nie jest naszym członkiem, jakkolwiek nadmieniałem mu na ten temat. Pomyśl, że podróż Lurczyńskiego wyniesie conajmniej 150 DM, bilet dla Pulca⁵⁰ około 100 DM, teraz są jeszcze Gor-

⁴⁹ Jerzy Ponikiewski, 1907-1965, w latach 1930-1934 jeden z głównych ideologów Legionu Młodych. Od 1934 korespondent prasy polskiej w Berlinie. W 1939 kierownik Instytutu Gospodarczego Ziemi Wschodnich przy Towarzystwie Rozwoju Ziemi Wschodnich. Od 1939 w Polskich Siłach Zbrojnych (m.in. w 1. Dywizji Pancerniej). Od 1943 pracował w Ministerstwie Przemysłu, Handlu i Żeglugi. Po wojnie w Niemczech wydawca „Kroniki” (zob. przypis 3). W latach 1945-1946 wydawał także we Frankfurcie tygodnik „Mały Polak. Pismo Armii Amerykańskiej dla Dzieci Polskich w Niemczech” (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 2, s. 90). W 1949 podjął współpracę z „Foreign News Service”. Po 1956 osiadł w Nowym Jorku, gdzie redagował „Ogniwo” – dodatek do „Nowego Świata”. Jego zbiory trafiły do archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce (zespół archiwalny nr 86).

⁵⁰ Płaskiewicz Witold „Pulc” (po wojnie Pulc Witold, Płaskiewicz-Pulc Witold), 1904–1975, kpr. z cenzurem WP (1939), dziennikarz, artysta malarz, pisarz. Na Podolu przeżył rewolucję bolszewicką, po przedostaniu się do Polski zamieszkał w Warszawie, gdzie ukończył Wyższą Szkołę Dziennikarską, pracował w „Kurierze Warszawskim” i „Tygodniku Ilustrowanym”, członek POW, PSZ, ZWZ-AK, uczestnik kampanii wrześniowej w SGO „Polesie” gen. Kleeberga, dostał się do niewoli niemieckiej; wrócił do Warszawy w 1940 i działał w konspiracji. Walczył w powstaniu warszawskim, uniknął niewoli, w październiku 1944 dołączył do Brygady Świętokrzyskiej (był szefem baonu w 202 pp.). Od początku 1945 oficer gospodarczy Pułku Jasnogórskiego, szybko awansowany na ppor. kawalerii (według wniosku awansowego „wybitnie inteligentny, ambitny, wysokie poczucie godności właszej i moralności, średnio wyszkolony”), od kwietnia 1945 kwatermistrz III batalionu, w czerwcu 1945 przeniesiony do Oddziału VI Brygady (kierownik działu kulturalnego), po reorganizacji w sierpniu 1945 oficer oświatowy 4 kompanii, później dowódca IV plut. kompanii wartowniczej 4003 (zob. przypis 25) i zastępca dowódcy tej kompanii, od lutego 1946 oficer w nowo utworzonym ośrodku Fürstenfeldbrück, po przejściu do Käfertalu (w czerwcu 1946) jeden z redaktorów „Ostatnich Wiadomości”, obok Wandy Piątkowskiej i Marka Gordona (zob. przypis 74). Wcześniej (od sierpnia 1944) współredagował dwutygodnik „W marszu i boju” wydawany przez Brygadę Świętokrzyską jeszcze w Czechosłowacji. Zmarł w USA. (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 2, s. 144 i 195; t. 4, s. 62 oraz noty biograficzne oficerów Brygady Świętokrzyskiej opracowane przez Fundację Centrum Dokumentacji Czynu

don⁵¹, Jur, Cygan⁵² – ale Cygan będzie chyba mógł pokryć koszty podróży, bo pracuje. Wydaje mi się, że Pulc powinien uczynić to samo, czyli zapłacić bilet, zwłaszcza że pracuje. Nic o tym nie wiedziałem. Mógł się Pulc przyznać.

Trzecia rzecz, Jurek obiecuje sobie, że otrzyma w najbliższym czasie papierosy za książki sprzedane w Londynie. Sprawa ta jest w toku i papierosy są ponoć w Niemczech. Jurek chciałby więc na własną rękę urządzić zjazd w Falkensteinie. Odmawiałem mu, w przekonaniu że jeśli otrzyma coś niecoś z Londynu, to pieniądze będzie potrzebował dla siebie.

Jurek, jak mi opowiadał, pisał do Ciebie przed swoim wyjazdem do Falkensteinu. Powinieneś być otrzymać już jego list, niezależnie od tego, Jurek odpisze Tobie zaraz po powrocie do domu.

Byłoby jeszcze jako tako, gdybyśmy byli otrzymali resztę pieniędzy – około 50 miękich, które opiewają na ogólną sumę Funduszu. Mamy bowiem do odrobienia jeszcze z 2 lub 3 Kolumny⁵³. Projektowałem w ten sposób. Zapłacić każdemu podróż. Każdy z nas musiałby potem zależnie od wysokości kosztów podróży napisać bezpłatnie jedną lub dwie rzeczy do Kolumny. Niestety nie otrzymaliśmy w tej sprawie jeszcze żadnej odpowiedzi z Kroniki. P. Ponikiewski wyjechał ponoć do Paryża. Czeka na POLONICA i wiersz, a na pierwszym miejscu na Twój tomik⁵⁴. A to niespodzianka dla mnie!

Rzecz jasna zasygnalizuję go. Napisz mi tylko, czy chciałbyś ażeby napisał kilka słów w związku z tym tomikiem. Czy odczekasz, aż ukaże się recenzja p. Podoskiego. Mam na myśli kilka słów reklamy – bo i zasługujesz sobie na nią. Nie jest to czczy komplement ale moje najgłębsze przekonanie. Piszę szczerze.

Powracając jeszcze do zjazdu. Rozmawialiśmy już na ten temat, jak już napomknąłem. Doszliśmy do przekonania, że gdybyśmy urządzili jednak ten

Niepodległościowego [zob. przypis 39] dostępne na stronach: www.brygadawietokrzyska.pl albo www.bj.uj.edu.pl/~plok/portal/php/bs_nsz.php?ID=14385.

⁵¹ Marek Gordon, 1918–1990, po ukończeniu szkoły średniej w Warszawie studiował reżyserię w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. W 1938 rozpoczął pracę w zespole teatralnym Reduta prowadzonym przez Juliusza Osterwę. Podczas wojny w warszawskiej konspiracji, pracował w prasie podziemnej. W czasie powstania warszawskiego sprawozdawca wojenny w Biurze Propagandy i Informacji Komendy Głównej AK. Po kapitulacji Warszawy dostał się do niewoli i został wywieziony do Niemiec. W tym czasie zaczął pisać wiersze, które po wojnie ogłosił w powielaczowym zbiorze *Cudzy chleb* (1945). W 1946 wstąpił do Polskich Oddziałów Wartowniczych (zob. przypis 25). Współredagował wydawane przez tę formację pismo „Ostatnie Wiadomości”. Wiersze, opowiadania i teksty publicystyczne ogłaszał także m.in. w „Kulturze”, „Kronice” (zob. przypis 3), „Lechu” (zob. przypis 35), „Słowie Katolickim” (zob. przypis 69). Pisał sztuki teatralne wystawiane na scenach polskich w Niemczech. W 1950 wyemigrował do USA i zamieszkał w Chicago, gdzie podjął pracę w „Dzienniku Związkowym”. Współpracował z prasą polonijną i miejscowym radiem, był współtwórcą „żywych dzienników” (wspólnie ze Zbigniewem Chałką i Józefem Białasiewiczem – zob. przypisy 16, 80 i 87). W okresie amerykańskim opublikował dwa zbiory wierszy (w tym *Muza miasta* w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy, 1957), wybór felietonów, tom eseistyki oraz zbiór opowiadań *Raz tylko...* (Veritas, Londyn 1977). (*Współcześni polscy pisarze...*, wyd. cyt., t. 3, Warszawa 1994, ss. 104–105 – tu błędnie scharakteryzowano „Żywy Dziennik” jako „pismo”, podczas gdy miał on formę mówioną – zob. przypis 80; J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 2, s. 195; Wojciech Białasiewicz, *W kręgu chicagowskiej Polonii (Szkice o czasach minionych i ludziach, których przeważnie już nie ma)*. Wyd. „Ex libris”, Chicago 2001, ss. 129 i 600). Dobrym źródłem wiedzy o życiu i dorobku Marka Gordona jest też obszerny wywiad przeprowadzony z pisarzem w 1984 roku przez Wojciecha Wierzewskiego dla chicagowskiego radia (wersja drukowana pt. *Tulacze losy Marka Gordona w: Wojciech A. Wierzewski, Pegaz za oceanem. Ludzie pióra i kultury poznani w Ameryce*, Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2002, ss. 232–247).

⁵² Być może chodzi o Wincentego Cygana (ur. 1917), który służył w marynarce wojennej (ORP „Błyskawica” i ORP „Dragon”), po wojnie osiadł w Wlk. Brytanii i opublikował tom wspomnień zatytułowany *Granatowa załoga* (Veritas, Londyn 1955). (MSPPN O, s. 64).

⁵³ Mowa o kolumnie literackiej w „Kronice” (zob. przypis 3).

⁵⁴ *Wiatr w gałęziach*. Polski Klub Literacki w Niemczech, Monachium 1948. Na prawach rękopisu.

zjazd w Monachium zaprosilibyśmy następujące osoby. Ty, Jur, Horski, Pulc, ja, Wasiewicz, Horsztyński, Nowotarska, Cygan (o ile przyjedzie i będzie mógł pokryć kosztą przejazdowe) to samo Lurczyński, Gordon. To i wszystko. Razem 11 osób⁵⁵. Wystarczy. Natomiast doszliśmy do przekonania, że nie warto zapraszać Lechtolda, Bielskiego ze Stuttgartu (pamiętaj że Lechtold i Bielski nie noszą się od czasu Przeglądu Lit.) to samo nie zapraszać Brodzińskiego (Borodyńskiego) ewentualnie zaprosić młodego Bielskiego z Ingolstadt. To samo jeśli chodzi o legitymacje. Nie wystawiać legitymacji Lechtoldowi, Bielskiemu ze Stuttgartu i Brodzińskiemu, podobnie Nowotarskiej, bo nie należy do nas (chyba że przystąpi) jak i Lurczyńskiemu.

Na temat mojej sytuacji nie warto pisać. Sytuacja polityczna wskazywałaby na to, by się jak najprędzej wyprowadzić z Niemiec a co najmniej przenieść się nad granicę francuską. To jedno. Sytuacja materialna jest parszywa. Dojrzałem do emigracji. W ogóle mam klina w głowie. W bieżącym tygodniu otrzymuję temat do pracy końcowej z dziennikarstwa, zacząłem 7 semestr, a nie wiem, jak jedno z drugim powiązać. Brak pieniędzy. Ubiegam się o stypendium KZ⁵⁶, ale jak już słyszałem, pieniądze na ten cel przeznaczone zdołano już w ogóle zużyć. Kliki są wszędzie, a zwłaszcza wśród KZ. Rozpóżyczono pieniądze różnym panom zaczawszy od Żydów kończąc na nielicznych jednostkach narodowości polskiej, czy to na otwarcie jakiegoś interesu, czy też jako zaliczki na prowadzenie prasy (Lech, chociaż i tak się położył, a teraz Goniec). Prasa nie daje nic. Wstyd mi jest żebrać, dlatego przestałem pisać. Zresztą nie ma czasu. Trzeba by mi przygotować się do egzaminów, z prawa autorskiego, prasowego, z głównego przedmiotu, z historii i ekonomii⁵⁷. Nadto muszę napisać jeszcze parę prac seminaryjnych. Wszystko to dałoby się zrobić, ale jak widzisz brak forsy, następnie brak wiary, że sytuacja polityczna wytrzyma, zimno w domu... Tak nie można. Zresztą zdecydowałem się na wyjazd. Staram się do USA, ale w bill nie wie-

⁵⁵ Wśród tych nazwisk, oprócz już rozszyfrowanych w poprzednich przypisach, na uwagę i wyróżnienie zasługuje Róża Nowotarska (tym bardziej że wiele spraw będzie ją łączyło z autorem listu także później, w czasach amerykańskich). Nota na jej temat w MSPPnO (s. 253-254), powtórzona w *Encyklopedii K. Dopierały, jest – relatywnie – zdecydowanie zbyt lakoniczna*. Urodziła się w 1920 w Krakowie, od dzieciństwa związana była z teatrem, później z Polskim Radiem. W czasie pobytu w Niemczech pracowała m.in. dla regensburskiego „Dziennika Polskiego”, monachijskiego „D.P. Expressu” (zob. przypis 30), systematycznie publikowała we frankfurckiej „Kronice” (zob. przypis 3) i manheimskich „Ostatnich Wiadomościach” (zob. przypis 25 i 74). W 1949 zdecydowała się na wyjazd do USA. Prowadziła bardzo ożywioną działalność organizacyjną, kulturalną, popularyzatorską w Detroit i Chicago, często pod auspicjami Polskiego Związku Akademików (organizacja złożona w Chicago we wrześniu 1950), w którym przez dwie kadencje pełniła funkcję sekretarza. Tymon Terlecki we wprowadzeniu do jej wieczoru autorskiego w 1970 określił ją jako „a jet-propelled woman – kobietę z napędem odrzutowym”. (T. Terlecki, *O Róży Nowotarskiej* [w:] R. Nowotarska: *Wspomnienia, opowiadania, rozmowy, recenzje, szkice z Antkiem Czerwcowym w środku*, Chicago 2002, s. 265). Od połowy lat sześćdziesiątych do przejścia na emeryturę w 1987 pracowała etatowo w Polskiej Sekcji Rozgłośni Radiowej „Głos Ameryki”. *Sluchaczom w Polsce dała się poznać przede wszystkim z audycji autorskich: „Czwartkowe spotkania z poezją i prozą”, z wtorkowych przeglądów wydarzeń kulturalnych w Stanach Zjednoczonych, z piątkowych „Rozmów z gwiazdami” i niedzielnych audycji „Nashville – muzyka country”, a wreszcie z reportaży z podróży po Ameryce.* (Nota o Róży Nowotarskiej [w:] R. Nowotarska, *Wspomnienia, opowiadania, rozmowy, recenzje, przyczynki, szkice ze Świętym Jerzym w środku*, Chicago 2003, s. 264). W 1998 odznaczona została przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi RP. Zmarła 28.03.2012 w Waszyngtonie.

⁵⁶ Trudno powiedzieć, o jakie stypendium chodzi. Może to był rodzaj pomocy udzielanej b. więźniom obozów koncentracyjnych (KZ = Konzentrationslager).

⁵⁷ Leszcza studiował prawo i nauki polityczne na uniwersytecie w Monachium. *W lutym 1946 r. w Monachium uruchomiony został uniwersytet zorganizowany przez UNRRA, dysponujący 8 wydziałami i 800 miejscami, przeznaczonymi wyłącznie dla obcokrajowców* – R. Habielski, dz. cyt., s. 69.

rzę, dlatego też przygotowałem sobie akcję wstępną, ażeby móc wyjechać do Kanady, obojętne w jakim charakterze – mogę z 10 miesięcy pracować w lesie, w fabryce czy na roli. Jeśli i to miałyby trwać zbyt długo, to chyba wyjadę byle gdzie. Nie wierzę w pokój, wierzę natomiast, że wojna wybuchnie w najbliższym czasie. Sygnalizowano mi już z domu. Jeszcze niedawno domagano się, ażebym wrócił do Kraju, obecnie dom zaleca mi, ażebym się wynosił. Dosłownie...

Wierz mi. Będzie Ci się może wydawało, że sfajtlapiałem. Widzisz, o pracę nie jest tu łatwo. Mieli nas zatrudnić Amerykanie, gówno z tego. Arb. amt⁵⁸ niemiecki daje tylko pracę fizyczną przy usuwaniu gruzów. O posady w IRO⁵⁹ biorą się za mordy. Handel?... przecież rozumiesz że to śmieszne, zwłaszcza w dzisiejszej sytuacji. Wybrałem więc studia w dalszym ciągu i pcham będę jak mogę. Żyję dosłownie z Kolumny. I tak staram się być fair w stosunku do innych, bo nie pcham się na Kolumnę, ażeby i inni zarobili, jakkolwiek dowiadując się że są ludzie jak Pulc, którzy zarabiają... a w listach będzie narzekał i nie przyzna się wcale, że ma posadę. Zatrzymaj to u siebie. Piszę do Ciebie w tej sprawie, bo wiem że piszę do Ślązaka. Dlatego też nie mogę przyjąć Twojej propozycji w sprawie drukowania ballad. Nie mam forsy, ażebym mógł zapłacić nakład.

Zresztą i tak nie ma sensu. Bywają chwile, że najchętniej spaliłbym to wszystko. Spakował manatki i w świat. Ale cóż zrobisz, sukinsyny pozamykali granice na wszystkie spusty. Amerykanie nie lepsi od Rosjan. Z tą małą różnicą, że tu nie grozi więzienie. Właściwie różnica bardzo duża, ale ten ich bluff propagandowy, ich fałsz, ich egoizm rasowy, przesył równowagi winy tamtych. Świat w każdym wypadku dojrzał do bomby atomowej. Są chwile, kiedy wydaje mi się, że nie ma sensu pchać głowy w to gówno, a innym razem czekam z utęsknieniem wojny.

Proszę Cię o nie wyciąganie wniosków. I tak bez sensu. Jestem – wiem o tym, nieodrodnym dzieckiem zaszranego pokolenia. Resztki idealizmu, którymi człowiek żyje nie uratują bryły staczającej się do przepaści. Czas by zaśpiewać requiem dla Europy, bo czasy są obłąkane.

Dzisiaj święto umarłych. Święto mojego śp. brata, którego sukinsyny szwabcy biciem zmusili do wdźwiania munduru i zmusili go ginąć za parszywe Niemcy pod Orelm⁶⁰. Biedny 18-letni chłopak nie umiał się ratować. To samo zrobili ze mną. Ja żyję, jakkolwiek powinienem zginąć, żeby mógł żyć brat. Niestety jest już za późno, mój Janie, ażeby wracać do Kraju, ale wierz mi, chciałbym iść jeszcze z karabinem w rękę przeciwko Zachodowi, a na pierwszym miejscu przeciwko Niemcom. Mordowałbym na zimno. Trudno. Oko za oko, ząb za ząb. Po co to piszę? Ażebyś wiedział, że nie jestem za *Ojczyzną*. Za dużo krwi na naszych niewinnych rękach, która polała się

⁵⁸ Arbeitsamt – urząd pracy.

⁵⁹ International Refugee Organisation – Międzynarodowa Organizacja do Spraw Uchodźców utworzona przez ONZ w 1947. Dziś jej funkcje spełnia Wysoki Komisarz ds. Uchodźców (urząd utworzony w 1950).

⁶⁰ Szacuje się, że Ślązaków, których po 1939 wcielono w szeregi Wehrmachtu, było ok. 300 tys. Ich tragiczne losy nie zostały do dziś w pełni opisane, mimo podejmowanych prób, zarówno naukowych, jak artystycznych (por. np. film Mariusza Malinowskiego *Dzieci Wehrmachtu*, 2010, recenzowany m.in. przez Bartosza T. Wielińskiego w „Gazecie Wyborczej” z 10.09.2010). Jan Ciechanowski, polski historyk mieszkający w Londynie, w rozmowie przeprowadzonej przez Piotra Zychowicza dla „Plusa-Minusa”, dodatku do „Rzeczpospolitej” z dn. 2-5.10.2010, wspomina o *doświadczeniach II Korpusu, który podczas wojny czerpał uzupełnienia z anglosaskich obozów jenieckich. Wielu Polaków i Ślązaków, którzy służyli w Wehrmachcie, i dostali się do niewoli, natychmiast zgłaszało się do Andersa.*

przez przeklęty naród niemiecki. Przeklinam go teraz i będę go przeklinał zawsze. Do ostatniej godziny mojego życia.

Pamiętaj, że we mnie jest gorycz. Dlatego Janku z uwagi na nasze braterstwo, pamiętaj, że na jednym odcinku nie mogę się zgodzić z Tobą, na punkcie Niemców. Uszanuję Austryjaka, bo Austryjak podrzucał mi kawałki chleba w Gusen, kiedy obrabiał kamień dla Norymbergi. Skurwisyn Szwab katował. Nie znam porządných Niemców Trudno. N i e z n a m.

Pisz.

Serwus

Twój Jan

Kochany Jasiu!

Jeszcze kilka słów. Bo może zszokuje Cię mój list. Zrozum, są to reakcje uczuciowe dzisiejszego dnia, wspomnienia walą się na mnie jak rozhukana rzeka. Jestem podrażniony obserwacjami, prasą niemiecką albo felietonami Szewczyka, który pisuje w Odrze⁶¹: Na każdym miejscu nienawiść do nas. Nie znalazłem jeszcze ani jednego utworu niemieckiego gdzie by pisano inaczej o Polakach, niż to ma miejsce. Dlatego dziwię się Tobie, jak Ty – Polak możesz wybielać tych katów. Kto jak kto, ale my – bici, kopani, gazowani, my mamy podawać rękę tym szatanom?!

Przypuszczam, że znajdziemy się jeszcze kiedyś we dwójkę, wtedy opowiem Tobie moje życie i cierpienia mojej rodziny. Myślę, że uda mi się przeżyć jeszcze parę lat. Niech poprawi się kiedyś moja sytuacja, wtedy napiszę pamiętnik tej wojny, szczerze i bez ogródek. Do tego muszę dojrzeć artystycznie. Chciałbym pozostawić po sobie kiedyś książkę, która będzie po wieczne czasy mówiła o podłości narodu niemieckiego. To jest cel mojego życia.

Zważ jak Niemcy nienawidzą kacetowców, nie mówiąc już o nas. Oto jaki list otrzymał Eugen Kogon. Przepisuję z Odry. „Niemcy nie będą mogły żyć wcześniej, zanim nażartą hołota obozów koncentracyjnych, która nas wy-sysa i pragnie nami rządzić, nie zostanie osadzona po więzieniach i ukarana w sposób, na który zasłużyła. Przez pyski natkamy w was trocin i pakulę i rzucimy zwierzętom w cyrku!”

Zrozum, że jestem podrażniony. Nie bierz mi za złe mojego listu. Rozumiem Twoje piękne intencje zamknięte w *Ojczyźnie*. Ale zważ Jasiu, jak tu mieć jakikolwiek sentyment do Niemców, zważywszy że nawet biskupi niemieccy występują przeciwko nam, przeciwko naszym ziemiom odzyskanym, przeciwko rzekomym bestialstwom jakie się działy i dzieją z Niemcami wyrzucanymi z Polski. To przecież urąga Bogu. Jak mogą pisać o tym katolicy. Gdzie oni byli, gdy mordowano nasz naród? Jak może papież nakłaniać ucha tym podszeptom. Żle, jeśli kościół i głowa kościoła zaczyna bawić się polityką.

⁶¹ „Odra” – dwutygodnik, a potem tygodnik społeczno-kulturalny ukazujący się w Katowicach od 20 lipca 1945 do 29 stycznia 1950 podporządkowany administracyjnie spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. Redakcję tworzyli: Wilhelm Szewczyk (od trzeciego numeru jako redaktor naczelny), Zdzisław Hierowski i August Grodzicki. Od początku zespół „Odry” starał się wywołać dyskusję nad programem kulturalnym dla obszaru ziem zachodnich. Publicyści „Odry” zwracali też uwagę na to, co działo się u sąsiadów Polski, przede wszystkim Niemców i Czechów. Do stałych rubryk należały *Co robią Niemcy* (redagowana przez W. Szewczyka) i *Kronika czeska* (także pod nazwą *Kronika Czesko-słowacka*). Wilhelm Szewczyk (1918-1991), od urodzenia związany z Górnym Śląskiem, energicznie zaangażował się po stronie nowej władzy, zatem jego felietony (i inne publikacje „Odry”) współbrzmiały z „repatriacyjną” ideologią. Nie ustrzegło to jednak pisma przed likwidacją, gdy nasilił się w Polsce stalinowski centralizm zmierzający do ograniczenia liczby tytułów wydawanych lokalnie. (Zob. także hasło biobibliograficzne „Wilhelm Szewczyk” w: *Współcześni polscy pisarze...*, wyd. cyt., t. 8, Warszawa 2003, ss. 170-175).

Ale dosyć tego. Czekam z utęsknieniem na spotkanie. Będziemy mieli o czym porozmawiać.

Życząc Tobie wszystkiego najlepszego,
pozdrawia Cię ze serca

Twój
Jan

PS. Telefonu nie posiadamy, ale w naszym domu sąsiad ma telefon, Rosjanin Balitzki (Niemiec, też ciekawy okaz, o którym zdążyłem się dowiedzieć sporo rzeczy. Mniejsza z tym). Rozmawiałem z nim i można telefonować do niego w godzinach południowych, między 12 a 1 po poł. Następnie od 7 wieczorem. Rano bywa do 7,30. W tych godzinach możesz spokojnie telefonować. Jeśli chodzi o bibliografię, znajdziesz coś niecoś u mnie, możemy się przejechać do Komitetu Polskiego na Blütenburgstr. Jest tam kiosk, są spisy książek wydanych w Niemczech, jest biblioteka.

Wróciliśmy z Geniem z cmentarza monachijskiego koło Sendlingertor. Cmentarz jest zniszczony od bomb. Słuchaliśmy w kościółku zbłąkanej muzyki organowej, która dochodziła przez ścianę z jakiejś tam kruchty. Cmentarz jest ciekawy, przyrasta na jednym odcinku, dosłownie, do ściany kamienicy, zresztą conajmniej stuletniej. Kamienica b. ciekawa, charakterystyczna. Do ściany poprzyklepane pomniki i krzyże. 3 metry nad poziomem jedno samotne okno w gołej ścianie, w oknie firanka i czyjeś życie.

A jednak Europa jest cmentarzyskiem. Rozmawialiśmy z Geniem na wymieniony temat. „Ładnie” prezentowałby się cmentarz zamordowanych w KZ. Można by na półtora km. cmentarzu umieścić jeden obok drugiego 6 milionów krzyży, a zamiast kaplicy wystawić krematorium, zamiast ołtarza Urnę – jako symbol wiary narodu niemieckiego. Zamiast krzyża – Szubienicę. Cmentarz też należałoby rozlokować w jednym z państw neutralnych, np. w Szwajcarii, ażeby tzw. Wielcy Tego Świata, przyjeżdżając na wywczas mogli sobie uzmysłowić, co to znaczy 6 milionów ludzi, ubitych kijami.

Wiadomości przysłały mi wreszcie korektę *Ballady*, pójdzie w jednym z najbliższych numerów. Grydzewski zatrzymał ponadto dwa wiersze z cyklu *Piosenki na drugie skrzypce*.

Jasiu! Widziałem w 11 nr Kultury na odwrocie wzmiankę o tym, że w najbliższym czasie ukaże się w Kulturze Twoja praca. Serdecznie się cieszę, zwłaszcza jeśli Ślązacy zaczynają się wybijać na Emigracji, bo nasz Fierla⁶² ucichł. No, brawo Jasiu! Gratulejszen.

Zważ to wszystko razem, a ujrzyś mnie we właściwym świetle. Na pozór spokojnego, zrównoważonego człowieka – ale to zewnątrz, a wewnątrz BUNT przeciwko tzw. c z ł o w i e c z e ń s t w u człowieka.

Bądź zdrow. Dosyć tego na dziś.

(Ulżyłem sobie)

⁶² Adolf Fierla, 1908-1967, poeta i prozaik ze Śląska Cieszyńskiego, studiował polonistykę na UJ oraz sławistykę w Pradze, pracował w szkołach podstawowych na Zaolziu i w gimnazjum w Orłowej. Aresztowany przez gestapo był więziony w Dachau i Mauthausen-Gusen. W 1944 został przymusowo wcielony do armii niemieckiej, we Francji przeszedł na stronę aliantów i wstąpił do oddziałów polskich. Od 1945 w Wlk. Brytanii, pracował w szkołach polskich. Był sekretarzem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz członkiem zarządu Zrzeszenia Ewangelików Polskich w Wielkiej Brytanii. Opublikował przed wojną dwa zbiory opowiadań, powieść *Ondraszek* i kilka zbiorów wierszy, pośmiertnie ukazały się jego *Poezje religijne* (*Encyklopedia polskiej emigracji...*, wyd. cyt., t. 2, s. 20). Leszcza zadedykował Fierli (współtowarzyszowi z Gusen) przepełniony motywami śląskimi poemat *Słowa z dymu* w tomie *Czas obłąkany* (wyd. cty., ss. 7-10).

Na wszelki wypadek przygotuję kilka wierszy do druku. Może się dogadamy. Ważniejsze jest to, że mimo wszystko człowiek jednak przywiązuje nieco wagi swoim pracom. Kosztowało to przecież sporo wysiłku. Ja zaś mam wielki bałagan w szpargałach. Trzeba będzie więc uporządkować teczkę, wyciepki wyrzucić do kosza, a parę rzeczy zostawić, na wypadek gdy będzie trzeba nawiewać stąd.

[6]

M. 21.12.48

Kochany Jasiu!

Za wiele rzeczy muszę Ci podziękować. Bardzo mocno, szczerze, ze serca za miły dla mnie podarunek świąteczny w postaci tomiku wierszy, który mi bardzo się podoba. Ale nic dzisiaj na ten temat nie będę pisał, bo c z a s mnie ściga, ś w i ę t a na karku! Więcej jak bardzo muszę podziękować Tobie za innego gatunku podarek świąteczny, to jest za wiatrówkę, która doszła dziś i z której jestem bardzo zadowolony. Musze Cię za to wszystko mocno uściskać w czasie naszego zjazdu. Proszę Ponboczką abyś był na tyle zdrowy, ażebyś mógł przyjechać.

Teraz odnośnie Twojego listu. Wybacz że w tej sprawie dopiero dzisiaj odpisuję. Byłem dwa razy u Ptakowskiego⁶³, i dopiero dziś po trzeci raz zastałem go w domu. Nic mi nie może powiedzieć na temat Mystkowskiego⁶⁴ pt. „*Godziny czekania*”⁶⁵. Odszukałem raz jeszcze tą książeczkę i przepiszę Tobie notatkę bibliograficzną od a do zet, co już uczyniłem w ostatnim liście, ale mogłem o czemś zapomnieć.

Otóż nie ma podane, które to jest wydanie. Stoi tylko na pierwszej stronie miejscowość, gdzie książeczkę wydrukowano, a to jest Neu Brandenburg r. 1943. Ty piszesz że jest to pierwsze wydanie.

Dalej, na ostatniej stronie jest taka notatka: „Odbito ręcznie z klocków drewnianych, wykonanych przez Wacława Bulzackiego w Oficerskim Obo-

⁶³ Jerzy Ptakowski, 1913-1983, który – jak rozumiemy – przebywał wówczas w Monachium, występuje w *Bibliografii* Kowalika dopiero w odniesieniu do lat 1951-1953, jako redaktor wydawnictw Sekcji Polskiej Biura Badań i Publikacji Komitetu Wolnej Europy (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 3, s. 54; t. 4, s. 83). Ale na stronie internetowej nowojorskiego PIASA (Polish Institute of Arts and Sciences) czytamy: *Jerzy Ptakowski (1913-1983) was a one of leaders of the National Democratic Party (Stronnictwo Narodowe) and political prisoner of German concentration camps Auschwitz and Dachau. After the WWII he was the Special Delegate of the Ministry of Interior of the Polish Government-in-Exile for Problems of Polish Population in the American Occupation Zone in Germany (1945-1947), member of the Council of National Unity (1950-1961) and a staff member of the Radio Free Europe Polish Research and Analysis Section.*

⁶⁴ Zbigniew Mystkowski – w latach 1945-1947 redaktor pism 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej, w 1948 redaktor Biuletynu Prasowego wydawanego przez Prezydium Zjednoczenia Polskiego na terenie okupacji brytyjskiej w Niemczech (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 3, s. 180; t. 4, s. 134).

⁶⁵ Na aukcji antykwarycznej w warszawskim Klubie Księgarza „Lato 2010” wystawiono, z ceną wywoławczą 120 zł, pozycję opisaną w następujący sposób: „MYSTKOWSKI ZBIGNIEW. *Godziny czekania*. [wiersze] Neubrandenburg 1943. [s.n.] Wyd. trzecie. [2], 19,[3] s. 18 cm. Opr. oryg. brosz. Wydano 100 egz. w tym pięćdziesiąt numerowanych. Egzemplarz nienumerowany. Drzeworyty Wacława Bulzackiego, każdy podpisany ręcznie ołówkiem”. Wspomina o tej publikacji Jerzy Świąch w rozdziale poświęconym twórczości literackiej w obozach jenieckich (J. Świąch, dz. cyt., s. 331).

zie Jeńców Wojennych II–E–K egzemplarzy numerowanych 50.” „Wydanie czwarte odbito w obozie II D Gross Born”. Mnie się wobec tego wydaje, że jeśli wydanie 4 odbito w Gross Born, więc 2 i 3 musiało być bite jeszcze w Neu Brandenburg. Dat nie można podać. Uważam że możesz sobie na taką notatkę pozwolić, którą dajesz do zrozumienia, na czym opierasz swoje przypuszczenia co do lokalizacji 2 i 3 wydania.

Ostatnia końcowa część notatki brzmi w ten sposób. „Wydanie piąte wykonane w r. 1946 systemem powielania drzeworytów w oficynie J. Brauera w Bramsche”.

Chciałbym Tobie w tej sprawie pomóc, ale to jest niemożliwe do zrobienia. Może gdybyś się zwrócił w tej sprawie do Bramsche...

Teraz dalsze punkty Twojego listu.

Zgadzam się na tytuł „*Ballady śląskie*”. Tytuł dużo lepszy, dokładniejszy.

Sprawa IRKI⁶⁶. Genio nie chce ażeby wzmiankować w ogóle pozycje z Anatolem⁶⁷ i Wiechem⁶⁸. Chce ażebyś te dwie książki przemilczał w ogóle. Nie da się przekonać. Boi się, że mógłby się Wiech dopominać odszkodowania jako autor, a zaś z Anatolem nie chce kompletnie nic do czynienia.

Jasiu! Miałem możliwość widzieć się raz jeszcze z p. Klukowskim⁶⁹ i też mi nie mógł nic powiedzieć w sprawie Mystkowskiego.

Robiłem około tego, ażeby dostać dla tych klubowców, którzy mieszkają w obozach IRO, bezpłatne bilety z YMCA⁷⁰, ale nie udało się. Posłałem jeszcze w tej samej sprawie list do centrali IRO w Bad Kissingen. Jeśli IRO załatwi, otrzymacie bilety albo pocztą z kwatery głównej albo w administracjach waszych obozów. Chodziło by o Ciebie, o Gordona, ks. Malaka⁷¹ i Cygana.

⁶⁶ Trudno jednoznacznie stwierdzić, co znaczy ten skrót. Czyżby Kowalik sporządzał jakieś zestawienie na zlecenie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża (IRK – Internationales Rotes Kreuz)?

⁶⁷ Prawdopodobnie chodzi o Anatola Burskiego – zob. przypis 40.

⁶⁸ Mało prawdopodobne, aczkolwiek niewykluczone, że chodzi o Stefana Wiecheckiego (1896-1979), „Homera warszawskiej ulicy” (określenie J. Tuwima).

⁶⁹ Jerzy Klukowski – wymieniony przez Kowalika w grupie dziennikarzy Stronnictwa Narodowego firmujących tygodnik „Lech”, a także zaangażowany w wydawanie „Słowa Polskiego”, które *przemianowane później na „Słowo Katolickie” stało się najpopularniejszym ilustrowanym magazynem dla Polaków w Niemczech, wydawanym w nakładzie 10 000 egzemplarzy i w podziwiiu godnej szacie typograficznej* (J. Kowalik, *Prasa polska...*, wyd. cyt. s. 5). Wydaje się, że chodzi tu o syna Zygmunta Klukowskiego, lekarza ze Szczepieszyna, którego *Dziennik z lat okupacji* jest jednym z najcenniejszych świadectw życia Polaków w warunkach okupacyjnego terroru. Z artykułu o Zygmuncie Klukowskim: (...) *I wyjazd [Zygmunta Klukowskiego] do Norymbergi na zaproszenie amerykańskiego prokuratora jako jedynego świadka z Zamojszczyzny, na ósmy z kolei, „odpryskowy” proces czternastu oskarżonych funkcjonariuszy Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa. (Spotkał tam przypadkowo swojego syna Jerzego którego nie widział od co najmniej 1939 r. Jerzy wraz z matką opuścił doktora i wyjechał do Warszawy bodaj w 1922 r. jako kilkuletni chłopiec. Student Politechniki Warszawskiej, zmobilizowany w 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej, skąd po wojnie wyemigrował do USA.)* (Romuald Kołodziejczyk: *Doktor Zygmunt Klukowski*, <http://scebreshinum.republika.pl/wsp17.html>). Amerykańskie Muzeum Holocaustu zaleca lekturę *Dziennika z lat okupacji* Zygmunta Klukowskiego tłumaczonego na język angielski przez Jerzego Klukowskiego: *Diary from the Years of Occupation. 1939–44*. Trans. from Polish by George Klukowski, Urbana, IL, 1993 ([http://www.ushmm.org/education/resource/poles/](http://www.ushmm.org/education/resource/poles/poles.pdf)).

⁷⁰ Young Men's Christian Association (Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej), międzynarodowa ekumeniczna organizacja propagująca program oparty na wartościach chrześcijańskich. Utworzona została w 1844 w Londynie przez Sir Geорга Williama. W Polsce działała w okresie międzywojennym i w latach 1945-1949. Głównym celem organizacji jest służenie harmonijnemu rozwojowi fizycznemu, umysłowemu i duchowemu. Obecnie YMCA funkcjonuje w 130 krajach i zrzesza prawie 30 milionów członków.

⁷¹ Ks. Henryk Malak – więzień Stutthofu, Sachsenhausen i Dachau. Wymieniany przez Kowalika jako redaktor periodyków religijnych w USA (New Jersey, Illinois) począwszy od lat 50. (J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 1, ss. 48 i 192; t. 2, ss. 65 i 181; t. 4, s. 156).

Postaraj się Jasiu przyjechać. Widzieliśmy się w niedzielę z panami Hrabym i Ponikiewskim i otrzymaliśmy 500 marek na zjazd, z tym że pieniądze odrobimy Kolumną.

A teraz mój Kochany przyjmij moje najszczęśliwsze życzenia świąteczne, noworoczne powiemy sobie ustnie w Monachium. Mam tę nadzieję!

Jednak uważam że zjazd będzie konieczny i na pewno będzie o czym gadać. Będzie tej gadaniny aż za dużo.

Ściskam Twoją dłoń i jak najserdeczniej Cię pozdrawiam

Twój
Jan

[7]

23. 7.49

Kochany Jasiu!

Dopiero ostatnio doszły do mnie słuchy, że jesteś w Arolsen⁷². Nic o Tobie przedtem nie wiedziałem, więc sam rozumiesz Kochasiu że nie mogłem pisać. Doniósł mi o tym może trzy tygodnie temu ks. Malak, będąc w Monachium po powrocie z podróży z Rzymu. Widziałem natomiast Twój wiersz w Słowie Kat.⁷³ I kiedyś w Ostatnich Wiadomościach⁷⁴, które dostały mi się przypadkowo do rąk u Studentów. Doszedłem wówczas do wniosku, że musiałeś się ustabilizować, bo zacząłeś pisać, czyli – dalszy z tego wniosek, że pewnego dnia napiszesz i do mnie kilka słów.

Widzę z tego, że nie lada trudu kosztowało Ciebie znaleźć jakie takie warunki, by zacząć żyć – jak zauważyłeś od nowa, od początku. Wiem, że nie jest to taka prosta sprawa. Co znaczy ż y c i e w dzisiejszych czasach, poznałem na własnej skórze.

U mnie bez większych zmian. Siedzę w dalszym ciągu na Wasserburgerstr. i uczę się powoli do egzaminów dyplomowych. Będę zdawał tego roku w jesieni. Czekam na kontrakt pracy do USA. Czy dostanę, nie wiem. Zobaczymy. W przyszłym roku, z wiosną będzie trzeba opuścić Niemcy, obojętne w jakim kierunku. (O ile nie uda się wyjechać do USA, to jasne.)

Dobrze, że jesteś w tym Arolsen. Owszem, pisałem w sprawie zaświadczenia o pobycie w Dachau, ale bez większych nadziei na otrzymanie odpowiedzi. Dlaczego? – nie muszę tego pisać. Wiesz sam.

⁷² Arolsen – miasto w Hesji, po wojnie siedziba Międzynarodowego Biura Poszukiwań (International Tracing Service – ITS) służącego ofiarom prześladowań nazistowskich i ich rodzinom poprzez dokumentowanie losów osób poszkodowanych. W Bad Arolsen znajduje się największe na świecie archiwum danych osobowych z czasów II wojny światowej, gromadzące pod auspicjami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wiele danych ofiar prześladowań, uchodźców, jeńców, robotników przymusowych i ofiar obozów koncentracyjnych. Archiwum to, przez lata zamknięte, jest dziś dostępne publicznie.

⁷³ Zob. przypis 69.

⁷⁴ Pismo Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej wydawane w Mannheim-Käfertal od 1945 (zob. przypis 25). Wśród pierwszych redaktorów byli m.in. Witold Pulc (zob. przypis 50), Marek Gordon (zob. przypis 49) i jego późniejsza żona Wanda Piątkowska, Józef Tomeczek, Władysław Ax-Pańczak. Periodyk ten, ukazujący się przez kilkadziesiąt lat, odegrał sporą rolę w życiu kulturalnym emigracji (J. Kowalik, *Prasa polska...*, wyd. cyt., s. 7-8; J. Kowalik, *Bibliografia...*, t. 2, s. 195).

Jurek jest w Bad Tölz. Nie mógł wytrzymać w Falkensteinie. Wcale mu się nie dziwię. Siedzi w Tölz od 2 tygodni, co robi – tego nie wiem. Miał otrzymać pracę w Kom. Wart. jako nauczyciel języka angielskiego.⁷⁵ Pisał dwa razy, ale krótko. Czekam na jego przyjazd do Monachium, bo ma jeszcze u mnie niektóre rzeczy. Może będzie w niedzielę, czyli jutro, może dopiero gdzieś w przyszłym tygodniu.

PKL? – czy ja wiem co z PKL-em. Kontakty z mojej strony zerwane, za wyjątkiem Jurka. Dwa tygodnie temu robiliśmy w Monachium z Jurkiem porządki w korespondencji PKL-owskiej. Dużo papieru spaliliśmy w ogrodzie.

Co z Muzą? Zasypia powoli. Spaliłem swoje wierszydła i zostawiłem może 10 sztuk. Mam zamiar wyuczyć się jakiegoś pożytecznego zawodu na emigrację. Nie jest więc wykluczone, że we wrześniu przeniosę się do Ingolstadtu na 3 miesięczny kurs. Albo murarski, albo elektrotechniczny. Zobaczymy.

Pociesz się, że nie tylko Ty chorujesz na serce. Będąc w badaniach w związku z odszkodowaniem za pobyt w KZ, lekarz stwierdził „Angina pect. vasomot. Cor mässig nach li.(nks) verbreitet Hochgedrängt. Verdacht auf Herzmuskel-schaden”. Odczuwam to od kilku lat, a mnie się wydawało, że płuca.

No tak Jasiu i to byłoby na razie wszystko.

Kronika, jak wiesz, leży.

I jeszcze jedna rzecz, sprawa Twoich wierszy. Odeśle je Tobie z powrotem. Otrzymałem 250 egzempli. Odsyłam 144.

6 – sprzedałem, należy się 4,30

30 – wziął Jurek Sten

70 – leży w Komitecie w Monachium, z czego sprzedano 5 egzempli., ale pieniędzy nie otrzymałem do dziś mimo kilkukrotnego upominania się, razem 250

Jasiu! po co mam to trzymać. Może masz inne możliwości i wyślesz gdzieś za morze, albo zabierzesz ze sobą. Ludzie w Niemczech są bez pieniędzy i jak widzisz nie kupują. To samo jest z innymi książkami, a prasa nie lepiej.

Załączam list z Wildflecken jako dowód.

No więc, Jasiu, w nadziei, że będziemy sobie teraz częściej pisywać, ślę Ci dużo miłych śląskich pozdrowień.

Twój
Jan Leszcza

Czy wyciągnąć z Komitetu resztę tych tomików? Wątpię i tak, czy tam jeszcze kto z Polaków zagląda. Napisz w tej sprawie.

[8]

piątek 4.11.49

Drogi Jasiu!

Piątek, piątkowe życie, stąd i humor nie zawsze na poziomie naszej emigracyjnej Klio. Gra się Kochasiu – sam wiesz, tę nędzną szmirę emigracyjnego

⁷⁵ Zob. przypis 25. W 1947 Amerykanie byli skłonni zarzucić program utrzymywania cudzoziemskich kompanii wartowniczych i rozwiązać wszystkie istniejące, w tym polskie. Redukcję wstrzymała jednak sowiecka blokada Berlina w 1948. Masowo tworzone wówczas nowe kompanie z ochotników pochodzących zza żelaznej kurtyny i dozbrajano już istniejące. Obok polskich powstały liczne jednostki niemieckie, czeskie, bałtyckie, ukraińskie, bułgarskie, a nawet jedna albańska. (W. J. Muszyński, dz. cyt.).

życia. Gra się... różnie, nie zawsze się myśli – i nie zawsze o starych bliskich. Nie chcę Cię nagabywać epistołami – ale postanowiłem napisać przecież raz choćby kilka słów. Donosiłem Tobie pocztówką, że Jurek Jur zadomowił się na Wasserburgerstr. Właśnie dzisiaj wstawił piecyk – który mu trochę dymi – po exlokatorze, przywieźliśmy z nim węgiel i drzewo. Chłopak zapalił, nos mu wybielał, żona się myje.

No widzisz Jasiu – reportażyk „literacki”: o byłych literatach. Czasem żartujemy na temat PKL-u i wspominamy stare czasy. Dużo się zmieniło – wiesz zresztą najlepiej. Jurek pracuje w komp. wart. jako nauczyciel ang. i porzucił pisanie – albo też, mówiąc inaczej – Muza go opuściła.

Ty Jasiu – jak widzę – nie poddajesz się z kośćcami, bronisz się, trwasz na cypelku lit. w Niemczech. Niech mi będzie wolno pogratulować Tobie wiersza w „Kulturze”. Ja – jak sam wiesz, od czasu do czasu daję znać o sobie, ale to tak... żeby „ino”.

W niedługim czasie będę pracował w tej samej komp. wart. co Jurek – może już za parę dni. Nie sposób wyżyć. Mam najlepsze chęci zasiąść do pracy dyplomowej, ale... czy jeszcze zdążę, nie wiem. Tak się wszystko składa, że trzeba powoli zacząć myśleć o wyjeździe. Miałem Kochasiu kontrakt pracy do USA, ale zrezygnowałem z niego... z uwagi na człowieka, który okazał się kobietą. Żenię się Jasiu za trzy tygodnie i chętnie zaprosiłbym Waszą Łaskawość na kieliszek „literackiej” wódki na weselu exliterata, w Monachium, na Wasserburgers itd. Dlaczego się żenię? bom wariat! to primo, secundo – nie chciałbym zostawić w Niemczech dziewczyny – jakkolwiek ma tu rodziców – na pastwę Niemców. Znamy się przeszło dwa lata! Miałeś kiedyś szczęście widzieć jej piętę, pukając do mnie. Wyjeżdżać na emigrację samemu... też nie bardzo... Lepiej z kobietą, która przeszła podobną gehennę, co każdy z nas. Amerykanka czy Australijka nie na nasze... kieszenie i nerwy.

To Jasiu tyle ciekawego. Jak jeszcze wszystko się ułoży, nie wiem. Dokąd wyjadę w końcowym efekcie, też jeszcze nie wiem, w każdym razie robię starania do USA, bo moja narzeczona ma tam dosyć liczną rodzinę. Żenię się z jeszcze jednego powodu – że jakkolwiek moja przyszła Mała jest Polką, nie posiada praw DP's i – stąd. Dziewczyna bez kompleksów, a to jest bardzo ważne dla takich ludzi jak my. Nie ma co ukrywać – źle z inteligentami na emigracji, a ze Ślązakami, którzy kochają swoich najbliższych... b. źle. Rodzina, zwłaszcza moja matka, nie chce zgodzić się na mój wyjazd z Europy, ale – mój Boże! – cóż ja mogę na to poradzić.

A Ty Jasiu, tajemniczy Borsuku! co z Tobą. Zdradz tajemnicę. Co zamierzasz robić?

Jak Ci się w ogóle... tego, wiedzie? Czy pracujesz jeszcze? Dlaczego postawiłeś nas na samym samiułtkim najszarszym końcu Twojego korespondencyjnego rejestru? Mam nadzieję, że dasz znać o sobie. Właściwie do nikogo już nie pisuję. Nie mam nawet pojęcia co stało się z tymi naszymi literatami, którzy jeszcze siedzą w Niemczech. Wiem tylko z prasy, że Gordon jest w Heilbronie ymcarzem⁷⁶, że Cygan coś tam jeszcze dycha, ponieważ ogłasza literackie łamigłówki w „Ost. Wiad.”⁷⁷. Na co nam przyszło, ha?!

Z światem utrzymuję kontakt za pośrednictwem Wiadomości londyńskich, które otrzymuję stale, z a raczej poprzez „Kulturę”, którą kompletuję. Otrzymuję jeszcze ponadto „Ost. Wiad.” i „Słowo Kat.”. Zresztą – to i tak właściwie wszystko, co jeszcze można otrzymać. Pozatem okropnie mało czasu.

⁷⁶ Zob. przypis 69.

⁷⁷ „Ostatnich Wiadomościach” – zob. przypis 74.

Dlatego też nie gniewaj się na mnie, że tak długo milczałem. A wypadło mi lepiej niż dotąd spełniać koleżeńskie obowiązki młodszego.

Jasiu! czy ogłosiłeś kiedykolwiek list do red. w Odrze⁷⁸ w sprawie Jesionowskiego? No bąknij słówko. Była w jednym z dawniejszych numerów Odry ciekawa rzecz – dla mnie, ponieważ było w tym liście wymienione pseudo konsp. „Kowalik”. A podpisał list... zaraz, zaraz – nie mogę sobie przypomnieć w tej chwili. Odra ta leży u Jurka. Ale nie gniewaj się, że indaguję w tej materii...

Kończąc – dużo serdecznych pozdrowień i mocny koleżeński uścisk ręki od tego samego co [do]tąd Ślązaka

Jan Leszcza

[9]

29 października 51 r.

Drogi Jasiu

dopytałem się w końcu o Twój adres. Miał go Marek Gordon, ale nie mogłem jakoś znaleźć. W końcu p. Wanda⁷⁹ doszukała się w szpargałach tego rozrzuconego poety adresu i oto – jak widzisz, melduję się od pozdrowienia – niech będzie pokwalony Jezus Krystus. Jak widzisz, z gwarą śląską zaczyna być u mnie coraz słabiej. Nie pisałem już gwarą blisko trzy lata. Zapomina się. Będąc przedwczoraj, to jest w sobotę na żywym dzienniku⁸⁰, który prowadzi red. Białasiewicz w lokalu Samopomocy N. Emigr. w Chicago⁸¹, a później u sławnego Lenarda⁸², o którym wspomina mimochodem Czapski w jednym z nr Kultury – dowiedziałem się nieco szczegółów nie od kogo innego, jak od p. Wandy Gordonowej. Zdziwiło mnie mocno, że siedząc w San Francisco, w mieście gdzie zdomowali się ponoć nieźle Lubomirscy – z którymi żyłeś dosyć blisko w okresie „Szlaku”⁸³, nie pomogli Tobie w Twojej sytuacji materialnej. Nie tyle pieniędzy, ile w związku z pracą fizyczną, którą wykonujesz,

⁷⁸ Zob. przypis 61.

⁷⁹ Wanda Gordonowa – żona Marka Gordona, zob. przypis 51.

⁸⁰ „Żywy Dziennik” był jednym z ciekawszych przejawów życia kulturalnego polskiej społeczności w Chicago i bardzo skutecznym narzędziem integracji tej społeczności, stworzonym przez nowo przybyłych emigrantów pod auspicjami Stowarzyszenia Samopomocy Nowej Emigracji w Chicago założonego 11 listopada 1949 jako organizacja apolityczna, mająca na celu niesienie emigrantom pomocy pod względem moralnym i materialnym, a także kultywowanie polskich wartości kulturalnych, tradycji i obyczaju polskiego oraz szerzenie wiedzy o Polsce. Pierwszym prezesem stowarzyszenia był Józef Białasiewicz (zob. przypis 16). Pierwszy program „Żywego Dziennika” przedstawiony został 7 kwietnia 1951, inicjatywa wygłosiła w lutym 1956 – ostatni program poświęcony był twórczości Mariana Hemara, który przybył do Chicago z Londynu. (W. Białasiewicz: *Legenda „Żywego Dziennika”* [w:] tenże, *W kręgu chicagowskiej Polonii...*, wyd. cyt., ss. 117-132).

⁸¹ Stowarzyszenie Samopomocy Nowej Emigracji w Chicago – zob. poprzedni przypis.

⁸² Restauracja rodziny Lenardów w Chicago była stałym miejscem spotkań polonijnego środowiska dziennikarsko-literackiego.

⁸³ *W rejonie frankfurckim ukazywał się (...) najlepszy na terenie strefy okupacji amerykańskiej ilustrowany magazyn literacko-informacyjny: „Na Szlaku”. Miesięcznik wydawali i redagowali Jan i Gabriela Lubomirscy, z początku w oparciu o międzynarodową organizację YMCA, później jako własne przedsiębiorstwo. Pismo uległo zawieszeniu w związku z reformą walutową, przeprowadzoną w Niemczech w lecie 1948 r., która stała się grobem niejednego wydawnictwa wychodźców.* (J. Kowalik, *Prasa polska...*, wyd. cyt., s. 8-9).

a co, wiadoma rzecz, nie służy zbyt Twojemu sercu⁸⁴. Po informacjach, które uzyskałem, przestałem się dziwić i rozumiem również Twój wiersz (drukowany w Ost. Wiad.) o butelce i miotle et c. Wiersz ten czytałem osobiście w Mannheimie, gdyż pracowałem przez pewien czas w red. Ost. Wiad., po zlikwidowaniu monachijskiego Center Lab. Service Co. Pracowałem tam od 2 kwietnia br. aż do chwili emigracji, to jest do 12 lipca b.r. (to znaczy w Ost. Wiad. – nawiasem mówiąc, nie gniewaj się za mój niedbały sposób pisania. Dziś poniedziałek. W sobotę położyłem się o 5 rano – to znaczy już w niedzielę o 5 rano, a wczoraj z niedzieli na poniedziałek o 12 w nocy i po pracy dzisiejszej nie jestem specjalnie dysponowany...). Niewiele będzie wart ten list, mój nauczycielu (zachowałem Twoje wszystkie listy, natomiast radzę: spał moje... dlaczego? wiesz lepiej ode mnie⁸⁵. Są nerwowe, nierówne et c.). Otóż... o czym to gadałem?... ah, tak! list mój będzie senny (i jest), ale chcę się odezwać, jestem młodszy, a czekałem daremnie po Twoim liście ostatnim z Bremy. Napisałem owszem, otrzymałeś chyba. Ja wiem, rozumiem dopiero teraz, będąc w USA (nawiasem mówiąc od dnia 26 września br), że tu odchodzi człowieka ochota od pisania listów. Mimo to wywaliłem już prawie 20 różnych listów, prywatnych i nieprywatnych, ale otrzymałem na razie tylko 4 odpowiedzi (nie będę musiał więc utrzymywać zbyt szerokich kontaktów korespondencyjnych, ci co nie odpowiedzą to jakby kamień z serca, prawda?). Pierwszy list, raczej kartka, pochodziła z „Wiadomości” Londyn, odpisał też (jako drugi) K. Wierzyński⁸⁶. Trzeci był Jarosław Horski z Wasserburger. 10 i jako czwarty dobry znajomy z OW⁸⁷. Piąty list będzie od Jasia Kowalika. Myślę...

Co do Żywego Dziennika. Marek Gordon rusza tu PKL-em, już się urządził jako tako. Wiesz o nim więcej ode mnie. Czytaliśmy wierszyki pomyśl. do b. dipisów. Marek, Zbigniew Chałko⁸⁸ (30letni młody poeta, który debiutował w tym roku w „Wiadomościach” wierszem pt. „Ziemia”) – no i ja. Gordon razem ze Szczepańczykiem przepaszam Szczepańczykiem mają raz w tygodniu godzinny program radiowy od 11 do 12 w pd, pt. „Echa i sygnały”. Czasem zupełnie rzeczowe audycje. Chałko ma 15 minut radia w tyg. i mówi na poziomie, czuć w nim z daleka prawdziwego poetę i literata. Szczepańczyk jest dobry i to nieraz b. dobry od strony dziennikarskiej, to samo Marek.

Co do mnie. Przyjechałem z żoną, siedzimy u krewnych żony w cichej uliczce biegnącej równoległe do Division St., gdzie tętni [jak] wiadomo życie

⁸⁴ W pierwszych miesiącach pobytu w San Francisco Kowalik pracował jako dozorca w szpitalu i jako pomywacz w restauracjach.

⁸⁵ Leszcza obawia się najprawdopodobniej, że gorzkie, antyniemieckie sformułowania zawarte w niektórych listach mogłyby dotknąć narzeczoną Jana Kowalika, Emmę, która była Niemką. Por. np. list nr 5 z 1 listopada 1948.

⁸⁶ Kazimierz Wierzyński, mieszkający wówczas na wschodnim wybrzeżu USA, odegrał wobec młodych poetów-emigrantów (Jan Leszcza, Zbigniew Chałko) rolę spolegliwego doradcy i życzliwego komentatora; miał spory wpływ na doskonalenie ich warsztatu poetyckiego.

⁸⁷ Oddziałów Wartowniczych – zob. przypis 25 i 75.

⁸⁸ Zbigniew Chałko (1921-1994), poeta osiadły w Chicago od 1951. Uczestnik powstania warszawskiego, jeniec w obozach na terenie Niemiec (kilkakrotnie podejmował próby ucieczki). Autor dwóch zbiorów poetyckich wydanych za życia: *Jaworowe niebo* (Londyn 1962) i *Strofy staromiejskie* (Nowy Jork 1977) oraz opublikowanego pośmiertnie tomu *Dłoń pełna snów (wiersze zebrane)* (Zebrał, opracował i posłowiem opatrzył Bogusław Wróblewski, Wyd. Test, Lublin 1997). Jego wiersze wysoko oceniał Kazimierz Wierzyński. Interesujący jest związek tej twórczości ze sprawami, którymi żyła wówczas Polonia chicagowska, a także aktywność publiczna autora: był on animatorem życia kulturalnego – współorganizował wspomniane „żywe dzienniki” (zob. przypis 80), współtworzył Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej i Klub Przyjaciół Warszawy, do której wracał nieustannie we wspomnieniach i w wierszach, a w swojej bibliotece posiadał największy chyba poza granicami Polski zbiór warszawianów.

Polonii. Mieszkanie mamy ładne, wygodne, ciepłe. Cała pociecha i radość po kąciku na Wasserburgerstr. 10, który był owszem... miły, ale ciasny i ubogi. Ogród był wprawdzie... bajka, ale to jeszcze nie wszystko. Płacę chwilowo 60\$ miesięcznie za sypialnię, jadalnię i (a la) salon, kuchnię, łazienkę, spiżarkę oraz odnajmuję (też chwilowo) sypialnię nr 2 londyńczykowi. W przeciwnym razie musiałbym płacić za 5-pokojowe mieszkanie 80\$ miesięcznie.

A propos londyńczyka chodzi tu o emigranta polskiego z Londynu, który przyjechał tu w tym samym czasie co ja. Pierwsze trzy tygodnie pracowałem ciężko, jak koń. Robiłem wszystko, zamiatałem, odbierałem z maszyny, wyładowywałem i ładowałem auta ciężarowe et c. Ostatnio zmieniłem miejsce pracy i pracowałem do dziś południa przy półautomatycznej wiertarce. Robota była lekka, ale nudna. Po południu (wyrzucili Amer., który opuszczał dni i zaniedbywał pracę) i pracuję przy maszynach-automatach, praca ciekawsza, ale odpowiedzialniejsza. Uczę się – jak widzisz – nowego zawodu (od zawiedziony dziennikarz). W USA nie napisałem jeszcze ani jednego zdania wierszem lub prozą liter. dziennikarską. Odpoczywam na „laurach”. Śmierć literaturze! Co Ty na takie metamorfozy, he?

Żartuję. Obiecuję sobie, że napiszę do „Ost. Wiad.,” ale nie mogę się jakoś na to zdobyć. Czytam ostatnio zaległe nry „Kultury”, na „Wiadomości” czekam i czekam. Innej prasy nie czytam. Dorywczo „Dziennik Związkowy” lub „Dziennik Chicagowski”, ale to okropne piśmidła. Znasz je zresztą dobrze. Osobiście nie przeżyłem zawodu jeśli chodzi o polską prasę w USA, gdyż znam ją doskonale z pobytu w „Ost. Wiad.,” gdzie mieliśmy oba dzienniki, „Nowy Świat” et c. Czytałem natomiast pierwszy nr pisma, red. przez p. Hrubyka. Tu też zetknąłem się z Twoim wierszem. Ale drugi nr jakoś nie pokazuje się.

W Monachium jak to w Monachium. Sten Jurek siedzi pod tym samym dachem co Horski i (niegdyś) ja. Mieszkaliśmy we trójkę. Jurek Sten pracuje w IRO na Funku, a Horski w YMCE też na Funku. Horski (biedny) chciałby do „raju” (to zn. do USA) i jest po CIC, ale ponieważ miał swoje potknięcie (się), więc boi się czy raczą go tu wpuścić. Swoją drogą, nie bardzo potrafię wyobrazić sobie Horskiego jako robotnika w USA. To samo Jurka. Jurek zwleka coś z emigracją, czuje pismo nosem, ale wie również doskonale, że dłuższy pobyt w Niemczech nie jest możliwy. Co zamierza nie wiem, gdyż Jurek ma w swojej krwi nieuleczalną dawkę trucizny konspiratorskiej.

To byłoby pokrótce, co mogłoby Ciebie zainteresować. A może myślę się co do tego rodzaju przypuszczeń? Niemniej myślę, że napiszesz kilka słów. Chciałbym nawiązać z Tobą – Jasiu – ponownie kontakt. Nie będę zarzucał Cię listami, ale od czasu do czasu byłoby dobrze wygadać się przed kimś bliskim, jak myślisz.

W oczekiwaniu, że dasz znać o sobie, pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i po śląsku

aż do usłyszenia, a później na nowo
ściskam Twoją garść

Twój
Jan Leszcza

PS Szkoda że Twoja choroba sercowa nie pozwala Ci na zmianę klimatu. A może dałoby się zmienić warunki klimatyczne Chicago? jak myślisz?

Drogi Poeto z Poetyckiej Okolicy,

najwięcej podoba mi się Twoje zaproszenie do San Francisco wierz mi że Chicago niespecjalnie przypada mi do gustu, które najlepiej określił Stanisław Baliński na podstawie widokówki, którą wysłałem do niego już stąd. Szukałem i szukam dla Chicago odpowiednika w poezji – na co jeszcze wciąż za wcześnie – ale wiem, że to „wylizie”? Powiedziane zbyt pochopnie, gdyż raczej obawiam się, że muza moja zamiast trzymać się swego jobu⁸⁹ pójdzie na listę bezrobotnych. Otóż Baliński napisał tak „Chicago jest pewno smutnym (w sensie metafizycznym) miastem”. Tak. Zgadł. W sensie metafizycznym jest to miasto, które podobnie jak N. York przypomina mi panoramę książki Orwella pt. *Rok 1984* (jeśli pomyliłem rok, mea culpa... pamięć!). Jeśli już chodzi o plotki literackie to Baliński nie ogłasza obecnie, gdyż „pisze poemat obyczajowy, epiczny, z humorem”. Chce wydać go w książce. Obecnie wyjechał na dłuższy okres czasu do Paryża. Podobnie Wierzyński pracuje, ale... my mali? Mareczek „lata”, w tej chwili słyszałem przez radio, że szykują na 8 i 9 b.m. w Chicago wielki wiec NiDu.⁹⁰ Nawiasem dowiedziałem się, że jest w nim czynny Marek G., J. Szczepańczyk⁹¹ (nie wiem czy J. Dobrowolski⁹², który siedzi już w Chicago od blisko 2 lat) i Z. Chałko, o którym wspomniałem Tobie w ubiegłym liście. Marek czyta na „Żywym dzienniku”

⁸⁹ ang. posady, pracy, zatrudnienia, zajęcia

⁹⁰ Pełna nazwa: Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja” – organizacja założona w Londynie 17 lutego 1945 przez piętnastu młodych inteligentów, w większości pracujących w różnych agendach rządu emigracyjnego. *Bodźcem do powstania grupy było przekonanie, że po decyzjach jałtańskich otwiera się czas długotrwałego pobytu na emigracji, na którą spadnie ciężar walki o niepodległość, a także politycznego i społecznego zorganizowania wychodźstwa* (Andrzej Friszke, *Życie polityczne emigracji*, wyd. cyt., s. 85). Podziały polityczne przeniesione na Zachód z Polski przedwojennej założyciele NiD-u uważali za w znacznym stopniu anachroniczne. Można zaryzykować opinię, że była to swoista emanacja polityczna pokolenia emigracji żołnierskiej – dużą rolę odgrywali w niej rówieśnicy Leszczy i Kowalika: emisariusze Jerzy Lerski (1917-1992) i Jan Nowak Jeziorański (1914-2005), pisarz Józef Garliński (1913-2005), a także ludzie pióra o dziesięciolecie starsi: Tymon Terlecki (1905-2000), Wiktor Weintraub (1908-1988) i Stefan Kordian Gacki (1901-1984).

⁹¹ Wojciech Białasiewicz w szkicu na temat „Żywego Dziennika” tak pisze o tej postaci: *Jerzy Szczepańczyk, partyzant AK z terenu białostockiego, w programach „Żywego Dziennika” prezentował interesujące wspomnienia z okupacyjnych lat oraz z partyzantki, a czynił to z ogromnym poczuciem humoru. Kolegów z zespołu opisywał w dowcipnej szopce chicagowskiej, opublikowanej na łamach miesięcznika „Zew Młodych”, w grudniu 1954 roku. Tłumaczył na polski Singera, wtedy, kiedy jeszcze nikomu nawet to się nie śniło, że w przyszłości ten żydowski pisarz tak sławnym będzie. W końcu przerzucił się na zawodowy handel znaczkami pocztowymi, znał się na tym, a handlował w powietrzu, korespondencyjnie. Podobno zarobił na tym spore pieniądze, przeniósł się z żoną na Hawaje, zmienił sobie nazwisko na Sten i ślad po nim zaginął.* (W. Białasiewicz, *W kręgu chicagowskiej Polonii...*, wyd. cyt., ss. 124-125).

⁹² Julian Dobrowolski – ur. w 1912 w Mszanie Dolnej, w rodzinie chłopskiej noszącej przydomek Szynalik, zm. w 1987 w Krakowie. Ukończył gimnazjum w Wadowicach, a w 1937 przez Węgry i Jugosławię przedostał się do Francji w szeregach polskiej III Dywizji Piechoty. Po kapitulacji Francji pozostał w Grenoble podejmując kolejne studia na miejscowym uniwersytecie i stając na czele Związku Studentów Polskich. Włączył się do antyhitlerowskiej konspiracji, aresztowany w 1944 w Lyonie uciekł z transportu i przedostał się do Hiszpanii. Tam przez kilka lat studiował język i literaturę hiszpańską. W 1949 emigrował do Chicago, gdzie kontynuował studia. Działacz Związku Podhalan w Ameryce i współredaktor „Tatrzańskiego Orła”. Uczestniczył w życiu kulturalnym Polonii, publikował w polonijnej prasie, był komentatorem radiowym, pisał wiersze o podhalańskiej tematyce, a jednocześnie, po uzyskaniu doktoratu na uniwersytecie w Madrycie, pracował na amerykańskich uniwersytetach. Ostatnio był profesorem literatury i języka hiszpańskiego na Uniwersytecie w Karolinie Północnej. Wydał kilka zbiorów wierszy. Zmarł nagle podczas kolejnej wizyty w Polsce. (W. Białasiewicz, *W kręgu chicagowskiej Polonii...*, wyd. cyt., ss. 598-599).

zawsze te same wiersze, w których dalekie asocjacje rymują się jak „balonik czarnej kawy” do... (nie chce mi się rymować). Przechodzi on w d.c. moją chorobę, z której już wyrosłem (okres ząbkowania) i nie mogę go sprowadzić na właściwą drogę. A szkoda. Chałko moim zdaniem ma większy talent od Marka i zaczął ulegać obecnie szkole Grydzewskiego, z czego większa korzyść niż z Pajbosia (Przyboś i Pajper). Co do mobilizowania „młodej poezji” dla Hrabyka. Odpowiedź leży już w [w]zmianie o NiDzie. Ponadto Marek rzuca się całą głową w obtańcowywanie rekinów polonijnych. Wiesz że siedzi w „Dzienniku Związkowym” (w admin.) a żona w „Związku”⁹³ jako sekretarka p. Dymkowej⁹⁴. Resztę wolnego czasu zabierają mu (i im) posiedzenia AK, które odbywają się co tygodnia w mieszkaniu Marka i trwają zwykle dwa dni, w niedzielę Marek i Szczepańczyk dają godzinę radiową pn „Echa i sygnały”. Dotyczy to wszystkie wymienione tu osoby. Ja zaś – jakkolwiek nie jestem kontra pracy społeczno-politycznej – nie widzę potrzeby wtykania nosa tam gdzie mogą robić to z powodzeniem inni. Zresztą poznałem już podkład tych wszystkich poczynań na terenie USA – d o l a r. Zdolaryzowali się tu wszyscy... mali literaci za wyjątkiem Wierzyńskiego i Lechonia, którzy pracują. Dolaryzacja to nr 1, dalej – ambicje, przerost ambicji (zauważalny u Marka, u innych też, a z tym pobłażliwe traktowanie innych) i jeszcze... zazdrość i radość cicha jeśli ewentualny rywal na tym polu siedzi cicho. Ja zaś widząc to wszystko, a więc pozorną pomoc... w słowach, plus odcień politowania plus radość w sensie „a dobrze ci! poznaj USA!” postanowiłem odsunąć się całkowicie w cień. Mój program jest taki – znaleźć sobie jak najszybciej odpowiednią (lżejszą) pracę fizyczną, opanować język ang. do tego stopnia ażebym mógł nawiązać konkretne kontakty z prasą amer. i w wolnych chwilach praca nad sobą samym (ewent. poezja jako privatejob). Ostatnio zmuszony byłem rzucić pracę, która zresztą zaczęła mi odpowiadać (awansowałem do maszyn automatycznych najpierw jako pomocnik, z wyższą pensją), ale musiałem ją rzucić, gdyż organizm mój – niestety – nie znosi oliwy. Dwa tygodnie kurowałem się, gdyż ciało pokryte miałem b. złośliwą wysypką.

Powracając do ustępu (ale nie ubikacji OO), w którym uzasadniam, że niewielka pociecha z mobilizacji poetów, powymieniałem cały szereg zajęć tych ludzi, z czego mógłbyś przypadkowo wysnuć fałszywą opinię, w sensie że zaangażowanie w AK lub w NiDzie przeszkadzać mogłoby kontynuacji współpracy z Hrabikiem. Byłoby to mylne. Sam fakt że wymieniłem tyle różnych zajęć tych ludzi miał dać do zrozumienia, że brak im będzie czasu na duperele à la PKL. Wprawdzie Marek ciągle o tym PKL-u mówi, ale ogranicza się to jedynie do takich pomysłów jak ostatnio projekt balu PKL-u (dochodem podzielić się). Natomiast nie było jeszcze ani raz posiedzenia gdzie rozmawiałoby się na tematy literackie w sensie samokształceniowym (np. wieczór autorski i krytyka, dyskusje itp.) lub ażeby zorganizować sekretariat, nawiązać kontakty z Wierzyńskim, Lechoniem, Jantą, Gombrowiczem, Iwaniukiem itd., pomyśleć o ożywieniu org. Marek nie zgadza się w żadnym wypadku, ażeby wziąć „w opiekę” młodych adeptów pióra wśród starej Polonii. Osobiście oceniam tu b. pozytywnie J. Szafrąncę, b. górala,

⁹³ Związek Narodowy Polski – największa i jedna z najstarszych organizacji polonijnych w Stanach Zjednoczonych, założona w 1880 w Filadelfii, dysponująca znacznymi możliwościami finansowymi i organizacyjnymi. W maju 1944 Związek był jednym z głównych założycieli Kongresu Polonii Amerykańskiej. (Warto zaznaczyć, że postawa KPA wobec interesów polskich w pojałtańskim ładzie światowym, a w szczególności wobec nacisku repatriacyjnego i możliwości osiedlania się w USA, bliska była oczekiwaniom emigrantów z pokolenia wojennego – zob. Andrzej Friszke, *Życie polityczne emigracji*, wyd. cyt., ss. 50-51).

⁹⁴ W owym czasie wiceprezesa Związku Narodowego Polskiego.

1 grudnia 51 r.

Drogi Poeto z Poetyckiej Okolicy,

najwięcej podoba mi się Twoje zaproszenie do San Francisco wierz mi że Chicago nie specjalnie przypada mi do gustu, które najlepiej określił Stanisław Baliński na podstawie widokówki, którą wysłałem do niego już stąd. Szukałem i szukam dla Chicago odpowiednika w poezji - na co jeszcze wciąż za wcześnie - ale wiem że to "wylizie".? Powiadziane zbyt pochopnie, gdyż raczej obawiam się że muza moja zamiast trzymać się swego jobu pójdzie na listę bezrobotnych. Otóż Baliński napisał tak "Chicago jest pewno smutnym /w sensie metafizycznym/ miastem. Tak. Zgadź. W sensie metafizycznym jest to miasto które podobnie jak N.York przypomina mi panoramę książki Orwella pt. rok 1984. /jeśli pomyliłem rok, mea culpa... pamięć! / Jeśli już chodzi o plotki literackie to Baliński nie ogłasza obecnie, gdyż "nisze poemat obyczajowy, epicki - ny, z humorem". Chce wydać go w książce. Obecnie wyjechał na dłuższy okres czasu do Paryża. Podobnie Wierzyński pracuje, ale... my mali? Mareczek "lata", w tej chwili słyszałem przez radio że szyciują na 8 i 9 b.m. w Chicago wielki wiec NiDu. Nawiasem dowiedziałem się że jest w nim czynny Marek G.J. Szczepańczyk /nie wiem czy J. Dobrowolski, który siedzi już w Chicago od blisko 8 lat/ i Z. Chałko, o którym wspominałem Tobie w ubiegłym liście. Marek czyta na "Zywym dzienniku" zawsze te same wiersze, w których dalekie asocjacje rymują się jak "balonik czarnej kawy do... /nie chce mi się rymować/. Przechodzi on w d.c. moją chorobę, z której już wyrósłem /okres zabkowania/ i nie mogę go sprowadzić na właściwą drogę. A szkoda. Chałko moim zdaniem ma większy talent od Marka i zaczął ulegać obecnie szkole Grydzewskiego, z czego większa korzyść niż z Pajbosia /Przyboś i Pałper/. Co do mobilizowania "młodej poezji" dla Hrabyka. Odpowiedź leży już w zmianie o NiDzie. Ponadto Marek rzuca się całą głową w obtancowywanie rekinów polonijnych. Wiesz że siedzi w "Dzienniku Związkowym" /w admin./ a żona w "Związku" jako sekretarka p. Dymkowej. Resztę wolnego czasu ~~zab~~ zbierają mu / i im / nosiedzenia AK które odbywają się co tygodnia w mieszkaniu Marka i trwają zwykle dwa dni, w niedziele Marek i Szczepańczyk dają godzinę radiową pn "Echa i sygnały". Dotyczy to wszystkich wymienione tu osoby. Ja zaś - jakkolwiek nie jestem kontra pracy społeczno-politycznej" nie widzę potrzeby wtykania nosa tam gdzie mogą robić to z powodzeniem inni. Zresztą poznałem już podkład tych wszystkich poczyniń na terenie USA - d o l a r, Dolaryzowali się tu wszyscy... mali literaci za wyjątkiem Wierzyńskiego i Lechonia, którzy pracują. Dolaryzacja to nr. 1, dalej - ambicje, przerost ambicji /zauważalny u Marka, u innych też a z tym pobłażliwe traktowanie innych/ i jeszcze... zaszczerść i radość cicha jeśli ewentualny rywal na tym polu sędzi ~~zab~~ cicho. Ja zaś widząc to wszystko, a więc pozorną pomoc... w słowach, plus odciętą politykowania plus radość w sensie "a dobrze cię poznaj USA!" postanowiłem odsunąć się całkowicie w cień. Mój program jest taki - znaleźć sobie jak najszybciej odpowiednią /lżejszą/ pracę fizyczną, opanować język ang. do tego stopnia ażebym mógł nawiązać konkretne kontakty z prasą amer. i w wolnych chwilach praca nad sobą samym. /event. poezja jako private-job/. Ostatnio ~~zab~~ zmuszony byłem rzucić pracę która zresztą zaczęła mi odpowiadać /awansowałem do maszyn automatycznych najpierw jako pomocnik, z wyższą pensją/ ale musiałem. Ja rzucić gdyż organizm mój - niestety - nie znosi oliwy. Dwa tygodnie kurowałem się, gdyż ciało pokryte miażem b. szkodliwą wysypką.

List Jana Leszczy do Jana Kowalika z 1.12.1951 r.

który wydał nakładem „Podhalań” tomik wierszy pt. „Z ojczystych ziem”. Nawiążę z nim kontakt na własną rękę (o ile zechce rozmawiać ze mną). Nawiasem mówiąc Szafraniec nie jest już młodym adeptem, bo to starszy „gość”, ale przydałaby mu się szkoła literacka. Nie pomyśl sobie potem, że jestem malkontentem i że chcę hamować rozwój naszej komórki. Przyczyny, które podałem, uzasadniają wszystko. Swego czasu włożyłem masę roboty w na ogół mało produktywne zajęcie jako sekretarz PKL-u. W Niemczech byliśmy sobie równi statusem materialnym. Tu jest – inaczej. Nie zazdroścę, nie zrozum mnie źle. Ale widząc kompletną obojętność, groszorbstwo i taką specyficzną z a r a d n o ś ć społecznikowską, co można było obserwować w Niemczech na wysokości różnych prezesurek, to mnie odstrasza. Wolę trzymać się mojej własnej samotności, która przyniesie mi może większe korzyści niż bicie czołem w lewo i w prawo, co uwieńczyłbym na początek lżejszą może pracą inteligencką na szczeblu woźnego lub skryby w tej czy innej instytucji polskiej w Chicago, względnie lądując jako speaker radiowy na ogłoszeniach polskich restauracji. Jestem zniechęcony do tej myślej ruchliwości b. dipisowskich kombinatorów. Chcę raz nareszcie odetchnąć od tego. I dlatego rozmowy z nimi męczą mnie. Wolę się pochwalić uznaniem Wierzyńskiego, niż uznaniem tej czy innej Pani (szacowanym d o l a r o w o). To są główne przyczyny, że nie mam zamiaru angażować się w tzw. PKL-u. Idę własną drogą. I koniec. Rzecz jasna, że polecą na Hrabyka jeśli dowiedzą się o pewnych możliwościach zarobkowych, chociaż w to mało wierzę, nie ubliżając p. Hrabykowi, którego lubię i cenię jako redaktora i publicystę. Posłałem mu wiersz do świątecznego nru, za który obiecał mi zapłacić 5\$. Nie wiem, czy Tobie płaci. A piszę otwarcie. Pośredniczył w tym samorzutnie p. Wierzyński, który chciał mi koniecznie pomóc. Oczywiście ubawilem się trochę, boć przecież p. Hrabyka znam osobiście i mogłem zwrócić się do niego bez czyjegóż pośrednictwa. Ale jest to jednak piękny gest ze strony Wierzyńskiego.

I tak pokrótce naświetliłem Tobie sytuację w Chicago. Jest to odpowiedź na niektóre fragmenty Twojego listu. Wierzyńskiego powiadomiłem o Twojej prośbie, ale nie udzielałem żadnych komentarzy, czego – wiem – nie lubisz. Wolisz mówić sam za siebie. A oto jego adres: K.W.P.O. Box 525. SAG HARBOR L.I., N.Y.

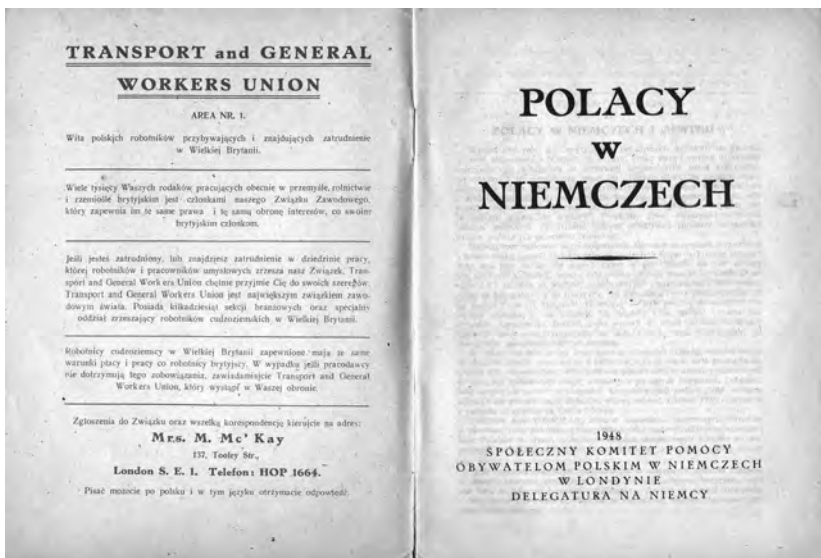
Co do przyjazdu do S. Fr. wołałbym siedzieć razem z Tobą, zwłaszcza że zapowiada się małżeństwo z Emmy (Jasiu, b. słuszną myśl, mogę tylko pogratulować, wyjdzie to na zdrowie Twojemu sercu, samotność w twórczości może być aktem samowiedzy artystycznej, ale w życiu... nie. Czas już na Ciebie. Jako żonaty mogę p o l e c a ć . Sam osobiście jestem b. szczęśliwy). Tak – i raz jeszcze co do San Fr. ważne są możliwości zarobkowe. Tam brak przemysłu, więc z czegoż żyć, a mieszkanie? Nic o tym nie pisesz. Zobrazuj sytuację, ale obiektywnie, realnie⁹⁵. Wiesz, poezja poezją, ale życie jest faktem dokonany. Co do „złowrózbebnego” rozszczepienia (lub jak u Ciebie rozczepienia) wewnętrznego. Zauważyłem to na wierszach, które przesałaś swego czasu do „Ost. Wiad.” no i na wierszach drukowanych w „Sprawie polskiej”. Zwłaszcza tragiczny jest ten następny (nie pamiętam tytułu). Mówisz w nim o samounicestwieniu w falach oceanu. Nie wiem co to ma znaczyć? Nie było tego akcentu w wierszach pisanych w Niemczech. Ja to

⁹⁵Ten pierwszy impuls okazał się jednak inspirujący. Niespełna osiem lat później, w 1959, Leszcza przeniósł się na stałe do Kalifornii – osiadł wraz z żoną Olgą w Los Altos, gdzie mieszkał aż do śmierci w 1992.

mam, pisze Baliński tak: „Z wierszy wynika u Pana (mimo pozornej nieraz „pogody”) – melancholia rozczarowań, straszliwych rozczarowań. Motyw tej melancholii wydaje mi się silniejszy od „pragnienia i wiary w lepszy świat. Czy tak?”. On zgadł. Ale... Ty wiesz. Po co jeszcze pisać. Te Twoje akcenty ostatnie jeszcze więcej nas zbliżają do siebie... Ot i koniec papieru (jak w liście prostego Ślązaka „Pozdrawiam Cię butelką chmielu, bo już nie mam papieru”). O reszcie innym razem. Napisz znowu. Wiersze wydawaj! Ściskam Twoje dzielne łapsko.

Twój

Jan Leszcza



Karta tytułowa raportu na temat Polaków w Niemczech opracowanego w 1948 r.

Bydle

Kobieta miała bosc stopy i spódnicę podwiązaną powyżej kolan. Mężczyzna ściągnął koszulę i został w czarnych spodniach. Dziecko leżało na chustce i wyło. Nikt nie zwracał na nie uwagi, aż wymęczone płaczem usnęło. Niżej stał kosz z chlebem, jajkami i zsiadłym mlekiem. Mężczyzna splunął, a kobieta podeszła, by sprawdzić, czy dziecko śpi w cieniu. Potem wróciła do pracy. Koń był biały, wysoki i ciągnął pług. Mężczyzna lejcami okładał go po kibici. Czasem, gdy ugrzązł w błocie, chlastał go metalową końcówką, aż się poderwał. Mówił wtedy do kobiety:

– Tępe bydle tylko pięknie wygląda.

Potem zamyślony, sam do siebie dodawał:

– Ale się dałem w chuja zrobić.

Pracowali od świtu, ale w ciągu dnia nie obrobili nawet ara. Drogą, która biegła wzdłuż pola, przejeżdżały od czasu do czasu wozy. Woźnica podnosił kapelusz, a kobieta odwijiała spódnicę i zasłaniała łydki. Mężczyzna nic nie robił, tylko patrzył.

– Ładny koń – wołał czasem któryś.

– No – odpowiadała mężczyzna pod nosem.

Kobieta szła za pługiem – wyrwała chwasty i trawy. Zbierała je do płóciennego worka. Później wysypywała do ogniska, które tliło się kilka metrów od dziecka.

Robili dwie przerwy na jedzenie w ciągu dnia. Po zmroku, gdy kończyli pracę, mężczyzna pił wódkę, a kobieta gadała. Koń pił wodę. Do domu wracali przez brzozy las. Koń szorował brzuchem o wysokie trawy. Kobieta karmiła dziecko piersią, aż z zaschniętą wokoło ust obwódka usypiało. Gdy kobieta mówiła zbyt dużo i zbyt głośno, mężczyzna przerywał:

– Bądź już cicho.

I odwracał się na drugi bok. Przodem do pieca.

Nocą przeszła burza i kopyta konia grzęzły w błocie. Mężczyzna bił go po grzbiecie. Mówił do kobiety:

– Jeśli bydle stanie, już go nie wyciągniemy.

Po deszczu przybyło komarów i twarze mężczyzny, kobiety i dziecka pokrywały bąble. Koń wywijał długim i gęstym ogonem. Na błocie, którym był obklejony jak skorupą, siadały muchy.

Potem zagrała trąbka oraz narastał tętent. Najpierw odległy, później bliższy, od strony lasu.

Mężczyzna stanął i wyciągnął papierosa. (Skręcał je przed snem, z gazet, jakie kupował w niedzielę, po kościele.)

Kobieta odwinęła spódnicę i podeszła do dziecka, które pokąsane przez owady czkało.

Koń postawił uszy i wyprostował grzbiet.

Gdy pierwsze linie wychyliły się z lasu, trąbka zagrała ponownie. Potem wyjechały dalsze rzędy, w równym szyku – po czterech.

Mężczyzna powiedział sam do siebie:

– Byleby mi pajace pola nie rozjechali.

Wtedy koń, mimo iż był zapięty do pługa i ugrzęźnięty w błocie, zerwał się i pognął w kierunku wojska. Pług obrócił się w pędzie i ciągnął po ziemi za koniem. Gdy koń dotarł do drogi i poczuł twardy grunt pod kopytami, ruszył dalej kłusem. A kiedy zrównał się z pierwszym szeregiem żołnierzy, wykonał obrót (rozbijając przy tym pług) i tym samym tempem co pozostałe konie pomaszerował przed siebie. Żołnierze śmiali się i pokazywali na konia, który maszerował jak każdy inny koń w kolumnie.

Mężczyzna wybiegł przed kolumnę i machając kapeluszem, zatrzymał jeźdźców. Kijem, który miał w ręku, bił konia – po pysku i szyi.

– Ożeż ty! – krzyczał.

Oficer, który jechał wzdłuż kolumny, ustawił się między mężczyzną i koniem, odgradzając ich od siebie.

– To twój koń? – zapytał.

– Mój – odparł mężczyzna.

– Skąd go masz?

– Kupiłem.

– Od kogo?

– Nie pytałem. Koń mnie interesował, nie handlarz... Ale mundur – dodał po chwili – miał inny niż wasze.

– A skąd ma to? – zapytał oficer, wskazując na cięgi po bokach konia.

– To ciężka praca, panie oficerze.

Żołnierze, zmęczeni jazdą, wykorzystali przerwę i zapalili papierosy, ale pozostali w szyku.

Kobieta z daleka obserwowała męża i żołnierzy. Tuliła dziecko, które przestało płakać, tylko łąpało jej włosy.

Mężczyzna stał na drodze, a oficer na koniu ustawił się do niego bokiem.

– To twoje pole? – zapytał oficer.

– Moje – odpowiedział mężczyzna.

– I on – wskazał na konia – tak od dawna?

– Od wiosny. Kiedy jest robota.

– Ile za niego chcesz?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu, tylko patrzył w ziemię. I oblizywał wargi. Potem powiedział:

– Drogo za niego dałem. I potrzebny mi teraz...

– Kupisz innego.

– Przywiązałem się. Ładny jest...

– Ile?

– Lepszy od klaczy, którą miałem poprzednio. Nie głupie bydle, tylko...

– Ile, do diabła, bo obję?!?

– Sto.

Żołnierze nie rozbili szyku, ale jak mogli podjechali do przodu. Pytali między sobą: i co?, i co?, i co?

Kobieta, coraz bardziej zaniepokojona rozmową, której nie słyszała, ale która przedłużała się bardziej niż powinna, nuciła dziecku, które zasypiało, zaplątawszy palce we włosach matki.

Żołnierze powtarzali rząd za rządem przebieg rozmowy, aby ci z końca wiedzieli, co się dzieje.

- I co powiedział?
- Że chce sto.
- Sto! Za taką chabetę, która nadaje się tylko do rzeźni.
- Chytry, pazerny chłop!
- Powinniśmy go wychłostać.

Oficer podjechał bliżej i zapytał:

- Czy to aby nie za dużo za starego konia?
- Ależ panie oficerze – odpowiedział mężczyzna, uderzając się w pierś. –

Przywiązałem się do niego. I proszę spojrzeć, jakie ma zęby.

- A jaką piękną skórę – dodał.

Z tyłu odezwało się kilka głosów, które sugerowały, aby wziąć naciągacza pod oficerki, ale oficer podniósł rękę i krzyki ucichły. Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni, skąd wyciągnął portfel.

Żołnierze z tyłu upominali tych z przodu, aby na bieżąco przekazywali im relację.

- I co zrobił starszy?
- Zapłacił.
- Ile?
- Nie wiem. Cały plik rzucił. Z tysiąc. Albo dwa tysiące.
- O Jezu!
- Czy on rozum postradał?

Mężczyzna biegał po polu i zbierał banknoty.

Szyk kolumny pękał, bo ci z końca nie wierzyli w to, co usłyszeli. Chcieli na własne oczy zobaczyć, jak ich zwierzchnik wydaje fortunę na umierającego konia.

Kobieta odwróciła się w kierunku brzoźowego lasu i nuciła. Dziecko, które trzymała na rękach, usnęło z otwartą buzią.

Wtedy oficer podjechał do konia, który nadal stał w szeregu, obok pozostałych koni. Poglaskał go po pysku i poczęstował prosem. Odbezpieczył rewolwer i przystawił koniowi do skroni.

Gdy strzelił, koń nie padł od razu, tylko stał jeszcze przez chwilę, a z ucha ciekła mu krew.

Dziecko, wystraszone wystrzałem, obudziło się.

Łukasz Suskiewicz

Książki nadesłane

Korporacja Ha!art., Kraków

Sławomir Shuty: *Jaszczur*. 2012, ss. 237.

Ziemowit Szczerek: *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian*. 2013, ss. 222.

Wojciech Bruszewski: *Big Dick. Fikcja dokumentalna*. 2013, ss. 317.

MICHAŁ JAGIEŁŁO

W garści

Po lewej, w Kotle Gąsienicowym – kipi mgła,
po prawej – otwarte: od Trzech Koron po Babią.
W siodle na Uhrociu kozice – dziewczę i chłopiec.
Czy to my oboje? W wykrocie przeszłego?
Zjazd i w górę, i znowu – narciarski kołowrót.
Koło wrót – chłopskiemu synowi,
jeśli tyłkonie zapadła herbowa chęć,
wszystko się ko-jarzy.

Skrzydła wrót rytualnie wyłożone na rozcież.

Obejmuje dłońmi przetak zachodzi słońce
zmarznięta ziemia pod butami z podkówką
jest przejęty będzie śniegiem siał chce się
zaśmiać a tu ciemno ostre źdźbła na twarzy
smak krwi brakuje oddechu...

Powoli, krok za krokiem, po okręgu, z batem.
Nie musi nim wymachiwać. Wystarczy, że jest
przez nie dostrzegany. Chomąta, postronki,
kierat i to monotonne krążenie w dygocie.
Stodoły, podwórka, jabłonek w sadzie, myśli.

Zsunął się między pękate brzuszyska
słomy, z czubka stogu aż do samego
dna.

Wraca to co jakiś czas: głowa się rozrasta,
to już wielki balon nad małym tułowiem,
i on w nim – świadomość siebie oglądającego
parę: otwarte usta, łomot młockarni, chłopskie
portki w rozchylonych kobiecych udach.
Odpocznij spokojnie teraz utrymuj rytm
ofiaruj nam mój krzyk.

Albo ta poprzeczna belka: przyniósł ją
z lasu, ostrugał, wysuszył, przypasował
w jej przypisany porządkiem stawiania
staw.

A teraz – na oczach zmartwiałych tym widokiem
wnucząt – powróż.
Wiąże. Zapętla. Przymierza. Łypie. Czy widzą.

Budzi się po sześćdziesięciu latach.
Gdzie kary i gniady? Gdzie bat aby
się popędział?
W kręgosłupie „uhrocia” – grot.
Sprawdź czujnie
opuszkiem
ostrość.

Kozy, jakby przed czymś uciekając, zaciekle
grzebią racicami – i nagle znikają w skale.
Nie widzieć nie słyszeć nie czuć.

Czerpać potok przetakiem.
Na próżno?

W spoconej garści – drzenie.

Rozliczenie

Konie do wozowni, owce do stodoły,
krowy uwiązane do jabłonek w sadzie,
ptactwo upchane w suszarni tytoniu.
Chlew, stajnia i kurnik oczyszczone z gnoju,
do gołego klepiska – aż strach wejść.
Pusto. Czy to wciąż jest ten świat?
Nawet psy drżą z niepewności.
Dziadek zsuwa na kark kapelusz. A przecież
nie pił dziś nalewki z czarnego bzu.
Dotyka dłońmi ściany jakby szukał w nich
przejścia.
Ojciec liczy nory. W samym chlewie – siedem.
Co to może znaczyć?
Ma pobladłą twarz. Jak wtedy, gdy mundurowi
zabrali go autem, niczym zbrodniarza, tylko
za to,
że Zagroda nie nadążyła
z oddawaniem zboża – z tą podłą pańszczyzną
chwytającą
kmieci za gardło.

Na podwórku w ciasnym półkolu
gospodarze i kawalerka w wysokich
butach – dla bezpieczeństwa.
Ci, przeciwko którym odważamy się wystąpić,
potrafią być groźni, trzeba więc chronić.
Oczy, twarze, włosy, męskie przyrodzenie
i kobiece tajemne futerka.

Babcia, mama i siostra w portkach pod sukienki,
gumowce, głowy okutane w chustki, każda w swoim

wyobrażonym przebieraniu dorodnych ziaren
rózańca.

Doglądają ognia.
Koło studni.
W polowym.
Palenisku.

Widły łopaty grabie żelazne pręty kije.

Parujący kocioł, i w te jamy, w wykwity podziemi.
Wrzątkiem, krzykiem, ostrym słowem. Żeby tylko
ta nasza liturgia nie była
nadaremna.

Poparzone, wyskakiwały z nor.
Zapełniliśmy nimi głęboki dół.

Wymknął się jednak wielki, z jasną pręgą
na grzbiecie. Znalazł lukę między nogami Eli
– co przy nadziei – i w żyto, już wykłoszone.
A tu wnet żniwa. I rozwiązanie u siostry.
Żeby tylko nie chciał się na nas
mścić.

Królu, stalinie, bierucie, sekretarzu.
I wy wszyscy – książkowi. Wymowni.
Wciskający się
przemalowanymi słowami
w żywe ciało
marzeń o lepszym
świecie.

Leży w podłużnej ranie rodzinnego pola
a może w lodowej ścianie skulony owinięty
otępieniem przypuszcza że wypęłza ze snu.

Pożarliście Zagrodę. Jeszcze wam mało?

Garstka opatrności

Stół w bieli pasyjka święcona woda.

Okno kuchni wyświetlało jabłoń śliwkę smukłą
wiązy tuż przy drodze wysoką skarpę i orne pole
zlewające się z niebem.
Co jakiś czas z niewidocznego lasu objawiały się
wrony bywały też sarny a raz nawet jeleni.
Wyszła ku niemu. Co mi chcesz powiedzieć?
Przeżegnała się bez przekonania. Narzuciła

na twarz zapaskę.
Lepiej już odejść – pomyślała wbrew sobie –
Mój Ty Rosochaty.

W nocy rozbierało-dobierało ją dwóch.
Aż do bólu piersi o świcie.
Po cichutku, żeby nie zbudzić rodziny,
sięgnęła pod łóżko po skrzyneczkę
i schowała w nią ten sen co wziął ją
z zaskoczenia.

Upał południe rozgrzany pył wycisza
odgłosy koń w pianach biała koszula
czarna kamizelka spostrzega ją wśród
drzew zatrzymuje wóz Dawid nowy.
Cielaki gęsi jaja ser miód kapusta orzechy
twarz oczy ręce szczupłe palce uśmiech
tajemne wyczekiwanie na jego kolejny
wjazd na podwórko pierze kaczki indyki.

Z czego tu się spowiadać? Nikt nie będzie
rozbierał moich myśli i snów.

Korale i jedwabna chustka. W szkatułce.
Z wiśniowego drewna. Od niego. Za zgodą
męża i całej Zagrody.
Z błogosławieństwem stodoły. Łuska kłosy
pszenicy. Parę ziaren do ust,
jedno przylgnęło do jej ramienia,
resztę wysypuje na dłoń.
Trzymaj mocno w garści. Trzymaj mnie.

Zapalają świece. Czeka ją ostatnie
namaszczenie.
Chciałaby zaprotestować. Nie może.
Odjęło jej głos ograniczyło ruchy zamgliło
wzrok. Na amen odebrało wiarę.
Byle tylko wytrwać.

W szkatułce na skarby garść
ziemi
kamyków
popiołu.

Michał Jagiełło

Wiersze pochodzą z tomu *Przemiana*, który autor przygotował dzięki stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

MAŁGORZATA KRAKOWIAK

Kraj wielkich nadziei i widma przeszłości

O powieściach Diane Armstrong

Diane Armstrong to jedna z bardziej poczytnych współczesnych pisarek australijskich. Zadebiutowała w 2001 roku, dość późno, bo w wieku 62 lat. Już w chwili powstawania pierwszej książki, która stanowiła próbę rekonstrukcji dziejów jej własnej rodziny, najważniejsza była dla autorki – widziana nie tylko z perspektywy prywatnej, osobistej – historia. Nie chodzi w tym wypadku o zainteresowania czysto intelektualne; wręcz przeciwnie – pasja historyczna wyrosła bezpośrednio z życiowych doświadczeń Armstrong. Urodziła się ona w 1939 roku w Polsce w rodzinie żydowskiej. Po wojnie wraz z ojcem i matką wyjechała do Australii, by rozpocząć nowe życie, co nie oznaczało jednak zerwania związków z przeszłością i krajem dzieciństwa.

Chociaż w czasie wojny Armstrong była jeszcze małym dzieckiem, wspomnienia z tamtego okresu nieustannie powracają w jej książkach, stając się podstawą do podjęcia rozważań na temat dobra i zła, natury człowieka. Doświadczenie wojny, podróż, budowanie nowego życia w Australii oraz powrót do kraju dzieciństwa to elementy biograficzne, na których opiera się twórczość Armstrong oraz wielu innych australijskich pisarzy polskiego pochodzenia.

Napływ emigrantów do Australii po 1945 roku spowodowany był oddziaływaniem kilku czynników. Koniec zawieruchy wojennej w Europie to równocześnie początek łagodniejszej polityki migracyjnej władz australijskich i powolne odchodzenie od dyskryminacyjnej ideologii „białej Australii”, zgodnie z którą obywatele Wielkiej Brytanii byli faworyzowani i traktowani jako najbardziej pożądana grupa narodowa. Większe otwarcie na inne nacje wpłynęło na zwiększenie emigracji z krajów Starego Kontynentu, w tym i z Polski, a przybywający do Australii ludzie wierzyli, że stanie się ona dla nich nową ojczyzną. XX-wieczna emigracja polska na antypody miała kilka fal – w znacznej mierze podyktowanych przez historię. Najważniejsze z nich to lata 1947-1954 (ponad 50 000 osób), 1957-1966 (prawie 15 000) oraz 1980-1991 (ponad 25 000). Każda przynosiła Australii zarówno poszukiwanych pracowników fizycznych, jak i przyszłych naukowców oraz artystów.

Powojenna Australia stawała się zatem coraz bardziej różnorodna, a w literaturze szczególną rolę zaczęły odgrywać wspomnienia i biografie. Osobista narracja, sięganie po doświadczenia z przeszłości i odwoływanie się do wydarzeń, które miały miejsce w innych częściach świata, sprzyjały rozwijaniu tematu związanego z poszukiwaniem tożsamości – kwestii nadal niezwykle istotnej dla mieszkańców wielokulturowej Australii. Podobne przeżycia pokoleniowe emigrantów sprawiły, że z jednej strony można mówić o pewnej grupie motywów, które często pojawiają się w powieściach Armstrong i innych pisarzy australijskich o emigracyjnej przeszłości, z drugiej jednak strony bogactwo tego typu piśmiennictwa utrudnia dokonanie precyzyjnej klasyfikacji oraz wskazanie wspólnego mianownika

dla niekiedy bardzo osobistych i indywidualnych doświadczeń wojennych czy emigracyjnych. Postaram się zatem jedynie zasygnalizować niektóre analogie dające się zauważyć w powieściach pisanych w Australii przez twórców pochodzenia polskiego, nie próbując tych powieści jednoznacznie przyporządkowywać do określonych nurtów ani nie tworząc rozbudowanych definicji.

Jednym z najczęściej powracających motywów w twórczości emigrantów polskich mieszkających w Australii jest temat II wojny światowej. W zależności od tego, czy lub w jakim wieku autorzy przeżyli wojnę, pisane przez nich książki odwołują się albo do bezpośrednich wspomnień, albo stanowią próbę rekonstrukcji doświadczeń przodków. Rekonstrukcja taka często wiąże się z odkrywaniem własnej tożsamości, poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie: „Kim jestem?”. Najlepszym przykładem są właśnie powieści Armstrong, która podkreśla: *Rzeczywiście, zanim napisałam „Mozaikę”, myślałam o moich rodzicach jako tych, którzy przeżyli Holocaust, nie odnosząc tego doświadczenia w ogóle do siebie samej, jakbym tamtego okresu nie spędziła razem z nimi. Najprawdopodobniej wynikało to z mojego przekonania, że oni jako dorośli byli bardziej wystawieni na traumatyczne przeżycia i świadomi wszystkich niebezpieczeństw.* Podczas pracy nad książką doszło do zasadniczej zmiany, w następujący sposób opisanej przez Armstrong: *uświadomiłam sobie, że nie tylko moi rodzice ocalili z Holocaustu, lecz także ja.*

Próbę dokonania tego typu „zaangażowanej” rekonstrukcji losów wojennych własnej rodziny podjął w książce *The Fiftieth Gate: A Journey Through Memory* Mark Raphael Baker, syn Żydów z Polski – Geni i Yossła Bakieram-szynów. Pisarz urodził się już po wojnie, w 1959 roku, w Melbourne. Baker prowadził bardzo skrupulatne badania na temat wojennej przeszłości swoich bliskich, sięgając po dokumenty źródłowe oraz wiodąc długie i wnikliwe rozmowy z własnymi rodzicami, którzy ocalili z holocaustu. Podczas tych rozmów usłyszał zarówno od ojca, jak i od matki zarzut, że nie jest w stanie niczego zrozumieć, bo po prostu opowiadanych przez nich wydarzeń oświadczył. Owa odmienna perspektywa sprawiła, że w miarę pracy nad książką relacja pisarza z rodzicami stawała się coraz trudniejsza i pełna napięcia. Sens dokonanej przez Bakera historycznej rekonstrukcji ma zatem wymiar przede wszystkim dydaktyczny, co zyskuje potwierdzenie w tym, że *The Fiftieth Gate: A Journey Through Memory* znajduje się dziś na liście lektur obowiązkowych w australijskich szkołach.

Interesującym przykładem powieści wspomnieniowej odnoszącej się do II wojny światowej jest także niedawny debiut Yorama Grossa – twórcy urodzonego w 1926 roku w rodzinie żydowskiej w Polsce, uważanego za ojca australijskiej animacji. Jego książka *Wybrało mnie życie* ukazała się pierwotnie na rynku polskim w 2008 roku, a dopiero trzy lata później została przetłumaczona i wydana w Australii. To pełna oroku autobiograficzna opowieść o wojnie widzianej i doświadczanej przez dorastającego chłopca, zawierająca elementy humoru, a nawet tchnąca optymizmem. Autor pokazuje, jak w nieludzkim, wojennym czasie nie poddał się, zdołał przeżyć, a nawet realizował swoje małe plany i pragnienia. Co warte podkreślenia, Gross, w przeciwieństwie do innych wymienianych przeze mnie twórców, pomimo że wyemigrował z Polski w 1950 roku, jako język swej literackiej twórczości wybrał polszczyznę, gdyż – jak sam przyznaje – to jedyny język, w którym łatwo mu się porozumiewać.

Literatura biograficzna doceniana bywa także przez krytyków, czego przykładem może być twórczość Abrahama Bidermana, który za niezwykle osobisty opis przeżyć z czasów II wojny światowej w *The World of My Past* otrzymał dwie prestiżowe nagrody australijskie: National Biography Award oraz Banjo Award. Nieco paradoksalne wydaje się w tym kontekście to, że książkę ową autor był zmuszony opublikować na własny koszt, bowiem

zdaniem wydawców na australijskim rynku pojawiło się już zbyt wiele opowieści tego typu. Gdyby zrobić zestawienie książek zawierających osobistą narrację na temat holocaustu, które wydane zostały w ostatnich 20 latach w Australii, na liście tej znalazłoby się kilkadziesiąt pozycji. Tego rodzaju tematyce poświęcona jest także specjalna seria wydawnicza społeczności żydowskiej w Melbourne (*Makor Jewish Community Library*) zatytułowana *Write Your Story (Napisz swoją historię)*, w ramach której publikowane są wspomnienia wojenne.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny aspekt związany z wydaniem książki Bidermana. Spotkała się ona z protestami ze strony przedstawicieli Polonii australijskiej, według której autor w niewłaściwym świetle ukazał Armię Krajową. Należy przy okazji nadmienić, że wielu autorów wspomnień nie poprzestaje wyłącznie na opisach własnych doświadczeń, ale stara się również poddać analizie zjawisko antysemityzmu czy ocenić postawy Polaków wobec Żydów.

Poruszając ten problem, warto wspomnieć o twórczości Haliny Robinson – urodzonej w Polsce Żydówki, która przyjechała do Australii w latach 60. W swych książkach powraca ona do czasów wojny – opisywanej z osobistej perspektywy – oraz wspomnień emigracyjnych. Dzięki temu australijscy czytelnicy mają okazję dowiedzieć się, do jakich poświęceń zdolni byli Polacy, zarówno duchowni, jak i świeccy, którzy – bez względu na cenę – podejmowali starania, by ocalić życie młodej Żydówki.

Ucieczka od wojennej traumy wiązała się często z decyzją opuszczenia zdewastowanej – także moralnie – Europy i z chęcią rozpoczęcia nowego życia gdzieś, gdzie nie było wojen i krwawych konfliktów. Za takie utopijne miejsce uchodziła właśnie Australia, także na skutek działań propagandowych prowadzonych w owym czasie przez rząd australijski. Warto przypomnieć choćby słynny plakat *Land of Tomorrow*, ukazujący – w sposób dość naiwny – dostatnie i szczęśliwe życie w Australii, który w latach 1949-1951 był wieszany wszędzie, gdzie przebywali nowi emigranci.

Reprezentantem pokolenia emigrantów polskiego pochodzenia osiadłych w Australii tuż po wojnie jest także Peter Skrzynecki – ceniony dziś pisarz i poeta, którego książki czytają uczniowie w australijskich szkołach. Tak samo jak Armstrong przybył on na antypody jako małe dziecko z rodzicami. I tak samo jak ona dużą część swej twórczości poświęcił nowemu życiu – w kraju pełnym szans i perspektyw. Jednak nie dla wszystkich Australia okazała się miejscem, gdzie spełniają się marzenia. Choć sam Skrzynecki (podobnie jak Armstrong) odnosi w nowej ojczyźnie sukces, w swych powieściach ukazuje także losy osób, które – z różnych przyczyn – do końca nie były w stanie zapomnieć kraju swego urodzenia i zaaklimatyzować się w nieznanym środowisku. Nowe życie oznaczało dla nich zderzenie z zupełnie odmienną rzeczywistością, co sprawiało, że czuli się osamotnieni i nierozumiani – nie tylko ze względu na niezajomość języka. Ich „nieprzystosowanie” było czasem powodem przykrych, upokarzających doświadczeń, takich m.in. jak opisana we *Wróblim ogrodzie* Skrzyneckiego poniżająca rozmowa australijskiej urzędniczki z ojczymem pisarza, mająca na celu sprawdzenie gotowości emigranta do otrzymania obywatelstwa. W tej samej książce oraz w *Bezdomnych psach* poznajemy inną bliską Skrzyneckiemu w okresie młodości osobę – Adama. Tytułowe bezdomne psy wążęły się po terenie ośrodka dla nowo przybyłych emigrantów, w którym wtedy obaj mieszkali. I to zadaniem Adama było je wszystkie złapać i uśmiercić. Wywiązał się z tego dobrze. Jednak zdecydował się zakończyć również własne życie. Chociaż bezpośredni powód jego czynu pozostaje zagadką, możemy przypuszczać, co wpłynęło na dramatyczną decyzję – Adam, jak wielu innych przybyłych do Australii emigrantów, był wyrwanym ze swojego dotychczasowego środowiska życiowym rozbitkiem.

W książkach Skrzyneckiego bohaterowie znacznie częściej niż w powieściach Armstrong do końca życia nie znajdują w Australii własnego miejsca, skazani są na wykorzenienie lub nawet na całkowitą porażkę. Okazuje się, że egzystencja emigranta na nowej ziemi nie jest łatwa, gdyż – wbrew oczekiwaniom – utrudnia ją podział na lepszych i gorszych: Australijczyków i „reffos”. Do jakiego stopnia te podziały da się zniwelować? I jak bardzo pomóc w tym mogą odgórne decyzje: postulaty bycia krajem otwartym czy polityka wielokulturowości? A może sukces zależy przede wszystkim od zwyczajnej ludzkiej życzliwości? Czyż gotowość do poznania „innego” nie jest w każdym przypadku kwestią indywidualnej decyzji? Zdaje się, że twórczość Armstrong pozwala udzielić odpowiedzi na tego rodzaju pytania. Warto się tym odpowiedziami przyjrzeć, zwłaszcza że problem, którego dotyczą, pozostaje wciąż aktualny – zarówno na Starym Kontynencie, jak i w Australii. O czym więc opowiadają kolejne książki pisarki?

Mosaic. A Chronicle of Five Generations (Random House, 2001)

Armstrong w debiucie literackim rekonstruuje dzieje swojej rodziny. Detektywistyczna natura autorki – o której sama chętnie wspomina – pozwoliła jej prześledzić losy przodków aż pięć pokoleń wstecz. Akcja tej biograficznej powieści rozpoczyna się w 1890 roku w Krakowie. Armstrong z dokładnością dokumentalisty notuje ważne wydarzenia z życia swych najbliższych, które przeplatają się z codziennością. Wszystko to precyzyjnie umieszcza w kontekście historycznym i geograficznym. Dlatego bohaterami jej książki są – obok ludzi – również miejsca: Kraków, Lwów, Warszawa. Autorka wskrzesza rzeczywistość sztetla, ukazuje współistnienie – owszem, nie zawsze harmonijne – kultury żydowskiej i polskiej, po czym opisuje, jak świat ten zostaje bezpowrotnie unicestwiony. *Mosaic* jest więc nie tylko kroniką rodziną, lecz też interesującym dokumentem epoki, a właściwie kilku epok.

Ponieważ dzieciństwo Armstrong przypadło na okres II wojny światowej, wojenne losy jej rodziny ukazane zostały z bardzo bliskiej perspektywy. Szczęśliwie, ojciec Armstrong, z zawodu dentysta, zostaje wydelegowany do niewielkiego miasteczka Piszczac (położonego pod Białą Podlaską, tuż przy obecnej granicy z Białorusią), aby pracować dla lokalnej społeczności. Pomimo wielu trudności sprowadza tu żonę i Danusię (jak nazywała się wówczas Diane). Podczas kilkuletniego pobytu w Piszczacu rodzice Armstrong ukrywają swoje żydowskie korzenie, także przed córką – żyją pod zmienionym nazwiskiem, jako Bogusławscy. Pomimo ogromnej ostrożności i prób asymilacji ich obecność oraz pochodzenie wywołują nieufność i podejrzliwość mieszkańców. Nie bez znaczenia jest więc przyjaźń, jaka zawiązuje się między „Bogusławskim” a największym autorytetem miasteczka – księdzem Soszyńskim. Być może dzięki niej właśnie, w relatywnie normalnych warunkach, chociaż w rosnącej atmosferze strachu, rodzina Armstrong zdoła przetrwać wojnę, mimo iż zginie wówczas większość jej krewnych. Ojciec, z obawy o życie córki, zwleka z wyznaniem jej prawdy aż do końca wojny. Jak przyznaje pisarka, ujawniona tajemnica nie była jednak dla niej zaskoczeniem, bo czuła, że są jacyś inni.

Pomimo wielkiej tragedii i straty, jakiej najbliżsi Diane doświadczyli wskutek wojny, postanawiają ułożyć swoje życia od nowa. Ojciec podejmuje decyzję o wyjeździe z Europy, która według niego jest kompletnie zdewastowana, także w sensie duchowym. Dlatego akcja *Mozaiki*, tak jak historia wielu polskich Żydów, przenosi się na antypody. To jednak nie koniec wędrówki. Po niej bowiem następuje etap kolejny – powrót do kraju przodków i odkrywanie przeszłości. Motyw ten stanie się stałym tematem prozy Armstrong. Zarówno w *Mozaike*, jak i w kolejnych jej książkach powrót nigdy nie jest łatwy – pełen dwuznaczności, wywołuje różnorakie uczucia, od wzruszenia do rozczarowania. Naturalnie na stosunek Armstrong oraz jej bohaterów

do opuszczonego w dramatycznych okolicznościach kraju wpływ wywarły przede wszystkim postawy Polaków wobec Żydów. Pisarka przyznaje, że ważniejsza jest dla niej Polska z przeszłości niż ta teraźniejsza – wciąż stara się bowiem zrozumieć to, co wydarzyło się w naszym kraju przed wojną i w czasie jej trwania. Ale i współczesność prowokuje do refleksji oraz stawiania pytań. Jednym z najważniejszych jest pytanie o przyczyny polskiego antysemityzmu. Powrót ma więc charakter poznawczy, ale nie dotyczy sfery najbardziej indywidualnej, osobistej. Nie służy bowiem poszukiwaniu utraconej bądź niekompletnej tożsamości ani odkrywaniu samej siebie. Z pewnym wyjątkiem – zmienia on stosunek Armstrong do doświadczeń holocaustu.

The Voyage of Their Life (HarperCollins Publishers, 2005)

Druga książka Armstrong również nawiązuje bezpośrednio do autobiograficznych przeżyć autorki i jej rodziny, tym razem z okresu powojennego. W 1948 roku 9-letnia Diane wraz z rodzicami trafia na pokład wypływającego z Marsylii do Australii statku Derna. Razem z nimi płynie 545 innych osób.

Armstrong niewiele zapamiętała z podróży poza tym, że czas upływał jej głównie na robótkach ręcznych. Po kilkunastu latach postanawia jednak odtworzyć rejs Dery i losy jej pasażerów. Bódcem jest narastająca wśród Australijczyków niechęć do kolejnych fal napływających emigrantów, zwanych pogardliwie „bloody reffos”. Ci najbardziej niezadowoleni wysyłają do dziennika „Sydney Morning Herald” listy wyrażające obawy z powodu zalewu „obcych”. W tej sytuacji Armstrong zaczyna nawiązywać kontakt z pasażerami Dery lub ich krewnymi – gromadzi unikatowy materiał na książkę o podróży, która zmieniła życie wszystkich jej uczestników. Rozbudowuje swą opowieść o wydarzenia mające miejsce po przybyciu do Australii, tworząc niezwykle obraz losów emigrantów na nowej ziemi.

Wszystkich pasażerów Dery łączy wspólny cel – nowe życie na antypodach. Pochodzą z 15 krajów europejskich, a większość z nich to ofiary wojny – ocaleli z obozów koncentracyjnych w Polsce, obozów pracy na Węgrzech, gułagów na Syberii. Choć Żydzi – na podstawie narzuconych przez władze brytyjskie restrykcji – stanowić mieli nie więcej niż 25% pasażerów Dery, potajemnie udało się przekroczyć ten limit. Wśród uchodźców znaleźli się jednak także członkowie Wehrmachtu i zwolennicy Hitlera. Dlatego trudna sytuacja – nie tylko ze względu na warunki panujące na przeladowanym statku – z dnia na dzień coraz bardziej daje się we znaki. Narastające napięcia nierzadko prowadzą do wybuchów ostrych konfliktów i nienawiści.

Podobnie jak w *Mozaike*, Armstrong z wielką dbałością o szczegóły rysuje rzeczywistość, precyzyjnie odtwarzając przebieg niezwyklej podróży. Dzięki temu możemy uzyskać wyobrażenie o losach prawie 171 000 emigrantów, którzy przybyli do Australii na statkach w ciągu kolejnych pięciu lat. Wśród nich jedną z dominujących grup narodowych stanowili Polacy. Armstrong tworzy fascynujący obraz powojennej emigracji australijskiej, której specyfika uwarunkowana jest przede wszystkim przez ogromny dystans przestrzenny dzielący ten kraj od reszty świata i jego całkowitą izolację. Dla niektórych przybyszy doświadczonych traumatycznymi przeżyciami okresu wojny te właśnie cechy kontynentu zdają się gwarantować życie pozbawione strachu. Dla innych takie położenie Australii to przekleństwo, ponieważ jej peryferyjność wzmaga tęsknotę za Europą i tradycją. Ambiwalencja owa znajdzie wyraz także w kolejnych książkach Armstrong. Bo każda emigracja niesie konieczność zawarcia kompromisu i ryzyko. Ojciec Diane, mając nadzieję na nowe życie, zabiera z sobą maszynę do szycia, nie wierzy bowiem, iż zdoła pracować w Australii jako dentysta. I chociaż niektórzy z pasażerów Dery nie odnajdą w Australii nowego domu, prawie nikt nie zdecyduje się na powrót do Europy. Znamienne są słowa jednej z bohaterek, która

przynajmniej, że chociaż nigdy nie pokocha Australii, to jest to jednak dobre miejsce do życia...

W *The Voyage of Their Life* Armstrong po raz kolejny, opowiadając historie pojedynczych ludzi, podejmuje tematy uniwersalne, dotyczące tradycji, tożsamości i ciągłości ludzkiego losu.

Winter Journey (HarperCollins, Fourth Estate, 2006) / *Zimowa podróż* (Świat Książki, 2007)

Kolejna powieść, *Zimowa podróż*, jest pierwszą, która nie opiera się ściśle na wątkach autobiograficznych, chociaż autorka odwołuje się do wielu wydarzeń historycznych – w tym przede wszystkim do mordu w Jedwabnem. Jako jedyna książka Armstrong publikacja ta została przetłumaczona na język polski. Narracja w bardzo przemyślany sposób prowadzona jest równolegle w przeszłości oraz w teraźniejszości. Obie płaszczyzny czasowe przybliżają się stopniowo, a w końcu łączą w spójną całość. Nie chodzi tu tylko o zabieg kompozycyjny – przeszłość i teraźniejszość zawsze są u Armstrong powiązane. Rozumienie teraźniejszości nie jest możliwe bez wiedzy o historii.

Główna bohaterka, Australijka Halina Shore, wraca do Polski, kraju swych przodków. Co typowe dla Armstrong, nie jest to bynajmniej podróż sentymentalna lub służąca poszukiwaniu korzeni. Halina, jako światowej klasy ekspert medycyny sądowej, zostaje zaproszona przez IPN do współpracy przy ekshumacji zwłok odkrytych w masowym grobie z II wojny światowej znajdującym się w miejscowości Nowa Kalwaria. Ofiarami są Żydzi, a ich katami nie naziści, lecz sąsiedzi – Polacy.

W *Zimowej podróży* Armstrong opisuje okoliczności i przebieg zbrodni dokonanej na Żydach. Paralelnie ukazane zostały realia współczesnej Polski. Jej obraz poznajemy, obserwując rzeczywistość prowincjonalnego miasteczka oraz zdarzenia towarzyszące pracom ekshumacyjnym i ujawnianiu sprawców mordu. Łatwo sobie wyobrazić, iż sytuacja ta nie sprzyja budowaniu pozytywnego obrazu Polski. Chociaż Armstrong nie pozwala sobie na generalizacje, nie pozostawia wątpliwości, iż Polska to kraj, gdzie wciąż można natrafić na antysemityzm, który nie ogranicza się tylko do antyżydowskich napisów na murach. Daje się on zauważyć zarówno wśród zwykłych ludzi, jak i u przedstawicieli elit rządzących. Armstrong nie kopiuje jednak schematów i nie dokonuje uproszczeń. Jedną z najbardziej pozytywnych postaci – podobnie jak w autobiograficznej *Mozaice* – jest duchowny, ojciec Krzysztof, proboszcz w Nowej Kalwarii. Uosabia on otwartość i dążenie do prawdy. Wśród bohaterów *Zimowej podróży* znaleźli się także nieugięci Polacy, którzy podczas wojny nie bali się za cenę własnego życia pomagać Żydom.

Nocturne (HarperCollins Publishers, 2009)

Nocturne to również powieść Armstrong pozbawiona wątków autobiograficznych. Akcja rozgrywa się podczas II wojny światowej w Warszawie, a obejmuje takie wydarzenia historyczne, jak funkcjonowanie getta żydowskiego w stolicy, powstanie w getcie czy powstanie warszawskie. Armstrong porusza także zagadnienia polityczne, m.in. uwydatniając bierną postawę rządów Zachodu wobec tworzenia nowego państwa polskiego, zależnego od ZSRR, oraz ich uległość wobec Stalina. Wielka historia spleta się tu z tragediami pojedynczych osób. Bez zbędnego patosu, ale i bez eufemizmów Armstrong oddaje realia wojny i codzienne zmagania z przeciwnościami losu. Potwierdza się wyznanie pisarki, że przede wszystkim interesuje ją postępowanie człowieka wystawionego na próbę, co dotyczy szczególnie ludzi żyjących w trudnych wojennych warunkach, którzy stracili wiarę we wszystkie dotychczasowe wartości. Bo dla bohaterów *Nocturne* wojna oznacza wykorzenienie i zmianę sposobu wartościowania rzeczywistości, czego symbolem jest tytułowy nokturn Chopina. Tym bardziej zdumiewa, że

niektórzy z nich zdolni są do heroizmu i bezinteresownej pomocy niesionej z narażeniem życia. Ale jak zawsze u Armstrong rzeczywistość nie jest czarno-biała – obok bohaterów i tchórzy, kolaborantów i odważnych bojowników o wolność autorka opisuje także zwyczajnych ludzi, którzy chcą po prostu przeżyć albo... umrzeć. Ta różnorodność postaw i charakterów idzie w parze z wiarą pisarki w istnienie międzyludzkich więzi.

Empire Day (HarperCollins Publishers, 2011)

W wydanej w 2011 roku książce *Empire Day* Armstrong wraca do jednego ze swych ulubionych tematów – emigracji. Akcja powieści toczy się w 1948 roku na jednej z ulic Sydney – Wattle Street. Większość jej mieszkańców niedawno przybyła z Europy do Australii, łączą ich więc bolesne wspomnienia związane z wojną i poczucie wyobcowania. Tak jest w przypadku Sali i Szymona z Łodzi, którzy wydarzenia z przeszłości rzutują na nową rzeczywistość, jakże radykalnie odmienną od tej, w jakiej żyli jeszcze całkiem niedawno.

Armstrong świetnie uchwyciła wyjątkowość momentu, w którym znaleźli się emigranci. Ich trauma, której nie da się w żaden sposób opisać, skonstruowana została z beztronską australijską codziennością. Dlatego tak trudno o zrozumienie między emigrantami a tymi, którzy przybyli tu kilka pokoleń wcześniej. Różnice dają się we znaki prawie na każdym kroku, powodując konflikty na płaszczyźnie prywatnej i zawodowej. Czasem nie tyle nawet chodzi o różnice, ile o niczym nieuzasadnione uprzedzenia, niechęć i brak zaufania do nowo przybyłych „reffos”.

I tym razem, jak we wszystkich książkach Armstrong, emigracja jednym pozwala na realizację marzeń, a innych zmusza do ich rewizji. Powraca także motyw Australii jako kraju wielkiej szansy, gdzie izolacja i brak historii mogą gwarantować bezpieczną przyszłość. Są jednak wśród przybyłych i tacy, którzy pomimo wojennej traumy wciąż pamiętają swe normalne życie w Europie i dla których nadal stanowi ono punkt odniesienia. Armstrong po raz kolejny stawia pytania o ciągłość tradycji, pamięć i tożsamość. Prowokuje także do refleksji na temat sensu i granic emigracji. Czy należy wracać do przeszłości? A jeśli tak, to w jaki sposób? Jak zwykle pisarka nie daje gotowych odpowiedzi i recept, lecz stara się pokazać, że takowych nie ma. Jeden wniosek wydaje się jednak dość jasny i oczywisty – tym, którzy nie spoglądają w przeszłość, łatwiej jest odnaleźć własne miejsce tu i teraz oraz budować przyszłość.

Choć po raz kolejny Armstrong wykorzystuje swoje detektywistyczne talenty, czyni to tym razem nie w celach faktograficznych, lecz snując tajemniczą opowieść wokół postaci jednego z emigrantów, nowego mieszkańca Wattle Street. Ponieważ całymi dniami przesiaduje on w mieszkaniu, a do tego nic nie wiadomo o jego przeszłości, wzbudza nieufność. Ale taki już jest los emigranta. Bo brak wiedzy na czyjś temat budzi podejrzenia, prowokuje do spekulacji. Skąd wiadomo, że podczas wojny taki człowiek stał po właściwej stronie? Jaką można mieć pewność, że nie był oprawcą, jednym ze zbrodniarzy, którzy znaleźli schronienie w Australii? W swej ostatniej jak dotąd powieści Armstrong daje wyraz głębokiemu przekonaniu, że nieufność i uprzedzenia można pokonać dzięki zwyczajnej ludzkiej otwartości i życzliwości. Niemniej jednym z najchętniej eksplorowanych przez pisarkę motywów jest człowiek wystawiony na próbę. Wielu nie przeszło jej pozytywnie. Dlatego świadectwo, jakie wystawia ludziom Armstrong, nie jest jednoznaczne.

Małgorzata Krakowiak

EWA MAZUR

Po trzecie – dla A.

Letnie trwa dłużej niż wrzące
Więc umieram z miłości tylko przez chwilę
A potem znowu się uśmiecham
Leniwie przymykam powieki
Oczekując twojego dotknięcia
Zdaję się na przypadek
I tak
Twój zapach na mojej skórze
Jest trwalszy niż perfumy
Pod Twoim spojrzeniem zastygam
Jak mucha na nagrzanym szybie
Uczę się powściągliwości w okazywaniu uczuć

Górna jedyńka

we śnie znów wypada mi ząb
twoje telefony jak meldunki z frontu:
dziś rano spuchły mi stopy
szykują mnie do drugiej chemii
wyrzucam rzeczy z szafy i prasuję
wyprasowaną koszulę
zapomnianą z wakacji
gorące płótno oddaje zapach
wdecham egoiste platinum
i bardzo się staram nie myśleć o niczym
zaciskam tylko kciuk na rączce żelazka
jakbym naprawdę wierzyła że to może pomóc

sierpień 2009

Upokorzenie

po dwudziestu latach
twoje imię
wciąż
jak szkło pod językiem

12 grudnia 2009

Geny

Przy matce byłam ojcem
Przy ojcu – matką
Teraz wreszcie mam pięćdziesiąt cztery lata
i jestem dzieckiem

Zapominanie

Ledwie stopniał śnieg
Trawa pod oknem zaślniła zielenią
Szalona
Chce zaczynać wszystko od nowa

Pułapka sentymentalizmu

Jestem przy tobie

19 lutego 2009

Przeprowadzka

Tęgo domu już nie będzie
Rzeczy w pośpiechu składamy
Do kartonowych trumien

7 czerwca 2009

Biedne niebo

przez chwilę wydawało się
że cyfry na ekranie i kuponie przyniesionym z kiosku
są takie same

23 sierpnia 2009

Przysięga

Nie wiem
Czy Kocham Cię jutro

2 października 2012

Bez litości

Tego wiersza nie powinnam napisać, ale tylko wtedy pisanie ma sens – kiedy
każde słowo wypowiada się przez zaciśniętą krtań.
Przez wiele lat, we dnie i w nocy, sięgaliśmy spragnieni do swoich ciał, zawsze
skwapliwi i chętni w odpowiedzi.
Ciemna muzyka krwi nie zawiodła nas nigdy.
Teraz nie żyjesz, a ja mogę już tylko pamiętać – radosną pychę ciała i wstyd
umierania.
A w przeczytanych wspólnie książkach szukam podkreśleń, które zostawia-
łem, by słowa lektury stały się sekretnym kodem, pobudzającym głód.
Nie chcę kłamać przed sobą: Tak, czasem nawyk lub chwilowy kaprys
prowadziły mnie na oślep w miejsca, które jednak bez Ciebie nie były
już tym samym.
Bywają podróże, jakich w innym towarzystwie nie można powtórzyć.
Najpiękniejsze krajobrazy pozostawały jedynie olśniewającą dekoracją dla
mojej tęsknoty.
Samotność – to cytat, który na pewno byś rozpoznał i pochwalił – może być
tylko permanentna i bezwarunkowa, niczym dziewictwo.

8 czerwca 2013

Ewa Mazur



Stanisław Baj: *Rzeka Bug*, olej, pł., 33 x 42 cm, 2007 r.

ANNA FRAJLICH

Pięć miesięcy z życia (1990)

Środa, 8 sierpnia

Spotkanie z prof. Juriew w bibliotece na 42 ulicy. Poznałam Dolgopolowa. Poszliśmy na lunch do Graduate Center i pomagałam prof. Juriew szukać wiersza Williama Safonia. Potrzebne to było do wyboru wiersza Wittlina, który ukazuje się w Polsce. Wittlin tłumaczył ten wiersz na polski.

Piątek, 10 sierpnia

Druk ostatniej wersji pracy u Franka Millera.

Poniedziałek, 13 sierpnia

Okazuje się, że jestem słabą pocieszycielką. Na Feli płacz odpowiadam nawoływaniem do uczuciowej i myślowej mobilizacji. Czy jestem zimna, czy tylko skłonna do analizy czyjegoś nieszczęścia. Kto to wie? Po rozmowie z Felą było już za późno pójść na NYU¹ przed lunchem, toteż poszłam na 2. Niby zdałam już całą pracę, pochwalili druk, ale naturalnie tu miejsce na moje lęki. A co, jeżeli znajdą coś, co stanie na drodze do dyplomu. To nie tylko urojenia, ale zmęczona jestem dość porządnie. W drodze tam i z powrotem czytałam dzienniki Cheevera. Tak go lubiłam i jego nowele przestraszyły mnie jeszcze przed wyjazdem z Polski. Te dzienniki to taki łagodny strumień depresji. Proza jego też, ale tam jest jednak ten dystans formy, tutaj – otchłań niby-oswojona. I to mi przypomina sprawę przestrzeni. Zanim człowiek tę przestrzeń (np. obcą w przypadku emigracji) oswoi, to już widzi, że nie ma żadnej przestrzeni w ogóle, że jest otchłań. Z Cheevera to mnie cieszy, że to co kiedyś było egzotyką, jest dla mnie teraz znajome.

Wtorek, 14 sierpnia

W nocy źle spałam, a właściwie od 4:30 do szóstej – wcale. Ciekawie jest z okna narożnego pokoju obserwować, kto śpi, a kto nie. Kto podjeżdża pod sąsiednią bramę itp. Nawet sama nasza brama oświetlona w nocy wewnątrz i dwiema lampkami na zewnątrz, wsparta filarami emanuje nastrój spokoju i bezpieczeństwa. Obudził mnie telefon Renaty o 9:30, krótki, umówiliśmy się na 22. w Wolnej Europie na dyskusję o *Przyczyńku do biografii* Kotta. Krótko wymieniliśmy wrażenia z wyjazdów, ona do Maine, ja na – „reunion” i wiedziałam, że już pośpiesznie kończymy. Renata zaproponowała mi wycieczkę do Kottów, ale musiałam odmówić.

Nie zdążyłam jeszcze się umyć, dzwoni Rochelle. Ma dość tego „partnership” z Garym, chce separacji. Ma 39 lat, chce mieć trzecie dziecko. Gary trzyma ją w „kaftanie bezpieczeństwa”. Na szczęście rozmawiamy z humorem. Z dołu dzwoni facet, który będzie mierzył kuchnię pod linoleum. Przerzywam rozmowę. Podczas mierzenia kuchni dzwoni Fela, dzwoni Mama. Oddzwaniam Mamie, chce wiedzieć, co się dzieje. Całą noc nie spała po wczorajszej

¹ New York University.

ze mną rozmowie. Fela powiedziała jej, że jak się coś stanie, to się dowie. Wymiguję się z rozmowy. Łzy w głosie Mamy. Ale ten patos mnie zabija. Oddzwaniem Rochelle, w międzyczasie dzwoni Fela. Zamieniam z nią parę słów na drugiej linii. Rochelle mówi:

– Ty powinnaś mieć „office hours”.

Na szczęście rozmowa z Rochelle nie jest patetyczna i ona wdzięczna jest za wysłuchanie. Nikt tego nie robi już za darmo. W pewnym momencie używam słów „beautiful arrangement”, ona mówi, że to dobre na tytuł książki. Żegnamy się na wesolo.

Schodzę na dół po pocztę i tam koperta, w której 81 stron poprawionych przez Rudy'ego. Wczoraj zadeponowałam pracę. „Perfect timing”. Maszynopis, który miał od końca lutego. Zadzwoiłam do profesor Juriew.

Tak upłynęło pierwsze pół dnia przeznaczonego na pracę nad recenzją. W nocy czytałam ciekawe „Notes” na temat *Boskiej komedii* Dantego.

Środa 15 sierpnia

Bogusław Zieliński – obiad w chińskiej dzielnicy.

Poniedziałek, 20 sierpnia

Męczące te ostatnie dni. Władek pracuje od świtu i jeszcze wieczorem jeździ pokazywać mieszkanie. Ja przyjmuję telefony, przedzieram się przez recenzję, poczucie winy, strach, jak rozwiąże się sprawa dyplomu.

Pracuję mniej od Władka, ale jestem w okropnej formie psychicznej.

A teraz ten sen: po jakiejś słoiki, czy inne rzeczy, wchodzę z Felą do sąsiadów naprzeciw. Okazuje się, że mają małe dziecko. Gratulujemy, oglądamy. W trakcie rozmowy sąsiad wkłada dziecko do czegoś, co przypomina termos (inkubator?). Wyrażam obawę, że dziecko może się poparzyć i rzeczywiście na szyjce są poparzenia, ale dziecko nie płacze nawet. Nagle widzę, że dziecko ma zęby dorosłego mężczyzny i nawet jedną srebrną koronę. Na moje zdziwienie odpowiadają, że to tak, to tak szybko rosną zęby. Wychodzimy. Po te same słoiki schodzimy do Marylin, ale to nakłada się na wizytę u Gogi. Otwiera drzwi Jay (mąż Marylin), ale jest on jakby już Piotrem (mężem Gogi). Są tam inni goście, Goga w głębi, a my rozmawiamy o przepisie na cukierki pokryte jakimś wywarem z pomidorów. Goga (Marylin) mówi, że czekolada, którą jej dałam, jest świetna (?). To chyba reminiscencja na temat śliwek w czekoladzie, które robi Mama.

Najważniejsze jednak, jedząc potem już śniadanie, nastawiam telewizor na *Jean River Show* i widzę dziecko, które ma bardzo rzadką przypadłość, że starzeje się w dzieciństwie. Progeria? – nie pamiętam. A więc widzę tę dziewczynkę, na każde jej sześć lat przypada dziesięć. I nagle zdaję sobie sprawę, że to niemowlę ze snu, które miało zęby starszego już mężczyzny, to to samo. Skąd się to wzięło w moim śnie, skoro nigdy przedtem nie słyszałam o takiej przypadłości?

Środa, 22 sierpnia

Nagrywanie dyskusji o *Przyczynku do biografii* Jana Kotta.

Czwartek, 23 sierpnia

Rozmyślając o środowiej dyskusji radiowej na temat *Przyczynku do biografii* Kotta wpadłam na szatański domysł. Otóż jeżeli Kott opisał w *Kronice* tę kobietę, ryzykując, że zrobi pani L. jednak swego rodzaju przykrość, to widocznie chciał komuś zrobić jeszcze większą przykrość. Komu? – albo

tej kobiecie, albo jej rodzinie. Sprawdziłam na Władku i Renacie – oboje uważają, że prawdopodobne. Naturalnie zakładamy, że wiemy, kto to jest.

Wieczorem na przyjęciu w Instytucie wydanym na cześć nowego ambasadora – Kazimierza Dziewanowskiego. Przyjęcie praktycznie urządzone przez Bolka Wierzbiańskiego. (Renata: nie zostałam zaproszona). Basia Wierzbiańska przekazała mi żenujący wprost komplement od Hani Geremkowej. Był nowy korpus dyplomatyczny, Bolek przypilnował, abym została przedstawiona ambasadorowi. Jerzy Surdykowski, którego poznałam, został konsulem RP w Nowym Jorku.

Środa, 29 sierpnia

Rano zadzwoniłam do Londynu i kilka słów zamieniłam z Czesławem Bednarczykiem. Postanowił wyemigrować z emigracji. On tłumaczy to goryczą, której zaznał od londyńskiej emigracji politycznej. Ale wydaje mi się, że ma to głębsze podłoże, bo i ja chciałabym wyemigrować. Powtórzyć jeszcze raz i lepiej to doświadczenie. Skoro już się raz zostało emigrantem i zobaczyło się, że to dobre, to czemu nie powtórzyć tego z lepszymi wynikami. To zresztą zrobił Mrozek. Mrozek słuszniej niż Bednarczyk naturalnie, bo dalej.

Wysłałam recenzję o Dantem Iwanowa, a raczej o nich dwóch Pamelii Dawidson. Zdążyłam na czas. Myślę, że to cecha starzenia się – zdążyć na albo i przed terminem.

Czwartek, 30 sierpnia

Od tyłu dni męczy mnie myśl, że będę musiała napisać list do S. Rudy'ego z wytłumaczeniem, co i jak. Wreszcie dziś mobilizuję się, piszę na maszynie, na ładnym papierze. Potem dzwonię na NYU. Okazuje się, że on będzie o 2:30. Biorę ostateczną wersję, biorę list, którego zresztą nie daję, bo mówię mu wszystko bezpośrednio. Gładko, przyjemnie, on wszystko załatwi.

– Nie martw się – mówi.

A ja:

– Let me out!

Tak już chcę wydostać się stąd, z tego uniwersytetu, który przecież uratował mnie w najcięższej chwili.

Idę do jednej z odwiecznych pizzerii na placu Waszyngtona i myślę o tym przy pizzy i coca-coli. Wciąż jeszcze jestem częścią tego, co dało mi poczucie przynależności. Ratowało mnie od popadnięcia w zależność od ludzi, od mężczyzn. Było prawie tak: studiuję, więc jestem. I każdy kącik tu, każda kawiarnia (a ile ich znikło) ma dla mnie jakiś obraz, wspomnienie.

Oto północna strona skweru i 5 Ave. Jest zimowy wieczór, trochę pada śnieg, idę na egzamin z Gogola. Spotykam Kodjaka² na tym rogu przy światłach. Życzy mi powodzenia. Jestem w swoim wówczas dość nowym kożuchu, z kieszeni wypadają mi dwa dolary (sztywna kieszeń). Idę na egzamin. Sama nie wierzę, że powoli z polonistki przeistaczam się w rusycystkę.

Jest wiosna, idę od Szóstej Ave Trzecią ulicą na egzamin z historii języka. Boję się cholernie – aorysty i diabli wiedzą co. Żeby podreperować się psychicznie (sic!), kupuję puszkę orzeszków i zjadam całą jeszcze przed wejściem na egzamin. Strach przed egzaminem wyparty przez potworne bóle brzucha.

Ale teraz po tych latach ślęczenia nad pracą najwyższy już czas przeciąć tę pępowinę już tylko zewnętrznie łączącą mnie z tą Alma Mater.

Wieczorem dzwoniła Renia, potem rozmawiałam z J. Kottem. W „New Yorkerze” czytałam pamiętnik Johna Cheevera, właśnie z Rzymu.

² Andrej Kodjak (1926), profesor, ówczesny kierownik wydziału.

Sobota, 8 września

Cocktail party u Welliszów przed wyjazdem Stacha do Polski. Przedtem kawa u Miriam Kaplan, która zabrała moją pracę doktorską dla Stanisława Stabryły. Obiecałam mu. Jakkolwiek Władek ma duże obiekcje.

Poniedziałek, 17 września

Żał mi było bardzo, jak wycięli „ten klon za moim oknem”³. Chociaż widziałam co roku, jak choroba się pogłębiała, rozszerzała. Już od późnej wiosny liście zaczynały przybierać rdzawy kolor i widać było, że to idzie gdzieś z głębi, od korzeni chyba, bo ten drugi klon jakby równolegle zasadzony po drugiej stronie bramy przechodził to samo. Wycięto obydwu i dość długo potrwało, zanim zorientowałam się, że to mi odsłania widok na ten wielki, rozłożysty, bogaty i chyba innego rodzaju klon po drugiej stronie ulicy. Ten ma liście dużo większe, zielone ciemną zielenią do późnego października i mnóstwo dziupli, w których nieprzerwanie gnieźdzą się szpaki. Ich ruch, krzątanie się, krzyki, przeciągłe gwizdy przez hałas ruchu ulicznego naszej dość cichej ulicy, ale zasilanej sąsiednią przelotową Coney Island i główną Kings Highway. Szpaki są więc moimi bezpośrednimi sąsiadami i często zaglądam im w okno. Ale zanim zauważyłam szpaki, uderzyły mnie dziuple. Szczególnie pewnej zimy, kiedy na skutek jakiejś przypadłości, miejskie przedsiębiorstwo ochrony drzew, przerzedziło znacznie gałęzie. Te odsłonięte, jakby ogolone nagie dziuple wydały mi się wręcz czymś nieprzyzwoitym. Nie mogłam pozbyć się skojarzenia ze sceny *Kadiszu* Heńka, tej sceny, kiedy lekarz odrzuca prześcieradło zakrywające chorą matkę. Stąd zresztą wiersz *Choroba*. Ale w dziuplach gnieźdzą się szpaki, akurat na wysokości mojego okna i wyżej. Budzę się i pierwsze, co widzę, to ich energiczne skoki z jednej gałęzi na drugą. Ich konfrontacje, cokolwiek one oznaczają. Nawet teraz, a może szczególnie teraz, kiedy biurko mam przy oknie w dawnym Pawła, a teraz moim pokoju. I to wszystko tuż naprzeciw. Zielone blaszki liści z dużo jaśniejszą lewą stroną, czarne konary prześwietlające poprzez tę zielen. I zachodnie niebo.

Czwartek, 20 września

Znalazłam swoje tłumaczenie czterowiersza Łomonosowa i żeby się nie wałęsało, wpisuję...

*Osiół zostanie zawsze osłem / już osłem pozostanie
choćbyś osypał go gwiazdami
i tam gdzie trzeba ruszyć głową
będzie wachlował się uszami.*

Piątek, 21 września

W południe w kaplicy Walter Cooke (117 W. 72 Str.) na pogrzebie Wacława Solskiego. Kiedy weszłam, było parę osób. Trumna ozdobiona pięknymi bukietami. Usiadłam obok Feli Dobroszyckiej. Było jedenaście osób z wdową i mecenasem Seidenmanem, który przemówił bardzo prosto i oryginalnie nad trumną. Odczytał fragment pamiętników Lechonia o powieści Solskiego. Bardzo ciekawy, na temat, jak Lechoń przyjął obraz komunistów Solskiego. W trakcie tego przemówienia weszli Bolek Wierzbiański, Julita Karkowska i Jerzy Surdykowski. Jednocześnie wniesiono kwiaty od konsula. Jest to więc pierwszy emigrancki pogrzeb z udziałem Konsula Rzeczypospolitej Polskiej. Pogrzeb, a raczej czuwanie nie miało charakteru religijnego. Fela

³ Cytat z wiersza.

powiedziała, że kiedy weszła, wdowa z pracownikiem domu pogrzebowego zdejmowali krzyż.

– On by sobie tego nie życzył – powiedziała pani Solska.

To bardzo ładnie – skomentowała Fela. Wiele żon robi po śmierci męża, to co same chcą. Potem poszliśmy z Felą na kawę z rogalikiem do Eclair i na zakupy. Dopiero po tym pogodnym – mimo pogrzebu – popołudniu do pracy. Pan Seidenman podkreślił, że śmierć w 93 roku życia nie jest tragedią. I pierwszy raz od dawna byłam w kawiarni.

Poniedziałek, 24 września

Duża niespodzianka w mojej skrytce na uniwersytecie. Ogłosili wyniki ewaluacji instruktorów i profesorów i my z Peterem (Kussi) mamy najlepsze na naszym wydziale. To spotęgowało moją energię i lekcje poszły mi wyjątkowo dobrze.

Środa, 26 września

Rano odpisałam na list p. Barbary Jurewicz. Wywiad Jana Jurewicza bardzo dobry i przy okazji pewna reklama moich wierszy. Dwa wiersze o Nowym Jorku podzielone na kilka kawałków, ale za to z jakimś muzycznym podkładem. Miałam dużo przyjemności, nawet za cenę pewnych nieścisłości (mycie próbówek), albo fakt, że wyjechałam z nazwiskiem. Nie tylko, że nie, ale mogłam być to nazwisko w ogóle utracić (przy wszystkich zmianach paszportów), gdybym się nie była uparła. Zresztą myślałam, że tylko to nazwisko będzie przypominało mi o „straconych” ambicjach.

Wieczorem w teatrze na *Skąpcu* Moliera, tak źle zagrany, że żałowałam całego zachodu i zmęczenia. Aktorki bez wdzięku, wszyscy wypowiadają kwestie jak wyuczoną lekcję. Czyżby amerykańscy aktorzy nie mogli zagrać francuskiej komedii?

Czwartek, 27 września

Sny bardzo męczące, szczególnie ta część, kiedy wybiegam nago z bramy, nagle zdaję sobie z tego sprawę, ale nie mogę wrócić. Powietrze stawia mi opór i z wielkim wysiłkiem docieram znów do bramy. Są jeszcze inne elementy tego snu. Oglądam małe mieszkanko (niedawno widziałam takie mieszkanko Julity Szylar), może Grażyny Drabik. Jest tam jakaś duża chłodnia, w niej pełno ryb – śniętych, ale niektóre żywe, otwierają paszcze i ona wkłada tam kawałek chleba.

Rano czytam w łóżku *Rok myśliwego* Miłosza. W miejscu, gdzie Miłosz uskarża się na brak prawdziwej powieści, myślę o Robertsonie Davisie, i on moim zdaniem lepszy w materii ekskrementów i w materii przedstawienia rozmowy z zaświatów, co będzie (jest) chwytem najnowszej książki Kundery.

Potem poprawianie zadań domowych, ptaszki uwijają się koło resztki miodowego dzwonka zawieszzonego za oknem na schodach przeciwpożarowych. Jeden usiadł na oknie i zaglądał do pokoju. Wydziobywanie ziaren z siatki nie jest takie łatwe, toteż widzę te ptaki w ciągłym ruchu, trzepotaniu, inwencji.

Piątek, 28 września

Wczoraj rozmawiałam z Marlene, która jest trochę zgnębiona odrzuceniem jej pracy przez „French Review”. Ponadto wyjechał jej ulubiony uczeń, do którego ma więcej niż słabość. Żal mi jej, bo za dobrze rozumiem jej męki. Ale co zrobić.

Marlene następująco tłumaczy mój sen: nagość to ranliwość, podatność na ciosy, stąd pragnienie schronienia – próby dojścia do bramy. Ale trudno

znaleźć schronienie. Jung mówi o „temenos”, miejscu poza greckim miastem, gdzie znajdowały się świątynie bóstw obronnych. Było to też schronienie.

Skończyłam lekcje nieco wcześniej i byłam w domu po szóstej. Zjedliśmy obiad, Władek był bardzo zmęczony i spał. Ja skończyłam czytanie *Roku myśliwego* Miłosza. M.in. w warstwie już tylko wydarzeniowej trzy jego pobyty w Nowym Jorku, odczyty, na których byłam i spotkałam go i nawet za każdym razem zamieniliśmy parę słów. W całości lektura bardzo ciekawa i pouczająca. Pouczająca przede wszystkim.

Sobota, 29 września

Miałam nadzieję, że odpoczniemy trochę i pójdziemy przynajmniej na Izkor⁴ do synagogi. Tymczasem już rano zadzwoniono z domu, że coś się leje, rura pękła. Saska i Władek pojechali i jest już w pół do drugiej, a ich jeszcze nie ma. Szkoda mi Władka, bo wciąż w biegu bez wytchnienia. Szkoda mi też tego dnia. Wczoraj dzwoniłam do Liny – źle się czuje, nie wie, czy to dolegliwości psychosomatyczne, czy coś zgoła fizycznego. Właśnie rozleciał się jakiś jej nie-związek, co zresztą sprawiło jej ulgę.

Lina – niegdyś mój ideał piękna, mądra. Kochał się w niej Nowak, polonista, mąż Nowakowej – mojej później polonistki. Tadeusz malował ją z końskim ogonem na wzór picassowski. Była muzą i ośrodkiem naszej piwnicy⁵. Po paru reportażach z piwnicy w gazecie i w radiu dostała propozycję pracy spikerki. W radiu spędziła prawie 30 lat. Teraz sama w Vancouver.

Niedziela, 30 września

Rano pojechaliśmy na cmentarz. Obok grobu Mamy Władka przybyło tyle pomników, że prawie miejsce się zmieniło. Uprzątnęliśmy, zapaliliśmy świeczki. Prosiłam Władka, żeby nie owijał lampek folią – niech płomień walczy z wiatrem, a raczej stawia mu opór. Zapaliliśmy raz czy dwa, ale kiedy już odeszliśmy i zatrzymaliśmy się na chwilę, widzieliśmy te drgające płomyki za ścianką szklanki. Trzeba brać większe szklaneczki i mniejszą świeczkę, wówczas jest większa szansa dla płomienia. Byliśmy też na grobie wujka i ciotki Mamy, czyli brata mego dziadka.

Obiad u Mamy – nasza rodzina (bez Pawła) i Hela Bromberg – bardzo smaczny i przyjemny jakkolwiek ze wszystkimi elementami właściwymi naszym rodzinnym spotkaniom od lat – spiecia, kłótnie i absolutna przezroczystość obojga rodziców dla siebie wzajemnie.

Dziś też widziałam się z Felą. Ona cierpi, a ja zagaduję. Rozmowa między nami niemożliwa.

Poniedziałek, 1 października

W pociągu czytam *Szkice rodzinne* Heńka. Dochodzę do *Ojczyzny po Buszującym po drogach*, który ma swoje lepsze i słabsze miejsca. Natomiast *Ojczyzna* to diament czystej wody, arcydzieło nieskazitelne w swej linii fabularnej (o ile), w argumentach na ten główny temat – ojczyzna. Obrazowość, szczególnie części wiejskiej, fantastyczna.

W domu miła niespodzianka – list od Pawła Kądzieni z wiadomością, że wiersze ukażą się w (7-8/90) numerze letnim, a wywiad z p. Haliną Wittlin na jesieni.

Dzwonił Bartek, przyznał, że odezwała się w nim nostalgia za czasami „Tygodnika Nowojorskiego”, wdał się nawet w rozmowę z jakimś poten-

⁴ Specjalna modlitwa za nieżyjących krewnych.

⁵ Piwnica artystyczno-literacka Rak w Szczecinie w latach 50.

cialnymi wydawcami czegoś, co miało kontynuować tę linię, ale wycofał się. Złe to jakoś wyglądało.

Wieczorem Władek rozmawiał z Pawłem. Jego prezentacja udała się znakomicie. Był pierwszy, ale też i najmłodszy. Gratulowano mu i zadawano pytania. On, który nie przepada za ślęczeniem, w akcji sprawdza się doskonale. Oby tak dalej. Paweł bardzo chce, żebyśmy przyjechali, ale chyba nie możemy.

Wtorek, 2 października

Dzień najpiękniejszy z pięknych. Niebo, jeżeli było rano nieco nakrapiane chmurami, teraz przejaśniło się zupełnie. Wiatr, dość silny, mocuje się z moim klonem energicznie, ale grubsze konary w bezruchu, poruszają się tylko cieńsze gałęzie. Miła kartka od Harkinsa⁶ z podziękowaniem za przyjęcie: „lovely party, lovely people”

Rozmawiałam rano z Elizabeth Lipton i powiedziałam jej, że w *Roku myśliwego* dość dużo (!) jest o jej ciotce – Wikcie Winnickiej i tym samym tytułem trochę o jej ojcu⁷. Liz uważa, że między Miłoszem a Wiktą W. był kiedyś burzliwy romans.

Tłumaczyłam wczoraj studentom słowo „męka” i naturalnie do znaczenia „torment etc.” dodałam „passion” – jak Męka Pańska. Jonathan na to: „What the language in which passion means the same as torment?”

Mówię mu: angielski. Zresztą prawdziwa pasja to jest męka. Nie jest to tematem naszej lekcji i państwo za młodzi, aby o tym wiedzieć.

Dostałam podwyżkę i mam zamiar podziękować.

Teraz dzwoniłam na NYU dowiedzieć się, czy mogę być zwolniona z tuition (opłaty) ze ten ostatni, mam nadzieję, semestr.

Środa, 3 października

Dziś Paweł kończy dwadzieścia trzy lata. Mama zadzwoniła rano do mnie z życzeniami. Ona to lubi, ale mnie wydaje się to nieco patetyczne, dziwaczne i denerwuje mnie to, czego nie omieszkałam powiedzieć. Naturalnie Mama przypisuje to owemu mistycznemu „od pewnego czasu”. Od pewnego czasu się nie rozumiemy... To „nie rozumiemy” polega na tym, że ja nie patrzę na sprawy jej oczyma. I to jest dramat. Któregoś dnia wieczorem przyszło mi na myśl, że żeby pisać o rodzinie, to trzeba zaraz pisać *Antygonę*. Co zresztą prześwituje przez wszystkie dzienniki (pamiętniki) pisarzy, jeżeli tylko dotyczą spraw rodzinnych – ból, rozdarcie, dramat, jeżeli nie tragedia.

O dwunastej z Renatą w Teacher's Too. Tym razem źle wybrałam. Omlet z jarzynami – bez smaku. Bez ketchupu nie mogłam tego zjeść. Naturalnie moja wina – cnota jest nudna i bez smaku. Może tylko pospolita cnota. Powinnam była zamówić coś lepszego.

Czwartek, 4 października

Po rozmowie z Renatą na temat *Roku myśliwego* przysły mi do głowy następujące domysły:

1) krytyka Lowella i jego picia itp. może mieć podwójny adres, może to też być skierowane przeciw komuś innemu – zależnemu od psychiatrów, leczenia z depresji, alkoholizmu itp.

2) ta próżność dotycząca wyglądu i kondycji fizycznej podobna do próżności Dąbrowskiej, chociaż inaczej wyrażona. Jest to w dużej mierze

⁶ William E. Harkins, slavista i tłumacz, kierownik katedry.

⁷ Józef Wittlin.

związane z faktem, że w końcu autor jest w jakimś tam stopniu, po transformacji w narratora czy podmiot liryczny, bohaterem swego romansu, czyli twórczości.

(...)

Sobota, 6 października

Wczoraj wieczorem obchodziliśmy Władka urodziny. Prezenty położyłam mu w nocy z czwartku na piątek. Nie zauważył ich na krześle, ale obudziłam się i przypomniałam. Nie udało mi się zrealizować moich bardziej ekstrawaganckich pomysłów – ogłoszenia w N.Y.T. (\$500.00) lub portretu. Ale Władek był zadowolony, głównie dlatego, że bez ekstrawagancji. Spotkanie, tylko rodzina, było przyjemne, tort z lodów – smaczny. Naturalnie pod powierzchnią bolesna sprawa Feli i Saszy, ale o tym nie mówiliśmy.

Dziś Sasza pojechał sam na przyjęcie, na które byli razem zaproszeni. Ten człowiek nie ma odrobiny delikatności. Fela dała mu do wiwatu, tak że chyba trochę mu się odechciało. Niemniej jednak planował to dawno, a potem tam kłamał przed ludźmi, że ona nie mogła przyjechać. Wszystko to kosztowało nas bardzo wiele zdrowia. Oboje przeżywamy i zaczynamy kłócić się między sobą. Choć Władek powiedział, że na to nie pozwoli. Pojechaliśmy do restauracji Embers i potem z Felą poszliśmy do kina.

Niedziela, 7 października

Ten film *Postcard from the egde* jako najlepszy odrobinę nas rozczarował. Doskonałe kreacje dwóch doskonałych aktorek (Shirley MacLaine & Meryl Streep) i parę doskonałych kreacji doskonałych aktorów w rolach drugorzędnych. Ale to wszystko zwieszane na niczym, właśnie na „egde”. Wszystko jakby etiudy, video-camee i w dodatku z pozytywną tezą przewyciężenia nałogu. Porównuję z filmami *Wszystko o Ewie* lub *Bulwar Zachodzącego Słońca*, bo niby to samo środowisko. Tamto to były pełne filmy, tutaj bardzo subtelna i odważna charakterystyka, dobry humor. Podobało mi się odezwanie bohaterki do terapeutki w klinice: „Do you talk only in bumper stickers?”.

Połowa Ameryki tak mówi, redukcja języka do innego języka. Pseudo-żargon, pseudoterapeutyczny. No i ta odwieczna sprawa matki – córki, przypomina mi E. Przygotowałam test, zrobiłam odrobinę tłumaczenia, prasowałam prawie 3 godziny. Zakupy, obiad, denerwujące telefony.

Poniedziałek, 8 października

Rano jak zwykle przygotowania do wyjścia. Wszystko miałam, więc już bez większych przeszkód pokonałam zwykłą poranną inercję. Studenci skończyli test znacznie wcześniej niż przypuszczałam, toteż zaczęliśmy dopełniacz. Druga klasa – celownik z użyciem wielu ćwiczeń z serii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przy wyjściu spotkałam Janusza Głowackiego. On przy całej dezynwolturze, z jaką podchodzi do wszystkiego, wydawał się szczerze ucieszony ze spotkania. Okazuje się, że raz w tygodniu uczy tu dramatu czy też pisanie dramatu. Powiedziałam mu swój pomysł na jego dramat – Lechoń, homoseksualizm, McCartyzm, potem śmierć Roy Cohena na AIDS. Był zdziwiony, prawie nic z tego nie wiedział. Powiedziałam mu, że powiem mu o źródłach. Zaproponował dość energicznie, abyśmy za tydzień w ciągu tej półgodziny między końcem moich zajęć i początkiem jego wypili kawę. OK. Jego koleżeńskie pocałunki też z na wpół rozchylonymi ustami. Śmieszne.

(...)

Wtorek, 9 października

Kiedys lubiłam opowiadać o początkach naszej emigracji. Teraz już nie, ale pamięć przejścia przez „ucho igielne” jest bardzo głęboko wryta. Tego zupełnie nie można porównać z przyjazdem na najskromniejsze nawet stypendium czy posadę. „Jak śmiecie wyrzucone na brzeg” – powiedziałam wczoraj B. (...)

Środa, 10 października

Spotkanie z Renią w Hunter College.

Piątek, 12 października

Rano rozmowa z Felą i kłótnia. Powiedziałam jej, żeby kupiła sobie piękną suknię. Jest bardzo na mnie zła i mówi nonsensy, m.in. że mnie tylko szmaty w głowie. Nie tylko, ale okazuje się, że to bardzo ważne. Szczególnie w cięższych chwilach. Suknia nie zdobi, ale w dużej mierze określa sposób zachowania się. Przypuszczam, że ważne dlatego są próby kostiumowe. Wieczorem B. na obiedzie. Rozmowy. Fela też przyszła. W pewnym momencie poczułam się tak zmęczona, że już z trudem podałam herbatę. Nie miałam też sił na jakąś sensowną, poważniejszą rozmowę.

Jakąś rolę to Forum odegrało w moim życiu. Może większą niż podejrzewałam. Nie w sensie wpływu na pisanie, ale wówczas poczucie przynależności i ich postawa w dniach wyjazdu i potem w Rzymie. Z drugiej strony, gdybym nie zrobiła z siebie tego, czym jestem, ich późniejsze zainteresowanie mną byłoby czysto towarzyskie.

Sobota, 13 października

Zaczęłam dzień od prania i żeby nie rozkładać tutaj pralki, zaniiosłam na dół do piwnicy. Ale nie jest dobrze zaczynać dnia od prania. Potem zdążyłam już niewiele zrobić. Trochę posłęczałam nad tłumaczeniem, które nie idzie mi tak gładko, i nad przeróbką artykułu o Bednarczykach.

Rozmawiałam z Mamą, Bartkiem, Zaremą. Każdy wzdyga się na dźwięk KPN. Sama osobiście nie mam do tego żadnego stosunku. Ale ta tak zwana liberalna lewica wywołuje nudności swoim podwójnym standardem, swoim przekonaniem, że władza, a i wszystko inne powinno zawsze do nich należeć. Jeżeli nawet bliższe mi są hasła, realizacja odtrąca.

(...)

Niedziela, 14 października

Nad ranem dziwny sen. Goga urodziła trojaczki. Jesteśmy u niej, żeby zająć się niemowlętami (prócz mnie jakieś dwie bliżej niezidentyfikowane kobiety) do czasu przyjęcia z okazji chrztu. Goga wychodzi, a w tym samym czasie Piotr przy stole w jakimś nadzwyczaj eleganckim garniturze przewodniczy jakiemuś przyjęciu. Ofiaruję się, że pomogę i chcę umyć naczynia. Jest zlew, ale nie ma kurków – to tak, jak tam u nich w letnim domku.

Rano Fela dzwoni z dużymi pretensjami, że narzucam jej, co ma robić. Jestem jak Sasza i inni. Nie wiem, staram się nie. Skłoniłam ją co prawda do kupna tej sukienki, w której dobrze wygląda. Tłumaczę, że tylko wtedy coś mówię, kiedy jej program jest zero lub minusowy. Nigdy, kiedy ona coś robi.

Wieczorem z Ojcem Władka, Lusią, Kubą i dziećmi w restauracji Baba w Queensie. Jedzenie względne, muzyka, tancerka tańcząca taniec brzucha i piosenkarka. Władek zdenerwował się, kiedy zaproponowałam, aby dał

tancerce pieniądze. Był oburzony. W końcu ona dotoczyła do naszego sto-
lika i ja i Lusia dałyśmy jej parę dolarów. Były to 75 urodziny Ojca Władka.

Zmarł Leon Bernstein, o czym dowiedziałam się w samochodzie.

Środa, 17 października

Wczorajszy odczyt Bronisława Geremka miał trochę nastrój „post mor-
tem”, tzn. podczas samej recepcji mówiło się już o kłopotach dużych tej grupy
i samego Geremka. Prelekcję Geremek zbudował wokół rozważania na temat
roku 1989 (O roku ów...) i jego znaczenia w Europie szczególnie wschodniej
i centralnej. Z odpowiedzi na pytania w pamięci utkwiły mi trzy: na pytanie
Krzysztofa Wellisza o Wałęsę powiedział, że o Wałęsie ma zwyczaj mówić
albo dobrze, albo wcale. Teraz nie powie nic. Na co siedzący obok mnie
Świętochowski⁸ powiedział do siedzących przed nim historyka Jaruzelskiego
i ambasadora Dziewanowskiego: „to tak jak o umarłych”. Na drugie pytanie
o możliwość utworzenia jakiejś zjednoczonej wspólnej Europy Wschodniej,
powiedział: „everybody wants to be a friend of a rich man”.

Trzecia sprawa to model hiszpański. Najpierw rozpatrywano model fin-
landzki, potem austriacki (to buy one's freedom out), a potem hiszpański.
W rozmowie z nimi na ten temat hiszpański polityk powiedział: ale przecież
Polska nie ma króla.

Geremka odpowiedź wówczas była, może Kościół odegra tę rolę – króla.

Ciekawe, że kiedyś żartowaliśmy tutaj, że Wałęsa mógłby być królem, tylko
potem – rozdrobnienie dzielnicowe, bo ma dużo dzieci.

Kiedy szukałam miejsca, dwie osoby pogratulowały mi obrony pracy,
a Istvan Deak oceny studentów na mój temat.

They adore you – powiedział.

Już po całej tej recepcji, a raczej przy jej końcu stałam w otoczeniu moich
studentów: Podraic Sweeney, Krzysztof W. i Jonathan Terra. Podchodzi ich
kolega z Polski Marek i mówi: a to ta sławna pani Anna.

Dlaczego sławna? – pytam.

Bo chłopcy o pani mówią – ubawiła mnie dwuznaczność tej riposty.

Ale rozmowa z Ewą W. kończy się smutną wiadomością.

Sobota, 27 października

Bar Mycwa syna Broni i Alike Palmerów. Wszyscy razem w hotelu, Ojciec
z Felą i Saszą, Mama z nami.

Piątek, 2 listopada

10. rocznica ślubu Maryli i Freddy'ego.

Sobota, 3 listopada

Przyjęcie u profesor Juriew.

Niedziela, 4 listopada

60. urodziny Joska i Beniamina, na które poszliśmy z Gabi.

Piątek, 9 listopada

Egzamin mój z języka rosyjskiego.

⁸ Profesor Tadeusz Świętochowski.

Sobota, 10 listopada

Kiermasz w Polskim Instytucie Naukowym, na który zrobiliśmy z Bartkiem arkusz *Drzewo za oknem*. Zanieśliśmy na kiermasz 50 egz., sprzedało się 2, rozdało – parę.

Piątek, 16 listopada

Byliśmy w synagodze z okazji rocznicy śmierci Mamy Władka. Rocznicą obliczona wg kalendarza żydowskiego.

Sobota, 17 listopada

Przyjęcie u Grażyny Drabik – śpiewające.

Środa, 28 listopada

Rozmawiałam z Rochelle. Jest w ciąży, ale ponieważ czeka ją badanie dość skomplikowane, które może spowodować poronienie, nie wydała jeszcze oficjalnego oświadczenia rodzinie. U niej robi się to cyklicznie. Kłopoty z G., jej groźba odejścia, G. się poprawia, Rochelle zachodzi w ciążę. Jej lata buntu szczęśliwie przypadły na bardzo wczesną młodość i wówczas jeszcze „bezpieczny” wolny seks, toteż zdążyła na czas do tego, w czym, jak sama twierdzi, są najlepsi – rodzina, domek za miastem, ogródek. Zupełnie odmiennie niż z tamtej paczki Marlene, Liz, a nawet Angela, która zresztą do tej „paczki” nie należała.

Marlene przeżywa swoją najnowszą miłość i ja jej kibicuję. Chłopak – zakochany w niej po uszy ma 23 lata, a więc jest w wieku Pawła.

Angela pochłonięta urządzaniem domu, ale jej synowa nie próbuje nawet zarabiać i jak Elżunia de K. z radością mówi „dba o męża”. A więc totalne odwrócenie tego, co robiła Angela, matka Elżuni, etc.

Czwartek, 29 listopada

Klon zupełnie ogołocoony, może dwa, trzy żółte zwinięte liście, każda dziupla widoczna i mogę śledzić krzątanie się szpaków bez przeszkód. Do tych nagich dziupli przyzwyczaiałam się, ale teraz, kiedy nie ma liści, widać te kikuty gałęzi. Być może ta operacja uratowała klon i w lecie jest on bujny i ani śladu tamtego obumierania.

Domek za klonem w dalszym ciągu pusty. Okna na parterze zamalowane, na pierwszym piętrze i poddaszu porządnie zabite deskami, które deszcz wymywa na żółto, chociaż pojawiają się już zaczątki szarzenia. Duża żółta tablica ogłaszająca, że będzie tu „Medical Center”, przybita na dobre, ale mimo jej krzyczących czarnych i czerwonych napisów, nic się nie rusza. Ceny domów spadły, lekarskich spółdzielni namnożyło się ostatnio i ci nie mogą znaleźć współników.

Zadania na dzisiaj: przygotować się do lekcji, poprawić prace domowe, napisać kartkę dla Jeanne, popracować nad Miłoszem, pojechać do MOMA⁹ kupić bilety, pójść wieczorem do MOMA do kina itp.

Poniedziałek, 3 grudnia

W nocy, po krótkim śnie obudziłam się po pierwszej i już do czwartej nad ranem tłukłam się jak ból po kościach. Zapiisałam pewne uwagi do artykułu, przeczytałam gazety, skończyłam w „Atlantic” artykuł o seminariach duchownych. W końcu Władek, który też budził się często, powiedział: chodź przytul się, może usniesz. I rzeczywiście usnęłam. A potem ten sen, że ktoś

⁹ Museum of Modern Art.

rozmontował ekran komputera i nie mogę pracować. Wiem, że tam jest cały mój tekst i te wszystkie cudowne operacje, ale śrubki rozkręcone i nie wiem, kto... Czy „super”¹⁰, czy hydraulik. To pewnie reminiscencja senna z wypełniania ankiety stowarzyszenia lokatorów. Myślę, że nie antropomorfizuję komputera. Jest on dla mnie jak gra, której wszystkich reguł nie znam, ale wiem, że tam są i gdybym poznała, mogłabym jeszcze lepiej się bawić. A ponadto – takie ułatwienie życia.

Piątek, 7 grudnia

Lunch z Ewą W. we francuskiej restauracji Grenier. Restauracja zepsuła się od ostatniego razu. Byłam tam w sumie trzy razy przedtem; z Żenią i Felą Dobroszycką, ze Stachem W. i z Jamie Bennett. Niechcący sprowokowałam Ewę do zwierzeń, które – okazuje się – są dla niej bolesne.

Po zajęciach seminarium o Trockim. Dotychczas zawsze patrzyłam na jego los poprzez myśl o jego zamordowaniu. Teraz widzę, że on sam był bezwzględny człowiekiem. Przypomniało mi się, co przeczytałam w *Roku myśliwego* Miłosza, że życiorysy komunistów nigdy nie zostaną napisane. Tymczasem Amerykanie mają tę tendencję, aby wciąż widzieć pozytyw, nawet tam, gdzie ich nie ma. Cathy N. chciałaby wierzyć, że gdyby to był Trocki zamiast Stalina, może nie ucierpiałaby tak literatura.

Obiad jedliśmy wszyscy w Amsterdam Café – okazuje się, że to bardzo dobra restauracja i niedroga.

Czwartek, 13 grudnia

Dyskusja w studio na temat książki roku. Renata zaprosiła Głowackiego, co jej zresztą zasugerowałam, bo myślała o Barańczaku. Ja, licząc na dezynwolturę Głowackiego, przygotowałam się raczej na mówienie bez notatek (odmiennie niż zwykle), a Janusz miał notatki. Przygotowałam się też na propagowanie *Szkiców rodzinnych* Grynberga, podczas gdy inni propagowali Miłosza, Zagajewskiego, Herberta, Urbana. M.in. powiedziałam, że proza Grynberga jest męska, na co Janusz z życzliwą żartobliwością: „Heniek jest w ogóle męski”. Miałam naturalnie na myśli, że jest to proza opisująca męski świat. Zacytowałam też Szymborską (tysiąc i jeden to wciąż jeszcze tysiąc), mówiąc, że Grynberg wypełnia miejsce tego jednego. Głowacki mówił o swoich lekturach amerykańskich, o popularności Urbana. Całe spotkanie zbiło mnie lekko z tropu i musiałam to potem egzorcyzmować.

Stamtąd na późny lunch z Renią, był też Emil.

Poniedziałek, 17 grudnia

Egzamin grupy „intermediate”.

Środa, 19 grudnia

Egzamin grupy „beginners”. Robert Kulągowski w mundurze.

Oddałam wyniki egzaminów. Musiałam R. postawić (B+), co mnie męczy.

Wieczorem zaproszeni byliśmy na przyjęcie (surprise birthday party), które Ała przygotowała dla Franka Millera. Przyjęcie nadzwyczaj miłe, piękne mieszkanie zrobione z dwóch maleńkich mieszkań – kondominiów. Eleganckie kanapki, m.in. śledź na liściu bazylii. Mąż Ały bardzo się Władkowi spodobał. Zorganizowałyśmy zresztą tam na miejscu panel z Cathy jako przewodniczącą, poza Ałą i mną będzie jeszcze Handrik Baran i Jerry Piróg jako „discussant”.

¹⁰ Dozorca.

Nieźle.

Po przyjęciu piechotą poszliśmy do A&S kupić ekspres do kawy Krupa dla Liny.

Ciągle wymawiając tę nazwę, myślę o negatywnej konotacji, jaką ma ona w literaturze wojennej i mam uczucie przełamania tabu.

Czwartek, 25 grudnia

Wyjazd do Vancouver.

Poniedziałek, 31 grudnia

Powrót z Vancouver.

Anna Frajlich

Fragment dziennika prowadzonego nieregularnie przez Annę Frajlich od czasu wyjazdu do USA. Kilka kartek z roku 1997 opublikowały „Migotania” nr 3-4 (32-33) z 2011 r.



Stanisław Baj: *Świński szal*, olej, pł., 130 x 130 cm, 1978 r.

MACIEJ MELECKI

Dementacja obecności

Jednomyślny ugor. Wyboista dookolność niczego, niczego
Nowego. Takie są przynajmniej przesłanki, załadunki wrażeń
Na płozy nowego widzenia, które zsuwa się płynnie jak pchnięta, kręgielna
Kula w jamę końca toru. Tego lata jestem jeszcze bliżej ostów
I kasłających rur. Sina rdza. Chropowata gładz. Tłumy
Ludzi słuchających koncertów, w jednym punkcie skupienie
Atonalnych dźwięków. Wylew wybroszyn. Duchota. Parność.
I krótkie dreszcze, w tej sferze nieupstrzonej bojami, nieoznaczonej
Krawędziami, poprzez pumeks zgiełku, poprzez zgiełk ciszy, przerywane
Rozmowami o tym, że jeszcze się nie było. Ludzie oczekujący

Na rozpoczęcie. Ludzie na umór zbici. Trąd światła. Rachityczny
Stolik pod drzewem, na zwirowym placyku. Dementacja
Obecności. Roje ust w szarości, która odebrała już im twarze.
I nagle burza taka, jakby ktoś spawał niebo. Zduszona ziemia,
Zachłyśnięta wodą, wpadająca w dygot. Huk końca dnia.
Prześwietlana klatka wieczoru. Rozwidlony wiraz błyskawic. Gruntowana
Pewność, że nie będziemy mieli do czego się zwrócić, więc, jeśli
Już, zwrócimy się po niebyłe. W tunel zaniku wejdzie dziecko
I zacznie krzyczeć: echo, echo! Spójna tego wizja osiada na
Koniuszku samoznoszącego się poznania i pokazuje przecucie
Znalezienia się nagle daleko od siebie w tłumie, grupie,
Z której odpadł kadłub, na mieliźnie świtu, w znajomo wyglądającym
Wraku do niczego nieprowadzącego tygodnia. Zaraz

To minie i nowe przyppełnie, pociągnie za sobą w gardziel
Odrętwienia, na próg dziupli poranka. Komu się znudzi, natychmiast
Poszuka sobie strzelniczej tarczy, seryjnych odgłosów, niewidomych
Szmerów, demontażu zwrotu na pogodowej mapie gestów, gdy
Cofa się kaskada dachów i z pustych wnętrz szczerzą się
Przykryte podłogi. Wszystko to więc, nie mając wyboru, graniczy
Z ułudą, nawet jej przezroczysta postać, bo tak konkretnie odbieralna,
Namacalna i widzialna jest tylko zapowiedzią, szlabanem, który
Się podnosi, lecz nigdy nie osiągnie pionu. Bez pionu nie ma poziomu.
Jest więc tylko pochylenie, skośne położenie perspektyw zbiegających się
W oczku migoczącej swym odbiciem gwiazdy. Przewróć czasem
Dopowie swój koniec, i wzbierać już zaczyna powtórzenie początku kresu.

Nie chcieliśmy bowiem już od niczego być wolni. W rozchodzący się
Kraż dziennego, do szczętu zwleczzonego mienia wdawał się
Zdyszany puls lichego światła, które, by mogło marnie osłaniać

Nasze miejsca czy cudze domy, musiało swym ogarkiem razić
Skurczone oko słońca. Byliśmy więc i od tego przewlekłe wolni,
Obiektywnie stromi w swych odśrodkowych ruchach, nawet tam,
Gdzie teraz życie przybiera taneczną figurę na kursie dla
Samotnych, gdzie sący się w rogach sali piwo i smakuje zapach
Wybrukowanych ścieżek z pobliskiego parku. Jeszcze się nie
Skończyła tego poświęta, wciąż wszystko jest nieproporcjonalnym
Kształtem panoramicznego kadru, przetkniętego wężykiem pustki, i dopiero
Zza węgła nieba przestaniemy ssać ten zsiadły mrok, szturchani pędem
cienia.

Wnet

Wytrawiona rynna poranka. Jesteśmy prawie spakowani. Odwiązani
Do połowy od pala tygodnia. Łupiny drobienia. Krojenie
Strużyn. Mieszanie w miskach. Odczuwalne coraz silniej
Harmonijne dictum zatrąty w bieżącym rytmie. Strączek
Oka. Pędy ściany. Częstsze stąpanie wokół piorunochronu.

Nic nie przychodzi spodziewane. Centrum miasta zamienione
W odpustowy, chłonny fant. Stępienie wszelkich krawędzi, zgładzenie
Podłostek kupionymi balonami, jazdą swych dzieci na karuzeli.
Kapitański mostek niedaleko dzioba ratunkowej szalupy.
Nożyczki, termometr, breloczek w kwadratowym słoju. Nic nie

Odchodzi nieuwolnione. Kawałkowany dzień, by dalsze dni, nie dość,
Że wolne, były prędsze w tempie wydarzeń, aktywnych
Przebiegów, bezliku pustki drapowanej na płózy nowych
Wrażień. Ptasie śledztwo w toku trelów i wyrzucanych trefli,
Obwieści zgoła nowe prawdy. Przekonamy się wnet o

Dokonującym się na nas podziale, rozpleciemy każdy koszyk
Przygód, wysypując je na matę próżni, niedaleko wiaduktu,
Blisko dworca, co rusz tworząc nowe, jakby już nigdy nie
Miało być końca, czerstwej bramki świtu, przez którą nie
Miałoby się już przejść, jakby zawsze był tylko zenit i

Kolonizujący zator. Pójdziemy w góry, pójdziemy grzbietami,
Odkopani szpadlem cienia, widomi jak widma, odłamiemy
Fragment dachu. Nigdy nie popamiętani, nigdy w prostym
Celu, niepochowani w tej ziemi nawożonej zabłąkanymi echami,
Zostaniemy na chwilę różnoracy, zsunięci w poprzek.

Przesuw

Mętny szew ledwo scalający rozerwaną siatkę minionego i
Obecnego świata, schowany pod pokrywką powidoku, w bliskim

Wślizgu wchłoniętego starcia, kiedy gubi się horyzont na mapie
Kończącej się w pół terenu, zdeptanego jak gwizdek w głuszy, jest tak
Naprawdę naszą jedyną zagadką podczas przechodzenia z fazy
Braku grawitacji do trybu twardego lądowania. Wszystko pyli. Nie wszystko
Żyje. Na żadnych krańcach nie ma przejaśnień, mienia się tam skrzeple
Błyski płochych wierzeń w ostateczny, brawurowy i skuteczny
Kurs po runo nowych dni, dni na łasce wyżu. I tak też byliśmy noszeni
Przez kąty nowych miejsc, na górskich polanach, w dolinach
Otoczonych zacierem nowych wejrzeń, na wszelki wypadek niezdani
Na nikogo, w sam raz, w cieniejszej uprzęży, forsownym szyku.

Prześwity wszelkich stanów tworzą bezlik pchlich punktów, doraźny
Mętlak wejrzeń w kolejny, spadzisty okap chwil, na który musimy
Być nie tylko gotowi, musimy mieć go w zanadrzu, ażeby spływać
W ciszę niezatkanych kanałów prędkiego wyboru, śladowym znakiem
Dać się wywołać i z każdą rysą przybywać na nowo, znosić się
W pokruszeniu i na niemgielną postać następnego braku czekać jak na
Podanie ognia. Żmudne cele finguje los. Komunikowalne strzępy znów
Chcą być za pan brat z każdym wizgiem ujrzanych, przyszłych lat, i tak
Się szamocze, już sam ze sobą, wszędobylski pat, w części ważącej coraz
Bardziej racji tego ludnego osamotnienia, kiedy każdy, idąc w swoją
Stronę, wyprzedza cienie innych, pokonuje ich mało trafne profile, i
Zbiera odmownie sute odpowiedzi, których ogniwa nie są domknięte

Najlichszą nawet skuwką pytania. Brniemy wokół siebie. Brniemy
W cieniu innych. Znosząc się wzajem, nie odstępując w najmniejszym
Pochywie od podłużnej linii mety. Karma tego czasu daje tylko wiotki
Powiew pustej pełni, kawałkuje miejsce największego spoczynku, ledwo
Zapełniając dno tego koryta, w którym każdy się mieści, w ciągłym
Przesuwie, w najdrobniejszej pozie okupionej uwiadem niegdysiejszej
Aktywności, na polu grząskich mniemań o bliskiej i realnej wizji
najrozleglejszych
Planów. A potem już tylko ćmiący migot, ssący wzrok i rwący gest. Puls
Złamany dygotem. Wiatr tnący z każdej nieosłoniętej strony, gęsto rozsiany
Widok mar, ludzie zaszkleni częstym patrzeniem na zegarek, zwrotny ruch

Wieści, wahadło na czole każdego. Jesteś odciążony, pozbawiony ładunku,
bagażu,
Jesteś odwinęty, żadną cumą nieściągnięty, na maszt żadnego kierunku
Nienawleczony, jakby naprzemianlegle zauważany, opuszczony przez
cudzy widok,
W stanie ciągłego przechodzenia, w urywku ślepej mocy. Wyczyszczone parę
Godzin. Opróżniony bęben. Linki znów obwieszzone. Smak pustego talerza.
Worek na śmieci jeszcze nierozwinięty. Mrowi więc tylko przybór.

Drobne zdarzenia
Napędzają dalej tę dyszę rojnego chcenia, utrzymania się na powierzchni
Matowego odbicia, jakby nie stał za każdym krokiem mur koniecznego
Zatrzymania, i tam się rozchodził kiedyś zaczęty ciąg szybkiego zamierania.

Maciej Melecki

Ucieczka

Tak więc postanowił, że nie będzie mówił. Od tej chwili każde słowo, każdy szmer stał się dla niego niezwykle ważny. Koledzy z klasy nie zauważali go. Podczas przerw trzymał się na uboczu, nie chciał prowokować swoim milczeniem. Problemy pojawiły się już przy obiedzie. Dwóch kolegów siedziało z nim przy stole. Przerzucali się pytaniami, żartowali.

– No i nad czym nasz mądrała znowu medytuje?

– Artysta! Artysta! – zakrakał drugi, krępy, czarnowłosy chłopak.

Uśmiechnął się. Należało to znieść. Rozumiał ich. Uznał ich racje, inaczej nie zdołałby z kamienną twarzą dojeść z nimi obiadu.

Wpół do drugiej mieli okienko. Spacerował brzegiem Raby. Naniesione przez rzekę kawałki drewna, kłody kołysały się na wodzie niedaleko od brzegu. Jakiś pień uwiązł w wodorostach. Chłopiec usiadł na stromiźnie brzegu, w samym zakolu rzeki. Długo patrzył na uwięziony pień, nie zauważając, że czas przerwy minął. Uwięziona, zaplątana w wodorosty kłoda, jak ściśnięte między strunami głosowymi ostatnie słowo.

Nie będzie mówił. Spojrzał na zegarek, myśląc o tym, czy by nie zaryzykować rundki po wyspie. Nagle podskoczył, by dokładnie zapamiętać miejsce, w którym pływał pieniek. Pobiegł na koniec wyspy. Usiadł na śliskiej od rosy ławce. Połączona z mżawką lepka jesienna mgła zostawiła wilgotne plamy na pokrytym zielonym nalotem, wytartym siedzisku. Strącił z ławki wilgotne liście platana, skrzyżował nogi. Siedział, oparłszy prawy łokieć na wewnętrznej stronie lewej dłoni. Nasłuchiwał. Początkowo słyszał w tle tylko ciche pomruki miasta, które stopniowo przybierały na sile. Zasiadzał się aż do czasu zapalenia latarni. Wtedy z jakąś nie wiadomo skąd pochodzącą siłą puścił się biegiem z powrotem. Biegąc, spojrział kilka razy za siebie, jakby siły jego biegowi przydawała świecąca matowym blaskiem ogromna kotwica kąpieliska po drugiej stronie wyspy.

Nie miał szczęścia. Tego dnia dyżurował Żmija, uważany za postrach internatu. Zamarudził chwilę przed salą, znów popatrzył na zegarek i otworzył drzwi. Wyraz twarzy Żmii był lodowaty.

– Czyśmy się aby nie spóźnili?

– Ojczy, proszę, zegarek mi...

Żmija spojrział w bok, ale i zamachnął się w tej samej chwili. Uderzył. Na twarzy chłopca pojawiły się czerwone pręgi po pięciu palcach, pięciu siedzących pewnie w gnieździe małych ptasich lębkach. Pamiątka tej sceny – dokładniej palący ślad pięciu palców pulsował na jego obliczu również wtedy, kiedy wiele tygodni później Żmija mówił o pokorze, o absurdalności świata. Zakonnik dosłownie wyrwał z siebie słowa, próbując w ten sposób złagodzić rozchodzący się po całym ciele ból. Po każdym zdaniu odpoczywał. Jego słowa stukwały mechanicznie w ciszy sali lekcyjnej. Wszyscy już wiedzieli, że ma raka płuc.

W grudniu nauczyciel przekaszał każde roraty. Jednej z niedziel, przed feriami wygłosił jeszcze kazanie. Chłopiec przez cały czas uważnie patrzył na dłonie zakonnika, który ścisnął gliniany dzbanuszek, i żeby skuteczniej

zobrazować omawianą kwestię, upuścił dzbanuszek z ambony przed pierwszy rząd. Cisza, która nagle zapadła, stłumiła zwykle słyszane w kościele szmery, szelest odzieży i odgłosy szurania. Coś przełamało od lat niezmienny przebieg ceremonii. Później i to traktował symbolicznie. Skoczyli gromadą, uczniowie z pierwszych krzeseł, a i z ławek, żeby pomóc pozbierać kawałki dzbanuszka. Ojciec jedynie machnął na wszystko niecierpliwie ręką.

Czekał na to, by zaczęli hałaśliwie omawiać zdarzenie. Może nawet liczył na niewybredne żarty kolegów z pokoju.

– Patrzcie tylko, co znowu wymyślił ten konający błazen! Ale w sypialni panowała cisza. Każdy bał się mówić o nim jawnie, w pokoju. Bali się jego konania, potwornych cierpień, które go czekały. Tego już nie mógł im referować ze zjadliwą autoironią, jak to robił dotąd. Jeszcze kilka miesięcy. Nie mówić. Z nikim nie mówić.

Minął dzień. Chwilami jego postanowienie wydaje mu się śmieszne.

– Wytrzymam przynajmniej, dopóki nie umrze!

– Dopóki nie kopnie w kalendarz! – dopowiada głos dochodzący gdzieś z głębi.

Pogrąża się w coraz głębszej ciszy. Odkrywa warstwy milczenia. To nie tylko brak – brak mówienia – ale pewien rodzaj nietykalności. Jeszcze po południu bał się sam na wyspie, nieświadomie uciekał przed samym sobą. Gdzieś w duszy uchyliła się śluza, przepuszczając niektóre z jego uczuć i myśli. Były straszne, a jednocześnie pociągające. Przygniatał go przerażający ciężar samotności, ale pod jej pozornymi warstwami zaczął coraz bardziej zbliżać się do samego siebie.

Świat zewnętrzny – to i n y świat. Teraz osiągnął to, że oderwał się od świata i zaczął schodzić do świata bardzo ważnego, do jego własnego świata.

Ostrożnie wstaje z łóżka, wykrada się na korytarz. Anemiczna poświata ułatwia mu orientację. Przechodzi przez salę reprezentacyjną. Wie, w którym miejscu parkiet mógłby zaskrzypieć pod stopami, dobrze widzi też wnękę; tak udaje mu się pokonać niebezpieczny odcinek. Drży na odgłos skrzypienia kołyszących się drzwi. Kiedy dociera na korytarz klauzury, znajduje się naprzeciw izby chorych, na lewo są pokoje ojców. Trzeci to pokój zakonnika. Ze środka dochodzi suchy, przeciągły kaszel. Otwiera drzwi i wchodzi do środka. Czuje słodkawe, zatęchłe powietrze. Na szczęście drzwi wewnętrzne są uchylone na kilka centymetrów. Spogląda przez tę szparę na łóżko zakonnika, leżącego na boku, twarzą do ściany. Oddycha równo, chociaż od czasu do czasu szczerkając kaszle. Chłopiec bezszelestnie nasłuchuje, aż umierający z trudem przelknie podchodzącą mu do gardła plwocinę. Po chwili wkrada się z powrotem do swojego pokoju i natychmiast zapada w głęboki sen.

Budzi się późno, koledzy wyciągają go z łóżka. Na pewien czas o wszystkim zapomina. Podczas WF-u biegną na Złoty Brzeg. Przeskakują przez żelazne łańcuchy na placu Széchenyiego, wzdłuż straganów na bazarze, przez most. Tym razem nawet nie spogląda na posąg Świętej Trójcy, chociaż przygląda mu się, ilekroć tędy przechodzi. Kiedy dwa lata temu tłuściutki nauczyciel od religii opowiadał historię posągu, widział przed sobą białą hostię, widział złoconą monstrancję jaśniejącą w zimnym świetle zimowego słońca. Żołnierz niezmiennie wytrąca monstrancję z rąk księdza. Wizja jest niebywale szczegółowa, bliska, namacalna. Potem postaci zastygają w wirującą terazniejszość wieczności.

Siedzi w kaplicy na piętrze, z łokciami na kamiennym obramowaniu kaplicznego okna. Dobrze widzi stąd wewnątrz kościoła. Z kaplicy na piętrze wiele razy obserwował, jak ojcowie modlą się przy ołtarzu. Stąd wydawali

się wróbelkami, które obsiadły ołtarz. Nieporadnymi, kochanymi. Ale tylko tam. Na lekcjach, w klasztorze, a i jeszcze na ulicy Barossa wzbudzali strach.

Myślał o kolegach z klasy, o jednym z tendencjami do tycia, który dziesiątki lat później został szanowanym proboszczem w diecezji miasta Pécs. Drugi, nieodwzajemniający jego przyjaźni, został ogrodnikiem, trzeci wykładał historię na uniwersytecie. Zazdrościł tym, którzy wiedzieli, czym chcą się zajmować po maturze. Archeolog, przedsiębiorca, nauczyciel w seminarium, lekarz i prawnik – te zawody wydawały się takie łatwe do zdobycia! W nim coś się instynktownie buntowało: jakieś ziarenko, mające źródło w intuicji i w silnych jak grom przecuciach, zastygłe w stalowy rdzeń, odpychało od siebie pochodzącą z zewnątrz wiedzę, która z czasem okazywała się beużyteczna. Nauczyciele widzieli w jego postawie całkowitą pasywność, pozytywnie ją za brak potrzeby dążenia do celu, związany z okresem dorastania, a trafił się wśród nich i taki, który doradzał mu wizytę u psychologa. Inny znowu po prostu nazwał go bydłkiem; wystąpił potem z zakonu. Dwadzieścia lat później – obydwaj już jako ojcowie wielodzietnych rodzin – uczyli razem w szkole średniej.

Za dnia włóczy się po mieście. Dobrze mu robi ta półcisza. Przebywa w tłumie, jednak nie musi mówić. Początkowo stanowiło to przejście od hałasu do ciszy. Po jakimś czasie zbrzydł mu sposób bycia nadętych klientów tłoczących się w domach towarowych. Wtedy wracał spacerkiem do internatu i przesiadując przy oknie, dalej obserwował przechodniów.

Smak kradzionych owoców! Ty obserwujesz, ale ciebie nie widzą. Porządkujesz wrażenia, kolekcjonujesz co ciekawsze twarze, sytuacje. Wracasz później do tej czy tamtej sceny i te powtórki działają na ciebie uspokajająco. Idziesz w ślad za wylegającymi na ulicę rano i po południu zabieganymi ludźmi, którzy w pośpiechu zmierzają do pracy, do szkoły.

Zdumiewa cię ich świadomość celu, bo przecież ty nie masz dokąd iść, nie masz się dokąd spieszyć! Popadasz w jeszcze głębszą samotność, w otchłań ciszy. W pośpiechu przemierzający ulice ludzie stanowią część twojego życia, bo ich obserwujesz. Jakoś przynależą do ciebie, ale nie zależycie od siebie nawzajem! A jednak, wiedział to z całą pewnością, że ci ludzie gorąco pragną uważnego spojrzenia. Obserwatora, który uchwyci sens tego ich pajęczego uwijania się.

Bał się nauczycieli. Jego strach nie był całkowicie bezpodstawny, w końcu nieraz sprawiał kłopoty. Co można począć z taką żywą raną? Tylko książka dawała akustykę uczuciom, sprawiała, że dzień powszedni stawał się świętem, pozwalała snuć dalekosiężne plany. Ból, trudne sytuacje zaczął w końcu przenosić do fikcyjnego, choć bardziej niż fikcyjny prawdopodobnego świata. W domu czeka praca. Kopanie ogródka, palenie suchych liści, rąbanie drewna. Każdy zewnętrzny ruch odpowiadał wewnętrznym poruszeniom. Zapuszczał się powoli w zawiły labirynt świata. Wyszło tak, że raczej namacał białawy, zimny żar intelektu niż rozgrzany do czerwoności kociołek uczuć. Później nieregularnie połykał książki, jak leci; podczas lektury gubiła go chęć dosłownego rozumienia. O, błogosławiona dosłowności! Przekłete metafory!

Stawał mu przed oczami uparty zawiadowca na stacji języka, jak wchodzi między płataninę szyn, przestawia zwrotnicę, a skierowany na tory metafor pociąg z łoskotem opuszcza dworzec porównań. Wtedy jeszcze wierzył w siłę dosłowności.

Lata później dowiedział się, że Żmija w dniu jego ucieczki zmarł.

przełożyła Agata Łuka

KAROLINA PRZESMYCKA

Dziady nad Rzeczpospolitą

O tym, jak Białorusini
chcą wskrzesić unię polsko-litewską

Wiesz, nie ma znaczenia, kim jestem w paszporcie – Polakiem, Litwinem czy Białorusinem. Najważniejszą rzeczą jest to, że w sercu czuję się obywatelem Wielkiego Księstwa Litewskiego. Rzecz w tym, że Wielkie Księstwo Litewskie było bardzo dobrym państwem, gdzie mieszkali razem protestanci, żydzi i katolicy... Ten kraj, oczywiście, dzisiaj może być wzorem dla innych. Ale 300–500 lat temu był bardzo tolerancyjny dla wszystkich... Centrum Wielkiego Księstwa Litewskiego zdecydowanie stanowiła Białoruś. Wydaje mi się, że serce Księstwa bije w każdym człowieku. Może ludzie marzą o emigracji do tej legendarnej i potężnej krainy – powiedział książę Maciej Radziwiłł w 2009 r., podczas swojej pierwszej wizyty w rodzinnym Nieświeżu¹. Trudno nie zgodzić się, że w świadomości współczesnych Polaków Wielkie Księstwo Litewskie (lub po prostu Litwa) rzeczywiście funkcjonuje jako byt w pewnym stopniu legendarny, u starszych pokoleń budzący sentyment, a u młodszych skojarzenia z mitologią stworzoną przez dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych pisarzy. Każdy „Polak mały” wie przecież, że „nad błękitnym Niemnem rozciągają się łąki zielone”, a na okolicznych polach „panieńskim rumieńcem dzięcielina pała”. I że autor tych słów, choć tęsknił do „ojczyzny Litwy”, był Polakiem, pisał po polsku i w polskim mieście Wilnie stworzył „biblię polskości”. Ale są i tacy, dla których Adam Mickiewicz to w najlepszym wypadku poeta litewsko-polski, który pisał co prawda po polsku, ale tylko dlatego, że był spolonizowanym Litwinem, a tworzył w mieście od zawsze litewskim.

Nie jest moim celem rozstrzygnięcie polsko-litewskich sporów o przeszłość, warto jednak zwrócić uwagę, że na początku ostatniej dekady XX w. pojawił się trzeci pretendent do sukcesji dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przypomina on dwóm pozostałym, że określenie „Litwa” jest przez nich używane nie do końca zgodnie ze swoim historycznym znaczeniem, a na dodatek stara się udowodnić, że Wielkie Księstwo Litewskie wcale nie musi pozostać tworem czysto sentymentalnym, pogrzebanym raz na zawsze przez osiemnastowiecznych zaborców. Mówiąc wprost: okazuje się, że do „pól malowanych zbożem rozmaitem” wdychają również Białorusini, przez Polaków często postrzegani w krzywdzący sposób jako społeczeństwo „bez świadomości narodowej”. Tymczasem, jak tłumaczy portalowi Kresy.pl Uładzia Michniewicz, jeden z czynnych propagatorów idei litwinizmu, *gdyby każdy Białorusin choć raz w życiu przeczytał „Pana Tadeusza”, nie mielibyśmy z nimi (tzn. z ich świadomością narodową, przyp. – K. P.) tyle kłopotów. Przecież „Pan Tadeusz” jest świetnym podręcznikiem litwinstwa!*².

¹ B. Garbuzov: *Найшадкі Радзівілаў дагэтуль лічаць сябе грамадзянамі Вялікага Княства Літоўскага*. <http://nesvizh1223.ucoz.ru/publ/5-1-0-263> (16.12.2012). <http://nesvizh1223.ucoz.ru/publ/5-1-0-263> (16.12.2012).

² J. Bury: *Litwinizm – nowe zjawisko na Białorusi*. <http://www.kresy.pl/wydarzenia?zobacz/litwinizm---nowe-zjawisko-na-bialorusi-1> (16.12.2012).

Litwa nie Lituania

Michniewicz wyjaśnia, że litwinizm – rozumiany jako odwoływanie się do tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz wywodzenie swojego pochodzenia od jego obywateli – narodził się po rozpadzie Związku Radzieckiego i stwarzał Białorusinom możliwość odnalezienia własnej tożsamości narodowej. Nie czując się ani Polakami, ani Rosjanami, białoruscy inteligenci przypomnieli sobie o dawnym Księstwie, w tym o obowiązującym w nim języku urzędowym – starobiałoruskim (używanym, obok polskiego, w wielu magnackich posiadłościach). Te wspomnienia w połączeniu z pamięcią o barwnej szlacheckiej spuściźnie kulturowej sprawiły, że litwinizm do 1994 r. umacniał się jako ideowa przeciwwaga dla sowieckiej szarżyny utożsamianej z „białoruskością”. Dla jasności rozpoczęto od rozdziału nazw „Lituania” (łacińska nazwa obecnego bałtyckiego państwa), „Lietuva” (nazwa państwa litewskiego w języku litewskim) i „Litwa” (słowiański synonim Wielkiego Księstwa Litewskiego).

Siarżuk Nawrodzki w wypowiedzi umieszczonej na stronach portalu Kresy.pl stwierdził, że „litwinstwo” (litwinizm) *stanowiło (...) odrodzenie kulturalne oraz było wyraźną alternatywą dla starej sowieckiej ideologii. Nie była ona w stanie przyciągnąć młodzieży (...), nie dawała poczucia wyjątkowości. Litwinstwo ma natomiast to, czego pragnie młoda dusza – godność, ideę i honor. Według Litwinów sowieckość i białoruskość to to samo i niedaleko odbiegają od pojęcia „tutejsi”, czyli szarego ludu mieszkającego w tej okolicy. Litwini nie są szarą masą bądź stadem bydła, które chcieli z nich uczynić imperium radzieckie, lecz spadkobiercami szlacheckich tradycji i europejskiej kultury słynnego kraju. (...) Chociaż w aktualnym paszporcie białoruskim z reguły nie ma zapisu o narodowości, niektórzy domagają się, aby na ich życzenie wpisano im do paszportów, że są Litwinami*³.

Litwinizm stanowi więc coś w rodzaju mody, ale wbrew temu, co sugerują Michniewicz i Nawrodzki, „starolitewska” świadomość narodowa Białorusinów sięga daleko przed lata demontażu ZSRR, a nawet przed lata jego powstania. Już pierwsze państwo białoruskie, czyli Białoruska Republika Ludowa istniejąca w latach 1918-1919, otwarcie odwoływało się – w odróżnieniu od pierwszego państwa bałto-litewskiego – do dziedzictwa Wielkiego Księstwa Litewskiego, a w 1990 r. białoruscy działacze narodowi proponowali Litwinom restaurację federacji białorusko-litewskiej, co jednak nie spotkało się z zainteresowaniem ze strony tych ostatnich⁴. Przywiązanie do starych tradycji przetrwało w społeczeństwie białoruskim mimo potężnych działań propagandowych podejmowanych przez sowieckie władze. Jak wyjaśnia w wywiadzie dla Muzeum Historii Polski białoruski historyk prof. Aleksander Krawcewicz: *Oficjalna historiografia radziecko-rosyjska traktowała Wielkie Księstwo Litewskie jako państwo wrogie Białorusinom. Mówiąc w pewnym uproszczeniu, w tej wersji w XIII wieku wielką Ruś, odpowiadającą współczesnej Ukrainie, Białorusi i Rosji, zaatakowali ze wschodu Tatarzy, a z zachodu – Litwini, i ją rozerwali. Pamiętam z czasów studenckich, jak nas uczono, że od XIII do XVIII wieku co noc każdy Białorusin śnił, kiedy wreszcie się zjednoczy z Rosją...*⁵.

Łacinka w cerylicę

W 1991 r. władze niepodległej Białorusi wprowadziły – oprócz języka białoruskiego jako oficjalnego – nową symbolikę państwową, która odwoływała się do tej z lat wspomnianej Białoruskiej Republiki Ludowej (1918-1919): biało-czerwono-białą flagę⁶ oraz herb z wizerunkiem słowiańskiego boga

³ Tamże.

⁴ T. Snyder: *Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569-1999*. Sejny 2009, s. 278.

⁵ *Wielkie Księstwo Litewskie w perspektywie białoruskiej*. <http://www.muzhp.pl/artykuly/748/wielkie-ksiestwo-litewskie-w-perspektywie-bialoruskiej> (15.02.2013).

⁶ Barwy nawiązują do legendy o rannym pod Grunwaldem litewskim rycerzu, którego zakrwawiony bandaż miał dać

wojny Jaryły-Jarowita na koniu (Pogoń), co stanowiło z kolei bezpośrednie nawiązanie do emblematów Wielkiego Księstwa Litewskiego⁷. W 1995 r. nowo wybrany prezydent Aleksandr Łukaszenka powrócił do wzorów sowieckich i razem z symbolami Wielkiego Księstwa Litewskiego zepchnął litwinizm do opozycyjnego podziemia, w którym jednak ma się on nie najgorzej, sądząc po ilości poświęconych mu stron i publikacji internetowych. Mimo że to właśnie świat wirtualny stwarza nierzadko jedyną możliwość zaprezentowania niepopularnych politycznie koncepcji, 20 maja 2000 r. na wzgórzu zamkowym w Nowogródku kilkudziesięciu białoruskich „Litwinów” podpisało *Ustawę o ogłoszeniu istnienia narodu litewskiego* i zapowiedziało odrodzenie języka litewskiego zapisywanego przy użyciu alfabetu łacińskiego zamiast cyrylicy. W deklaracji mowa jest o *duchu Wielkiego Księstwa Litewskiego, który wciąż żyje*⁸.

Litwy starczy dla wszystkich

Obszerne informacje na temat litwinizmu można zaczerpnąć ze strony litvania.org (prowadzonej w języku białoruskim oraz rosyjskim). „Litewska” tożsamość wiąże się z koncepcją „narodu otwartego”, który stanowi raczej symboliczną wspólnotę zbudowaną w oparciu o pewne wartości oraz świadomość istnienia więzi historyczno-terytorialnych niż grupę społeczną wyodrębnioną przy zastosowaniu kryteriów etnicznych lub politycznych. Dzięki temu „Litwinem” może się poczuć zarówno współczesny Litwin bałtycki, Białorusin, Polak, Ukrainiec czy Rosjanin; katolik, prawosławny, Słowianin i Bałt, a także osoba dopiero poszukująca swojej tożsamości⁹. Ponieważ to właśnie samoświadomość narodowa decyduje o przynależności do otwartego narodu, nie istnieje wymóg spełniania żadnych zewnętrznych warunków, takich jak umiejętność posługiwania się danym językiem, określone miejsce urodzenia czy odpowiednia narodowość rodziców. Najważniejszymi fundamentami „narodu otwartego” są czynniki psychiczne, psychologiczne, kulturowe i historyczne¹⁰.

Za narodowe cechy „Litwinów” uznaje się: akcentowaną również w Polsce tolerancję religijną, narodową i językową (przy czym przewidziane są nawet prace nad wspólnym językiem!), liberalizm i otwartość, przywiązanie do zachodniej tradycji łacińskiej (co uwidacznia się z kolei w postulatce używania alfabetu łacińskiego). Autorzy strony zaznaczają, że choć „Litwinów” łączy wyraźna idea narodu, nie starają się nikomu narzucać ideologii nacjonalistycznej. Sympatycy litwinizmu uważają się za członków wspólnoty narodowej, do której ich zdaniem należeli w przeszłości liczni słynni władcy, bohaterowie i ludzie kultury (Władysław Jagiełło, Adam Mickiewicz, Tadeusz Kościuszko, Stanisław Moniuszko, Konstanty Kalinowski, Józef Piłsudski, Czesław Miłosz i wielu innych, którzy bywają często zawłaszczani przez trzy konkurujące narody) oraz powołują się na historycznie odrębną tradycję i obrzędowość (dobrym przykładem może być słynna uroczystość

im symboliczny początek. V. Văčorka: „*Krou lăhla čyrvonaj palasoj...*”. *Da historyi belaruskich nacjónalnych kolerau*. Mińsk 1991, ss. 355-369.

⁷ Pogoń jest również godłem współczesnego państwa litewskiego. Wersja litewska różni się od białoruskiej kolorystyką (tarcza, uprząż oraz siodło konia mają barwę niebieską). Postać na litewsko-bałtyckim herbie wywodzona jest natomiast z bałtyckiej mitologii i stanowi nawiązanie do pogańskiego boga niebios – Perkuna (lit. Perkinas – odpowiednik słowiańskiego Peruna).

⁸ *Ідэі літвінізму ў савремнай Беларусі*. <http://spgk.kz/Idei-litvinstva-v-sovremennoyi-Belorusii.html> (16.12.2012).

⁹ Sposoby kształtowania się świadomości narodowej mieszkańców byłego WKL ciekawie opisał Zbigniew Siemienowicz w artykule *Lietuviai, Lietuviai über alles!*. <http://lukas.nowyekan.pl/post/21714,lietuviai-lietuviai-ber-alles> (16.12.2012): *Wówczas (po powstaniu styczniowym, przyp. – K. P.) i później nastąpił niefortunny podział, który drastycznie i boleśnie przechodził przez więzy krwi, a członkowie tej samej rodziny mieli różne spojrzenie na wizję etniczną. Przykładów jest sporo: Tadeusz Iwanowski, słynny biolog, założyciel kowieńskiego ZOO, urodzony w polskiej rodzinie, pochodzący z folwarku Lebidoka koło Lidy, uważał, że jest Litwinem i stał się Tadasem Iwanaukasem. Jego rodzony brat Wacław poczuł się Białorusinem, a będąc działaczem białoruskiego ruchu narodowego i założycielem Białoruskiej Służby Ojczyźnie, wymagał, by nazywano go Wacławem Iwanowskim. Trzeci brat — Jerzy Iwanowski piastował tekę ministra przemysłu i handlu w odrodzonej Polsce, był sceptycznie ustosunkowany do narodowościowego wyboru braci. Popierał go w tym uważający się również za Polaka czwarty z braci, Stanisław Iwanowski, wileński adwokat.*

¹⁰ Zob. www.litvania.org (16.12.2012).

„dziadów”, obchodzona w Polsce, na Białorusi oraz – pod nazwą „vēlinės” – również na Litwie bałtyckiej). „Litwini” czują się również częścią zachodniej cywilizacji, o czym świadczyć ma poparcie dla wstąpienia Białorusi i Ukrainy do Unii Europejskiej, przy jednoczesnym propagowaniu koncepcji utworzenia „euroregionu wielkolitewskiego” (trójkąt Podlasie – Białoruś – Wileńszczyzna). Na stronie litvania.org obejrzyć można mapę ilustrującą zasięg terytorialny ziem państwa „litewskiego” oraz zapoznać się z litewską symboliką narodową, w tym – z hymnem, którym jest *Polonez Ogińskiego*. Znajduje się tam również interesująca tabela ujmująca różnice między świadomością białoruską a „litewską”. Jako oponenci koncepcji litwinizmu figurują Aleksandr Łukaszenka oraz białoruski działacz opozycyjny Zianon Paźniak, który ideę ową uważa za „paranoję” i podkreśla, że prowadzi ona do dewaluacji spuścizny białoruskiej.

To swoiste białoruskie zaproszenie do uczestnictwa we wspólnym kulturowym przedsięwzięciu wystosowane do Polaków i Litwinów bałtyckich jest z pewnością inicjatywą zaskakującą i politycznie odważną (podobnie jak utworzenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów było w swoim czasie fenomenem na skalę światową), szczególnie w obliczu „konkurencyjnych” procesów integracji europejskiej zainicjowanych w Europie Zachodniej, a także antagonizmów dzielących narody byłej Rzeczypospolitej. We wspomnianej książce *Rekonstrukcja narodów. Polska, Ukraina, Litwa, Białoruś 1569-1999* amerykański historyk Timothy Snyder zachwyca się polską dyplomacją, która pozostała wierna ideałom paryskiej „Kultury”. Jak twierdzi Snyder, prowadzona w latach 90. przyjazna polityka wschodnia odsunęła ryzyko powtórzenia się w naszym regionie tego, co wydarzyło się na terenach byłej Jugosławii. Wygląda na to, że Białorusini chcą pójść jeszcze dalej, a ich inicjatywa wydaje się potrzebna ze względu na swój edukacyjny oraz pojednawczy charakter. Czy jednak Polacy i Litwini są gotowi ograniczyć swój niekiedy przesadnie etnocentryczny sposób postrzegania przeszłości? Pod filmem *Historia Białorusi w 5 minut* (jednym z jego autorów jest bardzo popularny w Polsce białoruski piosenkarz rockowy Lavon Volski), pokazującym de facto historię Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz I Rzeczypospolitej, pojawiło się dużo oskarżeń – zarówno ze strony polskiej, jak i litewskiej – o „przepisanie przez Białorusinów cudzej historii”¹¹. Jednak, jak przekonuje Uładzia Michniewicz na stronach portalu Kresy.pl, *Dziedzictwo Wielkiego Księstwa Litewskiego jest tak ogromne, że starczy dla wszystkich*.

Pan i chłop – obaj w dżinsach

Niektóre środowiska białoruskie nie zadowolają się jedynie próbami pogodzenia narodów byłej Rzeczypospolitej i planami własnego odrodzenia narodowego, lecz dążą do przełożenia tych idei na obecne realia geopolityczne. Co może być dla wielu Polaków dużym zaskoczeniem, pojawiają się także głosy nawołujące wprost do zawarcia z Polską sojuszu na kształt dawnych unii polsko-litewskich. Oczywiście po obaleniu głównej przeszkody – reżimu Łukaszenki, który asekuracyjnie woli taić koncepcję wielkolitewskiego rodowodu przed białoruskim społeczeństwem, wspierając tym samym bałtycko-litewski punkt widzenia. Jak pisze Jerzy Haszczyński na stronach portalu Związku Młodzieży Białoruskiej Sonca.org: *Mniej emocji niż historia sprzed sześćdziesięciu-osiemdziesięciu lat budzi ta dawniejsza, z czasów I Rzeczypospolitej. W tej dziedzinie Białorusinom trudniej się dogadać z Litwinami niż z Polakami. Oba narody dzieli ocena tego, kim byli twórcy Wielkiego Księstwa Litewskiego*. Cytowany przez autora profesor Leonid Łojko, historyk z Państwowego Uniwersytetu Białoruskiego, tłumaczy istotę tego sporu: *Wielkie rody, Radziwiłłów czy Sapiehow, uważamy za białoruskie. To, że nie były polskie, to jasne. Litewskie? Nie, bo dawna Litwa to dzisiejsza Białoruś,*

¹¹ Zob. <http://www.youtube.com/watch?v=yNgqNA7HRHc> (20.12.2012).

*a dawni Litwini to dzisiejsi Białorusini. Wynarodowienie i polonizacja wielkich rodów białoruskich to temat bolesny dla Białorusinów. Jednak szlachta sama poszła za swoim królem, najpierw do Krakowa, a potem do Warszawy. Winy Polski w tym nie ma*¹².

Najwięcej uwagi integracji polsko-białoruskiej poświęca białoruski portal Brama (www.bramaby.com). W jednym z opublikowanych tam artykułów możemy przeczytać, iż kilka lat temu rosyjscy genetycy przeprowadzili badania naukowe dotyczące Rosjan oraz narodów sąsiednich. Podobno zdaniem rosyjskich uczonych Białorusini (...) *to jeden z prastarych narodów „z domieszką krwi” Baltów, a najbliższymi spokrewnionymi z Białorusinami pod względem genetycznym są nie Rosjanie czy Ukraińcy, a Polacy*¹³. Poza tym powinowactwem obydwu narody łączy ma to, że są do siebie zbliżone pod względem mentalnym, a Polska jest dla Białorusinów krajem atrakcyjnym politycznie, o czym mówi np. wspomniany wcześniej Zianon Paźniak, od wielu lat mieszkający nad Wisłą: *Dla białoruskiej emigracji politycznej to najlepszy kraj. Ze wszystkich państw europejskich, poza tymi, które należały do ZSRR, najlepiej sytuację na Białorusi rozumie właśnie Polska. Polacy sami byli pod zaborem Rosji i wiedzą, co to jest moskiewska polityka*¹⁴.

Stanowisko takie może zaskakiwać, jeśli weźmiemy pod uwagę wpływ sowieckiej propagandy, zręcznie posługującej się kategoriami narodowymi, wyznaniowymi czy klasowymi i łączącej je w konfiguracje, które miały utrzymywać jednostronny wizerunek Polaków jako feudalnych wyzyskiwaczy i okupantów tępiących wszystko, co białoruskie, i do dzisiaj jeszcze snujących rewizjonistyczne marzenia o „granicy po Mińsk”¹⁵. Cytowany przez Jerzego Haszczyńskiego białoruski pisarz Sokrat Janowicz twierdzi, że takie postrzeganie narodu polskiego ma wymiar jedynie pokoleniowy, a młoda generacja nie boi się tej forsowanej przez sowietów „pańskości”: *To jest anachronizm, który załatwią nam cmentarze, on umrze. Młodszym Białorusinom Polak zniknął z horyzontu – i ten z dworu, i ten z miasta. Pokolenie moich synów, jak słyszy, że Polak to pan, to myśli, że to żart, bo oni, podobnie jak Polak, chodzą w dżinsach*¹⁶. Jednak jeden z publicystów portalu Brama ostrzega przed nasilaniem się zabiegów mających utrwać obraz *chciwej i podstępnej Polski. Ma to być według niego mechanizm obronny stosowany przez reżim, który opozycjonistyczne spoufalanie się z Polską traktuje w kategoriach zdrady interesów narodowych, podczas gdy według autora sam jej dokonał*¹⁷.

Autor zwraca ponadto uwagę na związany ze straszakiem rewizjonizmu stereotyp funkcjonujący również po polskiej stronie, która *zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa bycia posądzoną w nowoczesnych realiach o „wchłonięcie” lub „aneksję” obcych terytoriów. Proponuje więc, aby wspólnymi siłami kwestii Konfederacji Republiki Białorusi i Rzeczypospolitej Polskiej wydobyc z stanu głuchej ciszy i postawić na pierwszym planie w białorusko-polskim dyskursie politycznym*¹⁸. Szczególnie że Białorusinom zaczyna się spieszyć. Nie wiadomo bowiem, ile jeszcze potrważą rządy Łukaszenki i co nastąpi po ich upadku, niezależnie od tego, czy dojdzie do niego w sposób naturalny (śmierć prezydenta), czy w rezultacie ewentualnego przewrotu. Białoruscy publicyści, którzy od jakiegoś czasu próbują nawiązać kontakt ze swoimi polskimi kolegami oraz politykami w celu popularyzacji idei federacyjnej, obawiają się, że ich osamotniony i osłabiony kraj znajdzie się w bardzo

¹² J. Haszczyński: *Mniej łaknienia, mniej obaw*. <http://sonca.org/mniej-laknienia-mniej-obaw.html> (20.12.2012).

¹³ G. Monro: *Dlaczego Białorusinom nie po drodze z Rosją*. <http://www.bramaby.com/analiz/1-latest-news/204--escape-> (20.12.2012).

¹⁴ J. Haszczyński, dz. cyt.

¹⁵ W białoruskich i rosyjskich publikacjach pierwszego obiegu zdarzają się od czasu do czasu artykuły na temat domniemanego polskiego rewizjonizmu. Zob. np. *Polska chce odebrać Grodno? Zdumiewające zarzuty*. <http://konflikty.wp.pl/kat,,title,Polska-chce-odebrac-Grodno-Zdumiewajace-zarzuty,wid,14140104,wiadomosc.html?tid=1fbfc> (20.12.2012).

¹⁶ J. Haszczyński, dz. cyt.

¹⁷ A. Worotnickij: *Речь Посполума?* <http://www.bramaby.com/analiz/1-latest-news/196--rp-pl-> (20.12.2012).

¹⁸ Tamże.

niestabilnej sytuacji, stając się niezwykle łatwym łupem dla Rosji. Jak pisze A. Worotnickij: *Unoszące się w powietrzu idee uratowania Białorusi od tak oczywistego nieuchronnego krachu, bycia pochłoniętym i rzuconym w bezkresne przestworza wschodniego sąsiada, ostatecznie wykryształizowały się w jedno harmonijne rozwiązanie. Brzmi ono w dwóch słowach prosto, a zarazem wyzywająco: rzecz pospolita. W tym świetle idea zjednoczenia z Rzeczpospolitą Polską w Konfederację według starych wzorców Rzeczypospolitej, ale w nowoczesnych ramach i napełniona nowatorską treścią, zyskuje zupełnie nowy i świeży wymiar*¹⁹. Inny publicysta Bramy, K. Wołoh, boi się wręcz „pokłnięcia” kraju przez Rosję i pochłonięcia Białorusinów w zastygającej masie Rosjan. Stanowiący natomiast następstwo unii polsko-białoruskiej sojusz państw Europy Środkowowschodniej, który autor ochrzcił piłsudczykowski terminem „Międzymorze”, miałby się okazać konieczny dla zachowania globalnej równowagi sił, zachwianej głównie w wyniku wycofywania przez USA swojej tradycyjnej protekcji dla państw tego regionu²⁰.

Stany Zjednoczone Międzymorza

Jak wyglądać ma nowe wcielenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów? Przede wszystkim Białorusini wyobrażają ją sobie jako mocno osadzoną na swoim historycznym fundamencie: *Utworzona konfederacja Polski i Białorusi będzie kontynuatorką historycznego dziedzictwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów i będzie wierna zasadom demokracji, tolerancji i rozwoju – wartościom, które leżały również u źródeł powstania Rzeczypospolitej Obojga Narodów*²¹. Dalej autorzy przypominają, że *przodkowie Białorusinów i Polaków utworzyli sojusz, który bronił Europę Wschodnią przed Krzyżakami, Turkami i hordami ze wschodu na przestrzeni 400 lat*²². Siła tego sojuszu, dodajmy, była rezultatem unikatowego połączenia tradycji obu cywilizacyjnych obszarów Europy – Zachodu i Wschodu, katolicyzmu i prawosławia, łaciny i cyrylicy oraz przezwyciężenia opartych na nich podziałów, co tworzyło nową polityczną jakość.

W sensie ustrojowym Rzeczpospolita powinna przyjąć kształt federacji, z zachowaniem osobnych struktur państwowych – podobnie jak to miało miejsce w przypadku unii polsko-litewskich – oraz z poszanowaniem ambicji państwowych obu narodów. Wspólna polityka prowadzona przez władze federacyjne obejmowałaby sprawy zagraniczne i obronne, przy czym synchronizacja przemysłów obronnych nie oznaczałaby likwidacji oddzielnych armii. W artykule *Białorusko-Polska Rzeczpospolita Narodów? Ale jak?* polski tym razem publicysta postuluje, aby nasz kraj pozostawił do dyspozycji Białorusinom bałtyckie porty dla ewentualnej wspólnej marynarki wojennej. Jeśli chodzi o transport i infrastrukturę, należałoby utworzyć zintegrowaną sieć dróg samochodowych i kolejowych, a także – rzecznych, szczególnie że system rzeczny Białorusi łączy się z Wisłą przez Bug i Muchawiec oraz że w ubiegłym roku oba kraje podpisały umowę o żegludze śródlądowej. Inne dziedziny życia społecznego objęte umowami federacyjnymi pokrywałyby się z tymi, w sprawie których ułożyły się kraje członkowskie Unii Europejskiej (unia celna, swoboda przepływu osób, prawo osiedlania się i pracy, prawo nabywania nieruchomości w obu państwach). Autor zgadza się z białoruskimi federalistami co do tego, że *Polska i Białoruś razem tworzą zupełnie inną jakość niż osobno. Polska i Białoruś w skali Europy to waga lekka, z ambicjami do lekkopółśredniej. A w skali świata? Piórkowa. Polska i Białoruś razem, to waga średnia w Europie z ambicjami do ciężkiej. W skali*

¹⁹ Tamże.

²⁰ Szczegółowo analizuje ten problem K. Wołoh w artykule *Stany Zjednoczone Międzymorza, czyli gostrategiczne znaczenie unii polsko-białoruskiej*. <http://www.bramaby.com/analiz/1-latest-news/203--usi-pl-> (20.12.2012).

²¹ *Аб’яднаньне Польшчы і Беларусі ў канфэдэрацыю*. <http://arche.by/by/page/ideas/9744>, <http://www.bramaby.com/analiz/1-latest-news/194--konfedpl-> (20.12.2012).

²² K. Wołoh, dz. cyt.

świata to już waga lekka. A gdyby jeszcze doszła do federacji Ukraina? No, to już by była waga ciężka, bez dwóch zdań²³. Za potwierdzenie tych słów mogą posłużyć wyliczenia białoruskich monarchistów, którzy ocenili korzyści geoeconomiczne wynikające z zawarcia unii, uwzględniając zarówno wskaźniki makroekonomiczne, zarządzanie strategicznymi surowcami i zasobami naturalnymi, handel międzynarodowy, jak i mniej znaczące gałęzie gospodarki, np. turystykę, infrastrukturę, naukę, edukację (ze szczegółami można się zapoznać na stronie www.manarchija.org/nrp-by). Zdaniem autorów pozwoliliby to Rzeczypospolitej przetrwać nawet w warunkach autarkii²⁴. Należy tutaj wspomnieć również o ukraińskiej inicjatywie powołania paktu „od Bałtyku po Morze Czarne”, z którą wystąpiono w 1993 roku²⁵.

Zgodnie z koncepcją federacyjną autorzy z portalu Brama proponują, aby wprowadzić urząd prezydenta federacji i wspólną wyższą izbę parlamentu, w której zasiadałaby proporcjonalna liczba senatorów z obu części organizmu państwowego. Na szczeblu federacyjnym podejmowane byłyby także decyzje dotyczące polityki pieniężno-kredytowej (zjednoczenie banków narodowych w konfederacyjny system rezerw) oraz polityki fiskalnej, związane z odprowadzaniem podatków i opłat na poziomie konfederacji. Na szczeblu krajowym działałyby natomiast organy władzy państwowej podporządkowane niższym izbom parlamentów i prezydentowi konfederacji oraz niezależne niższe izby parlamentów Polski i Białorusi. Tu rozstrzygane byłyby ponadto zagadnienia socjalne, sprawy związane z kulturą, medycyną, edukacją, ochroną przyrody i ekologią, a także kwestie leżące w gestii władzy samorządowej oraz sprawy wewnętrzne²⁶.

Portal Brama wystąpił nawet z inicjatywą przeprowadzenia w Polsce i na Białorusi referendum, które ograniczałoby się do zadania jednego, jednakowo brzmiącego pytania: *Czy jesteś za zjednoczeniem Rzeczypospolitej Polskiej i Republiki Białorusi w jedno państwo w ramach konfederacji, członka Unii Europejskiej, gwarantujące zachowanie pełnej równości władzy państwowej polskiemu i białoruskiemu narodowi?*²⁷. Pytanie to miałoby służyć wstępnemu „rekonesansowi”, podobnie jak zainicjowanie polsko-białoruskiego dyskursu publicznego, który już spotkał się w Polsce z zainteresowaniem, choć nie przedostał się jeszcze do mediów głównego nurtu i do opinii publicznej. Być może jednak wszystko to jest tylko kwestią czasu, tak samo jak kwestią czasu jest odejście Aleksandra Łukaszenki, co stworzy szanse na ukrócenie zabiegów propagandowych, odbierających – według białoruskich opozycjonistów – prawdziwą tożsamość spadkobiercom legendarnej i potężnej krainy, do której dzisiejsi „Litwini” tęsknią równie mocno jak Adam Mickiewicz do zielonych nadniemeńskich łąk.

Karolina Przesmycka

²³ G. Sfirkov: *Białorusko-Polska Rzeczpospolita Narodów? Ale jak?* <http://lubczasopismo.salon24.pl/free.belarus/post/409974,bialorusko-polska-rzeczpospolita-narodow-ale-jak> (20.12.2012).

²⁴ *Ідэя адраджэньня Рэчы Паспалітай*. <http://www.manarchija.org/nrp-by> (20.12.2012).

²⁵ T. Snyder, dz. cyt., s. 298.

²⁶ *Konfederacja Polski i Białorusi*. <http://www.bramaby.com/analiz/1-latest-news/194--konfedpl-> (20.12.2012). W publikacjach dotyczących omawianego zagadnienia terminy „federacja” i „konfederacja” bywają często używane zamiennie, choć z politologicznego punktu widzenia postulowane rozwiązania są raczej bliższe modelowi konfederacyjnemu.

²⁷ Tamże.

SAMANTHA KITSCH

piosenka: dzień

dzień słonecznie zachmurzony
dzień niezachmurzenie niesłoneczny
namiot rozbity na samym dnie piosenki
zabłądziłem znów w to samo miejsce

zbyt wcześnie aby mogło być za późno
ciągnę za sznurek przedpołudnia i wyciągam popołudnie
gryzę jabłko przedpołudnia – z ogryzka kiełkuje popołudnie
zbyt wcześnie aby mogło nie być za późno

w szczelinie między skojarzeniem a skojarzeniem
w szczelinie między skojarzeniem a rozkojarzeniem
w szczelinie między rozkojarzeniem a rozkojarzeniem
w szczelinie między drzewem a suknią

chodzę w kokonie pięknej pogody
latawiec zahaczył o echo:
latawiec diadem we włosach błękitu
zdmuchnij z dmuchawca powietrze!
las zielenieje z każdym krokiem i zaczajony w nim morderca

zabłądzi znów w to samo miejsce
cirrusy odpryski bitew niżów i wyżów:
grynszpan jest dziś przezroczystry
kolejny dzień płynie kraulem przez powietrze
powietrze sznurek z którego zwiesi się zmierzch

piosenka: pantum

pięć minut niebólu w dniu półbólu
zabłądził w lesie przedpołudni i popołudni
pół-środa-pół-piątek
na parapecie doniczki z marzymiętą

bóle czerwone i bóle niebieskie
bóle zimne chłodne ciepłe
pół-środa-pół-piątek
w doniczkach kocimiętka lalemancja elszolcja

rosną dni w doniczkach
dzień półbólú dzień niebólú dzień bezbólú
na grządkach ślimak ślini szpinak
kim jesteś w dzień bezmiłości?

dni zimne dni chłodne dni ciepłe
kolendra lulek i juta
i oby się nie rozogniły
na grządkach ślimak ślini szpinak

zabłądził w lesie przedpołudni i popołudni
i oby się nie rozogniły
dni półbólú dni niebólú dni bezbólú
kim jesteś w dzień bezmiłości?

nawatnica równiny

rzeka żółty muł łachy malinowego piachu w zakolach

nie potrzebował

miał tu przeżyć Radość
nie przeżył Radości ale przeżył Zachwyt
przez długie namacalne odcinki czasu trwał w Zachwycie

*(czym można było się zachwycać:
chmury poszarpane przez wiatr
ziemia poszarpana przez lód i wodę
cienie poszarpanych chmur na poszarpanej rdzawej ziemi pustyni)*

trwał w Zachwycie
Radość była mu obojętna
Zachwyt nie potrzebował Radości
niedowierzał: nie potrzebował Radości?

Samantha Kitsch

Goryle

Na lekcji biologii drzwi otworzyły się gwałtownie, bez jednego nawet puknięcia, wbrew utartym zwyczajom surowo przestrzeganim w tej szkole. Mógł to zatem być tylko dyrektor Chamski w związku ze zbliżającym się apelem ku czci rewolucji październikowej lub dentystka Korzeniowska. Gabinet biologii znajdował się na najwyższym piętrze naszej pięknej szkoły zbudowanej prawie sto lat temu z czerwonej cegły. Jesienne słońce jakby na moment ożywiało śpiące w cylindrach z formaliną stworzenia.

– Niech pani zobaczy, co znalazłem na górcę! – Rzucił podekscytowany Jacek, o dwa lata od nas starszy, nie krępując się w ogóle swoim nagłym najściem w środku lekcji. Z ciekawości wszyscy oderwaliśmy wzrok od podręczników z czarno-białymi przekrojami narządów wewnętrznych, szukając ujścia z zakłopotania. Tym bardziej że w zeszłym tygodniu oglądaliśmy pierwszy raz w życiu kolorowy świerszczyk przemycony przez jakiegoś ojca gasterbeitera z Niemiec.

Tak więc Jacek wparował jak taran do naszej klasy, a jego długa grzywka jak burzowa chmura przysłaniała mu okulary w czerwonej ramce. W rękę zaś trzymał ludzką czaszkę niczym główkę kapusty zerwaną w ogrodzie:

– No, niech pani sama zobaczy! – i podał zniecierpliwiony naszej urodziwej nauczycielce biologii. Ta przestąpiła z nóżki na nóżkę jak brodząca w wodzie czapla. Ludzka czaszka w środku lekcji?

– Jacku, a skąd to masz? – nasza miła pani starała się mile ukryć zdziwienie.

– No, mówiłem pani, że wykopalem na górcę...

Było to niewielkie, morenowe, może dwudziestometrowe wzniesienie na czterech hektarach powierzchni, przebogato i gęsto zalesione różnorodną roślinnością – cel każdej międzylekcyjnej przerwy. Rosły tam pospolite i jadalne kasztany, morwy, sosny, nawet tuje i wszelka różnorodność krzewów zimozielonych. Gdzieniedzie górka poorana była dwumetrowymi skarpami piasku, z których skakaliśmy najwyżej i najdalej, ponad skłębione kołtuny wrzosów, a na samym szczycie walały się kamienne płyty pokryte miękką kołdrą mchu.

Czaszka wylądowała na biurku i świdrowała nas oczodołami, w których kiedyś skrzyły się oczy. Dla nas była tylko częścią tego, co pozostaje po człowieku i podlega dłuższemu rozkładowi niż miękka, kapryśna, wezbrana wodą skóra.

Przez otwarte okno wpadał snop jesiennego światła i delikatny podmuch wiatru, który uniósł białe firany i nakrył czaszkę na stole nauczycielki. Biała, puchowa firanka powoli jak topniejący śnieg spływała po czaszce, aż wreszcie spłynęła i znów przeszło nas spojrzenie bez oczu.

Po lekcji brzydiliśmy się jej dotknąć. Może gdybyśmy wiedzieli, kim była za życia, oddalibyśmy bałwochwalczą cześć pustce, ale nie wiedzieliśmy. Są doczesne szczątki ludzkie, które trzeba chronić przed tłumem, aby ich żywi nie unicestwili w bezbrzeżnej miłości. Ta niczyja czaszka była obca, mimo iż

spoczywała tam, gdzie biegałem, bawiłem się i strugami dymiącego moczu imitowałem górskie rzeki na omszonych, kamiennych płytach.

Nagle nasza bardzo miła pani, trzymając czaszkę w swej smukłej dłoni, szepnęła tak, że szept dało się usłyszeć nawet w ostatniej ławce:

– Jest z cmentarza... Patrzcie tu, na tę kość, to chyba była kobieta.

Czy po czasie można poznać płęć? Z jakiego cmentarza? Przecież Jacek powiedział, że z naszej górki? Nieśmiało zagadnąłem:

– Proszę pani, przecież na górze nie ma cmentarza?

– Był, dziecko. Był tam kiedyś kirkut... – odpowiedziała w zamyśleniu i nim zdążyłem spytać, co to takiego, piękna pani, jakby chcąc odegnać napastliwe myśli, z pedagogicznym drygiem dorzuciła:

– A teraz będzie apel. Wszyscy idziemy na apel do dużej auli! Proszę za mną... Chłopcy, idźcie ostrożnie, bo się poprzewracacie na tych schodach!

A my z radości krzyčeliśmy na całe gardło:

– Hurra! Apel! Hurrrrraaaa!

Apel wypadł właśnie na języku rosyjskim i tym większa była moja radość, ponieważ zalegałem ze składką na „dobrowolną” prenumeratę pisemka „Wiesiołyje Kartinki”, a rodzice tych pieniędzy dać mi po prostu nie chcieli, mówiąc, iż mam powtórzyć nauczycielce, że oni za to nie zapłacą. Łatwo mówić...

Wstyd było przed klasą. W domu, jak wszędzie, nie przelewało się, ale ciągle wymienianie na lekcjach mego nazwiska jako „zalegającego” z opłatami za prenumeratę przyprawiało mnie już o mdłości ze wstydu. Zbierałem po parkach brudne butelki do skupu, ale jeszcze mi sporo brakowało. Starałem się to jakoś nadrobić swoją pilnością i żywym zainteresowaniem lingwistycznym, do tego stopnia, że nawet rosyjskie bukwy śniły mi się po nocach, a miękkość tego języka przejęła mnie nieznaną dotychczas językową wrażliwością. Zacząłem mówić po rosyjsku do swoich kur. Zawsze, kiedy im przywoziłem na rowerze wiadro ciepłych obierek, z utęsknieniem wypatrywały mnie przy samej siatce, a gdy tylko usłyszały, z radości gdakały jak najęte.

„Tjotja Tanja i Dżadzja Wanjuszka” – pieszczotliwie wołałem na parkę liliputków, które nigdy nie rozstawały się przez cały swój krótki żywocik.

Nie mogłem ich później jeść, ale w końcu się przemogłem. W sklepach nie było ani mięsa, ani jajek, niczego... Wszystko na kartki...

W całkiem dużym miasteczku na ziemiach odzyskanych lub raczej „ocycanych” musieliśmy zacząć hodować również króliki i kaczki na pracowniczym ogródku działkowym, bo nie byłoby co jeść. Legalne kupno mięsa od chłopca ze wsi było zabronione. Hodowla zwierząt kwitła więc na pracownicznych ogródkach działkowych: świnie, kury, kaczki, króliki, nutrie, wszystko co można było zjeść. Słyszałem, że ktoś w Warszawie zaczął hodować świnie na balkonie w dużym bloku.

Apel był wspaniały. Przygotowała go siódma klasa pod czujnym okiem pana dyrektora i pani od rosyjskiego. Dziewczeta występowały w białych koszulach z karminową kokardką i granatowych spódnicach, zaś chłopcy w granatowych spodniach i białych koszulach, z pięknymi, stylonowymi, karminowymi (kolor czerwony nazywał tak stary, zrzedliwy nauczyciel) krawatami. Śpiewali po rosyjsku, a na akordeonie grał stary żołnierz w mundurze z orderami. Mówił o tym, jak walczył pod Lenino. Mówił, jak razem z Armią Czerwoną sprawiliśmy tam łupnia szkopom, a gdy leżał pod gradem i świstem kul, myśląc, że ze strachu nie wstanie, to spojrział wtedy na dwie

flagi, łopoczące koło siebie: polską i radziecką, i zobaczył, że są takie same, bo biel we krwi szcerwieniała. To było piękne...

Dociekliwy i najlepszy z matematyki kolega wyliczył szybko i wyszeptał mi do ucha, że nasz gość miałby 13 lat podczas tej bitwy, ale nam to wcale nie przeszkadzało. Liczyła się piękna historia. Przywykliśmy już do rozmaitych nieścisłości, oglądając *Czterech pancernych*, których losy nijak nie zgadzały się z tym, co opowiadali dziadek i babcia.

Oficer radziecki z sąsiedniej placówki wojskowej rozdał nam na koniec radzieckie kanfiety, a najmniejszych unosił wysoko, wysoko do góry, kiedy my ryczeliśmy na całe gardło „Pust wsiegda budiet sołnce!”

Na apelu uczczono również pamięć pułkownika radzieckiego, który zginął od kuli snajpera Hitlerjugend, ukrytego na wieży kościoła, wyzwalając nasze piękne miasteczko. W odwecie czerwonoarmiści musieli zniszczyć większość budynków, żeby wyłapać wszystkich jugendowców. Taki był początek, a dzień, w którym to się stało, dał nazwę głównej arterii naszej ukochanej do szaleństwa miłośnicy na kresach zachodnich.

Jednak najpiękniejsze było to, gdy na auli zgasły wszystkie światła, a czerwony reflektor nagle zabłysł i skierował się w ciemność, z której wytoczył się wielki, biały okręt z napisem AURORA. Ogromny! Na sześć metrów, ze styropianu i sklejki konstruowany przez miesiąc przez chłopaków z siódmych klas! Nieśli go chłopcy, ukryci z tyłu, a ponad wszystkim królował trójgłowy sztandar... I najpiękniejsza z całej szkoły Iwona recytowała Broniewskiego, a Marek, świeżo po mutacji, intonował męskim już głosem Majakowskiego.

Podniosły nastrój udzielił się wszystkim. Nazajutrz mieliśmy iść do kina na radzieckie filmy. Te wojenne były najlepsze, prawie jak westerny, reszta to nuda. Strzelaliśmy wówczas w wielkie fryzury nauczycielek kulkami plasteliny z rurek, które nazywaliśmy „plujkami”. Ja swoją nazwałem AURORA.

W tym dniu mieliśmy lekcje do późnego popołudnia, a dni były już krótkie. Wracaliśmy do domu prawie po zmierzchu. Została nam jedna, jedyna lekcja – wychowawcza. Wolny dzień, który mieliśmy spędzić nazajutrz w kinie, napełniał nas bezbrzeżną radością. Podczas ostatniej przerwy pobiegliśmy jak zawsze na naszą górkę.

Pierwsze liście opadały i rozścielały przed nami różnobarwne kobierce, w których się tarzaliśmy, odurzeni ich niepowtarzalną wonią bibliotecznych starodruków. Chcieliśmy jednak zobaczyć miejsce, w którym Marek znalazł tę nieszczęsną czaszkę.

– Tutaj był kirkut! – krzyknął Paweł, gdy zbliżyliśmy się do kamiennych płyt porośniętych mchem. Paweł, mający starszego brata marynarza, często był naszym przewodnikiem w poznawczych inicjatywach, zaczął więc patykiem zdrapywać grubą warstwę mchu jak starą pomarszczoną skórę i jął literować:

– B...e...n..., nie znam takich liter! – i gdy jeszcze mówił, powietrze przeszył niewiarygodny krzyk:

– Gooooooooryl! Goryl!!!

Jak na komendę pognaliśmy w kierunku dochodzącego wrzasku. Nasza górka jedną stroną opadała w kierunku jeziora, kochanego przez nas jeziora. Właśnie tam stała grupka dzieci, które histerycznie krzyczały:

– Goryl! Gooooooooryl!!!

– Gdzie jest ten goryl, Jacek? Gdzie? – zagadnąłem nerwowo do kolegi obok, mojego piegowatego sąsiada z klatki schodowej, a ten z perfekcją telegrafisty wyjąkał:

– Pa-patrz na-na ta-ta-tamto drze-drzewo. Na sa-samej gó-gó-górze...

Przyłgnąłem okiem do jego wskazującego palca i rzeczywiście ujrzałem na wierzchołku, chyba jodły, ciemne zgrubienie. Wierzchołek jodły nienaturalnie kołysał się na wszystkie strony.

– Widzisz to? Gdzie to jest? – szturchnął mnie łokciem przerażony Tomek, kolega z klasy. Szybko wskazałem mu dziwne drzewo, które pokazał mi Jacek. Tomek długo się przyglądał, bo miał już okulary, ale po krótkiej chwili krzyknął:

– Widzę! Tak!!! Chłopaki, ja też go widzę!!! Krzysiek, Wojtek!!! Goryl! Chodźcie! Goooooooooooooryl!!!!!!!

W ciągu zaledwie paru chwil zebrał się pokaźny tłumek dzieciaków, pokazujących nowo przybyłym drzewa, na których wierzchołkach kołysały się goryle. Były już trzy. Każdy na innym drzewie, a między drzewami a nami marszczyło się coraz ciemniejsze jezioro przez co najmniej tysiąc dwieście metrów. Podniecenie rosło. Wszyscy, którzy mieszkali po drugiej stronie jeziora, bali się wracać do domu sami, gdy nagle z tłumu wystrzeliła jak z katapulty wiadomość:

– Goryle uciekły z zoo, z Poznania!!! Mówili o tym w radio w pokoju nauczycielskim!

Blady strach padł na wszystkich. Młodsze dziewczęta zaczęły cicho szlochać. Nie było teraz ważne, że Poznań był dwieście kilometrów stąd, bo goryl jako dzikie i silne zwierzę bez trudu mógł przemieszczać się lasami, skacząc z drzewa na drzewo, niezauważony, z gałęzi na gałąź, a jeśli zawędrował tam skądś, z tak daleka, to lada chwila mógł być i tutaj, a wtedy...

Nie pomogło to, że przyszedł dyżurny nauczyciel – i tak nie mógł zrozumieć, o co nam chodzi – że zadzwonił dzwonek na lekcję – i tak go nie usłyszeliśmy, lecz razem z nastającym zmierzchem narastało w nas paniczne poczucie strachu i obłędzenia przez stada zbliżających się pod osłoną nocy atramentowych goryli. Wreszcie ktoś krzyknął:

– Uciekajmy do domu! – i wszystkie dzieci rozsypały się w różne strony jak ziarenka piasku pod silnym podmuchem wiatru, a osamotniony nauczyciel przez chwilę parę jeszcze się przyglądał kołyszącym się gorylom po drugiej stronie jeziora, po czym wrócił zamyślony, powolnym krokiem przez wydeptaną dziecięcymi stópkami, zaledwie dwu pokoleń, ścieżkę pomiędzy omszonymi macewami...

Goryle czekały na ciemną noc, aby niepostrzeżenie, dzięki swojej atramentowej sierści, móc zakraść się do każdego mieszkania, do każdej książki, do każdej głowy; jednym wielkim susem przez wszystkie pokolenia wskoczyć prosto do naszej szafy i przetrząsać stare zdjęcia, listy z wojny od Tego, który już nie wrócił, szukać prawdziwych ojców, aż matki ze strachu płakały...

Goryle wypełniają każdą przemilczaną pustkę. Goryle wciskają się między dwa światy, które nie chcą wiedzieć o swoim istnieniu, chcą nawet zapomnieć, a zapomnieć można tylko nad Pacyfikiem... Goryle wygrzebuja zmarłych.

Między takimi światami ludzie sadzą las, który szybko rośnie i wkrótce zasłania horyzont, a dla tych, którzy dopiero się tam rodzą, horyzontem stają się drgające przy najmniejszym nawet powiewie wierzchołki drzew lub czubki traw, na których wielki pająk rozsnuwa pajęczynę historii.

Miasteczko, w którym przyszło mi się urodzić – dłatego stało się moim na zawsze – miało kilkusetletnie budynki z wyrzeźbionymi w piaskowych portalach liczbami rzymskimi i arabskimi, kamienie poranione ludzką ręką

literami najrozmaitszych alfabetów. Były kościoły bez krzyży, kościoły bez Matki Boskiej, kościoły bez organów, kamienice z cyrklem i kielnią i cisza, jaka zapadła przed burzą, gdy w czynie społecznym betonowaliśmy niedostępny brzeg jeziora...

Gdzie są kości tych, którzy to budowali, tych, którzy chłodzili swe znuzone ciała w tym samym polodowcowym jeziorze, gdy bili trakty w gęstym lesie i wrzuszali się do łez, widząc po dalekiej podróży, prosto z drogi, nasze jezioro w dolince, jak kropelkę rtęci po rozbitym termometrze na dłoni?

Oni myśleli, że wystarczy zwykła legenda o Pastereczce i Szariku, ale i oni nie byli pierwsi. Przed nimi było wielu, a wielu było wszędzie i zawsze.

A pierwsze były goryle na wysokiej wieży Babel i ja je naprawdę ujrzałem.

Adam Binduga

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Witold Gombrowicz: *Kronos*. Wstęp Rita Gombrowicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, ss. 460.

Ryszard Kapuściński: *To nie jest zawód dla cyników*. Posłowie Adam Michnik. PWN, Warszawa 2013, ss. 236+3 nlb.

Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu. Wybór, redakcja i opracowanie Anna Romaniuk. PWN, Warszawa 2013, ss. 704.

Ryszard Kapuściński. *Fotobiografia*. Wybór tekstów i opracowanie graficzne Maciej Sadowski. Konsultacja merytoryczna Alicja Kapuścińska. Wydawnictwo VEDA, Warszawa 2013, ss. 253.

Pojednanie przez trudną pamięć. Wołyń 1943. Wybór i redakcja Aleksandra Zińczuk. Stowarzyszenie „Panorama Kultur”, Lublin 2012, ss. 393. Tekst po polsku, ukraińsku i angielsku.

Ocalić od zapomnienia. Anna i Monika Żeromskie. Zebrał, opracował i wstępem opatrzył Jerzy Snopek. Studio EMKA, Warszawa 2013, ss. 239.

Eustachy Ryłski: *Obok Julii*. Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2013, ss. 380.

Karolina Famulska-Ciesielska, Sławomir Jacek Żurek: *Literatura polska w Izraelu. Leksykon*. Wydawnictwo Austeria, Kraków 2012, ss. 2012.

Piotr Ibrahim Kalwas: *Międzyrzecz*. Wydawnictwo JanKa, Pruszków 2013, ss. 220+4 nlb.

Oleksandr Irwaneć: *Choroba Libenkrafta. Ponura powieść*. Przełożyły Natalia Bryżko i Natalia Zapór. Biuro Literackie, Wrocław 2013, ss. 135+3 nlb.

Marek Sołtysik: *Roman Maciejewski. Dwa życia jednego artysty*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2013, ss. 254.

Jadwiga Nowak: *Duchowa rzeczywistość świata*. Wydawnictwo AULA, Podkowa Leśna 2013, ss. 149.

Themersonowie na papierze. O potrzebie tworzenia widzeń. Dwie wystawy. Redakcja Małgorzata Sady i Nick Wadley. Muzeum Mazowieckie w Płocku, Płock 2013, ss. 100+4 nlb.

Szczepan Twardoch: *Morfina*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2013, ss. 578.

Kaja Malanowska: *Patrz na mnie, Klaro*. Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, ss. 275.

Kabaret bez numerów

Celem sztuki kabaretowej bywa czasami coś więcej niż tylko rozśmieszanie publiczności. Najlepszym przykładem jest twórczość Kabaretu Starszych Panów, dla wielu osób stanowiąca niedościgły wzór wirtuozerii słowa i subtelności poczucia humoru. Lublin w tej dziedzinie też miał co nieco do zaferowania – chociaż trudno nazwać to miasto zagłębieniem kabaretowym, przed wojną działały tu grupy Czarny Kot i Wesoły Ul, w klimacie odwilży 1956 r. powstały kabarety literacko-muzyczne Sex, a później Czart.

W książce *Na studenckim szlaku* Mirosław Derecki tak wspominał kawiarnię studencką „Piwnica”, gdzie występował Sex: *W 1957 r. studenci pokusili się o otwarcie swojej własnej kawiarni, w trzykondygnacyjnych piwnicach na Starym Mieście. (...) Na niższym poziomie, gdzie schodziło się wąskim, stromym „korytarzem” wyłożonym szesnastowiecznymi ceglami, mieściło się „serce” studenckiej „Piwnicy”: długa sklepiona komnata – będąca zarazem salą widowiskową kabaretu Sex. A za nią – druga, mieszcząca zaledwie kilka stolików, która w czasie występów pełniła rolę garderoby artystów. (...) W kabarecie występowaliśmy w czarnych, luźnych swetrach i wąskich spodniach z ciemnoczerwonego sztruksu. Dekorację stanowiła sama niezwykle, niepowtarzalna architektura „Piwnicy”. Podczas programu – za oświetlenie służyły tylko płomyki świec. Stwarzało to jakiś tajemniczy, mistyczny nastrój¹. Żeby obejrzeć Czarta, trzeba było wybrać się do innego lokalu na Starym Mieście, czyli popularnej Czarnej Łapy. Kabaret ów debiutował 20 lutego 1960 r., przedstawiając *Leg(l)endy lubelskie*, a założyli go Andrzej Malinowski i Ryszard Nowicki, wcześniej pracownicy „Kurieria Lubelskiego”. Temperament dziennikarski twórców przyczynił się do tego, że Czart często poruszał aktualne tematy.*

„Loża 44” wkroczyła na lubelską scenę kabaretową ponad dziesięć lat później – premiera widowiska *Morbus* odbyła się w maju 1972 r. Pełna nazwa nowego kabaretu brzmiała Studenckie Bractwo Satyryczne „Loża 44”, a powstał on w środowisku studentów Akademii Medycznej w Lublinie. Atmosfera „Loży” przyciągała, co sprawiło, że w pewnym momencie działało w niej nawet trzydzieści osób, przy czym najlepiej rozpoznawalnymi jej członkami stali się: student polonistyki Grzegorz Michalec, Maciej Wijatkowski z anglistyki i aktor Teatru Osterwy Jerzy Rogalski.

Jedynym autorem scenariuszy i reżyserem „Loży” był od początku jej założyciel – Irosław Szymański. Można śmiało nazwać go „człowiekiem orkiestrą” – nie tylko pisał dialogi, ale też teksty piosenek, muzykę, a nawet grał na gitarze w zespole akompaniującym kolegom w czasie występów (muzycy także należeli do „Loży”, ich wkład w ostateczny kształt i klimat programu miał niebagatelne znaczenie). Po latach Szymański zdradza: *Jurek Rogalski dołączył do nas trochę później. Mogę powiedzieć, że zgarnąłem go z ulicy, po prostu zatrzymałem samochód obok niego i powiedziałem, że „musi być w »Loży«”. Nie było łatwo go przekonać, bo Jurek nie był zwolennikiem kabaretów. Początek naszej współpracy to był fantastyczny zbieg okoliczności. Moi*

¹ Mirosław Derecki: *Na studenckim szlaku*. Relację Dereckiego cytuję za stroną Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, zob. www.tnn.pl/pm,2919.html i www.tnn.pl/pm,1655.html (20.06.2013).



Irosław Szymański
Fot. B. Wróblewski

amatorzy mieli w Jurku, zawodowym aktorze, duże wsparcie. Często grali jakby w kontrze do niego. Postać odgrywana przez Jurka była z pozoru tą najmniej mądrą, ale paradoksalnie wypowiadającą najbardziej trafne komentarze².

Kim zatem jest Irosław Szymański? Gdy zakładał z kolegami „Lożę 44”, studiował medycynę na Akademii Medycznej, dziś pracuje w Lublinie jako ginekolog-położnik. Scena była zawsze obecna w jego życiu gdzieś obok medycyny, ale ostatecznie nigdy nie wybiła się na pierwszy plan i Szymański zdecydował się na robienie kariery w wyuczonym zawodzie. Ale po kolei. Do szkolnego kabaretu Irosław Szymański należał już w liceum. Na studiach, w 1964 r., założył zespół bigbitowy Szkielety. Grupa istniała pięć lat, tworzyli ją przede wszystkim studenci Akademii Medycznej. Szymański pisał dla Szkieletów teksty piosenek, w czym nie przeszkadzał mu brak znajomości nut. Ostatecznie jednak to z kabaretem związał się na dłużej.

„Loża 44” przyniosła swym członkom popularność i liczne nagrody na ówczesnych przeglądach kabaretowych. Bycie satyrykiem stało się przepustką do pracy w radiu i telewizji. *Pro-fanacje, Memento Mori Blues, Skrypty z krypty, Wyrobisko*, retrospektywny *Rozpuszczalnik*, a następnie *Fragment większej całości* i *Dyskuteka* – to kolejne widowiska przygotowane przez grupę. W 1980 r. odbyła się premiera *Notatek z marszu*, natomiast rok później niektóre z występów zostały nagrane i pokazane przez krakowski ośrodek TVP. Członkowie zespołu brali udział w popularnym wówczas telewizyjnym programie TVP Kraków *Spotkanie z balladą*. Szymański był jego współautorem, więc „Loża 44” mogła się pokazać z jak najlepszych stron, bez konieczności rezygnowania z własnego, wypracowanego przez lata, stylu.

Po wprowadzeniu stanu wojennego kabareciarze zostali wyrzuceni ze swojej siedziby w Akademii Medycznej, przepadł przechowywany tam sprzęt i kabaretowe archiwum. Artyści nie zrazili się, ale szukali nowych możliwości. Udało się. W następnych latach „Loża” odbywała próby w Teatrze Osterwy, powstały kolejne przedstawienia: *W kolejce, W czwartym wymiarze, Cesarskie cięcie. Picnic* miał swoją premierę wyjątkowo nie w Lublinie, ale w Krakowie. W międzyczasie doszło do współpracy z telewizją, głównie ośrodkiem w Krakowie, oraz miała miejsce kilkuletnia przerwa w przygotowywaniu premierowych widowisk. Wspominając 2000 rok, twórcy kabaretu na swojej stronie internetowej www.loza44.pl odnotowali: *Zmusiliśmy go (Irosława Szymańskiego, przyp. – M. S.). I napisał! Napisał duży spektakl dla telewizji. Nazywało się to „ARKA NO(W)EGO”. Prawdziwy klimat „Loży”,*

² Wszystkie cytowane wypowiedzi Irosława Szymańskiego pochodzą z rozmowy przeprowadzonej przeze mnie wiosną 2013 r.

acz schrzaniony realizacyjnie. Później w Lublinie został pokazany jeszcze *Kołędnik polski*, a w maju 2009 r. premierę miało widowisko pod tytułem *W noclegowni*.

Swoje satyryczne teksty Irosław Szymański opublikował w dwóch książkach: *Tak to widzę* ukazało się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w 1987 r., trzy lata później ta sama oficyna wydała *Notatki z marszu*. W jednym miejscu zebrane zostały teksty kabaretowe, które budują przedstawienia będące ze swojej natury bytami niezwykle ulotnymi. Wyuczona słowa dialogów stanowią dla kabareciarzy fundament, na którym opiera się występ. Wiele zależy od tego, z jaką publicznością w danej chwili artyści mają do czynienia. Tekst kabaretowy żyje w reakcji na śmiech. Czasami osoba wypowiadająca kolejne zdania może sobie pozwolić na większą lub mniejszą improwizację, w innym miejscu postawić akcent, zrezygnować z pauzy albo – wręcz przeciwnie – wydłużyć ją. Tekst kabaretowy – zahartowany w konfrontacji z zawsze wymagającą publicznością – zazwyczaj traci, jeśli podamy go *sauté*. Przy tym domyślanie się, które wypowiedzi wywoływały przed laty spontaniczny wybuch śmiechu publiczności, staje się rodzajem intelektualnej łamigłówki.

Najważniejsze propozycje „Łoży 44” powstawały w rzeczywistości PRL, nie dziwi więc, że na pierwszy plan wysuwały się w nich aluzje polityczne – nawet najdrobniejsze niuanse tego typu były dla ówczesnej publiczności oczywiste, a widzowie wyłapywali je w mgnieniu oka. Tak opowiada o tym Irosław Szymański: *PRL miała być krainą wiecznej szczęśliwości. Cenzura zatrzymywała nawet aluzje do nieurodzaju czy brzydkiej pogody. Teraz mogę się przyznać, że ja miałem taki cichy układ z moją przyjaciółką Hanną Leszczyńską, która skądinąd była dosyć groźną cenzorką. Umawialiśmy się u mnie w domu i ja jej czytałem treść nowego programu. Mówiła mi: „to na pewno musisz zmienić”. Wiele razy, żeby przemycić ogólny sens, musiałem szukać innych słów. To nie było trudne, bo mieliśmy publiczność wyczuloną na wszelkie dwuznaczności. Po czym twórca tekstów i reżyser „Łoży 44” dodaje: *Najgęstsze sito było w telewizji, nigdzie nie spotkałem się z tak silną cenzurą, jak właśnie tam. Mimo to zdarzały się paradoksalne sytuacje. Zapis telewizyjny „Fragmentu większej całości”, który odłożono na półkę na jedenaście miesięcy, poszedł w końcu miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego. Odpowiedzialny za to redaktor z TVP Kraków po fakcie szedł do przełożonych jak na ścięcie, bojąc się ich reakcji, a usłyszał... pochwałę. Pytali się go nawet, kto zrobił tak dobrą, propagandową robotę. Później ten właśnie program publiczność uważała za nasz flagowy głos przeciw władzy.**

Czasami jednak trzeba było iść na większy kompromis, jak wówczas gdy piosenkę *Korowody* objęto całkowitym zakazem wykonywania. Jej słowa nie mogły być wydrukowane w książce *Tak to widzę* z 1987 roku – ukazały się dopiero w tomie *Notatki z marszu* w roku 1990. Oto początkowy fragment:

*Patrz jak czas biegnie tutaj w przeciwną stronę,
Jak ślepy kapelmistrz Braille'm tony podaje,
Jak głucha kapela stroi już sto instrumentów,
I popatrz jak karnie tłum marionetek
Do tańca staje!*

*Patrz, chlewy stroją niby pałace,
Bał, maskarada znów się zaczyna,
Na nowych sznurach tańczą pajace,
Dzisiaj czas igrzysk, chleba i wina!
Patrz!
Już!
Już się sposobią!
I zaraz w tany pójda społecm!*

*Rusza korowód – już w pierwszej parze,
Sprzedajny anioł z płatnym aniołem!
(...)*

Konieczność liczenia się z cenzurą spowodowała, że autor tekstów dla „Łoży 44” często korzystał z możliwości, jakie stwarza język ezopowy, a piętrowe znaczenia poszczególnych fragmentów budował na niedomówieniach i aluzjach. Wszystko to czynił w połączeniu z najwyższej próby ironią, niekiedy z wisielczym humorem i fantastycznym wyczuleniem na absurd ówczesnej rzeczywistości.

Co po latach zaskakuje w tekstach lubelskiego kabaretu? Przede wszystkim wielość aluzji politycznych, które – jak widać – umknęły cenzorom, a może nie wydawały się im groźne. Przykłady można mnożyć, znajdziemy je w niemal wszystkich tekstach Szymańskiego. Cytowane zdania bronią się, nawet gdy wyjmiemy je z szerszego kontekstu:

– *Pewnie, że na razie luksusów jeszcze nie ma, ale do tego dopiero idziemy!*
albo:

– *Właśnie, nazwiska, imiona, imię ojca, kontakty, numery telefonów...*

– *Uspokój się! Nie jesteśmy eksperci tylko jury! I nie na służbie!*

Innym razem z pozoru niewinna sytuacja – np. podróż pociągiem na wczasy – stawała się pretekstem do ironicznym komentarzy: *Ty naucz się wreszcie patrzeć współcześnie! Tabliczkę „Nie wychylać się”, widziałeś? Jest więcej niż prawdopodobne, że riposta taka musiała wywołać wybuch śmiechu. Próbkę tej atmosfery daje oglądanie fragmentów archiwalnych programów *Spotkanie z balladą*, w których pojawiają się przebitki ukazujące reakcje publiczności.*

Inaczej oczywiście czyta się wydrukowane teksty Irosława Szymańskiego, szczególnie po kilkunastu lub kilkudziesięciu latach od ich napisania. Jak można je odbierać teraz? Wiele ma uniwersalny wydźwięk, nic nie straciły na aktualności. Spójrzmy na *Herbarium domowe*, w którym w kilku, jakże trafnych, słowach charakteryzowane są różnej maści indywidualia. Przyjrzyjmy się bliżej Notablikowi małemu lokalnemu, który (...) *Pnie się szybko do góry, a przynajmniej próbuje, stwarzając pozory, że jest większy niż w rzeczywistości. W stosunku do ziół wyższych uległy, często przyjmujący postać pełzającą i bezwoną (Sługus vaselinus nonodorans)*. Czy to nie brzmi niepokojąco znajomo? Nic nie stoi na przeszkodzie, aby dodać dzisiaj do takiego herbarium kolejne charakterystyki ziół wybujałych już na nowej glebie. Dlaczego? Bo Szymański chętnie obnażał głębsze mechanizmy funkcjonowania społeczeństwa, które są trwalsze niż polityczne systemy. Szukał punktów wspólnych i nie bał się wyciągania wniosków: *Zawsze uciekałem od incydentów. Bardziej interesowało mnie pisanie o naszych narodowych przywarach i wynikających z nich kłopotach. A wydaje mi się, że w tej kwestii zmieniło się niewiele.*

Zatrzymajmy się chwilę przy warstwie wizualnej przedstawień lubelskiego kabaretu. We *Fragmencie większej całości* elementem sarmackiej scenografii były części zbroi, szyszak, jakiś napierśnik. Czasami wykonawcy grali też w scenerii zagraconej kanciapy, w której na honorowym miejscu stał telewizor. Irosław Szymański podkreśla jednak, że dla niego zawsze na pierwszym miejscu pozostawało słowo: *Gęsty tekst był mówiony przez chłopaków w szybkim tempie. Czasami nawet zarzucano nam, że w tempie zbyt szybkim, niepozwalającym widzowi na przetrawienie tego, co usłyszał chwilę wcześniej. Generalnie też aktorzy nie mogli zmieniać tekstu, musieli wypowiedzieć go od początku do końca. Ukuli nawet takie złośliwe stwierdzenie: „»Loża« to jest taka demokracja, że Szymański zawsze ma ostatnie słowo”.*

Autor miał reporterski talent do budowania wartkich dialogów, które brzmiały, jakby zostały podsłuchane na ulicy. Wychylenie w stronę języka potocznego dodawało całości energii. Należy też podkreślić, że każda z kreowanych ról była tak samo ważna. Zamiast, jak to bywa współcześnie, skon-

centrowanych jedynie na sobie gwiazd, mieliśmy do czynienia z zespołem osób grających do jednej bramki.

Bohaterowie przedstawień „Łoży 44” nie nosili imion własnych, trochę jak w średniowiecznych moralitetach, gdzie postać miała reprezentować pewien typ i zespół cech, a nie indywidualnego człowieka. Aby zapisany tekst dialogów Szymańskiego był czytelny, wypowiedziane przez poszczególne postaci kwestie zostały w druku opatrzone jedynie cyframi rzymskimi, na przykład: On I, On II, albo Podróżny I, Podróżny II, Podróżny III, a nawet jeszcze prościej – Człowiek I, II, III. Jedynym elementem charakteryzującym postaci były ich kolejne wypowiedzi. Małgorzata Gnot w przedmowie do tomu *Notatki z marszu* trafnie zauważyła: *Szymańskiego-satyryka choroba interesuje dużo bardziej niż osoba pacjenta. Bohaterem lub raczej antybohaterem swych tekstów czyni, rozpisana na podstawowe typy ludzkie, zbiorowość.*

W twórczości Irosława Szymańskiego z pewnością pojawia się coś z beckettowskiego absurdu. Marsz bohaterów nabiera w tym przypadku symbolicznego znaczenia. Ta podróż nigdzie nie prowadzi, na jej końcu nie będzie nagrody w postaci osiągniętego po wielu trudach i wyrzeczeniach celu. Bo też i sam cel jest mirażem, pustą obietnicą bez pokrycia. I nikt nie jest w stanie – nawet gdyby bardzo chciał – udzielić wskazówek, które zapewniłyby dotarcie do mety. To oczywista diagnoza stanu życia w PRL, ale można ją rozpatrywać także bez politycznej otoczki, jedynie w egzystencjalnym kontekście. Oczywiście należy wziąć poprawkę na wyrozumiałość autora tekstów wobec słabości ludzkiej natury. Gdyby tego zabrakło, komedia niechybnie zmieniłaby się w dramat.

Jak obecnie odbierana byłaby twórczość „Łoży”? Oddajmy głos Irosławowi Szymańskiemu: *Wiele osób pyta mnie obecnie, czy nie chciałbym wrócić do pisania. Zastanawiam się jednak, czy dzisiaj „Łoża 44” znalazłaby publiczność, szczególnie wśród młodych. My stawialiśmy na teatralizację, a dziś w kabarecie liczy się tylko skecz. W naszych programach nie było klasycznych puent, poszczególne fragmenty łączyły się ze sobą, były częścią większej całości. Współpracujący z nami aktorzy krakowscy nawet pytali: „Dlaczego u ciebie nie ma numerów?”.*

Małgorzata Szlachetka

Książki nadesłane

Eda Ostrowska: *Oto stoję w deszczu ciała. Dziennik studentki*. Wstęp Kazimierz B. Malinowski. Wydanie 2 zmienione. Wydawnictwo Jirafa Roja, Warszawa 2013, ss. 151.

Jan Polkowski: *Ślady krwi. Przypadki Henryka Harasymowicza*. Wydawnictwo M., Kraków 2013, ss. 438.

Polska-Ukraina. Pogranicze / Polska-Ukraina. Pograniczczyja. „Rocznik Naukowy / Naukovij Szczoricznik” 4(2012), ss. 559. Red. Viera Meniok i Henryk Gmiterek. Teksty po polsku i ukraińsku.

V. S. Ramachandran: *Neuronauka o podstawach człowieczeństwa. O czym mówi mózg?* Przekład Anna i Marek Binderowie i Elżbieta Józefowicz. Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2012, ss. 368.

Nick Lane: *Największe wynalazki ewolucji*. Przełożyła Anna Wawrzyńska. Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2012, ss. 416.

„Lubartów i Ziemia Lubartowska”. Lubartowskie Towarzystwo Regionalne, Lubartów 2013, ss. 455+16 nlb. (fotografie).

„Pamiętnik Literacki”. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn 2012, tom 43/44, ss. 216.

KONSTANDINOS PETROU KAWAFIS

Popołudniowe słońce

Ten pokój, jak dobrze go znam.
Teraz wynajmują i ten, i sąsiedni
na biura handlowe. Cały dom wypełniły
biura pośredników i przedsiębiorców, i Firmy.

Ach! Ten pokój, jak bardzo znajomy.

Niedaleko drzwi, tutaj, była kanapa,
a przed nią – perski dywan;
w pobliżu półka z dwiema żółtymi wazami.
Po prawej; nie, naprzeciwko – szafa z lustrem.
Na środku stół, przy którym pisał,
i trzy duże wiklinowe krzesła.
Przy oknie stało łóżko,
na którym kochaliśmy się tak wiele razy.

Te graty wciąż jeszcze muszą się gdzieś znajdować.

Przy oknie stało łóżko;
popołudniowe słońce sięgało jego połowy.

...O czwartej po południu rozstaliśmy się
zaledwie na tydzień... Na nieszczęście,
tamten tydzień rozciągnął się na całą wieczność.

(1919)

Błaganie

Morze w swych głębinach pochłonęło żeglarza.
Jego matka, nieświadoma, idzie i zapala

wysoką świecę przed ikoną Matki Boskiej,
w intencji szybkiego powrotu i dobrej pogody;

i ciągle nasłuchuje odgłosów wiatru.
Ale kiedy ona modli się i błaga,

ikona słucha, poważna i zasmucona,
świadoma, że nigdy nie powróci syn wyczekiwany.

(1898)

Daleko

Chciałbym ubrać to wspomnienie w słowa...
Lecz już znikło... prawie zupełnie –
bo leży daleko, pośród najwcześniejszych lat mojej młodości.

Skóra jakby z jaśminu...
Tamtego sierpnia – czy było to w sierpniu? – nocą...
Już ledwie pamiętam te oczy; były – myślę – ametystowe...
A tak, ametystowe; fiołkowy ametyst.

(1914)

Monotonia

Po jednym monotonnym dniu przychodzi kolejny
równie monotonny. Sprawy potoczą się
identycznie, wydarzą się znowu i znowu –
podobne momenty odnajdują nas i opuszczają.

Miesiąc przemija i sprowadza kolejny miesiąc.
Łatwo odgadnąć, co niesie przyszłość:
nudne błahostki dnia wczorajszego.
A jutro nie przypomina już więcej jutra.

(1908)

Na ulicy

Jego sympatyczna twarz – nieco blada;
jego kasztanowe oczy – jakby przymrużone;
dwadzieścia pięć lat, choć mógłby uchodzić za dwudziestolatka;
ubrany trochę jak artysta
– coś w odcieniu krawata, w kształcie kołnierzyka –
bez celu włóczy się po ulicy,
wciąż jakby zahipnotyzowany perwersyjną przyjemnością,
każdą perwersyjną przyjemnością, jaką sobie sprawił.

(1916)

Przejście

To, o czym z lękiem fantazjował będąc uczniem,
teraz ma przed sobą, łatwo dostępne. I włóczy się, i zarywa noce,
i doznaje. I jak (naszej sztuce) przystało,
krew jego, młoda i wrząca,
buzuje rozkoszą. Jego ciało ulega
występnej zmysłowej przyjemności; jego młodzieńcze
kształty poddają się jej.

I tak prosty chłopiec
staje się wart uwagi, i przez chwilę on także
przechodzi przez Wzniosły Świat Poezji –
czuły chłopiec, krew jego młoda i wrząca.

(1917)

Pierwszy stopień

Skarżył się raz Teokrytowi
młody poeta Eumenes:
„Mijają właśnie dwa lata, odkąd piszę
i ułożyłem zaledwie jedną idyllę.
Jest to moje jedyne skończone dzieło.
Niech to! Widzę, że wysokie,
bardzo wysokie są schody Poezji;
i z pierwszego stopnia, na którym stoję,
nigdy – o, ja nieszczęśliwy – nie wstąpię wyżej”.
Teokryt odpowiedział: „Słowa takie
są niestosowne i bluźniercze.
Nawet jeśli jesteś na pierwszym stopniu,
powinieneś być dumny i szczęśliwy.
Dotrzeć aż tutaj – to nie byle co;
tylko osiągnąć – to wielka chwała.
Bo nawet ten pierwszy stopień
znajduje się poza zasięgiem zwykłych ludzi.
Żeby wejść na ten stopień
musisz – na własnych prawach – być
obywatelem miasta idei.
Stać się obywatelem tego miasta
jest rzeczą i trudną, i rzadką.
W jego centrum znajdziesz Prawodawców,
których nie nabierze żaden awanturnik.
Dotrzeć aż tutaj – to nie byle co;
tylko osiągnąć – to wielka chwała”.

(1899)

Perfidia

Kiedy wydawano Tetydę za Peleusa,
od suto zastawionego stołu weselnego
wstał Apollo i pobłogosławił nowożeńcom
potomka, który narodzi się z tego związku.
Powiedział: „Nie dotknie go nigdy choroba
i będzie miał długie życie”. Kiedy to powiedział,
Tetyda ucieszyła się bardzo, bo słowa
Apollona – doświadczonego w przepowiedniach –
wydały się jej gwarancją dla dziecka.
I kiedy Achilles dorastał, a jego
uroda była chlubą Tesalii,
Tetyda wracała myślą do słów boga.
Ale pewnego dnia przyszli starcy z nowinami
i powiedzieli, że Achilles zginął pod Troją.
Tetyda podarła swe purpurowe szaty,
ściągnęła i cisnęła na ziemię
pierścienie i bransolety.
I zrozpaczona przywołała przeszłość;
i zapytała, co robił mądry Apollo,
gdzie był ów poeta, który na przyjęciu
pięknie przemawia, gdzie był ów prorok,
kiedy zabijali jej syna w kwiecie wieku.
A starcy odpowiedzieli, że to on,
sam Apollo, zstąpił do Troi
i wspólnie z Trojanami zabił Achillea.

(1904)

Jońskość

Chociaż zniszczyliśmy ich posągi,
chociaż wzbroniliśmy im dostępu do ich świątyń,
wcale przez to nie umarli bogowie.
O, ziemio Jonii, ciebie kochają nadal,
ciebie ich dusze wspominają nadal.
Kiedy świta nad tobą poranek sierpniowy,
atmosferę twoją przepelnia ich siła witalna;
a czasem eteryczna, młodzieńcza forma,
nieokreślona, w zwinnym pędzie
przemyka nad twoimi wzgórzami.

(1911)

przełożył *Jacek Hajduk*

przekroje

Wybory, opracowania, syntezy

BARTŁOMIEJ KRUPA

CIEŃ ZAGŁADY

Przygotowanie i edycję książki *Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944-2010* należy uznać za przedsięwzięcie bardzo ambitne, które budzi szacunek. Próba opisania w pojedynczym, choćby nawet bardzo obszernym tomie – a taki właśnie otrzymaliśmy – konsekwencji jednego z ważniejszych wydarzeń w dziejach (nie tylko Polski), wydaje się zadaniem niemalże niewykonalnym. W dodatku mowa o wydarzeniu, które – najpierw przez długi czas w sposób utajony, skryty, w wyniku pewnej „zmowy milczenia”, potem, mniej więcej od połowy lat 80. XX w., coraz bardziej jawnie – wywierało wpływ na cały szereg aspektów polskiego życia społecznego. Nie dziwi zatem, że książka, u której podstaw legło m.in. pytanie, jak zagłada wpłynęła na kondycję nielicznych (...) ocalałych Żydów polskich oraz na stan stosunków polsko-żydowskich (s. 7), jest dziełem zbiorowym. Z postawionym w tytule problemem zmierzyło się bowiem – początkowo, w latach 2007-2009, w ramach seminariów w Żydowskim Instytucie Historycznym, później w zaciszu własnych gabinetów – blisko trzydziestu znawców tematu, badaczy z różnych ośrodków, przedstawiciele wielu dyscyplin naukowych. Ale w tym konkretnym przypadku owa współpraca wiąże się przecież – ujmując rzecz sumarycznie – z potrzebą podjęcia olbrzymiego wysiłku, i autorskiego, i koordynacyjnego. Jeśli dodamy do tego drugi zasadniczy cel publikacji, nazwany przez redaktorów „koniecznością rozszerzenia narracji o Zagładzie” (s. 10), co oznacza przekroczenie w refleksji o Holocauście granicy końca wojny lub procesu norymberskiego i ukazanie jego długofalowych, niesłabnących do dziś skutków, jasne staje się, że mamy do czynienia z pracą niezwykle istotną, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę jedynie odważny, by nie napisać – brawurowy, zamysł autorski.

Książkę podzielono umownie na cztery części. Pierwsze dwie, tj. *Krajobraz po wojnie* oraz *Próby odbudowy życia żydowskiego*, mają charakter historyczny i dokumentują, jak wiele pozostało ze świata żydowskiego po wojnie. Kolejne dwie – *Pamięć i zapomnienie* oraz *Tu i teraz* – poświęcone zostały skomplikowanym kwestiom pamięci o Żydach, która ma wymiar zbiorowy lub opiera się na przechowywanych artefaktach materialnych, oraz zawierają diagnozę stanu stosunków polsko-żydowskich u progu nowego tysiąclecia.

Blok tekstów dotyczący czasów tużpowojennych otwiera rozprawa Alberta Stankowskiego i Piotra Weisera o wszystkim mówiącym tytule: *Demograficzne*

skutki Holokaustu. Choć podświadomie wzdragam się przed tego typu statystycznymi, niwelującymi jednostkowe cierpienia ofiar ujęciami, muszę przyznać, że otrzymaliśmy kompetentne i ważne, choćby z edukacyjnego punktu widzenia, zestawienie. Autorzy sięgają po rozmaite źródła: nazistowskie raporty, przedwojenne spisy ludności czy powojenne dane Centralnego Komitetu Żydów w Polsce, Ministerstwa Administracji Publicznej i Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Przy ich pomocy budują opowieść o przebiegu II wojny światowej w kontekście zmian zachodzących w liczebności ludności żydowskiej. Nie wszystkie ówczesne wydarzenia da się naświetlić jednakowo, ponieważ brakuje źródeł – jak zaznaczają Stankowski i Weiser, nie ma dostępu do archiwów rosyjskich, trudno też określić skalę działań Einsatzgruppen. Uwzględniając jednak pewien margines błędu, autorzy szacują liczbę zamordowanych polskich Żydów na nie mniej niż 2 mln 700 tys. osób, a więc około 80% przedwojennej populacji. Dokonane przez badaczy podsumowanie stanowi dobre wprowadzenie do wielogłosu, z jakim mamy do czynienia w dalszych partiach publikacji, oraz uzmysławia nam skalę zjawiska, z którego skutkami borykamy się do dzisiaj.

Kolejne dwa rozdziały dotyczą bodaj najbardziej delikatnej kwestii w sferze powojennych stosunków polsko-żydowskich. Mowa o krzywdzących stereotypach, utrudniających budowanie zdrowych relacji między obydwoma społecznościami – „żydokomuny” z jednej strony i „Polaka żydożercy” z drugiej (o tym, że emocje z nimi związane nie słabną, mogliśmy się niedawno przekonać choćby przy okazji narodowego sporu wokół *Strachu* Jana Tomasza Grossa). Alina Skibińska w tekście *Powroty ocalałych i stosunek do nich społeczeństwa polskiego* kreśli niezwykle przejmujący opis tego, *co działo się od sierpnia 1944 do lipca 1946 r. między ocalałymi Żydami polskimi a resztą społeczeństwa* (s. 39). Z tekstu wyłania się nader smutny obraz Żydów ocalałych na wschodzie, którzy przeżyli wojnę w obozach czy w ukryciu, a powracając do opustoszałych sztetli, zajętych przez Polaków domów i miejsc pracy, narażeni byli na wrogie reakcje ze strony polskich sąsiadów, obojętność władzy oraz ciągłe odnajdywanie śladów przypominających o pomordowanych bliskich. Problem niezwykle bolesny podejmuje również Andrzej Żbikowski w artykule *Morderstwa popełniane na Żydach w pierwszych latach po wojnie*, zmuszając nas do spojrzenia na polskie podziemie z perspektywy innej niż heroiczno-martyrologiczna. Jeśli weźmiemy pod uwagę cytowane przez autora źródła zawierające informacje o morderstwach dokonywanych na Żydach, np. *Książkę Egzekucji Obwodu nr 5 AK* (s. 80), i pamiętamy o liczbie osób współwinnych („było ich co najmniej kilkanaście tysięcy”, s. 71), musimy krytycznie ocenić nie tylko bezpośrednio odpowiedzialnych żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, ale również znaczną część polskiego społeczeństwa, co z pewnością nie jest komfortowe. Żydów zabijano zarówno z pobudek ideologiczno-politycznych, jak i rabunkowych. Zdaniem Żbikowskiego *zginęło w wyniku pogromów, działań podziemia, zbrojnych napaści i skrytobójczych mordów co najmniej od 650 do 750 Żydów* (s. 93), a mowa tu jedynie o przypadkach udokumentowanych. Otwarte pozostaje natomiast pytanie, czy dlatego właśnie Żydzi w tym czasie masowo opuszczali Polskę, czy spowodowane to było raczej poczuciem „życia na cmentarzu” i tęsknotą do wspólnoty powstającej w Palestynie.

Pionierski charakter ma rozprawa Tamar Lewinsky *Żydowsy uchodźcy i przesiedleńcy z Polski w okupowanych Niemczech*, w której odmalowane zostały losy zbiorowości Żydów polskich przebywających w Niemczech w charakterze dipisów (od ang. „displaced persons” – „przesiedleńcy”). Autorka kreśli ich sylwetki, opisuje rozmaite cele i aspiracje, wreszcie wspomina o dalszych kolejach ich życia – o emigracji do Izraela, obu Ameryk czy Australii.

Dwa ostatnie teksty tej części – Ewy Koźmińskiej-Frejlak *Kondycja ocalałych. Adaptacja do rzeczywistości powojennej (1944-1949)* oraz Augusta Grabskiego *Żydzi a polskie życie polityczne (1944-1949)* – dotyczą w zasadzie zbliżonych

kwestii i doskonale się uzupełniają. Koźmińska-Frejlak opisuje możliwości, jakie otwierały się przed ocalałymi (możliwości te warunkowane były często wiekiem poszczególnej osoby oraz tym, w jaki sposób przeżyła ona wojnę). Za Robertem K. Mertonem i Piotrem Sztompką badaczka wymienia cztery strategie pozwalające na przystosowanie się do nowej rzeczywistości: innowacji, buntu, rytualizmu i wycofania. O ile dwie pierwsze pozwalały przezwyciężyć traumę zagłady, o tyle żadna z nich nie okazała się „trwale skuteczną drogą pełnej adaptacji” (s. 155). Z kolei Grabski charakteryzuje perspektywy, jakie stwarzało ocalałym opowiedzenie się po stronie Polskiej Partii Robotniczej. Autor, przekonująco opisując genezę, przyczyny i konsekwencje takiej decyzji, dowodzi jednocześnie, że Żydzi zaangażowani w politykę nie mieli praktycznie żadnego innego wyboru (może poza poparciem dla syjonizmu i szybką emigracją), szczególnie wobec skrywanego antysemityzmu hierarchów kościelnych czy członków PSL oraz jawnych aktów wrogości ze strony podziemia antykomunistycznego. Jedynie komuniści oferowali Żydom równouprawnienie i dawali prawa, których grupa ta nigdy wcześniej w Polsce nie uzyskała.

Kolejny blok tekstów poświęcony został próbom budowania przez polskich Żydów nowej społeczności po katastrofie. Grzegorz Berendt przedstawił okoliczności wznowienia społeczno-politycznej aktywności, nieustannie podszytej sporem ze zwolennikami emigracji. Opisał genezę Komitetu Organizacyjnego Żydów w Polsce i Żydowskiego Towarzystwa Kultury – inicjatyw, które zostały jednak ostatecznie zmarginalizowane przez władze i włączone do struktur państwowych pod koniec lat 40. W rozdziale *Życie religijne społeczności żydowskiej* August Grabski i Albert Stankowski opowiedzieli o założeniu Żydowskiego Zrzeszenia Religijnego, przekształconego w 1946 r. w Żydowskie Kongregacje Wyznaniowe. Organizacje te musiały się borykać zarówno z wyraźną sekularyzacją i zmniejszaniem się społeczności żydowskiej, jak i z konfliktami ze świeckim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce oraz permanentną kontrolą ze strony Ministerstwa Administracji Publicznej. Mimo kolejnych fal emigracji, szczególnie tej z 1968 r., żydowskie życie religijne w Polsce przetrwało aż do lat 80. XX w., kiedy to rozwinęło się na nowo – od lat dziewięćdziesiątych już pod egidą Zrzeszenia Gmin Wyznaniowych Żydowskich.

Helena Datner w tekście *Dziecko żydowskie (1944-1968)* przyjrzała się odbudowie szkolnictwa żydowskiego (wyraźnie dominująca pozycja przypadła tu Łodzi), zaś Joanna Nalewajko-Kulikow i Magdalena Ruta opisały podejmowane w tym okresie inicjatywy kulturowe: powołanie Związku Żydowskich Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów, założenie spółdzielni filmowej „Kinor”, wydawnictwa Idisz Buch czy wznowienie publikacji prasy żydowskiej. Autorki słusznie podkreślają podwójną funkcję tych instytucji – pełniły one rolę ośrodków kulturalnych, a zarazem wspierały materialnie żydowskich ludzi kultury (s. 291). Podobny wątek rozwija również Renata Piątkowska w szkicu *Żydowskie życie artystyczne po Zagładzie*, zwracając uwagę na trudności stojące przed ocalałymi artystami oraz konieczność prowadzenia poszukiwań i odkupywania prac pomordowanych twórców (s. 350).

Monika Adamczyk-Garbowska i Magdalena Ruta interesująco omówiły dzieła literatury polskiej i jidysz podejmujące tematykę zagłady. O ile część poświęcona okresowi 1944-1989 jest wzięła i udana (trzeba skorygować drobny błąd: Iwaniuk miał na imię Waclaw, a nie Wiesław, s. 313), szczególnie we fragmentach prezentujących praktycznie nieznaną dotąd na gruncie polskim literaturę jidysz (temat ten rozwinie Magdalena Ruta w swojej książce *Bez Żydów? Literatura jidysz w PRL o Zagładzie, Polsce i komunizmie*, Wyd. Austeria, Kraków-Budapeszt 2012), o tyle mam pewne wątpliwości co do wniosków formułowanych w odniesieniu do okresu późniejszego. Rzecz dotyczy przede wszystkim stwierdzenia, iż w porównaniu z literaturą zachodnią (np. angielską

czy francuską) literatura polska na temat Zagłady ma charakter bardziej dokumentalny i oszczędny w stosowaniu środków językowych i artystycznych (s. 336). Trudno mi się z tą tezą zgodzić. Praktycznie od samego początku, a przynajmniej od momentu publikacji *Czarnego potoku* Leopolda Buczkowskiego w 1954 r. (powieść ta powstała jednak już osiem lat wcześniej), proza polska poszukuje nowych środków wyrazu, bynajmniej nie unikając różnorodnych eksperymentów, co stanie się szczególnie widoczne w latach 90. – odnotujmy tu choćby niewymienione przez autorki *Tworki* Marka Bieńczyka (1997) czy wspomniany przez nie *Kamień graniczny* Piotra Matywieckiego (1994). Również przedstawione na rzecz owej tezy przykłady budzą mój opór. Przywołana przez Monikę Adamczyk-Garbowską i Magdalenę Rutę Ida Fink nie uważała się za pisarkę polską, lecz za autorkę izraelską piszącą po polsku, czemu dała wyraz choćby w listach dostępnych w Archiwum Biblioteki Narodowej w Jerozolimie. Z kolei książki *Chleb rzucony umarłym* Wojdowskiego czy *Umschlagplatz* Rymkiewicza, opatrzone komentarzem, że w czasie ich lektury *zauważymy wielką ostrożność w doborze słów i środków wyrazów* (s. 336), mogą równie dobrze posłużyć za przykład czegoś zupełnie odmiennego – poszukiwania oryginalnego języka. W powieści Wojdowskiego wyraźnie zaznaczają swoją obecność motywy oniryczne i judaistyczne, z kolei u Rymkiewicza autotematyzm sprzężony został z eseistyczną strukturą. Teza auterek wymagałaby więc rewizji lub dłuższej dyskusji.

Ostatnie szkice umieszczone w tej części tomu poświęcone zostały przełomowym momentom powojennej historii. Grzegorz Berendt, omawiając *Wpływ liberalizacji politycznej roku 1956 na sytuację Żydów*, stwierdza, iż bezpośrednią konsekwencją ówczesnych wydarzeń były „antysemickie koncepcje eliminacyjno-rozliczeniowe” (s. 365), które doprowadziły do rugowania Żydów ze struktur państwa, z Jakubem Bermanem i Hilarym Mincem na czele. Z kolei Feliks Tych pieczołowicie odtworzył zajścia Marca 1968, opisując *genezę, przebieg i skutki kampanii antysemickiej lat 1967/68*. Konsekwencją wydarzeń lat 1956 i 1968 był nasilony exodus tych Żydów, którzy jeszcze w tym czasie Polskę zamieszkiwali. Przebieg tego procesu na reprezentatywnym przykładzie Krakowa prześledziła Edyta Gawron.

Na pytanie: „co po Żydach zostało?” starali się odpowiedzieć autorzy tekstów zamieszczonych w dwóch kolejnych częściach tomu. Rozdział *Pamięć i zapomnienie* otwiera artykuł *Zamiast macewy. Żydowskie księgi pamięci* Moniki Adamczyk-Garbowskiej i Adama Kopciowskiego, w którym zawarto trafną i wszechstronną charakterystykę ksiąg pamięci oraz istotne spostrzeżenie, że stanowią one *bardzo cenne, ale przez lata zaniebdywane, zamknięte i nie w pełni docenione źródło* (s. 450).

Ważnej roli synagog i cmentarzy żydowskich oraz prawnym uwarunkowaniom ich ochrony poświęcony został szkic Eleonory Bergman i Jana Jagielskiego, zaś obozom jako miejscom pamięci tekst Roberta Kuwałka. Autor, opowiadając o powojennych losach tych terenów, nie przemilczał epizodów przykrych, jak choćby przypadków tuszowania żydowskiej narodowości ofiar czy zawstydzającego postępowania ludzi określanych mianem „polskich hien”, którzy przekopywali masowe mogiły żydowskie w poszukiwaniu złota (temat ten – jak wiadomo – stanowią ośnowę *Złoty chleb* Jana Tomasza Grossa z 2011 roku).

Sławomir Kapralski przypomina z kolei o wyjątkowym statusie Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau i roli, jaką odgrywa ono w dyskursie publicznym. Zabrakło tu jednak odwołania do niezwykle istotnej publikacji – książki Piotra Foreckiego *Od „Shoah” do „Strachu”* (2010), w której znaleźć można pogłębioną i rzetelną analizę sporów o „symboliczne panowanie” nad terenem byłego obozu. Jeszcze wyraźniej brak odniesień do tej publikacji, która zakwalifikowana została do finału konkursu o prestiżową Nagrodę Historyczną im. Kazimierza

Moczarskiego, da się odczuć w przypadku innego, skądinąd całkiem udanego, tekstu umieszczonego w tomie – *Debata wokół Jedwabnego* Dariusza Libionki¹.

Choć drażliwych kwestii dotyka także Bożena Szaynok w artykule *Kościół katolicki w Polsce wobec problematyki żydowskiej (1944-1989)*, udało jej się w wyważony sposób pokazać, że kwestia żydowska znajdowała się – przynajmniej do czasów pontyfikatu Jana Pawła II – na marginesie działań i nauczania Kościoła w Polsce, a podejście do niej było silnie upolitycznione, częstokroć niejednoznaczne i pełne dystansu.

Trudno również dodać cokolwiek do rozprawy Małgorzaty Melchior *Zagłada w świadomości polskich Żydów*. Podsumowując w znakomitym syntetycznym skrócie wyniki swoich wieloletnich badań, autorka ukazuje, jak zagłada stała się niezbywalnym składnikiem tożsamości żydowskiej, a nawet jak wpłynęła na jej kształtowanie się, niezależnie od pokolenia, z którego pochodzili respondenci.

Warto również zwrócić uwagę na dwa teksty poświęcone kwestiom edukacyjnym. Hanna Węgrzynek podjęła zagadnienie nikłej obecności tematu zagłady w podręcznikach szkolnych w latach 1945-2009, zaś Jolanta Ambrosewicz-Jacobs zwróciła uwagę, że nadal dość wolno rośnie *świadomość Holokaustu wśród młodzieży polskiej po zmianach systemowych 1989 roku*. Trwają szeroko zakrojone wysiłki, by tę sytuację zmienić – reformie poddawane są programy na wszystkich poziomach kształcenia, organizuje się projekty, wystawy, konkursy, wymiany młodzieży. Nowemu otwarciu sprzyjają także zmiany pokoleniowe.

W ostatniej części książki, dotyczącej czasów współczesnych, oprócz wspomnianej rozprawy Dariusza Libionki charakteryzującej przebieg debaty wokół Jedwabnego, znaleźć można szkic autorstwa Heleny Datner o tym, jak obecnie postrzegany jest Shoah wśród członków społeczności żydowskiej w Polsce. Choć istnieją uzasadnione wątpliwości, czy wspólne doświadczenie tragedii może posłużyć jako fundament do odbudowy wspólnotowych więzi, wszystkie bez wyjątku organizacje żydowskie programowo zakładają walkę z antysemityzmem i dążą do tego, by zminimalizować psychologiczne skutki zagłady, krzewiąc jednocześnie wiedzę o jej intelektualnym i duchowym dziedzictwie.

Monika Krawczyk precyzyjnie, przywołując właściwe zapisy kodeksowe, omawia *Status prawny własności żydowskiej i jego wpływ na stosunki polsko-żydowskie*, poczynszy od ustawodawstwa okupacyjnego, przez peerelowskie dekrety o nacjonalizacji, aż po dzisiejsze próby stworzenia prawnych ram umożliwiających uzyskanie rekompensaty za zagrabione majątki, która to kwestia – z wyjątkiem mienia gmin żydowskich – nadal pozostaje nieuregulowana.

Sposobom odbioru kultury żydowskiej dawniej i obecnie poświęcony został tekst Moniki Adamczyk-Garbowskiej i Magdaleny Ruty. Autorki zwracają uwagę, że kultura ta bywa przez dzisiejszych artystów nieżydowskich eksplorowana na zasadach „wirtualnych”, folklorystycznych, a nie autentycznie przeżywana, co wiąże się z ryzykiem jej komercjalizacji (przykład mogą stanowić kapele grające „żydowską” muzykę czy „restauracje à la żydowska cepelia”, s. 727).

Swoiste „studium przypadku” stanowi znakomity tekst Joanny Tokarskiej-Bakir *Następstwa Holokaustu w relacjach żydowskich i w pamięci polskiej prowincji w świetle badań etnograficznych*. Na podstawie własnych badań terenowych, wywiadów przeprowadzonych w sandomierskim Klimontowie w latach 2005-2006 autorka śledzi – z godną podziwu wrażliwością na język poszczególnych relacji – jak w wyobraźni zbiorowej lokalnej społeczności w wyniku przekształcenia antysemityzmu w antykomunizm (stereotyp „żydokomuny”) dochodzi do prób usprawiedliwienia polskich zbrodni na Żydach jako działań podyktowanych chęcią wyrównania rachunków, podczas gdy prawdziwą motywację stanowiła żądza zysku.

¹ Warto nadmienić, że Piotr Forecki jest również autorem doskonałej monograficznej analizy poświęconej debacie na temat Jedwabnego (zob. tenże: *Spór o Jedwabne. Analiza debaty publicznej*. Poznań 2008). Do publikacji tej Libionka także nie sięgnął.

Pozornie przeciwstawne zjawisko prezentuje Ewa Koźmińska-Frejłak w tekście *Wdzięczność i zapomnienie. Polacy i Żydzi wobec Sprawiedliwych (1944-1987)*. Należy jednak pamiętać, że również kwestia Sprawiedliwych jest zarzewiem konfliktu pomiędzy osobami, które wierząc w powszechne zaangażowanie Polaków w bezinteresowną pomoc, narzekają na „żydowską niewdzięczność”, a ludźmi podkreślającymi, jak wiele zagrożeń i zwykłej niechęci czyhało ze strony społeczeństwa polskiego nie tylko na samych Żydów, lecz także na ich wybawców, nierzadko zresztą kierujących się jedynie względami czysto ekonomicznymi.

Tom zamyka szkic *Zwykli Polacy patrzą na Żydów. Postawy społeczeństwa polskiego wobec Żydów w świetle badań sondażowych (1967-2008)* Antoniego Sułka, przedstawiający obraz postaw Polaków, obywateli Polski, wobec Żydów na podstawie sondaży socjologicznych i badań opinii publicznej (s. 854). Autor, zdając sobie sprawę ze specyficznego charakteru badań sondażowych i niespójności ich wyników, stwierdza, że w analizowanym okresie Polacy wykazali się skłonnością do zawyżania liczby Żydów mieszkających w Polsce i coraz częściej podkreślali ich nadmierny wpływ na politykę czy gospodarkę. Paradoksalnie, można też zauważyć przejawy obojętności wobec tej narodowości, tendencje do postrzegania Żydów przede wszystkim przez pryzmat ekonomii (stereotyp zaradnego kupca) oraz do rywalizowania z nimi pod względem cierpień doświadczonych podczas II wojny światowej. Jak pisze Sułek, *wyobrażenia Polaków o Żydach i ich zagładzie są zmistyfikowane, gdyż Polacy w sposób zmitologizowany widzą także swoją własną przeszłość – są dla siebie narodem bohaterów i bojowników o wolność innych ludów, krzywdzonym przez historię i sąsiadów* (s. 885). Zmiana nadejdzie wówczas, gdy Polacy uwierzą we własne dokonania i *od historii nie będą już potrzebować pokrzepienia i pociechy* (s. 885). Być może proces ten przyspieszą intelektualiści, którzy dokonają obiektywnej oceny historycznych doświadczeń – zarówno tych chwalebnych, jak i nikczemnych. Wszystko to wymaga jednak dalszych badań.

Na koniec kilka słów o niedostatkach. Przede wszystkim w niektórych miejscach nie dość zadbano, by zebrane artykuły układały się w spójną narrację, co dotyczy zarówno przypisów, jak i tekstu głównego. Przykładowo, mówiąc o problemie ukrywających się po „aryjskiej stronie” Żydów, Stankowski i Weiser wspominają jedynie pracę Gunnara Paulssona *Utajone miasto* (s. 27, przypis 36), z kolei dotycząca owego zagadnienia Alina Skibińska wymienia tego rodzaju opracowań (istotnych!) znacznie więcej (s. 59, przypis 101). Na przestrzeni całego tomu irytujące bywa też uporczywe przywoływanie tych samych wydarzeń i zjawisk: powojennych antysemitycznych pogromów, kontrowersyjnych wypowiedzi hierarchów kościelnych czy zająć z lat 1956 i 1968. Nie można tego jednak poczytywać za wadę, bo każdy z zamieszczonych w książce tekstów stanowi odrębną całość, która naświetla wybrany fragment rzeczywistości, każdorazowo przecież uwikłany w ten sam kontekst społeczny i historyczny.

Wyraźną luką jest natomiast pominięcie na poziomie ostatecznej redakcji najświeższych publikacji (wspomniałem już o braku odwołań do jednej z najważniejszych prac poświęconych obecności zagłady w polskiej świadomości społecznej, jakie ukazały się w Polsce – mowa o książce Piotra Foreckiego *Od „Shoah” do „Strachu”*). Przydałoby się również przygotowanie oddzielnego szkicu na temat roli filmu jako czynnika kształtującego wśród Polaków zbiorowe wyobrażenia na temat Holocaustu.

Mimo tych – wymagających niewielkich w istocie uzupełnień – mankamentów, nie ulega wątpliwości, że otrzymaliśmy tom niezwykle cenny, stanowiący bardzo ważne, a zarazem pionierskie kompendium wiedzy o bezpośrednich i dalekosiężnych skutkach, jakie zagłada wywarła na dwie społeczności – żydowską i polską. Choć punktów zapalnych na tym obszarze nie brakuje, poszczególni autorzy podeszli do swojego zadania z powagą i w sposób wyważony, nie cofając się przed podjęciem tematów trudnych, takich jak rola Żydów w systemie komuni-

stycznym, przypadki polskiego antysemityzmu i mordów Polaków na Żydach, ocena stanowiska Kościoła katolickiego czy kwestie własności żydowskiej. Bez podobnych prac nie tylko nie sposób zrozumieć znaczenia Holokaustu, ale – przede wszystkim – otaczającej nas rzeczywistości (przypomnijmy tylko w tym kontekście niedawny spór o *Pokłosie* Władysława Pasikowskiego czy tak popularny, „zwyczajny”, antysemityzm na polskich forach internetowych).

Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944-2010. Red. Feliks Tych, Monika Adamczyk-Garbowska. Wyd. UMCS, Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma. Lublin 2011, ss. 925+5.

MAŁGORZATA SZLACHETKA

DEHNEL NIE ROZMIENIA SIĘ NA DROBNE

Jacek Dehnel jest zbieraczem osobliwości. Najpierw był *Fotoplastikon* – album starannie dobranych starych zdjęć wyszukiwanych w antykwariatach albo kupowanych przez internet. Zbiór fotografii nieoczywistych, jak ta przedstawiająca myśliwych pozujących z martwym, ale ciągle stojącym na własnych nogach jelonkiem; jak podobizna lekarza w kitlu, który sportretowany został obok kościotrupa; jak zdjęcie krzepkich gimnastyków tworzących „żywy obraz” ze swoich ciał lub wreszcie różnego typu portrety sprzed blisko stu lat. Wszystkim im towarzyszą w *Fotoplastikonie* minieseje, do których czarno-białe ujęcie jest często jedynie punktem wyjścia.

W tym roku Dehnel wydał książkę wyrastającą z tego samego ducha – z fascynacji kuriozum. *Młodszy księgowy. O książkach, czytaniu i pisaniu* jest zbiorem felietonów, które pisarz wcześniej systematycznie publikował na internetowym portalu ksiazki.wp.pl. Teksty powstawały w różnym czasie, ale zebrane w jednym tomie bronią się, bo tworzą spójną całość. Żaden z nich nie stracił na aktualności, nawet jeśli pretekstem do podjęcia rozważań było dla autora wydarzenie, które odeszło już w niepamięć. Felietony zostały starannie uporządkowane, niczym biblioteczne tomy układane na półkach według założonego z góry, przemyślanego klucza. *Księga pisania, Księga podopiecznych kopniętej muzy, Księga szpargałów, Księga starych mistrzów, Księga języków, Księga czytania, Księga dzieci i młodzieży, Księga rzeczy* – tak brzmią tytuły kolejnych rozdziałów.

Rzeczywistość wirtualna jest dla autora tak samo ważna jak książki drukowane w wielkonakładowych oficynach. W jednym z felietonów Dehnel stwierdza, że internet traktuje jak tekst. Jasno widać, że w owym tekście lektury wartę są nie tylko wypowiedzi uznanych autorytetów, ale też wiersze grafomanów i komentarze do przedmiotów wystawianych na Allegro. Każdy z tych odprysków może być równie inspirujący. Przykłady? Najeżony przymiotnikami wytwór anonimowego składacza rymów dokładnych okazuje się niekiedy niemal tak samo interesujący jak wieloznaczny wiersz noblisty. Inne są tylko wnioski, do których dochodzimy po lekturze. Nie zapominajmy, że podstawową cechą internetu jest interaktywność. Tekst wrzucony do sieci po pięciu minutach może mieć już 300 komentarzy, czasami w żaden sposób niezwiązanych z tematem. Słowo w internecie pączkuje, dzieli się, ulega powieleniu, bo nie ma tu ograniczających je szpałt. Anonimowość sprawia, że internauta nie boi się publikować krytycznych komentarzy, których niejednokrotnie nie miałby odwagi powiedzieć autorowi prosto w twarz. Wpisy z forum dla poetów publikujących wyłącznie w internecie są tak samo ważne jak recenzje zamieszczane w czasopismach literackich. Napędzają do działania, inspirują, a czasami zniechęcają osoby nie do końca pewne własnych umiejętności. O tym wszystkim możemy przeczytać w felietonach Dehnela, który od lat

udziela się na stronie internetowej www.nieszuflada.pl, czyli w „interaktywnym serwisie poetyckim”.

Warto w tym miejscu wspomnieć świetny felieton *Neteratura – część I. Najlepszą obroną jest atak* na temat wierszy publikowanych w internecie. Dehnel, sam przecież poeta, podchodzi do tego zjawiska z humorem i z dystansem. A jednocześnie potrafi je ocenić w wyjątkowo trafnie. W innych felietonach autor idzie o krok dalej, przybliżając czytelnikom najjaśniejsze jego zdaniem przykłady rodzimej grafomanii internetowej. Możemy być za to wdzięczni, bo dzięki niemu mamy szansę chociaż zbliżyć się do bogatych dokonań literackich rodziny Grzeszczyków czy Tomasza Sobieraja. Ten ostatni jest m.in. autorem tomu poezji *Gra*, który na stronie internetowej twórcy został zaanonsowany – cytatem z najcelniejszej recenzji? – w następujących słowach: *Debiut to późny, podobnie jak Whitmana, Schulza, Hrabala i wielu innych, prawdziwych i dojrzałych artystów, którzy zabrali swój suwerenny głos w literaturze dopiero wtedy, gdy mieli już coś istotnego do powiedzenia. Prezentowane w zbiorze utwory wymykają się wszelkim kwalifikacyjnym ramom, sieją intelektualny ferment nieznośny dla przeciętnego czytelnika i krytyka. Reszta jest milczeniem.*

Dehnel nie ogranicza się jedynie do podania tytułów tego rodzaju wiekopomych dzieł, ale przytacza również ich fragmenty, które opatruje następnie swym komentarzem. Czasami ironicznym, innym razem prześmiewczym, a nawet złośliwym. Pisarz pokazuje ponadto krok po kroku, jak wymienieni twórcy budują swoją legendę w przepastnej przestrzeni internetu. Dowiadujemy się, że Grzeszczykowie, choć wydają wiersze i aforyzmy w autorskim wydawnictwie, równie chętnie dzielą się swoją twórczością w sieci, co Dehnel punktuje w taki oto sposób: *na stronie znajdziemy skromne słowa jednego z Grzeszczyków: „fani Leca i Sztadyngera nie mogą wybaczyć Władysławowi A. Grzeszczykowi takiej oto fraszki: KONKURENCJA / To ci sikus jak cholera – / przez GRZESZCZYKA nie ma już dziś... / Sztadyngera. / Lecz w tym jeszcze – większa heca, / że przez NIEGO nie ma już dziś / też i... Leca”.*

Felieton na temat twórczości Tomasza Sobieraja doczekał się zresztą polemiki – na zasadzie „akcja – reakcja” Sobieraj odpowiedział Dehnelowi. Autor ciętej riposty stwierdził, że Dehnel postąpił „nie po dżentelmeńsku”, bo posłużył się zdaniem wyrwanymi z kontekstu, a do tego nie raczył nawet zapoznać się z jego „programem artystycznym” i nie uwzględnił entuzjastycznych recenzji, jakich doczekała się krytykowana twórczość (choć akurat te omówienia Dehnel cytował z lubością). W innym miejscu czytamy: *W tak młodym wieku Jacek Dehnel ma już tyle do powiedzenia! A może to jakiś nieopanowany stachanowski zew sprawia, że Dehnel wyrabia 800 procent normy i pragnie zdobyć tytuł Wincentego Pstrowskiego polskiej literatury?* Link do polemicznego tekstu znaleźć można oczywiście na stronie internetowej samego Tomasza Sobieraja.

Oto inny komentarz w tym tonie, tym razem zamieszczony przez anonimowego internautę pod felietonem Dehnela na temat twórczości rodziny Grzeszczyków: *Nie naśmiewaj się z porządných ludzi. Ich przynajmniej znałem, a o Tobie pierwszy raz słyszę. Co z tego, że przed nazwiskiem masz tytuł „poeta”, skoro i tak nikt Cię nie czyta i jesteś znany tylko w swoim światku? Zresztą widać to po liczbie komentarzy na najpopularniejszym portalu w kraju. W międzyczasie strona autorska Grzeszczyków żyła w internecie własnym życiem: ktoś pochwalił się, że dodał ją do „Ulubionych”, ktoś inny zacytował szczególnie kuriozalny w jego opinii wiersz. Ostatnio internauci ze smutkiem zauważają, że strona nie jest już aktywna.*

A może Tomasz Sobieraj i jemu podobni powinni być wdzięczni Dehnelowi, bo za pięćdziesiąt, sto lat, ich nazwiska będą znane wyłącznie dlatego, że pojawiły się w felietonach zamieszczonych w omawianej książce? Najlepszym komentarzem do tej historii będzie fragment innego tekstu z tomu *Młodszy księgowy: Jeśli jest*

prawdziwym grafomanem i zależy mu po prostu na pisaniu i publikowaniu, uspokoi się i zajmie wklejaniem kolejnych tekstów. (...) w wersji pokojowej przejdzie w formę przetrwalnikową: będzie wklejał po dwa utwory dziennie, zniechęcał komentatorów i wegetował tak długo, aż mu się to zupełnie znudzi.

Niedoceniona przez krytykę poezja to niejedyny temat, który pochłania felietonistę. Perełek do swojego zbioru osobliwości Dehnel szuka także w antykwariatach i na pchlich targach, w Polsce i za granicą. Tak powstały m.in. teksty o książce dr. Williama Martina pod wdzięcznym tytułem *Racjonalne życie płciowe* (wydanie z 1936 roku), o katalogu *Specjalny cennik paryskich, amerykańskich i niemieckich gumowych i innych hygienicznych środków ochronnych dla mężczyzn i kobiet* sklepu Juliana Drehera czy o amerykańskim wydawnictwie, z którego można się dowiedzieć, jakie były ostatnie słowa skazanych na śmierć i co zażyczyli sobie na ostatni posiłek. Czasami Dehnel chwali się zdobyciami wypatrzonymi w internecie, takimi jak album polskich zdjęć policyjnych z lat 1933-1935. Kto widział taki album na własne oczy, zrozumie, że może to być dla bibliofila mroczny przedmiot pożądania. Na przykład w Archiwum Państwowym w Lublinie jest tylko jeden tego rodzaju biały kruk – podręczny zbiór fotografii Komendy Powiatowej Policji Państwowej w Łukowie z lat 1918-1935. Znajdziemy w nim m.in. portret czterech bosych chłopców, których ustawiono od najniższego do najwyższego. Zdjęcie z 1934 r. przedstawiające kobietę w płóciennej spódnicy opatrzone zostało podpisem „złodziejka”, chociaż jego bohaterka wygląda jak gospodyni, którą właśnie oderwano od gotowania obiadu. A to tylko początek wycieczki. Podobne cykle zdjęć sprzed lat zawsze budzą pragnienie, by stworzyć wokół nich historię, szkicując tło i wypełniając miejsca niedookreślenia. A to dla pisarza takiego jak Dehnel nie lada pokusa – wspomniany album mógłby się przyczynić do powstania niejednej opasłej powieści, a nie tylko felietonu.

Ale wróćmy do *Młodszeo księgowego*. Dehnel z pieczołowitością cytuje fragmenty zapomnianych książek sprzed lat. Wydaje się – przynajmniej tak to wygląda z perspektywy czytelnika – że odkrywanie przeszłości sprawia mu dużą przyjemność. Felietonista zawsze stara się dodać coś od siebie – albo o autorze osobliwego tomu, albo o epoce, w której został napisany. Słowo drukowane stanowi punkt wyjścia do głębszych analiz. Zdradzone przy tej okazji informacje to na ogół ciekawostki, których nie dowiemy się na typowych lekcjach historii. Prawie każdy tekst kończy zapadająca w pamięć puenta, w najwłaściwszy sposób komentująca wcześniej przytoczone cytaty i poczynione obserwacje. Weźmy pod uwagę na przykład ostatnią frazę felietonu, który zainspirowany został wyjazdem autora na targi książki w Izraelu: *W Tel Awiwie pytam tłumacza, gdzie się urodził, a on mi odpowiada (zresztą nieskazitelną polszczyzną, bez śladu naleciałości): „Urodziłem się w Uzbekistanie. Ale tam też byliśmy w Polsce, bo mówiliśmy po polsku”*. Ostatnie zdanie jest jak wystrzał armatni, jak wieloznaczna metafora, jak maksymalnie skondensowana opowieść o wspólnej historii dwóch narodów. Dehnel doskonale zdawał sobie sprawę z siły tych słów, nieprzypadkowo umieścił je na końcu felietonu. Być może pojechał do Izraela właśnie po to, aby usłyszeć takie – uczynione mimochodem i może nieświadomie – mocne wyznanie. A może wybrał je z dłuższego monologu swojego bohatera? Dla czytelnika nie ma to znaczenia. Równie dobrze może pozostać jedną z nieodkrytych tajemnic warsztatu pisarza, który sobie tylko znanymi środkami tworzył dobrą literaturę.

Czasami nawiązanie do książki sprzed lat bywa dla autora sposobem na stworzenie celnego komentarza do aktualnych wydarzeń. I po raz kolejny odkrywamy, że wbrew pozorom przez kilkadziesiąt lat w Polsce niewiele się zmieniło. Ale Dehnel nie chce za wszelką cenę wyciągać trupów z szafy i szukać winnych. Obca mu jest retoryka rozliczeń i konfrontacji, chociaż nie przemilcza tematu narodo-

wej wojny o krzyże i ciągot części społeczeństwa do wyszukiwania żydowskich przodków w rodzinach osób, które mówią to, z czym owa grupa się nie zgadza. Nawet pisząc o najbardziej drażliwych sprawach, Dehnel nie zapomina o humorze, dystansie i ironii – i to jest najmocniejsza broń jego felietonów. Można doszukać się w tym czegoś z ducha Hrabala. Wystarczy wspomnieć fantastyczną analizę dramatu *Władysław II Jagiello* pióra Wiesny Mond-Kozłowskiej, który Dehnel zalicza do nurtu „literatury posmoleńskiej”.

Oczywiście gdzieś w tle tych historii obecna jest zawsze fascynacja dobrą literaturą, pasją, która każe opowiadać o książkach czytanych w dzieciństwie, domowych bibliotekach i niemożności wyrzucenia słowa drukowanego, bo lektura jednej książki zawsze prowadzi nas do kolejnej i niejednokrotnie otwiera nowe perspektywy. I również gdzieś w tle pojawia się narzekanie, że Polacy czytają dziś za mało i dosyć niechętnie: *Literatura coraz bardziej postrzegana jest jako elitarne hobby, coś w rodzaju niegroźnej fiksacji, stojącej w jednym rzędzie z filatelistyką i kręglami*. Ten fragment wydawca zdecydował się zacytować na okładce książki. Nie jest to z pewnością spostrzeżenie bardzo oryginalne, ale w tej formule brzmi wyjątkowo świeżo i bezpretensjonalnie.

Czasami też – być może trochę między wierszami – Dehnel zdradza czytelnikom, co jest ważne dla niego jako pisarza. Na przykład gdy stwierdza, że niekiedy książkę ratuje jedna genialna scena. I tylko dla niej warto poświęcić czas na przeczytanie całości. Albo wtedy gdy zauważa, że dobre książki nie mogą składać się wyłącznie z napędzających akcję sekwencji, bo czasami niezbędny jest moment wyciszenia, opis, który z pozoru do niczego nie prowadzi i z niczego nie wynika. „Wielkie słowa potrzebują wolnego miejsca” – pisze Dehnel.

Być może te właśnie rozsiane w felietonach uwagi dotyczące warsztatu pisarskiego są w tym zbiorze najważniejsze. Chociaż pamiętajmy, że autor już na wstępie zastrzega, iż będzie mówił o swoich lekturach nie z pozycji krytyka literackiego, ale czytelnika, który *nie musi znać dzieł wszystkich Turgeniewa, Balzaka i Pereca, żeby powiedzieć coś o właśnie przeczytanej powieści*. Nie przeszkadza mu to oczywiście tworzyć wartościowych analiz, choćby wówczas, gdy pisze o „okołoholocaustowej” literaturze bazującej na „przekłamaniu, kiczu i poprawności”. W ten sposób Dehnel zwraca uwagę na ważny problem – w Polsce powstaje dziś sporo książek, w których temat Holocaustu staje się rodzajem wytrychu, sposobem na szybkie wywołanie u czytelników określonych emocji. Ale to literatura zbudowana na nietrwałym fundamencie – nie opiera się na pogłębionej wiedzy na temat zagłady i powiela stereotypy. Inaczej mówiąc: chodzi o multiplikowanie kiczu literackiego w kostiumie Shoah. Dehnel ostrzega, że z takimi zagrożeniami będziemy się spotykać coraz częściej, bo o Holocaustie chcą mówić pokolenia urodzone po wojnie. To nie jest już nawet perspektywa kogoś, kto w czasie okupacji był dzieckiem, albo punkt widzenia sąsiada, który pędzonym na śmierć Żydom przyglądał się przez okno swojego domu.

Felietony z tomu *Młodszy księgowy* można czytać na różne sposoby. „Po bożemu”, czyli od pierwszej do ostatniej strony, albo skacząc pomiędzy tekstami, wybierając tylko interesujące nas tematy. Niezależnie od tego, jaką metodą zastосуjemy, czas poświęcony na lekturę nie będzie stracony.

Poeta, prozaik, tłumacz, felietonista, malarz. Jacek Dehnel nie rozmienna się na drobne. Nie waham się napisać, że każda z jego książek jest wydarzeniem literackim. Autor ma własny, rozpoznawalny styl i literackie obsesje, którym jest wierny. Być może jako jedyny ze swojego pokolenia za kilkadziesiąt lat stanie się klasykiem. I wcale nie dlatego, że był ostatnim młodym poetą namaszczoneym przez Czesława Miłosza.

Jacek Dehnel: *Młodszy księgowy. O książkach, czytaniu i pisaniu*. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2013, ss. 365.

W STANIE ROZPROSZENIA

„Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu” – pisał Hegel w przedmowie do *Zasad filozofii prawa*. Ta słynna sentencja wyraża pogląd, że nie jesteśmy w stanie objąć całości zdarzeń zachodzących w świecie, dopóki nie poznamy ich końca. Podobną myśl sformułował Gadamer, który wskazywał, że w procesie rozumienia tekstów kultury niezbędny jest dystans historyczny. Bez niego – trudno o obiektywizm. Ba, trudno nawet dostrzec wszystkie aspekty badanych zjawisk, nakreślić linie ciągłości, wyznaczyć wektory oddziaływań.

A jednak krytycy i badacze literatury współczesnej podejmują ów trud, w którym przecież od samego początku wpisane zostało ryzyko pominięcia, błędu, przeoczenia. Stawka jest bowiem wysoka: dokonać rozpoznania i ocenić zjawiska literackie, zanim zrobią to przyszli historycy literatury. Właśnie z tego rodzaju próbą mamy do czynienia w przypadku książki Arkadiusza Bağłajewskiego *Mapy dwudziestolecia 1989-2009. Linie ciągłości*. Autor jest nie tylko krytykiem i badaczem literatury, ale był także redaktorem „Kresów”, jednego z najważniejszych czasopism literackich w Polsce. Jak zauważa Tomasz Mizerkiewicz w recenzji na obwołanie tomu, te trzy role w pewien sposób dopełniają się i pozwalają Bağłajewskiemu spojrzeć na omawiane zagadnienia z różnych perspektyw.

Na *Mapy dwudziestolecia...* – jak to często bywa w przypadku tego rodzaju wydawnictw – składają się teksty publikowane w różnym czasie i w różnych okolicznościach. Czytelnicy znajdą tu szkice i eseje drukowane wcześniej w takich czasopismach jak „Odra”, „FA-art” czy „Kresy”, a także w książkach pokonferencyjnych. Zrozumiała jest więc pewna nierówność dyskursu i fragmentaryczność wywodów. Bağłajewski zaznacza we wstępie, że *prezentowane w przedstawianej Czytelnikowi książce spojrzenia interpretacyjne dotyczące literatury najnowszej wyrastają z bliższego historycznoliterackim procedurom niż krytycznoliterackim hipotezom nastawienia, w pewnym stopniu porządkującego, ale przede wszystkim – i chciałbym to mocno podkreślić – będącego próbą opisanego w kilku różnych przekrojach pewnego nurtu prozy najnowszej oraz wybranych stanowisk krytycznych, „odzyskiwanych” w dwudziestoleciu po 1989 roku* (s. 7).

Trudno mi odnieść się do wszystkich poruszonych przez Bağłajewskiego zagadnień. Tekst mój stanowi więc jedynie próbę rekonstrukcji zamysłu, jaki stoi za *Mapami dwudziestolecia*, i tylko w przypadku dziedzin mi najbliższych zdecydowałem się na sformułowanie bardziej szczegółowych uwag.

Głównym celem, jaki autor postawił sobie w pierwszej części książki, jest zdiagnozowanie kondycji literatury polskiej po okresie transformacji, która dokonała się zarówno na zewnątrz zjawisk literackich (np. „zanik centrali”), jak i w ich wnętrzu. Szczególną uwagę zwraca Bağłajewski na *dość wyrazisty, mimo indywidualnych zróżnicowań, nurt prozatorski: wywodzący się z innych tożsamościowych dyskursów prozy wcześniejszej, ale tu – w książkach Chwina, Huellego, Stasiuka, Tokarczuk, Myślińskiego – znajdujący swoją specyfikę, autorską osobność i zarazem wspólnotowe podobieństwa* (s. 8). W drugiej części tomu autor przedstawia propozycje krytyczne, które przed 1989 r. zostały zapoznane lub nie miały okazji pojawić się w szerszym obiegu. Chodzi tu przede wszystkim o teksty emigracyjne Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Włodzimierza Odojewskiego, ale także o intymistyczne artykuły Józefa Czapskiego czy krytykę senilną Czesława Miłosza.

W otwierającym książkę szkicu *Stan rozproszenia* (1995) Bağłajewski omawia zjawisko, które Janusz Sławiński nazywał „zanikiem centrali”. Jak sugeruje autor *Map dwudziestolecia*, rozpoznanie to okazuje się trafne nie tylko w stosunku do poezji, ale także prozy i innych zjawisk kulturowych z lat 90. Na początku ostatniej dekady XX w. powstanie nowych czasopism literackich przyczyniło się do

zasadniczego rozwarstwienia i dywersyfikacji życia literackiego w Polsce. Każdy z owych periodyków zdawał się mieć moc generowania lokalnych zjawisk, przy czym chodzi o lokalność rozumianą nie tylko w sensie geograficznym, ale też symbolicznym: *W tym zmienionym układzie właściwie wszystkie propozycje są wobec siebie „peryferyjne”, w tym sensie, że są różnorodne, konkurencyjne, można powiedzieć: stale weryfikujące swoje rozpoznania i stale skazane na utwierdzanie własnych wyborów wobec innych propozycji. Ciągłe więc z poczuciem niespełnienia, albowiem w miejsce gestu porządkującego dawniej „centrali” weszły jak najbardziej własne, „lokalne” (co bynajmniej nie znaczy: prowincjonalne) gusty i oceny* (s. 19). Bałajewski zauważa, że stan rozproszenia może być pożyteczny, o ile „lokalność” nie oznacza koterii czy promowania bez przerwy tych samych nazwisk. Wyraża nadzieję, że także w krytyce literackiej stan rozproszenia może się przyczynić do powstawania niezależnych projektów „lokalnych”, wspieranych na przykład przez czasopisma.

Kategoria „centrali” pojawia się też w szkicu *Od zaniku „centrali” do „centrali”*, w którym Bałajewski – za Teresą Walas – zwraca uwagę, że w latach 90. rekonstrukcji kanonu towarzyszyły przeciwstawne procesy decentralizacji i rozpraszenia. Ale już na przełomie wieków proces ten, przynajmniej według niektórych obserwatorów, zaczął się odwracać. Na przykład w 1997 r. Krzysztof Uniłowski odrzucał mit przełomu, stwierdzając, że *Poezja, proza i krytyka trzydziestolatków tracą atrybut i przywileje młodości, starsi pisarze powoli odzyskują stracone pole* (Krzysztof Uniłowski: *Skądinąd. Zapiski krytyczne*, Bytom 1998. Cytat podają za Bałajewskim – s. 48). Potrzebę powrotu „centrali” sygnalizowali już wcześniej inni autorzy, np. Maria Janion. Bałajewski uważa, że zwrot ten dokonał się zarówno w poezji, jak i w prozie. Dowodem na powrót „centrali” ma być na przykład ustanowienie Nagrody Literackiej Nike, której pierwsi laureaci zaczęli tworzyć „zrekonstruowany kanon”. Trudno się do końca z tą diagnozą zgodzić. Owszem, w pierwszych latach nagrodę otrzymywali autorzy znani i – by tak rzec – zasłużeni: Wiesław Myśliwski, Czesław Miłosz, Stanisław Barańczak czy Tadeusz Różewicz. Ale już w 2004 r. kapituła postanowiła wyróżnić młodego prozaika Wojciecha Kuczoka, a w 2006 r. – Dorotę Masłowską, autorkę, której twórczość zasadniczo odbiega od wszelkich dotychczasowych „kanonów”. Z drugiej strony nie sposób zaprzeczyć, że poważne nagrody literackie, takie jak Nike, Gdynia czy Silesius, zaczęły wyznaczać w ostatnich latach trendy i ustanawiać nowe, „centralne” punkty na mapie polskiej literatury współczesnej.

Główne rozdziały książki nie zostały jednak poświęcone zagadnieniom teoretyczno- czy socjologiczno-literackim, ale samej literaturze. Bałajewski pochyla się nad swymi ulubionymi pisarzami, takimi jak Stefan Chwin, Andrzej Stasiuk czy Wiesław Myśliwski. Na uwagę z pewnością zasługują próby znalezienia intertekstualnych łączników między utworami współczesnymi a klasycznymi dziełami prozy XX-wiecznej. Przywołane w tytule „linie ciągłości” autor stara się kreślić poprzez wskazanie miejsc wspólnych, zarówno jeśli chodzi o stronę warsztatową, jak i treść omawianych tekstów. Za przykład niech posłuży esej *Schulz i proza lat dziewięćdziesiątych. Rekonesans*. Bałajewski daleki jest od sugerowania bezpośrednich wpływów autora *Sklepów cynamonowych* na takich współczesnych prozaików jak Olga Tokarczuk, Magdalena Tulli, Piotr Szewc czy Stefan Chwin, ale na różnych poziomach tekstu odnajduje pewne podobieństwa. Może to być na przykład „mitologizacja rzeczywistości” czy ingerowanie w porządek czasowy. Strategia, na którą zdecydował się Bałajewski, nie jest oczywiście nowa, ale w tym wypadku okazuje się jak najbardziej uzasadniona. Myślę, że można ją rozszerzyć także na inne rodzaje literackie. Nęcący wydaje się na przykład pomysł zarysowania podobnych zależności w dziedzinie poezji, choćby między liryką Bolesława Leśmiana a twórczością Jarosława Marka Rymkiewicza i Jacka Dehnela. Albo między utworami Witolda Wirpży a wierszami Macieja Meleckiego i Krzysztofa Siwczyka.

Wspomniałem już, że takie publikacje jak książka Bałajewskiego z wielu przyczyn skazane są na subiektywizm, cząstkowość i przygodność. Trudno jednak nie zadać choćby ogólnego pytania o zjawiska przez autora pominięte. Nie mówi on na przykład o dynamicznie rozwijającym się w ciągu ostatnich lat reportażu literackim. Mam na myśli nie tylko takich klasyków jak Ryszard Kapuściński, który ostatnie dzieła wydał już na początku XXI wieku, ale także autorów średniego i młodego pokolenia, m.in. Hugo Badera czy Mariusza Szczygła. Arkadiusz Bałajewski, mimo głębokiego zainteresowania tematyką „małych ojczyzn”, trzyma się więc pewnego kanonu i pomija twórców, którzy do jego wizji nie pasują. Bo czyż do „nurtu tożsamościowego” nie należałoby zaliczyć choćby „prozy dresiar-skiej” Doroty Masłowskiej czy „literatury LGBT”, reprezentowanej przez Michała Witkowskiego? Autor wymienia wprawdzie tych autorów, ale tylko w ogólnym zestawieniu na końcu książki.

Jeśli chodzi o końcowy szkic, trudno nie odnieść wrażenia, że został on dołączony do książki niejako „na doczepkę” i stanowi próbę zapełnienia powstałych luk. Rozdział *O najważniejszym 1989-2009* odbiega bowiem jakościowo od poprzednich, a problemy współczesnej prozy i rynku literackiego w Polsce, którymi Bałajewski zajął się rzetelnie we wcześniejszych partiach tomu, tutaj zostają niestety sprowadzone do kilku łatwych rozstrzygnięć i prostych enumeracji typu „dwadzieścia książek na dwudziestolecie”. Tego rodzaju „listy przebojów” nie mają zbyt dużej wartości merytorycznej, zwłaszcza jeśli nie stoi za nimi historyczno- lub krytycznoliteracka argumentacja. Zobaczmy na przykład, jak Bałajewski załatwia sprawę poezji po 1989 r. Ponieważ jest to dziedzina szczególnie mi bliska, pozwolę sobie przytoczyć dłuższy fragment: *Teraz „najważniejsze książki poetyckie”. I tu było trudniej, bo urodzaj większy, a chciałbym trzymać się pewnej reguły. Nie udało się, ale odłożmy na bok usprawiedliwienie. Oto one, pyszna półka smakowitości poetyckich: Zbigniew Herbert – „Elegia na odejście” i „Rovigo”, Tadeusz Różewicz – „Płaskorzeźba” i „zawsze fragment”, Czesław Miłosz – „Dalsze okolice” i „Drugą przestrzeń”, Wisława Szymborska – „Koniec i początek”, Stanisław Barańczak – „Podróż zimowa”, Marcin Świetlicki – „Zimne kraje”, Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki – „Liber mortuorum”, Andrzej Sosnowski – „Życie na Korei” albo „Stancje”, Janusz Szuber – „O chłopcu mieszącym powidła”, Adam Zagajewski – „Pragnienie”, Jarosław Marek Rymkiewicz – „Zachód słońca w Milanówku”, Krystyna Miłobędzka – „Po krzyku”, Tomasz Różycki – „Dwanaście stacji”. Cenię też wiersze Marzanny Kielar, Andrzeja Niewiadomskiego, poruszają mnie niektóre kryształiczne liryki z ostatniego tomiku Joanny Pollakówny. Ale wystarczyłoby (...) zatrzymać: Miłosza, Szymborską, Herberta, Różewicza, Świetlickiego i Różyckiego, by pewna ciągłość linii została utrzymana.*

Jak wiadomo, z gustami się nie dyskutuje. Święte prawo krytyka wskazywać takich autorów, jakich tylko zechce. Dziwi jednak zachowawczość powyższego zestawienia. Jeśli trzymamy się idei ciągłości, „wielka czwórka” jest tu jak najbardziej na miejscu. Z drugiej strony Bałajewski chce przecież mówić o „najważniejszych książkach poetyckich” dwudziestolecia. W następnym akapicie dorzuca wprawdzie do swej listy nazwiska Krzysztofa Koehlera, Marcina Barana, Artura Szlosarka, Adama Wiedemanna, Krzysztofa Siwczyka i Jolanty Stefko, ale w moim odczuciu to wciąż za mało. Jeśli bowiem pojawia się Sosnowski, to co z pozostałymi autorami, którzy zapłodnili polską poezję współczesną wzorcami amerykańskimi? Mam na myśli choćby Bohdana Zadurę czy Piotra Sommera. Co z poetami kultowymi w rodzaju Jacka Podsiadły, który w latach 90. był trwałą i – można powiedzieć – „ciąglą” inspiracją dla młodych poetów? Co z twórcami, którzy zapoczątkowali „nurt ośmielonej wyobraźni”, na przykład Romanem Honetem? Co z poezją cybernetyczną? Co z poezją zaangażowaną społecznie, która jest coraz silniej reprezentowana i nie chodzi mi jedynie o Szczepana Kopyta czy Konrada Górę? Lista nieobecności jest długa i oczywiście nie wymagam od autora

drobiazgowych podsumowań, zwłaszcza jeśli jego cel był zgoła inny. Trudno mi jednak przejść obojętnie nad zestawieniem tak rażąco „nieciąglym”.

Charakter analiz, które przedstawił Bałajewski, rozmija się więc w kilku miejscach z postulatami, jaki sam sformułował w szkicu *Stan rozproszenia: Odrzucam natomiast jako „prowincjonalne”, kurczowe trzymanie się własnych zjawisk, lęk przed innymi propozycjami, gettowość kilku nazwisk* (s. 20). Mimo to *Mapy dwudziestolecia 1989-2009. Linie ciągłości* uważam za ważną książkę. Autor w przekonujący sposób zrekonstruował wybrane zjawiska literackie i krytycznoliterackie, nie aspirując do całościowego ogarnięcia problematyki omawianego okresu. Zgodnie z zaproponowaną przez Bałajewskiego terminologią całe przedsięwzięcie należałoby więc nazwać „projektem lokalnym”, silnie ukierunkowanym jednak na obowiązujący „kanon”.

Arkadiusz Bałajewski: *Mapy dwudziestolecia 1989-2009. Linie ciągłości*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 2012, ss. 328.

DOMINIKA KUREK

POLSKIE SMOKI I POLSCY RYCERZE

Tom *Baśnie zbyt prawdziwe. Trzydzieści lat fantasy w Polsce* ukazał się w 2012 r. jako dziewiętnasta już pozycja w publikowanej przez Gdański Klub Fantastyki serii opracowań noszącej tytuł „Anatomia Fantastyki”. Wcześniej książki wydawane w ramach tego cyklu miały przeważnie charakter monografii i dotyczyły bądź to twórczości najslawniejszych polskich i zagranicznych autorów literatury fantastycznej (w tym J. R. R. Tolkiena czy Andrzeja Sapkowskiego), bądź to skupiały się na prezentacji wybranych motywów (takich jak motyw wampira czy zagadnienie idei religijnych). Na tym tle praca Małgorzaty Tkacz stanowi wyjątek, ponieważ zawiera przekrojową analizę zjawiska – autorka zwraca uwagę na specyficzny charakter polskiej literatury tego typu, zarysowuje propozycję jej klasyfikacji, analizuje, jak tworzone są w polskim fantasy światy przedstawione, a także szczegółowo interpretuje cały szereg istotnych tekstów należących do owego gatunku.

Pierwszy rozdział – *Charakterystyka konwencji* – poświęcony został zdefiniowaniu terminu „fantasy” oraz prezentacji historii tego rodzaju literatury na świecie i w Polsce. Jeśli chodzi o pierwsze z podjętych zagadnień, autorka nie stara się precyzyjnie wyznaczyć granic genologicznych, zwraca natomiast uwagę na istotne związki fantasy z baśniami i mitami, powieściami przygodowymi czy sensacyjnymi. Przedstawiając dzieje gatunku, Tkacz podkreśla z kolei, iż o ile na świecie jego początki sięgają XIX w., o tyle na gruncie polskim pierwsze utwory należące do fantasy pojawiły się dopiero w 1982 r. (stąd tytułowe „trzydzieści lat”).

W rozdziale drugim – *Odmiany fantasy* – przedstawiona została niezwykle interesująca próba klasyfikacji odmian gatunkowych dzieł zaliczanych do fantasy. Chociaż stworzono już wiele zastawień tego typu – szczególnie jeśli uwzględnimy nie tylko te funkcjonujące w dyskursie krytycznym, ale też na rynku wydawniczym – niewiele z nich opiera się na wyrazistych kryteriach i obejmuje całokształt zjawiska. Autorka omawianej pracy wyselekcjonowała dziewięć często powtarzających się w utworach fantasy motywów, takich jak osadzenie akcji w średniowiecznych realiach lub zarysowanie wyraźnej opozycji między dobrem a złem. Biorąc pod uwagę obecność lub nieobecność w badanym utworze wyodrębnionych elementów, wyróżniła dwie główne kategorie – „high fantasy” i „low fantasy”. Znaczenie tych dwóch terminów, rozumianych dotychczas dość dowolnie w zależności od kontekstu, Tkacz precyzuje w sposób wręcz matematyczny.

Jako typowe „high fantasy” traktuje te utwory, w których pojawiają się wszystkie wskazane przez nią elementy, zaś teksty pozbawione większości z nich uznaje za „low fantasy”. Występowanie konkretnych zbiorów wyróżnionych składników pozwala jej natomiast zaliczyć analizowany utwór do jednego z dwunastu podtypów mieszczących się w owych dwóch kategoriach nadrzędnych.

Trzeba zrobić zastrzeżenie, że owa precyzyjna reguła, stworzona dla celów diagnostycznych w obrębie literatury fantasy powstającej w Polsce, może się okazać za mało elastyczna, jeśli spróbujemy z jej pomocą dokonać szerszej klasyfikacji. Przeprowadzone przez autorkę rozróżnienie ukierunkowane zostało na te typy fantasy, które na gruncie polskim reprezentowane są najliczniej czy też odgrywają szczególnie ważną rolę. W rezultacie pewne odmiany niezwykle popularne choćby w fantasy anglojęzycznym wydają się przez Tkacz traktowane nieco po macoszemu (np. zbytnio poszerzony został zakres „dark fantasy”, które obejmuje utwory tak różne, jak cykl *Czarna Kompania* Glena Cooka i historie o wampirach autorstwa Anne Rice). Przy tym za osobne typy uznała autorka odmiany rzadko reprezentowane zarówno w literaturze polskiej, jak i zagranicznej, czy też takie, które nie odegrały dotąd szczególnie istotnej roli lub nie wywarły większego wpływu na rozwój gatunku (m.in. „mannerpunk” czy „Bangsian fantasy”).

Rozdział trzeci – *Światy możliwe polskiej fantasy* – jest najbardziej urozmaiconym fragmentem książki (choć autorce nie udało się tu uniknąć pewnego chaosu). Poruszony w nim został problem dotyczący natury elementów fantastycznych, a więc tzw. motywacji fantastycznej, warunkującej konstrukcję świata przedstawionego i stanowiącej kolejny czynnik umożliwiający dokonanie rozróżnienia na „high fantasy” i „low fantasy”. Dość wyczerpująco badaczka omawia metody kreowania fantastycznych światów, w szczególności zaś rolę, jaką w tych procesach odgrywają opisy. Ponadto Tkacz wymienia motywy oraz elementy fabularne, które w tekstach fantasy pojawiają się szczególnie często (m.in. zdarzenia – bitwy i pojedynki; miejsca – zamki, karczmy; czy zjawiska – magia), a także ukazuje, jak owe elementy są prezentowane na kartach utworów. W oparciu o swe obserwacje wysuwa szereg wniosków dotyczących m.in. inspiracji historycznych – czy może raczej średniowiecznych – oraz zabiegów stosowanych w celu „racjonalizacji”, czyli urealniania prezentowanych uniwersów. Chociaż jednak autorka w miarę szczegółowo omawia szereg utworów stanowiących przykłady różnego typu kreacji powieściowych światów, nie sposób uniknąć wrażenia, że w tym ciekawym skądinąd rozdziale zabrakło wyjaśnienia, jak poszczególne rozwiązania przekładają się na ogólne tendencje obowiązujące w obrębie analizowanej literatury.

Najobszerniejszą i jednocześnie najbardziej wartościową część pracy stanowi rozdział czwarty, zatytułowany *Polska literatura fantasy – odmiany i tematyka*. Tkacz klasyfikuje tu – opierając się na wyznaczonych wcześniej regułach – konkretne utwory polskich pisarzy. Zwraca uwagę na teksty, które wiernie spełniają założone kryteria, a więc mogą zostać uznane za modelowe reprezentacje danej odmiany, a także na publikacje, które mieszczą się w pewnej kategorii, zbliżają się do jej granic lub twórczo ją modyfikują.

Jakie znaczenie może mieć książka Małgorzaty Tkacz dla entuzjastów literatury fantastycznej? Przede wszystkim publikacja ta stanowi jedyne jak dotąd opracowanie, które tak starannie i szeroko uwzględniła dokonania polskich twórców fantasy (badaczka na kartach *Baśni zbyt prawdziwych* przywołuje utwory ponad osiemdziesięciu autorów). Warto zauważyć, że w książce wymienione zostały nie tylko dzieła najpopularniejsze i najbardziej cenione, które już wcześniej spotkały się ze stosunkowo dużym zainteresowaniem krytyki i sympatią czytelników, ale także teksty cieszące się mniejszym powodzeniem, szybko zapomniane, choć zarazem świadczące o rozwoju jednej z odmian polskiej fantastyki. Co ważne, wspominając kolejne publikacje, a także wyjaśniając przyczyny ich popularności

bądź lekceważenia, autorka bez wahania operuje terminami wartościującymi. Oceny owe, często bardzo zdawkowe i pozbawione głębszych uzasadnień, pozwalają mimo wszystko – jeśli weźmiemy poprawkę na ich subiektywny charakter – stworzyć swego rodzaju listę najlepszych polskich utworów reprezentujących gatunek fantasy.

Ponadto szczególnie warta podkreślenia jest dążność do oddania swoistego charakteru polskiego odłamu fantasy. Autorka zaznacza we wstępie, że ze względu na cel książki, jakim było zarysowanie specyfiki polskiej literatury fantasy, nie starała się omówić wszystkich pojawiających się w niej motywów, zjawisk i tematów, a jedynie te, *które na wymienioną odmienność wskazują bądź też stanowią ciekawe źródło odniesienia* (s. 19). Jako że o fantasy polskim nie sposób jednak pisać, pomijając kontekst światowy (głównie anglojęzyczny), autorka nieraz otwiera szerszą perspektywę, jak np. wówczas, gdy stara się wyjaśnić, dlaczego w naszych realiach rozwój analizowanego gatunku, a przynajmniej niektórych jego odmian, przebiegał w nieco inny sposób. Bierze tu pod uwagę zarówno stosunkowo późne pojawienie się pierwszych polskojęzycznych utworów tego typu, jak i odmienną sytuację rynku wydawniczego w Polsce. Również zaproponowana przez Tkacz metoda klasyfikacji, choć nie do końca uniwersalna i niepozbawiona wad, może się okazać użytecznym narzędziem do opanowania chaosu, który panuje w terminologii służącej opisowi rozmaitych odmian fantasy, i to zarówno w krytyce polskiej, jak i zagranicznej.

Praca Małgorzaty Tkacz jest więc przede wszystkim czymś na polskim rynku nowym. To obszerne i staranne opracowanie z pewnością może stanowić zbiór cennych informacji dla osób zainteresowanych różnymi aspektami literatury fantasy. Natomiast czytelnikom, którym rodzima wersja tego gatunku nie jest zbyt dobrze znana, autorka proponuje całościowy przegląd dotychczasowych osiągnięć polskich twórców. Z publikacji można więc dowiedzieć się, jak wyglądają polskie smoki, polscy czarodzieje i polscy fantastyczni rycerze, oraz zorientować się, co jeszcze oferuje swym odbiorcom nadwiślańskie fantasy.

Małgorzata Tkacz: *Baśnie zbyt prawdziwe. Trzydzieści lat fantasy w Polsce*. Gdański Klub Fantastyki, Gdańsk 2012, ss. 204.

KAROLINA EWA WIELICZKO

ZAWSZE (POZA) FRAGMENT

W tomie *to i owo* Tadeusz Różewicz obok wierszy, notatek czy reprodukcji swych rękopisów zamieścił także odbitkę żartobliwego utworu *13 ławeczek ku czci TR*. Charakterystycznie nakreślony ręką poety monogram „TR”, który zainspirował zapewne Różewicza do zaprojektowania okładki książki Jacka Łukasiewicza¹, stanowi pewnego rodzaju emblemat wysuniętej przez badacza koncepcji, zgodnie z którą osią swych rozważań uczynił on kategorię nadawcy, potraktowaną jako element spajający i organizujący dorobek poetycki autora *Szarej strefy*. Decyzja ta wypływa konsekwentnie z wcześniejszych rozważań wrocławskiego literaturoznawcy zawartych w pamiętnym eseju *Zwiastowanie poezji*, gdzie Łukasiewicz następująco wyjaśniał, jak rozumie twórczość poety: *Różewicz doświadczył i nadal doświadcza sakralności poezji, wobec doświadczonego podmiotu – wydaje się – transcendentnej*. I dalej: *Nie ma w Polsce obecnie poezji tak bliskiej mityce*,

¹ O genezie projektu okładki wspomina sam autor w *Zakończeniu* (s. 410). Warto odnotować, że poeetę i interpretatora łączy osobista znajomość, o czym pisze np. T. Klak: *Radość czytania*. „Akcent” 2005, nr 3, s. 17.

jak w punkcie wyjścia radykalnie materialistyczna (...) poezja Różewicza². (Warto wspomnieć, że to właśnie Łukasiewicz jako jeden z pierwszych badaczy poruszył kwestię stosunku podmiotu wierszy Różewicza do transcendencji³.)

Autor *TR*, pisząc o podmiocie Różewiczowskiej liryki, zwraca uwagę na różnego typu „sygnatury” pojawiające się w sąsiedztwie tekstów artysty. Owe podpisy, faksymile wierszy, fotografie, odręczne rysunki itd. funkcjonują, zdaniem badacza, jako swego rodzaju ślady własności, odciskając na utworach „piętno osobowe”, ale stanowią również znak odsyłający do postaci tekstowego alter ego poety. Rozróżnienie to nasuwa skojarzenie z koncepcją „ja” sylleptycznego autorstwa Ryszarda Nycza, który pisze o podmiocie zarazem empirycznym i fikcyjnym. Jednocześnie Łukasiewicz wyjaśnia, iż „tożsamość TR jest (...) tożsamością osoby”, a „określenie TR jako osoby” zostało „założone przez interpretatora” (s. 6), ponieważ istnienie owej tożsamości osobowej – w myśl filozofii Ingardena (niegdysiejszego wykładowcy Różewicza, o czym przypomina Łukasiewicz) – stanowi warunek sine qua non osadzenia człowieka w transcendencji. To właśnie kwestii podmiotowości Łukasiewicz podporządkowuje całość swych rozważań (znamienny jest już tytuł pierwszego rozdziału: *Kim jest TR?*), poszukując związków poetyckich wypowiedzi Różewicza z poglądami głoszonymi przez myślicieli różnych czasów: od dawnych filozofów chrześcijańskich pierwszych epok naszej ery i średniowiecza do autorów współczesnych (chodzi m.in. o Jacques’a Derridę i Roberta Spaemanna). Różewiczowski podmiot Łukasiewicz określa jako konstrukt autonomiczny, graniczny, zdeintegrowany, wreszcie – ewoluujący równoległe do zmian zachodzących w sferze pozaliterackiej.

By udowodnić postawioną tezę, Łukasiewicz odwołuje się do prac Ryszarda Nycza, Tadeusza Drewnowskiego, Tomasza Kunza, Andrzeja Skrendy, Jana Potkańskiego, a także innych badaczy oraz krytyków dzieł Różewicza. Rozważania zawarte w *TR* opierają się w przeważającej mierze na analizie tekstów, przy czym autor interpretuje lirykę Różewicza w kontekście całej jego twórczości. Pozwala to ujawnić intrygujące związki pomiędzy poszczególnymi utworami, jak wówczas gdy badacz wymienia wątki pojawiające się zarówno w Różewiczowskiej poezji, jak i w dramacie *Stara kobieta wysiaduje*. By opisać proces twórczy i odsłonić kolejne warstwy semantyczne tekstów, Łukasiewicz sięga do różnych wydań analizowanych wierszy oraz do udostępnionych przez poetę brulionów i faksymiliów. Ponadto, omawiając choćby utwór *Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym*, porusza temat korespondencji sztuk, a zajmując się stroną graficzną tomów Różewicza, tłumaczy znaczeniową rolę grafik Eugeniusza Geta Stankiewicza w zbiorze *Nauka chodzenia* oraz opisuje współistnienie słowa i rysunku w tzw. tece (*cd. Nauki chodzenia*).

W pierwszym rozdziale podjęta została próba scharakteryzowania podmiotu wierszy Różewicza – tytułowego TR. Porządek chronologiczny, będący konsekwencją przyjęcia perspektywy biograficznej, pełni tu – podobnie jak w monografii Drewnowskiego – funkcję pomocniczą, umożliwiając autorowi opis ewolucji owego podmiotu, który – jak dowodzi Łukasiewicz – podlegał transformacjom w rytm doświadczeń życiowych poety. Zdaniem badacza, TR – wzorowany początkowo na podmiocie występującym w działach Żeromskiego i Przybosa – przybierał różnorodne oblicza, zachowując jednak w istocie jedną, rdzennie niezmienną świadomość i panując nad swymi kolejnymi tekstowymi wcieleniami: członka pokoleniowej wspólnoty, która doświadczyła wojny, „inżyniera dusz” w socrealistycznym przedsięwzięciu, następnie „głosu anonima”, a wreszcie – „gawędziarza”⁴. Ostatnie z wymienionych określeń wydawać się może nieco mylą-

² J. Łukasiewicz: *Zwiastowanie poezji*. „Odra” 1997, nr 5, ss. 52, 56. Sam Łukasiewicz powołuje się na esej zamieszczony w jego książce *Ruchome cele*. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2005.

³ Należy wymienić artykuł Aleksandra Fiuta: *Po śmierci Boga*, (w:) tegoż: *Pytania o tożsamość*. Kraków 1995. O „pragnieniu transcendencji” w poezji Różewicza pisali później badacze wymienieni przez Łukasiewicza (s. 402) oraz m.in. A. Legeżyńska w *Geście pożegnania. Szkice o poetyckiej świadomości elegijno-ironicznej* (Poznań 1999).

⁴ Do pojęcia „podmiotu-anonima”, które zaczerpnięte zostało z poezji Różewicza, odwołał się również Wojciech

ce, gdyż tylko w pewnej mierze oddaje cechy powszechnie kojarzone z narratorem gatunku prozatorskiego (co zresztą zauważa sam Łukasiewicz). Stosowanie tego terminu może też wywoływać pewne nieporozumienia, ponieważ stereotypowo wypowiedziom „gawędziarza” przypisuje się aintelektualny charakter.

O ile w rozdziale pierwszym podmiot wierszy TR ujmowany był przede wszystkim jako element struktury komunikacyjnej lub tekstowej, w drugiej części zaprezentowany został w perspektywie antropologicznej. Pisząc o somatycznych doświadczeniach człowieka, skupiając się na zagadnieniu duszy czy omawiając motyw twarzy i maski, badacz stara się uchwycić, jak zmieniał się stosunek Różewiczowskiego podmiotu do „innego”. Trzeci rozdział książki zawiera odczytania tych utworów Różewicza, które łączy alegoryczny charakter i obecność motywu akwaticznego. Analizy te pełnią egzemplifikacyjną funkcję w stosunku do poprzednich refleksji na temat kondycji podmiotu – konstruktury wyrażającego rozpad znaczeń we współczesnym świecie.

Rozdział czwarty poświęcony został związkowi między poezją Tadeusza Różewicza a twórczością Leopolda Staffa⁵. Analiza wierszy autora *to i owo* poświęconych „Staremu Poecie” stanowi wstęp do rozważań o autokreacyjnym wymiarze liryki Staffa i wpływie, jaki wywarła ona na ukształtowanie TR. O fascynacji Różewicza światem „starych dekoracji”, którego reprezentantem był Staff, Łukasiewicz pisze inaczej niż dotychczasowi interpretatorzy. Jego zdaniem Różewicz, wybierając poetykę fragmentu, wyraża poczucie braku całości, które leżało u podstaw klasycystycznej z ducha liryki „Starego Poety”. Trzeba przyznać, że badacz, nawet polemizując z wypowiedziami samego autora *Regio*, czyni to przekonująco, budując niezwykle spójną interpretację w oparciu o bogaty materiał zaczerpnięty z dzieł Różewicza i Staffa. Według Łukasiewicza nie poezja przeestetyzowana, ale wyzwolona z fałszujących form (znowu pojawiają się motywy maski, kostiumu, a także metafora tańca) stanowi w rozumieniu obu artystów wartość rzeczywistą i wzniosłą, która zdolna jest uszlachetnić ludzką naturę i egzystencję.

W kolejnym rozdziale pojawiają się rozważania dotyczące zagadnienia wiary jako jednej z trzech cnót teologicznych. Łukasiewicz koncentruje się tu na religijnych aspektach poezji Różewicza w kontekście tożsamościowych przemian, jakim podlegał podmiot analizowanych wierszy. Refleksje na temat śmieci, nicości i kondycji człowieka po głoszonej przez Nietzschego „śmierci Boga” prowadzą badacza do postawienia pytania o strategię poetyckie służące „odsłanianiu miejsca po Bogu”. Celem Łukasiewicza jest zerwanie z rozpowszechnionym wśród niektórych krytyków przekonaniem, iż poeta podejmując temat „niewyraźnego”, inspirował się refleksją postmodernistyczną, co skutkuje bagatelizowaniem tego zagadnienia jako rodzaju literackiej gry. Autor *TR*, odwołując się zarówno do prac teologów i filozofów, jak i ustaleń literaturoznawców, dowodzi, że kwestia „nie-nazwanego” pełni w liryce Różewicza niezwykle ważną rolę (co ciekawe, badacz przywołuje także tradycję symbolistyczną, choć zastrzega, by TR nie traktować jako „postsymbolisty”, s. 350).

Ostatni rozdział zawiera prezentację ośmiu stanowisk badawczych, w których – jak uważa Łukasiewicz – swój wyraz znalazły różne doświadczenia generacyjne⁶. Co znamienne, jako jedną z taktyk interpretacyjnych wymienia badacz strategię osobistego spotkania z Różewiczowskim dziełem, co wiąże się z przekonaniem, iż dopiero konfrontacja TR z „innym” – nie tylko drugoplanowym czy epizodycznym bohaterem wierszy i poematów, ale właśnie z czytelnikiem – uzupełnia

Kruszewski, podnosząc problem funkcjonowania nadrzędnego nadawcy (W. Kruszewski: *Deus Desideratus. Sacrum w poetyckim dziele Tadeusza Różewicza*. Lublin 2005). Jego ustalenia odbiegają jednak od postulatów Łukasiewicza – o ile „anonim” w rozumieniu Kruszewskiego ma uniwersalne cechy „każdego” człowieka, o tyle Łukasiewicz określa tym mianem „ja” bliskie autorskiemu, roztopione i zniekształcone w nurcie mowy (s. 52).

⁵ Również tym zagadnieniem badacz zajmował się wcześniej, por. np. J. Łukasiewicz: *Tadeusz Różewicz i Leopold Staff (o „Appendiksie” w „Szarej strefie”)*. „Odra” 2003, nr 1.

⁶ Interesujące, że autor nadał tej części swoich rozważań tytuł *Lustra*, choć to właśnie zwierciadła stają się niekiedy symbolem niepełnego obrazu poetyckiego „ja” Różewicza, bowiem w lustrzanym odbiciu TR próżno szuka prawdy o swej tożsamości. Zob. J. Łukasiewicz: *Zwiastowanie poezji*, dz. cyt., s. 55.

obraz tej poezji i nadaje utworom pełnię sensu. Dopuszczając możliwość takiego kontaktu, badacz podkreśla, jak żywotne są dylematy, z którymi boryka się podmiot Różewiczowskich wierszy oraz wskazuje na konieczność przeprowadzenia weryfikacji utartych sądów oraz odrzucenia stereotypów ciążyących nad kolejnymi odczytaniem dzieł poety.

Łukasiewicz, pisząc o TR: nadrzędnej świadomości porządkującej całość Różewiczowskiego dzieła, nie rezygnuje z własnej „sygnatury”, jaką jest – znany z poprzednich prac krytycznoliterackich wrocławskiego literaturoznawcy – osobisty ton, pobrzmiewający szczególnie w końcowych partiach książki. Warto zauważyć, że badacz chce pozostać nade wszystko „wrażliwym czytelnikiem”⁷, odsłaniającym przed nami swój osobisty punkt widzenia. Styl Łukasiewicza, choć oczywiście naznaczony naukowością i erudycyjny, pozwala czasem na złożenie ukłonu temu, co „niewyraźalne”. Tym samym Łukasiewicz zdaje się wierny refleksji, która jego zdaniem legła u podstaw twórczości Różewicza: *Pisać na ziemi czy pisać na piasku – to pisać coś, co ma zostać tajemnicą (...). Nie należy przeto (...) (nad)używać „metafory”, uzurpujającej sobie – pysznie a głupio – zdolność do wyjawiania zakrytego* (s. 241).

Jacek Łukasiewicz: *TR*. Universitas, Kraków 2012, ss. 421+6 nlb.

⁷ Przypominają się refleksje Łukasiewicza, którymi podzielił się w wywiadzie *Najważniejszy jest projekt całości*. Rozmowę przeprowadzili J. Błaszczyk, K. Fordowska. „Odra” 2008, nr 4, s. 145.

RAFAŁ CZEKAJ

ERUDYTA NA SZAŃCACH KULTURY MASOWEJ

Umberto Eco jest postacią, której nie trzeba specjalnie nikomu przedstawiać. Ten filozof i powieściopisarz cieszy się sławą daleko wykraczającą poza dziedzinę nauki i literatury. W popkulturowej rzeczywistości funkcjonuje na wzór celebryty i dyżurnego intelektualisty, do którego media masowe zwracają się z prośbą o komentowanie najbardziej prozaicznych wydarzeń dnia codziennego, na co sam zresztą wielokrotnie się uskarżał. Niewątpliwy talent pisarski, błyskotliwość frazy, tzw. lekkość pióra uczyniły zeń nie tylko uznanego powieściopisarza, ale także wziętego felietonistę największych włoskich czasopism. Polscy czytelnicy mieli już wielokrotnie okazję zapoznać się z jego talentem eseistycznym. Sam z lubością rozczytywałem się w tekstach składających się m.in. na *Diariusz najmniejszy* (1995) czy *Semiologię życia codziennego* (1999). Tym razem przekładu doczekały się artykuły z lat 1972-1985, które zebrane zostały przez wydawców w tomie *Po drugiej stronie lustra i inne eseje*. Prace owe – zawierające rozważania o estetyce, sztuce, historycznych i współczesnych fenomenach kultury – określić można jako filozoficzno-semiologiczne. Ich tematyka nie dziwi, gdyż Umberto Eco, będący wszak przede wszystkim semiologiem, od zawsze pytał, czym jest znak, jaki jest jego status i jakie relacje łączą go z tym, co reprezentuje.

To właśnie zagadnienie reprezentacji poruszone zostało w pierwszym rozdziale *Po drugiej stronie lustra*. By rozstrzygnąć, czy tytułowe lustro, które niewątpliwie coś przedstawia, a więc odbija obrazy innych znaków, samo w sobie może być także postrzegane jako znak, Eco snuje rozbudowane dywagacje poświęcone m.in. istocie zwierciadła, znaku czy różnicom między tym, co symboliczne, a tym, co wyobrażeniowe. Autor, testując rozmaite formy reprezentowania, stara się ponadto opisać uwarunkowania, w jakie wklęają się elementy znaczące. Malarstwo,

literatura, teatr czy nawet seriale telewizyjne stanowią dla Eco źródła przykładów obrazujących mechanizmy produkowania znaków.

Jednocześnie Eco daje się poznać jako wnikliwy analityk kultury masowej. Staje w obronie współczesnej produkcji kulturowej zawzięcie atakowanej ze stanowiska estetyki modernistycznej, która podważa wartość seryjnie produkowanych przedmiotów kulturowych i odmawia im miana dzieł sztuki. Zgodnie z taką estetyką przedmioty artystyczne powinny nosić znamiona oryginalności, nowości, innowacyjności, gdyż tylko wówczas zdolne są zakłócić nasze przyzwyczajenia i otwierać nas na to, co nowe. Ten powstały w okresie manieryzmu ideał był świadomie respektowany od epoki romantyzmu do czasów dwudziestowiecznych awangard. Gdy sztuka wpadła w mechanizmy środków masowego przekazu, ze stanowiska estetyki modernistycznej zanegowano jej wartość, uznając, że zarówno powtarzalne przedmioty artystyczne skonstruowane wedle niezmiennego schematu, jak i produkcja artystyczna skrojona na miarę powszechnego gustu i utartych oczekiwań pozbawione są mocy odnawiającej ludzkie doświadczenie. Z kolei zdaniem Eco seryjność nie wyklucza innowacyjności, a tym bardziej nie jest wynalazkiem współczesności, gdyż stanowiła fundament sztuki jeszcze w czasach starożytnych, kiedy „piękne” mogło być tylko to, co powtarzało pewien wzorzec. Nade wszystko jednak należy zdać sobie sprawę, że „seryjne produkowanie przedmiotów” jest zgoła czymś innym niż „seryjne produkowanie treści wyrażenń pozornie różnych”. Ponieważ na gruncie estetyki modernistycznej nie dostrzeżono tego rozróżnienia, seryjność i powtórzenie, na których opiera się w istocie współczesna produkcja kulturowa, traktowane są z podejrzliwością. Tymczasem, jeśli – zgodnie z zasadami obowiązującymi na gruncie estetyki modernistycznej – za warunek sine qua non wartości estetycznej uznamy występowanie dialektycznych relacji między modelem a nowością, schematyzmem a innowacyjnością (relacje te muszą zostać dostrzeżone przez odbiorców), okaże się, iż gros masowych produktów kulturowych ów warunek spełnia. Jak dowodzi – powołując się na konkretne przykłady – włoski autor, tworzenie wedle identycznych reguł tych samych z pozoru przedmiotów nie musi być postrzegane jako symptom kultury wyczerpania. Intertekstualne nawiązania, kryptocytaty i zapożyczenia pełnią bowiem w tym kontekście innowacyjną rolę, a generowane w ich obrębie dialektyczne relacje fundują wartość estetyczną.

Na kartach *Po drugiej stronie lustra* rozrzucona została mozaika odwołań do artefaktów kulturowych różnych epok i gatunków – od tabliczek z hieroglifami, poprzez dzienniki Marco Polo, po seriale o poruczniku Colombo czy Indianie Jonesie. Ta rozległość odniesień, świadcząca o erudycji i błyskotliwości autora, dla wielu czytelników stanowi największą atrakcję jego twórczości eseistycznej. Oczywiście owa erudycyjność nie jest celem samym w sobie, gdyż doprowadziłoby to do zwykłego kolekcjonerstwa intelektualnego bez większego znaczenia. Eco korzysta ze swych kompetencji, aby odszukać przykłady ilustrujące określone mechanizmy i prawa rządzące rzeczywistością kulturową. Tak dzieje się choćby wtedy, gdy poddaje re-lekturze dzieła odległych epok, m.in. *Il Milione* Marco Polo z trzynastego stulecia czy niewiele późniejszy *Traktat o rzeczach najosobliwszych* Mandeville’a, aby wypracować krytyczny model współczesnego ich odczytania. I okazuje się na przykład, że zawarte tam opisy mitycznych stworów czy jednorożców mogą mieć niebagatelne znaczenie także dla nas, ponieważ za ich pośrednictwem interpretujemy naszą rzeczywistość, którą jest przecież zawsze jakąś konstrukcją – mniej lub bardziej planową.

Również twórczość hiperrealistyczna służy Eco jako przykład pozwalający ukazać, w jakim stopniu to, co postrzegamy jako rzeczywistość, jest czymś manipulowanym, a w pewnym sensie – fikcyjnym (terminy te nie są wartościowane negatywnie). Sam intertekstualny charakter współczesnej kultury czyni ową rzeczywistość czymś zapośredniczonym. Wiedza o współczesnym świecie nie

pochodzi już z niego samego ani nawet z tekstów o nim, a z tekstów o tekstach lub innych mediów. To zapośredniczenie jest nieodwołalne, co znalazło skrajny wyraz w Baudrillardowskiej metaforze „procesji symulaków”, za którą kryje się przekonanie, że rzeczywistość nie istnieje, a znak rzeczywistości zastąpił ją samą. Eco nie stawia tej sprawy tak ostro, stwierdza natomiast, że żyjemy w świecie, którego postrzeganie w dużym stopniu wyznaczone zostało przez pewną konstrukcję. Warto zauważyć, że problem ten jest nadal dyskutowany, ostatnimi laty za sprawą Jacques’a Rancière’a, piszącego o „dzieleniu postrzegalnego” – przyznając sztuce kompetencje redefiniowania współrzędnych doświadczenia zmysłowego, Rancière mówi o rzeczywistości jako plastycznej masie podatnej na dowolne przekształcenia.

Takim prawom podlega także historia, a mówiąc ściślej – nasze postrzeganie historii. Opublikowany w tomie tekst *Dziesięć sposobów na sen o średniowieczu* uzmysławia nam, w jakim stopniu obrazy średniowiecznej przeszłości zostały przetworzone przez teksty kultury. Znajdziemy tu także wyjaśnienie, dlaczego u ludzi Zachodu epoka ta tak silnie rozpała serce i wyobraźnię. Tym bardziej że – jak się okazuje – nie ma jednego średniowiecza, lecz jest dziesięć jego różnych obrazów, dziesięć różnych wobec niego postaw. W przypadku Eco to skrupulatne wyliczenie nie dziwi, bo o ile kulturę współczesną włoski autor zna z telewizji, to wieki średnie poznał bezpośrednio – jak sam, nieco żartobliwie, zadeklarował w dodatku do *Imienia róży* (swoją drogą – ciekawe, w jakiej mierze ta słynna powieść również bierze udział w produkowaniu wizji wieków średnich?).

Z pewnością cenne jest rozszyfrowanie przez Eco wpływu, jaki na współczesną technikę sporządzania portretów pamięciowych wywarły nie tylko rozprawy Cesarego Lombrosa – co byłoby nazbyt oczywiste, gdyż Lombroso zajmował się wprost tymi zagadnieniami – ale przede wszystkim Johanna Kaspara Lavatera, niemieckiego teologa z XVIII w., piszącego o związkach rysów twarzy z charakterem człowieka. Ma to duże znaczenie, ponieważ jego zupełnie nienaukowe wywody zapłodniły powszechną wyobraźnię i do dziś obecne są w stereotypach etnicznych. Jak dowodzi Eco, „lavaterizm” skrycie przeniknął także do współczesnych kodów językowych, jakimi posługują się mass media – ich pozornie neutralny język wywołuje szowinistyczne i rasistowskie skojarzenia, co sprawia, że krzywdzące stereotypy ulegają reprodukcji. I w tym wypadku mamy do czynienia z trwałą bolączką współczesnej kultury, z którą do dziś borykają się tacy autorzy jak chociażby Judith Butler (*Walczące słowa*, 1997).

Choć teksty składające się na *Po drugiej stronie lustra* powstały niemal trzy dekady temu, wciąż zachowują swą aktualność, a echa poruszanych w nich tematów nadal pobrzmiwają w palących dyskusjach dnia dzisiejszego. Pisanie o zjawiskach kultury w czasach, gdy świat sztuki i nauki ulega przeobrażeniom w tempie nigdy wcześniej nienotowanym, narażone jest na niebezpieczeństwo rozbicia się o rafy tez przebrzmiałych czy po prostu błędnych. Tymczasem Umberto Eco w swej podróży po kulturowym uniwersum z wprawą mija wszystko, co z biegiem czasu mogłoby się okazać nietrafione. Do tego nie wystarczy sama erudycja. Potrzeba także intuicji, talentu, które pozwolą rozpoznać treść ukrytą pod powierzchnią zjawisk albo – nawiążmy do tytułu zbioru – sprawią, że pod lustrzanymi odbiciami rzeczy zobaczymy to, co znajduje się po drugiej stronie zwierciadła.

Umberto Eco: *Po drugiej stronie lustra i inne eseje*. Przeł. J. Wajs. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2012, ss. 488.

OBECNOŚĆ ROMANTYZMU

Pytanie o żywotność romantyzmu – jako formacji, światopoglądu, sposobu odczuwania i rozumienia świata – jest stale obecne we współczesności. Wydawało się, że ogłoszona i rytualnie przywoływana niezliczoną ilość razy teza Marii Janion o zmierzchu paradygmatu romantyczno-symbolicznego stała się na początku lat 90. XX w. pewnikiem i jako taki właśnie sąd – mocny, wiążący, bo wydany przez wybitną znawczynię i kto wie, czy nie największą osobowość medialną polskiej humanistyki – została przyjęta w szczególnym momencie diagnostycznym. Kultura polska po upadku komunizmu, włączona nieoczekiwanie w nowy system kulturowy, usilnie zaczęła szukać nowych dla siebie uzasadnień, jako jedna z lokalnych kultur w globalnej rzeczywistości świata zachodniego – demokratycznego i zsekularyzowanego. Chciałoby się rzec w pewnym skrócie: skoro wreszcie tam, do zachodniego świata dotarliśmy, musimy stać się do niego podobni w nowo konstruowanej tożsamości – postmodernistyczni bez uprzedniej świadomości naszego postmodernizmu, już nieromantyczni, bo „nasz” romantyzm był jakiś inny, patriotyczny, mesjanistyczny, nacjocentryczny.

Trzeba więc było podjąć duży wysiłek modernizacyjny – wynaleźć postmodernizm, a skoro tak – należało szukać i modernizmu. Należało też odnaleźć „inny” romantyzm, różny od tego, który rzeczywiście mógł odbijać się czkawką – po konspiracjach tudzież egzaltacjach lat 80. i po sztywniejącym coraz bardziej kanonie szkolnej egzegezy, zamieniającej trudne problemy i dylematy w jakąś upiorną matrycę nierozumianej pulpy. Romantyzm to Chrystus narodów, winkleriedyzm, odrzucenie bycia kochankiem na rzecz stania się bojownikiem o wolność ojczyzny. Naczytałem się tego i nasłuchałem na egzaminach wstępnych (a dziś jest jeszcze gorzej, bo z tej pseudopatriotycznej, nierozumianej pulpy pozostały strzępy, które nijak nie mogą skleić się w jakąś w miarę sensowną całość). Przez całe lata romantyzm był tradycją „silną”, ważną intelektualnie i artystycznie, w recepcji wyznawców i dziedziców na równi z gestami kontestacji „szyderców”, a jednocześnie – w potocznej świadomości stawał się czymś coraz bardziej obcym, niezrozumiałym i nierozumianym. Kiedy jeszcze w szkołach uczono literatury wedle następstw epok literackich, na pytanie, której epoki nie lubisz (eufemizm dla: „nie rozumiesz”) – padała jedna odpowiedź: „romantyzmu, oczywiście!”

Taki był stan świadomości – z romantyzmem jako silnym kodem kulturowym, kto wie, czy nie najważniejszym dziedzictwem, wielce w nowej sytuacji kłopotliwym: garbem polskości, skłonnej do rytualnych gestów, niezdolnej do krytycznej wiwisekcji dziedzictwa (lekcja Brzozowskiego pozostawała po latach 80. w zawieszaniu). Dlaczego niezdolnej? – bo wydawało się wtedy, że romantyczno-symboliczny kod, taki, jakim go opisywała Janion, w modernizującej się rzeczywistości kapitalistycznej Polski jest przeszkodą, którą sama kultura winna przezwyciężyć. Jak? Ano, wracając do romantyzmu – innego wszakże niż ten odrzucany, do romantyzmu egzystencji, „współczesnych” pytań i dylematów. Pytanie na marginesie: jak miałby się ów „inny” romantyzm do romantyzmu wielkich osobowości (strach dziś pisać – wieszczów), a właściwie do romantyzmów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida? Nigdy nieprzeczytanych w całej złożoności oraz meandrach ich myśli i propozycji, często sobie wzajemnie przeczących? Nie ma przecież jednego romantyzmu Mickiewicza – są romantyzmy. I są właśnie romantyzmy Słowackiego, Krasińskiego, Norwida. W kulturze polskiej także przecież dochodziło do wybiórczego czerpania z tego bogactwa, z podkreśleniem wszakże istnienia owego urodzaju: wielości wątków, inspiracji, zamysłów. Siłą rzeczy, tak charakterystyczny dla kultury polskiej dyskurs niewoli (od XIX w. do lat 80. następnego stulecia) przykroił romantyzm do wymiarów jednego kodu,

składającego się, w dość dziwacznym połączeniu, z elementów tyrtejskich i mesjanistycznych. Wezwania do walki i zarazem kult śmierci, ofiary. Nieustająca hermeneutyka grobów, wolnościowego dziedzictwa i celebrowanie śmierci w powstaniu. Ten dyskurs, silnie powiązany z sytuacją historyczną, najpierw z czasami zaborów, potem odżywający wyraźnie w późnym PRL-u, był w „spokojniejszych” czasach (na przykład na początku XX w.) przynajmniej równoważony innym: odnajdującym pokarmy w twórczości mistycznego Słowackiego czy odkrywającym niepokojący artyzm „ciemnego” Norwida. Bywały takie momenty w naszej trudnej historii, kiedy mógł być atrakcyjny i Wyspiański, i Matuszewski swoją książką wyzwalał legion naśladowców Słowackiego, i Brzozowski buntujący się przeciw romantyzmowi „oswojonemu”. Nawet w traktowanych potocznie jako monolit lat 80. – obok repetycji romantyzmu tyrtejskiego, obok aktualizacji mesjanistycznej ofiary – pojawiały się inne linie wyprowadzane z dziedzictwa romantycznego: nawiązania lozańskie, gdańskie „Transgresje”.

Nakreślam z grubsza pewien pomysł interpretacyjny, zanim przystąpię do omówienia interesującej książki Magdaleny Rabizo-Birek pt. *Romantyczni i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej*, gdyż na kartach tej pracy odnajduję inspirującą (i wartą solidnej debaty) przesłankę do odnowienia dyskusji o dziedzictwie romantycznym – dzisiaj. A także – o dziedzictwie romantycznym czytany dzisiaj. To bowiem dwie różne kwestie, dwie różne dyskusje. Dzisiaj dziedzictwo romantyczne to posmoleńskie gesty, krzyż na Krakowskim Przedmieściu, lud wierzący w mesjanistyczne cierpienie i konieczność ofiary. Lektura romantyzmu natomiast to, obok romantycznych rewizji w literaturze i sztuce, nowy obraz tej epoki wyłaniający się z prac literaturoznawców. Porządki, jak widać, do siebie nieprzystające.

W swojej książce Magdalena Rabizo-Birek słusznie zwraca uwagę, że pisząc dzisiaj o formach obecności romantyzmu w kulturze współczesnej (nie jedynie w literaturze), należy mieć na uwadze nie tylko historyczny już głos Marii Janion (jakkolwiek rezonujący współcześnie, niosący się dalej w kulturze, aktualnie o wyrażnie antymesjanistycznym ostrzu), lecz także propozycję sformułowaną od lat 90. przez Agatę Bielik-Robson, która przedstawiła koncepcję „rewizji romantycznej”, inspirowaną lekturą romantyzmu anglosaskiego, dokonywaną przez szkołę z Yale, zwłaszcza przez Harolda Blooma. By kwestię ująć najkrócej: romantyzm może stać się alternatywą dla dzisiejszego „odczarowanego” świata, należy go poddać „innej” lekturze, w której przejrzy się nasza współczesność, odnajdując przy tym zagubione w nowoczesności ścieżki wiodące do jego duchowej regeneracji. „Zaczarować” świata na powrót tradycyjną religijnością nie sposób, choć trzeba szukać duchowych uzasadnień dla swojego istnienia w świecie takim, jakim chcielibyśmy go odzyskać. Wrócić tam, do romantycznej nowoczesności – by wziąć z niej to, co jednostronność modernizmu odrzuciła. Wrócić tam – to znaczy wrócić do podmiotu, szukającego swego miejsca w przestrzeni, z której wyrugowano metafizyczne niepokoje, przyjmując jako obowiązującą diagnozę Nietzscheańską. Wrócić tam – z „odczarowanego” świata, z przeżywającym kryzys kartezjańskim cogito – to znaczy znaleźć nowe uzasadnienia dla nowoczesnej podmiotowości rozpoznającej swoje istnienie w stanie rozproszenia (stać się „czującą duszą” – oto istota projektu), nie potrafiącej natomiast odnaleźć w sobie mocnej wizji jednoczącej ją ze światem, takiej, jaką wytwarzały ideologie patriotyczne czy romantyczne nacjonalizmy.

Romantyzm należy więc „prze-pisać”. I taki wniosek wypływa z nałożenia owych dwu perspektyw minionego dwudziestolecia: projektującego, acz dobrze zakorzenionego w polskim paradygmacie kulturowym głosu Janion i spekulatywnego, acz mocno związanego z negatywną diagnozą współczesnego świata rozpoznania Bielik-Robson. Oba tym perspektywom towarzyszą – niekoniecznie związane z nimi jako bezpośrednimi źródłami inspiracji – rewizje

romantyczne podjęte w kulturze ostatniego dwudziestolecia (zwłaszcza w literaturze i teatrze).

Jaki byłby wniosek z tych bardzo skrótowych, rysowanych grubą kreską uwag? Ano taki, że pojawiająca się konstatacja o splątanych ścieżkach romantycznych w równie splątanym i niejasnym dla nas wzorze współczesności jest sytuacją wytwarzającą różne pola romantyzmu we współczesności. Zatem, są przywoływane, aprobowane i nicowane różne romantyzmy. Romantyzmy dyletantów i znawców, subtelnych interpretatorów i szkolnych matryc odżywających w kulturze – na równych prawach. Romantyzmy przyjmowane przez kulturę masową i romantyzmy wytwarzane w kulturze popularnej. Na coś jeszcze warto zwrócić uwagę – z jednej strony coraz bardziej subtelnemu widzeniu złożoności i wieloperspektywiczności epoki przez znawców odpowiada niemożność przebicia się tych akademickich ustaleń do szerszej świadomości kulturowej. O czym tu pisać, jeśli nawet złożoność i specyfika mesjanizmu romantycznego jako pewnej propozycji myślowej serio, dyskutowanej i tworzącej zrąb pomysłów historiozoficznych różnych autorów, w dzisiejszej debacie politycznej została naznaczona także przez znawców epoki jako aberracja intelektualna. Taką przecież mesjanizm nie był. Ale to temat na osobne rozważania.

Mógłby ktoś zniecierpliwiony tokiem mego wywodu zapytać – przytomnie – dlaczego wciąż kluczę, nie mogąc dojść do przedmiotu rozważań, czyli książki *Romantyczni i nowocześni*? Sam się trochę dziwię, miałem początkowo inny pomysł na jej omówienie, ale czasem warto odejść od utartego schematu recenzenckiego. Dlaczego warto? Choć moje uwagi są może nawet nie tyle przemyśleniami na marginesie książki Magdaleny Rabizo-Birek, to właśnie ta praca sprowokowała mnie do ich nakreślenia. Dlatego jestem wdzięczny autorce za publikację, która daje do myślenia, nie pozwala pozostać w tak typowym dla akademickiego fachu błogostanie erudycyjnego przyswojenia czyjejs propozycji, ale prowokuje do wyrażenia własnego stanowiska, do przemyślenia na nowo tego, co gdzieś tam może niejasno się płące jako pomysły, zanim uzyska jakąś w miarę spójną krystalizację.

Rzeszowska badaczka literatury – i zarazem redaktor naczelna „Frazy”, co jest w tym wypadku istotne – napisała mądrą, dojrzałą książkę, która sporo kwestii związanych z inspiracjami romantycznymi w literaturze nowej i najnowszej porządkuje, interpretuje (oświetlając przy tym w nowy sposób omawiane utwory) i zarazem zaprasza do dyskusji. Dyskusji zasadniczej.

Książka składa się z trzech części. W pierwszej, zatytułowanej *Romantyzm we współczesnej kulturze polskiej*, znajdziemy dobrze sprobematyzowane rozważania na temat koniecznych przeformułowań romantyzmu i jego dziedzictwa w perspektywie wypracowywanej w polskim literaturoznawstwie koncepcji modernizmu (za wzorami anglosaskimi). Można za autorką wskazać, że nowe prace powstające wedle koncepcji modernizmu lansowanej przez Włodzimierza Boleckiego i Ryszarda Nycza ukazują nieprzezwyciężalną obcość, nieprzystawalność romantyzmu (teoria epifanii Nycza) i modernizmu. Natomiast istnieją – i zdaje się, że są coraz częstsze – prace inne, w których nie tylko znawcy epoki „modernizują” bądź postmodernizują romantyzm (nie chodzi jedynie o wpływowe ujęcia Agaty Bielik-Robson, ale też o książki pod redakcją Michała Kuziaka czy niedawno wydaną publikację o dyskursie postkolonialnym autorstwa Dariusza Skórczewskiego, z obszerną partią rozważań poświęconą literaturze romantycznej).

Te teksty i książki – podobnie jak zreferowane w osobnym rozdziale części drugiej tomu *Dyskusje o tradycji romantycznej w krytyce literackiej po roku 1989* (swoją drogą, to nie tyle dyskusje w krytyce, ile w szerszych ramach zmieniającej się humanistyki po przełomie, poszukującej nowych uprawomocnień) – dowodnie wskazują, że w kulturze współczesnej nie tylko ma miejsce zasadnicze przeformułowanie recepcji romantyzmu, ale że jest ono zbieżne z równocześnie

odbywającą się pracą literaturoznawców, budujących nowy, pogłębiony i wewnętrznie skomplikowany obraz tej epoki. Ten aspekt, co zrozumiałe w perspektywie dokonanego wyboru metodologicznego, został zarysowany na kartach recenzowanej książki słabiej i nie tyle nawet upominam się o jego obecność w *Romantycznych i nowoczesnych*, ile formułuję swoje uwagi trybem dopowiedzenia – z myślą o ujęciu bardziej pełnym, obejmującym kontekst szerszy niż ten przywołany przez Magdalenę Rabizo-Birek. Ktoś może taką książkę napisać. Otóż wskazałem wcześniej, że autorka omawianej pracy jest redaktor naczelną „Frazy” i podkreśliłem te słowa, mając na uwadze zauważalną na kartach tomu praktykę swoistej nadreprezentacji materiału literackiego z redagowanego przez siebie periodyku. Chodzi mi tu o kwestię ogólniejszą, mianowicie zastanawiam się, na ile materiał zebrany do przedstawianych rozważań jest rzeczywiście reprezentatywny, na ile zaś jest to kwestia dostępu do pewnego korpusu tekstów „własnych”, bez kwerendy obejmującej także inne czasopisma. Sądzę, że autorka ma prawo do swoistego zawężenia materiałowego, należy to wszakże wyraźnie zaznaczyć, choćby anonsując poczynione uwagi jako rekonesans badawczy.

W recenzowanej książce znalazły się bardzo wartościowe obserwacje odnoszące się do zjawisk recepcji romantyzmu sięgających lat 80., kiedy to – jak się okazuje – podskórnie miała miejsce tak istotna dla kultury polskiej po 1989 r. rewizja romantyczna, wyrażająca się w geście sięgnięcia do takich obszarów romantyzmu zachodnioeuropejskiego jak twórczość Blake’a (który romantykiem nie był, lecz stał się nim w procesie recepcji) i Caspara Davida Friedricha. Badaczka nie tylko przywołała ważne teksty, w których znajduje potwierdzenie zasadnicza dla książki teza o charakterystycznym dla kultury po 1989 r. przesunięciu źródeł inspiracji z romantyzmu tyrtejskiego na rzecz romantyzmu „innego”, zachodniego, stającego się dla niektórych pisarzy podstawowym źródłem inspiracji artystycznych i intelektualnych, lecz także potrafiła wiarygodnie te rozpoznania zdiagnozować.

Świetne są ustalenia badawcze z drugiej części pracy, zatytułowane *Topos ojczyzny w młodej poezji polskiej przełomu XX i XXI wieku*. Autorka odkrywczo pokazała – na różnorodnym materiale literackim – metamorfozy kanonu patriotycznego w poezji, która programowo chciała „żegnać się z ojczyzną”. Gesty pożegnania z paradygmatem romantycznym stały się okazją do prób budowania nowego kanonu patriotycznego – opartego na innych wartościach, takich jak „mała ojczyzna”, ojczyzna intymna czy krytyczna ocena Niepodległej. Ale prawdziwą rewelacją są fragmenty dotyczące wątku norwidowskiego w poezji współczesnej, przede wszystkim w twórczości autorów z kręgu Kontynentów – Bogdana Czaykowskiego i Adama Czerniawskiego. Myślę, że dopełnione innym materiałem, z poezji nowszej, mogłyby się złożyć na osobną, ważną książkę. Rozważania w tej partii pracy – obejmujące zasadniczo część trzecią – zostały poprowadzone wieloaspektowo, na szeroko przyswojonym materiale, z wyzyskaniem w aspekcie porównawczym bogatego kontekstu literatury nie tylko emigracyjnej (na przykład wybór Norwida jako element strategii polemiki z Miłoszem), ale także z należyтым zwróceniem uwagi na walor przyswojenia przez poetów emigracyjnych tradycji romantyzmu anglosaskiego, na który nałożyła się fascynacja Norwidem jako artystą zaskakująco współczesnym. Rabizo-Birek podkreśla – za Arentem van Nieukerkenem – tezę o ironicznym konceptyźmie Norwida jako pierwszej w kulturze polskiej strategii modernistycznej, podejmowanej następnie przez omawianych poetów; co ważne, autorka tę efektywną tezę potrafi udowodnić na dobrze zinterpretowanym materiale. Czaykowski i Czerniawski przeszli charakterystyczny szlak – od negacji romantyzmu po jego twórcze przyswojenie, od dość typowych gestów młodoliterackich, buńczucznego wyzwalań się z pęt romantyzmu po dojrzałe repetycje. Do tej części rozważań miałbym jedną uwagę polemiczną – nie przekonała mnie interpretacja cyklu *Uczucia* Bogdana Czaykowskiego jako utworu pozostającego w polu oddziaływania romantycznej

koncepcji dzieła fragmentarycznego. Gdyby chcieć przyjąć tę tezę – która powinna zostać udowodniona z odwołaniem do romantycznej filozofii dzieła fragmentarycznego – w całej rozciągłości, na podstawie zaproponowanego postępowania interpretacyjnego, wówczas musielibyśmy wszelkie współczesne formy dzieła fragmentarycznego potraktować jako romantyczne. Myślę, że bardziej fortunny byłby tu kontekst „dzieła otwartego”, charakterystyczny dla modernistycznego, innowacyjnego poszukiwania nowej formy gatunkowej, niż wynikająca z zupełnie innego światopoglądu romantyczna koncepcja fragmentu (z dialektyką części i całości jako analogią do dialektyki skończoności i nieskończoności).

To wszakże marginalna uwaga. Znacznie bardziej dyskusyjne są moim zdaniem obszernie rozważania zatytułowane *Postromantyczna wyobraźnia metafizyczna*, w których znalazły się: interpretacje motywów tanatycznych w prozie Włodzimierza Odojewskiego, sumienna analiza *Dziadów berlińskich* Henryka Wańka, uwagi o poszukiwaniach metafizycznych Ewy Lipskiej i – najciekawsze tudzież najbliższe recepcji tradycji romantycznej – rozpoznania problematyki wyobraźni religijnej w najmłodszej poezji polskiej. Podczas lektury odnosiłem wrażenie, że autorka chciała tu powiedzieć „wszystko”, przedstawiając dość drobiazgowo interpretacje zamiast wyraźnej problematyki odnoszącej się do tematu. W konsekwencji na romantyczne nawiązania, ślady, inspiracje zostały jak gdyby nałożone coraz to nowe konteksty lektur i, siłą rzeczy, tonąc w tym morzu zjawisk, nie zdołały wypłynąć na powierzchnię. O ile czytelnik jest „romantyzm” Odojewskiego po sugestywnym eseju Marii Janion, to chyba trudno tu dodać jeszcze coś od siebie, zaś zestawienie szkiców autora *Raptularza krytycznego* z pisarstwem Norwida jako autorem *Czarnych kwiatów* mnie nie przekonało. Nie przekonała mnie także „romantyzacja” Ewy Lipskiej, poetki, która – jak subtelnie przedstawia autorka omawianej pracy – poszukuje w ostatnich latach prześwitów metafizycznych, czyni to wszakże niezależnie od romantyków, bowiem trudno przystać na koncepcję poszukiwań metafizycznych w „odczarowanym” świecie jako na postromantyczne podjęcie tematu zaświatów w bezpośredniej linii nawiązań do romantyków. Powiem tak: wszystko mi się w tym rozdziale podoba, a metafizyczność poezji Lipskiej ukazana została w nowym oświeceniu badawczym, natomiast „romantologiczna” perspektywa pojawia się chyba ad hoc.

By lepiej określić swoje stanowisko, dopowiem nurtującą mnie kwestię z zakresu metodologii badań nad obecnością tradycji we współczesności. Otóż jestem zwolennikiem poruszania się w obszarze – szeroko pojętych – relacji intertekstualnych, bardziej i mniej wyraźnych, możliwych wszakże do weryfikacji na konkretnych tekstowych. Natomiast uważam, że poszukiwanie szeroko wyznaczonych związków – często bardzo mocno filtrowanych przez różne późniejsze realizacje – sprawia, że nadmiernie poszerzona sfera ewentualnych odniesień zaczyna niebezpiecznie wchłaniać cechy niekoniecznie wyprowadzone z prymarnej tradycji kulturowej. Mówiąc krótko: to, że na przykład romantycy wyruszyli w zaświatowe podróże i że w podobną podróż zabierają nas współcześni pisarze, nie zawsze musi znaczyć, iż szlak owej wyprawy jest ten sam, choć jedni i drudzy piszą o swoich poszukiwaniach metafizycznych. Zdaje się, że podstawową różnicą byłaby tu odmienna koncepcja Boga i równie odmiennie typy wyobraźni religijnej (wyobraźnia religijna romantyków mocno związana jest z przednewtonowskim widzeniem kosmosu, dość przypomnieć *Wielką Improwizację*). Celowo metaforyzuję swój wywód, nie chciałbym bowiem jednoznacznie wskazywać, iż niemożliwe jest podjęcie uprzednich kwestii, pytań, problemów w nowym kontekście. Owszem, jest to możliwe, tyle że musi być weryfikowalne odniesieniem do konkretnej tradycji. Weryfikowalne nie znaczy wcale, że wskazane wprost przez pisarza i postępującego za nim krok w krok badacza (byłby to przecież znany z dziejów kultury polskiej epigonizm romantyczny w czystej postaci), lecz możliwe do ujawnienia jako konkretny fakt – po wydobyciu na powierzchnię

w pracy interpretatora, tak jak pokazali to Janion w odniesieniu do Odojewskiego czy Chwin jako interpretator prozy Schulza i Gombrowicza.

Przechodząc do konkluzji: jak już wspomniałem, lektura *Romantycznych i nowoczesnych* Magdaleny Rabizo-Birek była dla mnie ożywczym doświadczeniem. Chcę to opisać niemodnym dziś słowem – pochodzącym z innego rejestru stylistycznego, z innej epoki. Nie we wszystkim się z autorką zgadzam, nie zmienia to jednak faktu, iż swoją książką przymusiła mnie ona do przemyślenia wielu spraw na nowo, że potrafiła mnie „zaczarować” niektórymi swoimi interpretacjami, że pozwoliła mi wyrazić własne stanowisko. Czegóż więcej chcieć od książki?

I jeszcze drobiazg, choć może niekoniecznie drobiazg – na stronie 293 jako autorkę „pieśni *Boże coś Polskę*” wymieniono Marię Konopnicką. To oczywiście utwór pierwotnie napisany przez Alojzego Felińskiego, następnie przerabiany, aż stał się popularną pieśnią patriotyczną, tak jak *Rota* Konopnickiej.

Magdalena Rabizo-Birek: *Romantyczni i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej*. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2012, ss. 542.



Stanisław Baj: *Portret Wiesława Ochmana*, olej, pł., 120 x 92 cm, 2005 r.

plastyka

LECHOSŁAW LAMEŃSKI

Ekspresyjne portrety i nostalgiczne pejzaże Stanisława Baja, ostatniego romantyka w malarstwie polskim

Wydaje mi się, że po raz pierwszy usłyszałem o Stanisławie Baju i jego malarstwie jakieś dziesięć lat temu. Nie widziałem wówczas o nim absolutnie nic. Nie zdawałem sobie sprawy, kim jest, co reprezentuje swoim malarstwem, dlaczego ludzie tak chętnie i dobrze mówią o jego twórczości, którą – ich zdaniem – należy obowiązkowo zobaczyć i poznać. Najpierw było więc oglądanie katalogów i zamieszczonych w nich reprodukcji portretów starych ludzi oraz pejzaży (szczególnych, przedstawiających nieustająco jeden i ten sam motyw – zakole rzeki), czyli dwóch głównych tematów malarskich obecnych w artystycznym dorobku tego twórcy pochodzącego ze wsi Dołhobrody, położonej kilkanaście kilometrów od Włodawy, tuż nad graniczną rzeką Bug. Następnie, w listopadzie i grudniu 2005 r., odbyła się kameralna wystawa portretów Stanisława Baja w lubelskiej Galerii Sztuki Sceny Plastycznej KUL Leszka Mądziaka, w trakcie której mogłem nareszcie zobaczyć obrazy artysty z bliska, poznać technikę i sposób ich malowania. Pomału zaczynałem rozumieć i smakować ten specyficzny typ twórczości, zwłaszcza że w moim musée imaginé – w miarę upływu czasu – było coraz mniej białych plam w kolorowej układance pt. *Malarstwo Stanisława Baja*.

Osobiście poznałem artystę jednak dopiero dwa, trzy lata temu, gdy trochę przez przypadek znalazłem się w – położonym w pobliżu Chełma – Dworze Pieńków, niezwyklej posiadłości dra Marka Marii Pieńkowskiego, do której przyciąga wielu ludzi kultury i sztuki zarówno osoba gospodarza, jak i jego ciągle rozwijająca się kolekcja współczesnego malarstwa polskiego, ekspozowana w specjalnie przygotowanym pawilonie wystawowym. Pieńkowski, wrażliwy na otaczające piękno, kolekcjonuje prace artystów już obecnych na rynku sztuki oraz ich najzdolniejszych uczniów, studentów Akademii Sztuk Pięknych z najważniejszych ośrodków w kraju. To także rzutki marchand, twórca oraz inicjator sprawnie funkcjonującej fundacji, której jednym z głównych celów jest – od kilkunastu już lat, najpierw w USA, a od 2008 r. także w Polsce – wspieranie dobrze rokujących młodych twórców (stypendiami i nagrodami) i promowanie ich prac za granicą (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych).

Od pierwszej chwili Staszek Baj – szybko przeszliśmy na ty – ujął mnie bezpośrednim sposobem bycia, ciepłym tembrem głosu z lekkim zaśpiewem,

życzliwym uśmiechem i pogodnym spojrzeniem, zwłaszcza chyba jednak spokojem i obiektywizmem w głoszeniu poglądów na bliskie mi tematy artystyczne.

Już wówczas pomyślałem, że warto poświęcić mu esej na łamach „Akcentu”. Minęło jednak trochę czasu i znów wyprzedził mnie redaktor Bogusław Wróblewski ze swoim rozeznaniem w sprawach artystycznych. Gdy któregoś dnia przyszedłem do redakcji, zastałem w niej wyjątkowo pękatą kopertę zawierającą cztery płyty CD z audycją radiową i trzema filmami, których bohaterem był Stanisław Baj oraz jego malarstwo, kilka efektownie wydanych katalogów ze świetnymi reprodukcjami i ciekawymi – chociaż, jak się później okazało, nie wzbudzającymi w większości mego entuzjazmu – wstępami, a także parę wycinków z prasy codziennej i fachowej. Przesyłała towarzyszyła krótka informacja od redaktora, że to ja mam napisać esej o artyście.

Zatem usiadłem przy biurku i po obowiązkowej lekturze otrzymanych materiałów, zastanawiałem się, co powinienem napisać, aby po pierwsze być w zgodzie z własnym sumieniem i moim odczuciem sztuki, a po drugie aby nie zawieść potencjalnych czytelników „Akcentu”. Pierwszy raz bowiem próbuję zagłębić się w tajniki warsztatu konkretnego, żyjącego w nieodległym miejscu artysty bez odbycia specjalnej rozmowy z nim samym. Może to jednak dobry sposób na uniknięcie zależności od poglądów samego twórcy, próba – mimo wszystko – obiektywnego spojrzenia na malarstwo Stanisława Baja.

Gdy patrzy się na reprodukcje jego obrazów, przede wszystkim jednak na to, co wcześniej napisali o nim krytycy i historycy sztuki (na czele z nestorem krytyków Wojciechem Skrodzkiem), ale też twórcy specjalizujący się w innych dziedzinach (m.in. Wiesław Myśliwski), nasuwa się jeden wniosek: Stanisław Baj jest postrzegany generalnie jako ciekawy przedstawiciel nieistniejącej już kultury chłopskiej. Większość piszących o malarstwie tego artysty wręcz ekscytuje się tym faktem, wysuwając na pierwszy plan jego chłopskie



Stasiek, olej, pł., 50 x 61 cm, 2001 r.



Ikar, olej, pł., 150 x 120 cm, 1992 r.

korzenie oraz przywiązanie do niewielkiej, położonej na kresach obecnej Rzeczypospolitej wsi Dołhobrody, do pełnego wspomnień domu rodzinnego, w którym spędził szczęśliwe – chociaż zapewne skromne – dzieciństwo i młodość, do obszernej stodoły, w której po wielu latach urządził całoroczną pracownię malarską. W pracowni tej – jak twierdzi – czuje się o wiele lepiej niż w warszawskim mieszkaniu, chciałby w niej spędzać cały czas wolny od pracy dydaktycznej w Akademii Sztuk Pięknych. To przywiązanie do miejsca wynika przede wszystkim z miłości do nieżyjącej już matki (bohaterki wielu jego przejmujących obrazów), choć oczywiście nie bez znaczenia są także życzliwe relacje z sąsiadami i krewnymi (główni modele licznych kompozycji figuralnych) oraz wyjątkowo malownicze zakole leniwie płynącej rzeki – główny motyw jego malarstwa pejzażowego.

Wydaje mi się, że takie spojrzenie na Stanisława Bajt i jego dorobek malarski jest z gruntu fałszywe i całkowicie błędne. To, że ktoś urodzony na wsi nie wypiera się swoich korzeni, chętnie o nich opowiada i ciągle powraca do tego szczególnie mu bliskiego świata nawet po upływie kilkudziesięciu lat spędzonych w Warszawie, nie stanowi dla mnie podstawy do utożsamiania go z kulturą chłopską, która jest przecież zjawiskiem znacznie szerszym

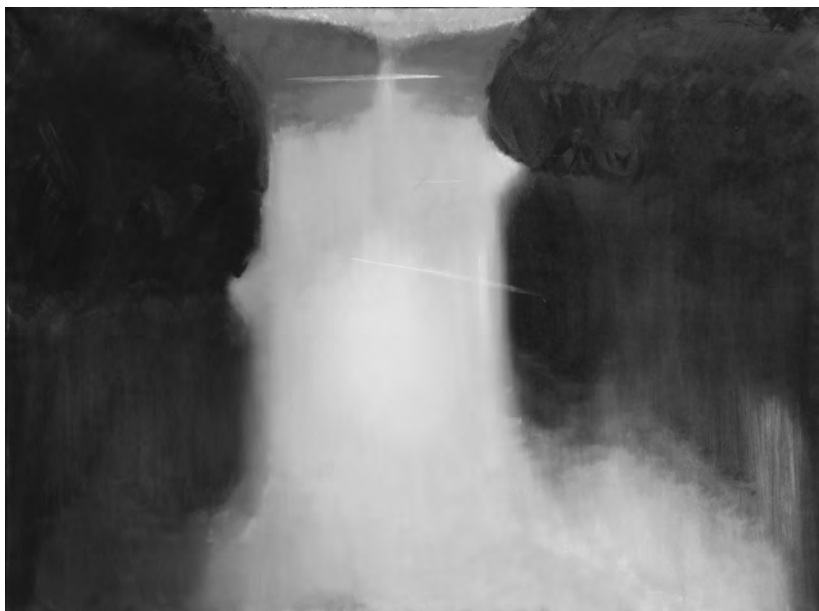
i bardziej złożonym. Z całą pewnością należy o niej mówić, oczywiście nie myląc jej ze sztuką ludową, nieodwracalnie zniszczoną po drugiej wojnie światowej przez niemające z nią nic wspólnego produkty powstałe na potrzeby Cepelii, ale sprowadzanie kultury chłopskiej wyłącznie do określonych tematów pojawiających się w malarstwie tego czy innego artysty, jest – moim zdaniem – zwykłym nadużyciem. Podobnie jak dorabianie rozbudowanego podłoża i wyrafinowanych kontekstów filozoficznych do kolejnych etapów rozwoju malarstwa figuralnego i pejzażowego Stanisława Baja, któremu – jak sądzę – daleko do tego typu działań. W każdym razie wypowiedzi artysty nie wskazują na to, aby ten trop był prawdziwy i miał jakiegokolwiek podstawy w jego sposobie myślenia o malarstwie i późniejszej realizacji na płótnie.

Dla mnie obrazy Stanisława Baja to przede wszystkim materia malarska, regularne prostokąty starannie zagruntowanego płótna działające na wyobraźnię oglądającego je widza określonymi środkami formalnymi i magiczną grą barw. Dlatego mając przed oczyma kolejne portrety i pejzaże, warto pamiętać ciągle aktualne stwierdzenie Maurice Denisa, francuskiego malarza i grafika, wybitnego nabisty, wypowiedziane w 1890 r., *że obraz zanim stanie się koniem bitewnym, nagą kobietą lub jakkolwiek inną anegdotą, jest przede wszystkim powierzchnią płaską pokrytą farbami w określonym porządku.*

Piszący o Stanisławie Baju i jego malarstwie krytycy niemal w ogóle nie wspominają jego nauczycieli w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. A przecież miał ich aż trzech: Michała Bylinę, Ludwika Maciąga i Jacka Sienickiego. Przywołanych zostało zaledwie kilka informacji o Ludwiku Maciągu, w pracowni którego Baj otrzymał dyplom z wyróżnieniem w 1978 r.



Transport, linoryt, papier, 79 x 56 cm, 1977 r.



Rzeka Bug – Sugry, olej, pł., 150 x 200 cm, 2008 r.

Ten urodzony w Krakowie wzięty pejzażysta i batalista spędził ponad dwadzieścia pierwszych lat swego życia na Podlasiu (głównie w Białej Podlaskiej), a więc blisko stron, gdzie przyszedł na świat w 1953 r. Stanisław Baj. Fakt nie bez znaczenia w relacji mistrz – uczeń, ponieważ to właśnie Maciąg zwrócił jego uwagę na rodzinne strony, na zamieszkałych w Dołhobrodach ludzi, którzy stali się po studiach głównymi bohaterami jego obrazów figuralnych. Naturalnie była to wyłącznie inspiracja tematem, a nie formą malarską, ponieważ Ludwik Maciąg uprawiał malarstwo typowo realistyczne, w dużej mierze konwencjonalne, obliczone na szeroki krąg odbiorców, którym obce były wszelkie nowinki formalne.

Bez wątpienia jeszcze mniej zawdzięcza Stanisław Baj Michałowi Bylinie, uczniowi Władysława Skoczylasa i Tadeusza Pruszkowskiego w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, uczestnikowi wojny obronnej we wrześniu 1939 r., który w PRL-u stał się ulubionym autorem władz partyjno-państwowych, twórcą wielu propagandowych kompozycji sławiących dzieje oręża polskiego i bardzo konkretnych – malowanych na zamówienie – obrazów z najnowszej historii Polski, w tym podręcznikowego płótna batalistycznego *Lenino*.

Zupełnie inna postawa charakteryzowała Jacka Sienickiego, ucznia, a następnie asystenta wziętego kolorysty Artura Nachta-Samborskiego. Sienicki zadebiutował jako artysta w 1955 r. na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki *Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi* w warszawskim Arsenale. Był jej współorganizatorem, a następnie został uznany za jednego z najbardziej konsekwentnych przedstawicieli tzw. postawy arsenalowej, za której istotę – jak trafnie napisała Małgorzata Kitowska-Łysiak na Culture.pl – uważane jest przekonanie o nadrzędności etyki nad sprawami formy artystycznej, podkreślanie przez nich związków sztuki i życia, angażowanie się w to, co powszednie, przede wszystkim w trudne sprawy codziennej egzystencji. Jeśli był realistą, to dążącym do uchwycenia wewnętrznej prawdy o rzeczywistości, a nie do wizualnego odwzorowania jej potocznego oglądu. Wydaje się, że postawa zmarłego w 2000 r. Jacka Sienickiego mogła mieć – i moim zdaniem miała – znaczący wpływ na postawę twórczą Stanisław Baja, chociaż on sam i komentujący jego dokonania krytycy o tym nie wspominają. Ale wysoki poziom formalny jego obrazów, skłonność do syntezy oraz dominanta wąskiej gamy kolory-

stycznej (zwłaszcza zimnych zieleni i błękitów w sugestywnych widokach ciągle tego samego zakola Bugu) zdają się wskazywać, że kontakt z wybitnym arsenałowcem i jego ciekawym malarstwem nie poszedł na marne.

Stanisław Baj to artysta malarz o czytelnej i rozpoznawalnej osobowości plastycznej, twórca głęboko zakorzeniony w najlepszej tradycji polskiego malarstwa portretowego i pejzażowego XIX i początku XX wieku, który potrafił nadać swoim kompozycjom wymiar ponadczasowy i jak najbardziej aktualny w targanej skrajnymi emocjami rzeczywistości drugiej dekady XXI wieku.

Jeszcze w trakcie studiów (1972-1978) Stanisław Baj zaczął rysować i malować pierwsze portrety bliskich mu osób. Byli to przede wszystkim starsi mężczyźni, krewni, znajomi i przyjaciele z rodzinnej wsi Dołhobrody. Najczęściej prości ludzie, którzy nigdy nie opuszczali rodzinnych stron, pracujący ciężko na roli i w gospodarstwie, od wczesnego poranka do późnego wieczora. Artysta przedstawia ich albo w charakterystycznych pozach, w gumiakach, kufajkach, czapkach i beretach na głowach, z widłami czy ostrzami kos w sękach, spracowanych rekach, stojących, siedzących lub idących przed siebie, pojawiających się w szeroko otwartych drzwiach stodoły, pod światło, wyłaniających się z ciemnego wnętrza w strudze ostrego blasku, bądź też maluje wyłącznie ich poorly zmarszczkami twarzy, na których upływ czasu, słońce i deszcz pozostawiły czytelne i nieodwracalne znamiona. Stanisław Baj idzie w tych sugestywnych portretach śladem poszukiwań tematycznych i malarskich Piotra Michałowskiego (1800-1855), najwybitniejszego malarza polskiego okresu romantycznego. To on pierwszy w dziejach naszego malarstwa portretowego wprowadził zwykłego chłopca na salony sztuki, jako samodzielny temat, równie ważny jak wątki historyczne, rodzajowe i pejzażowe, obecne w obrazach zawieszanych w domach bogatych mieszczan czy we wnętrzach pałaców arystokracji oraz magnaterii. Uczynił z chłopów nie tylko bohaterów indywidualnych, znanych z imienia (przejmująca kompozycja *Seńko*), ale również ponadczasowe symbole sporej części rozbitego i zniewolonego wówczas narodu polskiego. Odnoszę wrażenie, że działania Stanisława Baja zmierzają również w tym kierunku. Jego portrety chłopów to naturalnie z jednej strony portrety znanych mu bardzo dobrze Staśków, Jaśków, Franków i Adamów, których spotyka na co dzień od kilkudziesięciu już lat na polnej drodze, przed sklepem w środku wsi, w polu czy za płotem i wita się z nimi, zamienia kilka słów bądź dłużej rozmawia, a z drugiej strony – symbol ginącej bezpowrotnie grupy społecznej, ludzi oddanych całym sercem ziemi rodzinnej, która ich żywi i zapewnia bezpieczny byt w zamian za ciężką pracę na roli.

Michałowskiego i Baja łączy również podobny sposób malowania i komponowania portretów. Jest w nich rozmach godny wielkich, monumentalnych kompozycji romantycznych (o tematyce mitologicznej i historycznej), jakie można zobaczyć w salach największych muzeów europejskich. Obaj artyści najchętniej malują mocnymi, grubo kładzionymi impastami farby – zwłaszcza twarze, co potęguje ich wewnętrzną ekspresję i pomaga w wydobyciu czytelnego wątku psychologicznego, tym bardziej że przestrzeń wokół nich, choć posiada czytelną fakturę, jest malowana zdecydowanie bardziej płasko i laserunkowo. Portrety sprawiają wrażenie programowo niedokończonych, wręcz szkicowych, wyłaniających się z bliżej niedookreślonego tła (u Michałowskiego) lub przestrzeni zasygnalizowanej w sposób bardzo umowny, wręcz symboliczny (w znacznej części kompozycji Baja).

Osobne miejsce zajmuje w tej grupie wspaniały „cykl”, którego jedynym i niepowtarzalnym bohaterem jest matka artysty. Ta skromna i mądra kobieta, która marzyła o tym, żeby jej ukochany syn Staszek został księdzem, zapewne do końca swoich dni nie rozumiała, dlaczego wybrał – obcą jej mentalności – drogę kariery artystycznej i być może dlatego nie lubiła, gdy ją malował, choć przecież pozwalała mu na to wielokrotnie. Portrety matki były malowane wyłącznie w Dołhobrodach, z wykorzystaniem naturalnego

oświetlenia i w atmosferze niepowtarzalnych dźwięków i zapachów otaczającej przyrody. W efekcie powstało kilkadziesiąt przejmujących obrazów, obok których nie sposób przejść obojętnie. Bardzo różnorodnych, ukazujących zarówno całą drobną postać matki skupioną w trakcie żarliwej modlitwy, zadumaną lub zamyśloną, stojącą w drzwiach stodoły, jak i samą jej głowę w charakterystycznej chustce. Wszystkie portrety wyróżnia ekspresyjny dukt pędzla, najwyraźniej zaś przedstawione zostały rysy wydłużonej twarzy z zapadniętymi policzkami i dużymi smutnymi oczyma, patrzącymi poważnie i z godnością daleko przed siebie.

W katalogu wystawy obrazów Stanisława Baja w Muzeum Południowego Podlasia w Białej Podlaskiej (czerwiec – wrzesień 2011 r.) artysta zanotował: *To jest chyba ideał, żeby namalować twarz, która by mówiła wszystko o człowieku, o życiu, o bogu, o kosmosie, ale żeby jednocześnie nie była książką, treścią. Żeby była obrazem.* Po obejrzeniu kilkadziesiątu reprodukcji nie mam wątpliwości, portrety matki Stanisława Baja są bez wątpienia portretami jednej, tej samej, bardzo konkretnej osoby, ale zarazem można je również uznać za portrety syntetyczne, malarskie symbole wszystkich matek w ogóle.

Portrety matki oraz portrety znajomych i przyjaciół z Dołhobrodów to jeden wielki dział w dorobku malarskim Stanisława Baja. Drugi stanowią pejzaże, których wyłącznym tematem jest – jak już wspomniałem – rzeka Bug, a właściwie jej niewielki fragment z zakolem w okolicy rodzinnej wsi artysty. *Z całą premedytacją od wielu lat maluję ten sam motyw, jeżdżę w to samo miejsce, będące miejscem bezpośredniego przeżycia natury, która jest w ciągłej zmienności, w ruchu, jak rzeka, której naturą jest przemieszczanie się.*

O ile portrety są malowane na miejscu i przedstawiają konkretnych ludzi, o tyle praca nad pejzażami rzeczonymi przebiega zupełnie inaczej. Artysta rozpoczyna co prawda malowanie nad rzeką, ale najczęściej kończy poszczególne płótna z dala od niej, w zaciszu warszawskiego mieszkania, ponieważ potrzeba na to więcej czasu. Wynika to także z różnych formatów tych pejzaży. Od stosunkowo niedużych, głównie leżących prostokątów (np. 73 x 92 cm), po znacznie większe (np. 130 x 250 cm). Bo pejzaże, których bohaterką jest bliska mu rzeka Bug, tak naprawdę nie są jej wiernym „portretem”, lecz raczej metafizycznym traktatem o życiu i przemijaniu. Wszak życie jest jak rzeka, raz życzliwa i łagodna dla ludzi mieszkających w jej pobliżu, a innym razem groźna i złowieszczą, zdolna zabrać im cały dorobek, raz płynie szybko, kiedy indziej wolniej, nigdy nie jest taka sama.

„Portrety” Bugu Stanisława Baja to obrazy diametralnie różne od jego portretów. Część widzów mogłaby nawet uznać je za prace innego malarza. Dzieła twórcy o całkowicie odmiennej psychice i osobowości, wyjątkowo wyszczególnione, któremu bliskie są nastrojowe, wręcz nostalgiczne pejzaże, zwłaszcza nokturny, jakie pojawiały się w dorobku polskich i europejskich autorów na przełomie XIX i XX wieku. Gdy patrzę na wybrane obrazy przedstawiające zakole Bugu, mam wrażenie, że równocześnie widzę *Park w Duboju* Józefa Pankiewicza z 1897 r. Łączy je ta sama, aż dźwięcząca w uszach cisza, nastrój skupienia, ciemna gama kolorystyczna (z dominantą złamanych zieleni) i programowe niedopowiedzenie, powodujące, że kompozycje te balansują na granicy odchodzącego w niebyt świata realnego i coraz silniejszej, coraz bardziej oczywistej abstrakcji organicznej.

Stanisław Baj bardzo chętnie łączy ekspresyjny, impastowy sposób kładzenia kilku grubych warstw farby, gdy maluje nadrzeczne drzewa i krzewy, tworząc z nich sugestywną i mroczną kurtynę zamykającą obraz od góry, z zajmującym dwie trzecie powierzchni płótna gładkim i spokojnym lustrem wody u dołu. Niekiedy dodatkowo nad drzewami pojawia się wąska strefa nieba, z reguły wyjątkowo groźnego i pochmurnego. Tymczasem woda jest malowana o wiele cienie, chociaż z wyczuwalnym rozmachem, dużymi smugami koloru, z tendencją do zamazywania faktury pędzla, do łagodnego-



go mieszania plam ciemnych i jasnych. Ale nie jest to płaszczyzna martwa, pozbawiona wewnętrznego życia, rozjaśniają ją bowiem dynamiczne, czysto malarskie akcenty: bliki światła kończącego się dnia, refleksy zachodzącego za drzewami słońca, spławik czy efekt wywołany przez rybę uderzającą płetwą o powierzchnię wody.

Stanisław Baj jak rzadko który ze współczesnych artystów potrafi mówić o swoim malarstwie. Warto przytoczyć jeszcze jedną jego wypowiedź z cytowanego już katalogu wystawy w Białej Podlaskiej: *Mam takie jedno silne pociągnięcie pędzlem, które jest dla mnie najtrudniejsze i najważniejsze. Ta kreska jest miejscem, gdzie następuje załamanie światła, miejscem, gdzie światło gra – i gdzie widać, że woda płynie. Woda się tym płynięciem naznacza, to jest jak pierwsza litera alfabetu. A dla mnie jest to jak szybkie, bezpośrednie, świeże dotknięcie świata.*

Ale to nie wszystko. Okazuje się bowiem, że Stanisław Baj to nie tylko wrażliwy i ciekawy portrecista oraz autor nostalgicznych pejzaży. To także interesujący grafik, autor kilkunastu (kilkudziesięciu?) linorytów, których bohaterami są – co nie powinno dziwić – wiejskie zwierzęta i ptaki. Tuż po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w 1978 r. powstał nieformalny cykl kompozycji, będący swoistym hołdem oddanym przede wszystkim beziemiennym krowom i świniom przewożonym w „nieładzkich” warunkach do rzeźni, a tam bezlitośnie zarzynanym na potrzeby zgłodniałych ludzi. I chociaż ów temat jest bardzo ważny, to o oryginalności i niepowtarzalności tych grafik decyduje sugestywna, bardzo nowoczesna forma wypowiedzi plastycznej: żywa kreska oraz kontrast plam czerni z bielą pustej partii papieru. W efekcie mamy do czynienia z wyjątkowo sugestywnymi rycinami, które – moim zdaniem – należą do najlepszych przedstawień animalistycznych we współczesnej sztuce polskiej.

Jakby tego było mało, w jednym z artykułów poświęconych malarstwu pejzażowemu Stanisława Baja wyczytałem, że *na uwagę zasługuje też jego malarstwo sakralne, za które papież Jan Paweł II uhonorował go medalem „Benemerenti” („Dobrze zasłużonym”)*. Zatem istnieje jeszcze inny, nieznanymi szerszemu gronu odbiorców aspekt twórczości malarza z Dołhobrodów, o którym także recenzenci i krytycy nie piszą, a o którym – zapewne – należałoby jeszcze kiedyś wspomnieć.

Na koniec chciałbym przytoczyć dwa fragmenty nader trafnych opinii. Według Sławomira Marca, oryginalnego artysty i ciekawego krytyka, autora licznych publikacji z pogranicza teorii i krytyki sztuki: *Malarstwo Stanisława*

Baja to patos prostoty, patos wyważony i autentyczny, przywracający naturalną godność naszym spojrzeniom, gestom i najbardziej oczywistym potrzebom. Te obrazy nie są w potocznym sensie ładne, nie uwodzą maestrią czy erudycją, ale właśnie swoją prostotą przywracają poczucie rzeczywistości. A to dzisiaj jest bezcenne (Wzniosłości i głębie prostoty, „Gazeta w Lublinie” 7.11.2008 r.).

Wspomniany zaś wcześniej Wiesław Myśliwski napisał we wstępie do katalogu wystawy *Stanisław Baj. Wszystko płynie* (Galeria aTAK, Warszawa 2011): *Zawsze uważałem, podobnie jak on, że sztuka musi czerpać z konkretnej, lecz własnej przestrzeni, z losów znanych nam ludzi, z ich często banalnego czy wręcz pospolitego doświadczenia. I zmierzać ku uniwersum. Nie ma sztuki jako takiej, która rodziłaby się z niczego. Nawet najbardziej abstrakcyjna sztuka ma swoje zakorzenienie i swoje źródło w konkretnej rzeczywistości, w dotkliwosci naszego bytu.*

Nic dodać, nic ująć. Mam nadzieję, że Stanisław Baj będzie nas jeszcze długo zachwycał i fascynował świeżością, a zarazem logiką i konsekwencją swego bardzo osobistego malarstwa.

Lechosław Lameński



Matka pod ochroną już przyrody, olej, płótno, 170 x 120 cm, 1999 r.

JAROSŁAW SAWIC

Między artyzmem a banałem

Motywy szopenowskie w muzyce rockowej

Muzyka Fryderyka Chopina dawno przestała już być domeną klasycznych interpretacji i śmiało wkroczyła zwłaszcza na terytoria jazzu. Silne związki z dorobkiem naszego największego kompozytora wykazywała już twórczość proajca ragtime'u, Louisa Moreau Gottschalka (1829–1869), którego można określić, parafrazując tytuł powieści Michała Choromańskiego, mianem Chopina wysp tropikalnych¹. Na kanwie szopenowskich motywów improwizowali wielcy pianiści jazzowi – np. Oscar Peterson czy Bill Evans. Istnieje też wiele opracowań utworów Chopina w historii polskiego jazzu: począwszy od Mieczysława Kosza i płyty Novi Singers (*Novi Sing Chopin*, 1971) z de facto mało jazzowymi, ale za to niezwykle błyskotliwymi wokalnymi transkrypcjami, poprzez wybitnie innowacyjną płytę *Chopin* (1993) Trio Andrzeja Jagodzińskiego, a skończywszy na chopinowskich impresjach Leszka Możdżera, Adama Makowicza i Krzysztofa Herdzina. O ile jednak jazz już w swej wczesnej fazie rozwoju został nobilitowany i podniesiony do rangi sztuki wysokiej choćby przez zainteresowanie, jakie okazywali mu kompozytorzy miary Ravela i Strawińskiego, o tyle rock do tej pory uchodzi za element kultury popularnej. Część krytyków twierdzi nawet, iż rock i muzyka klasyczna są jak ogień i woda – ze swej natury niemożliwe do połączenia i że istotą rocka jest prostota, a nawet swoisty prymitywizm. Czy zatem w jego obrębie można tworzyć ważne artystycznie interpretacje muzyki Chopina? W niniejszym tekście spróbuję udzielić odpowiedzi na to pytanie. Na początek jednak uwaga natury ogólnej. Szopenowskie motywy w muzyce rockowej można podzielić ze względu na ich charakter formalny na cztery kategorie:

a) Cytatu, który pojawia się w obrębie zasadniczo nie-Szopenowskiego utworu. Taki cytat może mieć charakter zupełnie incydentalny, może też mieć silne uzasadnienie, akcentując np. programowy charakter utworu. Może być wykonany na innym instrumencie niż fortepian – np. elektrycznych organach, syntezatorze czy gitarze elektrycznej.

b) Parafrazy fragmentu szopenowskiego motywu wplecionego w autorską kompozycję. Bywa, iż taka parafraza stanowi lejtmotiw utworu.

¹ Urodzony w Nowym Orleanie, a mieszkający między innymi na Karaibach i w wielu krajach Ameryki Płd. Gottschalk znajdował się z jednej strony pod przemożnym wpływem muzyki Chopina (który zresztą wyraził się bardzo ciepło o technice młodzieńczego Gottschalka podczas ich spotkania w Paryżu), z drugiej – czerpiąc z karaibskiego folkloru i muzyki murzyńskich niewolników z Nowego Orleanu, wprowadził do klasycznej muzyki fortepianowej synkopowane rytmy antycypujące o kilkadziesiąt lat jazz. Fakt ten jednak można porównać do odkrycia Ameryki przez wikingów – Gottschalk został szybko zapomniany i nie miał żadnego wpływu na rozwój jazzu. Zob. S. Frederick Starr: *Gottschalk and His Notes of a Pianist*, Princeton University Press, 2006, passim.

c) Rockowej adaptacji całego utworu Chopina, względnie jego większego fragmentu i zaprezentowaniu go jako samodzielnej kompozycji.

d) Stylizacji partii fortepianu na Chopina bez uciekania się do cytatów czy parafrazy.

Natomiast w zasadzie nie występuje w rocku często stosowany w jazzie motyw szopenowski, służący jako punkt wyjścia do solowej lub zespołowej improwizacji². Mimo iż powyższy podział uważam za istotny, to zrezygnowałem z prezentacji motywów szopenowskich w rocku wedle takiego schematu, gdyż mogłoby to być to dla czytelnika słabo zorientowanego w meandrach muzyki rockowej mało przejrzyste. Posłużę się natomiast kryterium podmiotowym: przedstawiając na początku krótką historię motywów szopenowskich w polskim rocku, następnie śledząc wpływ muzyki Chopina na twórczość wybitnych rockowych pianistów, a na koniec szukając szopenowskich reminiscencji na płytach mniej znanych zespołów z całego świata, zwłaszcza z kręgu rocka progresywnego.

W klasycznym polskim rocku nawiązań do muzyki Chopina jest zadziwiająco mało. Nie odwoływali się do niego ani Niemen³, ani sięgający nad wyraz chętnie po cytaty z klasyków (Corellego, Borodina, Bacha, Musorgskiego) Skaldowie, ani mocno inspirujący się Corellim Jan Kanty Pawluśkiewicz z Anawą, ani żadna z doskonałych grup fusion (np. Extra Ball czy Laboratorium). Jest za to nieznośnie melodramatyczna piosenka Joanny Rawik *Kocham świat* z refrenem opartym na temacie *Poloneza As-dur*, której na szczęście do rocka zaliczyć nie sposób. W polskim rocku z tamtego okresu trzeba zatem szukać nawet dalekich szopenowskich refleksów, których wychwycenie przypomina czasem mozolne odcyfrowywanie palimpsestów. Szopenowskie zabarwienie ma np. krótkie fortepianowe solo w przeboju *Wymyśliłem ciebie*⁴ grupy Dżamble pochodzącym z longplaya *Wołanie o słońce nad światem* (1971), a także quasi-nokturnowy akompaniament fortepianu w nieśmiertelnym *Ocalić od zapomnienia* Grechuty w wersji live z 1973 r. nagrany dla Radia Kraków⁵. Z najbardziej wyrazistym odwołaniem do Chopina w klasycznym polskim rocku mamy do czynienia w przypadku SBB – najwybitniejszej, obok zespołów Niemena⁶ – grupy w historii polskiego rocka. Suitę *Wolność z nami* z ich drugiego longplaya *Nowy horyzont* (1975) wieńczy *Preludium e-moll op. 28* wykonane przez Józefa Skrzeka na fortepian solo. Wiesław Królikowski słusznie określił je mianem *perkusyjnego*⁷ (choć zapewne użył tego terminu bez pejoratywnej konotacji), bo faktycznie jest po prostu odbębnione i stanowi jeden z najsłabszych momentów w twórczości tego znakomitego przecież zespołu. Przede wszystkim brak w nim jakiegokolwiek pomysłu na odczytanie preludium przez pryzmat ambitnego rocka bądź fusion – nawet na najbardziej rudymenarnym poziomie, tj. aranżacji. Bezbarwność interpretacji Skrzeka uwidacznia się zwłaszcza w zestawieniu z nagraniem parę lat wcześniej fascynującą jazzową interpretacją *Preludium c-moll* w wykonaniu Mieczysława Kosza. Ta zachowawczość dziwi zwłaszcza w kontekście umiejętności pianistycznych lidera SBB, który dał się poznać jako świetny, bardzo kreatywny improwizator. Być może zespół, który szokował zastygły w gnuśnym oportunizmie światek muzyki rozrywkowej PRL agresywnym, dysonansowym brzmieniem, bał się odważnie potraktować muzykę Chopina, obawiając się oskarżeń

² Taki charakter mają np. *Preludium c-moll* Mieczysława Kosza z płyty *Reminiscence* (1971), *Preludium e-moll* Jagodzińskiego Trio z albumu *Chopin czy Mazurek G op. 24. Możdżera (Chopin – Impresje, 1994)*.

³ Chopinowska aluzja u Niemena pojawia się jedynie w tekście utworu *Mój pejaż* z płyty *Niemen* (1970), nazywanej potocznie *Czerwonym albumem*. Autor tekstu, występujący pod pseudonimem Marta Bellan, operuje w nim przasną, „peerelewsko-ojczyźnianą” symboliką: *Gdzie płaczącym wierzobom nad rzeką śpiewa wiatr i gdzie Chopin śpiewów tych echo w nuty kładł (...)*.

⁴ Natomiast refren tej bardzo udanej piosenki nawiązuje do słynnego *Adagio g-moll* Tomaso Albiniego.

⁵ Grechucie towarzyszyła wówczas jazz-rockowa formacja WLEM, ale akurat w tym utworze występuje solo z fortepianem. Jest to wykonanie znacznie różniące się od wersji studyjnej z płyty *Korowód* (1971) nagranej z udziałem Anawy. Utwór ukazał się jako jeden z bonusów do kompaktowej reedycji *Magii obłoków* (EMI 2000).

⁶ W skład jednej z nich – Grupy Niemen – znanej z nowatorskich płyt *Vol I* i *Vol II* wchodziło zresztą trio (Józef Skrzek, Anthimos Apostolis, Jerzy Piotrowski), które utworzyło później SBB.

⁷ Wiesław Królikowski: *Polski rock. Przewodnik płytowy L-Ż*. Res Publica Press, Warszawa 1998, s. 204.

o szarganie narodowych świętości. O wiele lepsze wrażenie robi *Preludium c-moll*, wplecione w kompozycję *Zbliż się do mego serca*, zagrane przez Skrzeka na majestatycznych piszczałkowych organach podczas mszy za ojczyznę w 1983 r. w warszawskim kościele Świętego Krzyża⁸. Cytat z Chopina ma tu z jednej strony wymiar patriotyczny, z drugiej jest wyrazem tożsamości muzyki z miejscem, bo właśnie w kościele Świętego Krzyża znajduje się serce wielkiego kompozytora.

Lata 80. i 90. były okresem kryzysu dla wszelkich ambitnych odmian rocka, nie dziwota więc, że próżno w nich szukać szopenowskich śladów. Z tym większą uwagą trzeba przyjrzeć się płycie *Rock loves Chopin* (2008) – kolektywnemu projektowi polskich rockmanów poświęconemu muzyce Chopina na niespotykaną wcześniej skalę. Wzięli w nim między innymi udział: gitarzysta (i autor aranżacji) Radek Chwieralski, Jan Borysewicz (lider Lady Pank), Grzegorz Markowski z Perfectu, basista Wojtek Pilichowski oraz wybitny pianista i najmłodszy laureat w historii konkursu chopinowskiego Janusz Olejniczak (VI nagroda na konkursie w 1970 r.). Niestety sam album – mimo kilku interesujących epizodów – należy ocenić jako artystyczną porażkę i to zgoła niespektakularną, gdyż nie jest to upadek z wysokiego konia. Klęska leży już w jego genezie – płyta jawi się jako przedsięwzięcie nieprzemyślane i powierzchowne, wypływające głównie z pobudek komercyjnych, a nie artystycznych. Dlatego trudno mi zgodzić się ze stwierdzeniem Mirosława Pęczaka – autora eseju *Chopin z gitarą*, zamieszczonego w książeczce płyty – iż album w swym mariażu rocka i muzyki klasycznej nawiązuje do estetycznego paradygmatu rocka progresywnego lat 70. Wprawdzie rock progresywny z tamtego okresu nie był wolny od wad, powodowanych głównie przez wybujałe ego niektórych muzyków, zarazem jednak w obrębie tegoż nurtu powstało mnóstwo płyt porywających i nowatorskich. Z fascynacji grupy Emerson Lake And Palmer *Obrazkami z wystawy* Musorgskiego (LP *Pictures at an Exhibition*, 1971), King Crimson *Planetami* Gustava Holsta (*Mars* wykonywany na koncertach w okresie pierwszego składu zespołu) czy francuskiego zespołu Magma kantatą *Carmina Burana* Carla Orffa (album *Mékanik Destructivw Kömmandöh*, 1973) narodziły się dzieła prawdziwie kontrowersyjne – do pewnego stopnia obrazoburcze, ale zarazem wytyczające nowe ścieżki we współczesnej muzyce, zuchwale ekstrawaganckie, lecz pełne autentycznej fascynacji dorobkiem wielkich mistrzów, nacechowane charakterystyczną dla rocka drapieżnością i intensywnością emocjonalną, ale też wysublimowane. Nawet po formacjach o ambicjach bez porównania mniejszych – choćby wspomnianym w eseju Pęczaka Procol Harum, tak chętnie korzystającym z dorobku Bacha – pozostały piękne, wysmakowane piosenki. Tymczasem na *Rock loves Chopin* nie ma ani jednego, ani drugiego – jest tylko wysoki profesjonalizm wykonawczy w służbie muzycznej konfekcji. Paradoksalnie o wiele bliższe naturze rocka progresywnego są niektóre epizody *Sonaty b-moll* w wykonaniu Trio Jagodzińskiego, np. kapitalny riff kontrabas w skrajnych częściach *Marsza żałobnego*, wzmocniony ciężkim beatem perkusji Czesława Bartkowskiego.

Szkoda, że na *Rock loves Chopin* zmarnowano spory potencjał, gdyż zwłaszcza w obrębie wirtuozowskiego triumwiratu Chwieralski–Pilichowski–Olejniczak można było z tego projektu wykrzesać o wiele więcej. Ot, choćby *Preludium e-moll* rozpoczyna się świetnym tematem funkującego basu, co daje nadzieję na ciekawą interpretację w stylu fusion. Płonną, gdyż po wejściu wokaliz Grzegorza i Patrycji Markowskich utwor przedkształca się w muzyczną tapetę i brzmi niczym ścieżka dźwiękowa z drugorzędnej komedii romantycznej. Słychać, iż inspiracją były tu partie wokalne z opracowania *Preludium e-moll* przez Novi Singers, ale efekt jest diametralnie odmienny – zamiast wykwintnej elegancji, mamy dźwiękową watę. Analogiczna sytuacja ma miejsce w przypadku *Scherza b-moll* (a w zasadzie tylko jego pierwszej części z ekspozycją pełną charakterystycz-

⁸ Zapis całego występu Skrzeka ukazał się na CD zatytułowanym *Koncert Świętokrzyski* nakładem Wydawnictwa 21.

nych pauz), zaaranżowanego jedynie na fortepian i gitarę elektryczną. Początek z impresjonistyczną partią fortepianu i gitary zwiastuje całkiem intrygującą interpretację. Niesłusznie! Cały dalszy pomysł na rockowe *Scherzo* ogranicza się do tego, że Olejniczak wykonuje swe partie w klasyczny, wierny oryginalnemu zapisowi nutowemu sposób, a gitara, choć nęci ucho rasowym hendrixowskim brzmieniem, próbuje mu w tym ustawicznie przeszkadzać. Nie jest to żaden rodzaj dialogu między instrumentami, bo pomiędzy muzykami nie czuć żadnej chemii – całość brzmi, jakby na partie fortepianu w nieznośnie sztuczny sposób nałożono ścieżki gitary. Naturalnie Olejniczak gra na swym zwyczajnym, bardzo wysokim poziomie, ale przecież nie wnosi żadnego novum w stosunku do swojej klasycznej interpretacji. Poza tym każda niekonwencjonalna wersja dzieła tej rangi co *Scherzo b-moll* powinna być rezultatem głębokiej analizy utworu – tak jak to uczynił Jagodziński w przypadku jazzowego opracowania *Sonaty b-moll*. W *Scherzu z Rock loves Chopin* w ogóle nie słychać – brzmi jakby zostało przygotowane w wielkim pośpiechu.

Po najmniejszej linii oporu idzie również kostyczne opracowanie *Poloneza As-dur*, gdzie główny temat wykonywany jest na przemian klasycznie na fortepian solo i przez zespół rockowy, bez najmniejszej próby wkomponowania fortepianu w brzmienie zespołu. Zapewne chodziło o podkreślenie koegzystencji tych dwóch muzycznych światów, ale uzyskano rezultat zgoła odmienny – uwypuklono ich obcość i wzajemną izolację. Pozostaje pytanie, czy naprawdę nie można było wykorzystać tak doskonałego pianisty jak Olejniczak w odrobinę bardziej kreatywny sposób? Z kolei w walcach: „minutowym” *Des-dur op.64 nr 1* i *Cis-moll op. 64 nr 2* nastąpiła zmiana metrum z 3/4 na 4/4, co sprawiło, że de facto walcami być... przestały. Jeśli sam zabieg zmiany metrum, choć dyskusyjny (bo przecież znakomitych rockowych walców mamy dostatek np. *Millionaire Waltz* Queen, *The Purpendicular Waltz* Deep Purple czy *Walc na trawie* Grechuty), można potraktować jako próbę nieszablonowego rozwiązania, to niestety nic nie usprawiedliwia nad wyraz banalnej aranżacji, oscylującej wokół oklepanych rockowych schematów. Stracił na tym zwłaszcza niebywale zwulgaryzowany walc „minutowy”, którego eteryczny czar prysł niczym *upuszczona przez Orfeja lira* pod naporem walca... drogowego. A przecież można ten utwór potraktować w sposób wysoce indywidualny, zachowując jednocześnie jego salonowy wdzięk, o czym świadczy błyskotliwa i dowcipna wersja z płyty *Chopin na 5 kontynentach* (2010) Marii Pomianowskiej utrzymana w stylu muzyki rodem z dziewiętnastowiecznego, nowoorleańskiego saloonu.

Z nieco większym smakiem zaaranżowano trzeci z walców umieszczonych na płycie słynny *Grande Valse Brillante – Es-dur op. 10 nr 1*, w którym zmiana metrum z 3/4 na 6/8 jest naturalna. Podobnie mogą ocenić *Etiudę c-moll – Rewolucyjną*, której interpretacja jest co prawda stereotypowa, ale zawiera przynajmniej solidny ładunek gitarowej ekwilibrystyki spod znaku Joe Satrianiego oraz Yngwie Malmsteena, co dobrze koresponduje z charakterem etiudy. Najciekawsze pomysły pojawiają w *Fantazji – Impromptu cis-moll* (niemal thrashowe riffy) oraz w *Preludium a-dur* (orientalno-ambientowy wstęp) – jednym z najkrótszych i bodaj najprostszych utworze w dorobku Chopina (jeśli pominiemy juvenilia) – tutaj znacznie wydłużonym i bardziej skomplikowanym technicznie w stosunku do oryginału. Jednak i w nich zabrakło konsekwencji i rozpoznawalnego signum artis nadającego całości charakter koherentnej wizji. Niestety wypada skonstatować, iż na tle świeżych i odkrywczych jazzowych interpretacji Możdżera i Jagodzińskiego, czy miejscami nazbyt wyglądzonego, ale skrzętego się feerią kapitalnych pomysłów projektu Pomianowskiej, prezentującego kompozycje Chopina w opracowaniach stylizowanych na muzykę etniczną z całego świata: od Syberii i Japonii po Andaluzję i Brazylię, *Rock loves Chopin* kreuje fałszywy wizerunek rocka jako gatunku użytkowego i wobec jazzu wybitnie upośledzonego. Fałszywy,

bo w rocku drzemią dokładnie takie same możliwości estetycznej ekspresji co w muzyce klasycznej i jazzie, trzeba je tylko w odpowiedni sposób wykorzystać...

Jak trudno było pianistom z kręgu rocka progresywnego zmierzyć się z muzyką Chopina świadczy przykład Keitha Emersona (ur. 1944) – lidera zespołów The Nice i Emerson Lake and Palmer. Należy on bez wątpienia do najwybitniejszych pianistów w historii muzyki popularnej – jest pionierem syntezy rocka i muzyki klasycznej, znanym z innowacyjnej gry na organach Hammonda i syntezatorze Mooga, oraz błyskotliwej techniki, która imponuje zwłaszcza doskonałą grą lewej ręki. Lwią część repertuaru grup Emersona stanowiły rockowe transkrypcje kompozytorów klasycznych: Bacha, Musorgskiego, Janacka, Bartoka, Coplanda, Ginastery, Sibeliusa, Prokofiewa i Rodrigo. Po Chopina sięgnął wprost tylko raz, opierając *Love at First Sight* – drugą część suity *Memoirs of an Officer and a Gentleman* z albumu *Love Beach* (1978) na temacie *Etiudy c-dur nr 1 op.10* dedykowanej Lisztowi⁹. Sam pomysł wykorzystania salonowej etiudy w kontekście tekstu suity opowiadającej historię pierwszej miłości dystygowanego, angielskiego, przedwojennego oficera jest bardzo *comme il faut*. Ciekawa jest również parafraza jej tematu, która tworzy wyszukany akompaniament dla linii wokalnejszego Grega Lake'a. Nie do końca przekonuje natomiast wykonanie – Emerson gra Chopina dość kanciasto i bez charakterystycznej dla niego brawury. To co doskonale zdało egzamin w przypadku *Allegro barbaro* Bartoka (utwór *The Barbarian* z debiutu Emerson Lake and Palmer, 1970) czy czwartej części *Koncertu fortepianowego* współczesnego argentyńskiego kompozytora Alberto Ginastery (*Toccata* z płyty *Brain Salad Surgery*, 1973), gdzie kompozycje z natury rzeczy brutalne zyskały w akcentującej ich witalność i dynamikę interpretacji Emerson Lake and Palmer zupełnie nową jakość, odnośnie do Chopina ma jedynie wymiar zgrabnej wariacji. Pewnym usprawiedliwieniem może być fakt, że podczas nagrywania *Love Beach* zespół był daleki od swej szczytowej formy z początku lat 70. Dalekie echa chopinowskich polonezów (zwłaszcza w charakterystycznych figuracjach lewej ręki) słychać również w bardzo udanej miniaturze Emersona na fortepian solo *Close to Home* z płyty *Black Moon* (1992). Cały album stanowi jednak w dorobku ELP pozycję marginalną.

Drugi wybitny pianista rockowy, zmarły niedawno Jon Lord (1941–2012) z Deep Purple był zakochany w muzyce barokowej, czemu wielokrotnie dawał wyraz, czy to w licznych aluzjach do Bacha na płytach Deep Purple (np. w organowym solo w *Highway Star*), czy to na wskrzeszającym tradycje barokowej suity albumie *Sarabande* (1976). Do Chopina nawiązywał jedynie okolicznościowo, podczas koncertów Deep Purple w Polsce – np. w Katowicach w 1996 r., wplatając w swoją improwizację cytaty z *Poloneza A-Dur op. 40 nr 1*. Natomiast gitarzysta Deep Purple Ritchie Blackmore na płycie *Under a Violet Moon* (1999) swojej formacji Blackmore's Night w utworze *Beyond the Sunset* wykorzystał motyw z szopenowskiego *Walca a-moll op. 34 nr 2*.

Rick Wakeman – kolejny z mistrzów rockowej klawiatury, pianista Yes, w lutym 1986 r. przyjechał do Warszawy, aby omówić nagranie z Januszem Olejniczakiem utworów Chopina i Ravela, ale ostatecznie do współpracy nie doszło¹⁰. Może i dobrze się stało, zważywszy na wybitnie nieudaną przygodę Wakemana z muzyką Liszta na albumie *Lisztomania* (1975) z soundtrackiem do filmu Kena Russella o tym samym tytule.

Ray Manzarek (1939–2013), pianista The Doors, który niestety zmarł w czasie, gdy pisałem ten tekst, był dumny ze swoich polskich korzeni i podkreślał wielokrotnie, iż muzyka Chopina stanowiła istotne źródło natchnienia dla jego klawiszowych impresji na płytach Doorsów. Do Chopina odwołał się wprost,

⁹ Bardzo gruntowną analizę muzykologicznych aspektów transkrypcji klasyki (w tym Chopina) w wykonaniu ELP przedstawia Akitsugu Kawamoto w swej rozprawie doktorskiej *Forms of intertextuality: Keith Emerson's development as a „crossover” musician*, University of North Carolina at Chapel Hill, 2006.

¹⁰ Wiesław Weiss: *Rock: encyklopedia*. Współpr. Roman Rogowiecki, Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1991, s. 593.

inkrustując organowe solo w piosence *Hyacinth House* z ostatniej płyty Doorsów z Morrisonem *L.A. Woman* (1971) cytatem z *Poloneza As-Dur*. O wiele bardziej dyskretną naturę mają związki Manzarka z Chopinem w pochodzącym z tej samej płyty *Riders on the Storm* – jednym z najwspanialszych utworów w historii rocka. Zapewne mało kto zwróciłby na nie uwagę, gdyby nie deklaracja samego Manzarka: *Te mroczne frazy przesycone są zdecydowanie słowiańskim, polskim duchem. W tym utworze najlepiej chyba widać, skąd się wywodzę*¹¹. Oparte na skali doryckiej, jazzujące i – używając synestezji – księżycowe pasaże jego fortepianu elektrycznego subtelnie imitują odgłosy deszczu (o ile w przypadku sławnego „deszczowego” *Preludium Des-dur* Chopina mamy wrażenie ciężkich, wolno spadających kropel¹², o tyle w *Jeźdźcach burzy* siąpi rześista mżawka), doskonale współgrają z naturalistycznymi odgłosami burzy, tworząc jednocześnie świetny kontrast dla szorstkiego wokalu Morrisona. Choć Manzarek nie gra tu na pewno w stylu Chopina, to w jakiś sposób przywołuje ducha jego nokturnów, czyli ujmując rzecz dosadniej ma Chopina w sercu, a nie w głowie. Jest to z pewnością najlepsza partia w karierze Manzarka i zarazem dowód, że zauroczenie muzyką rockowego Chopinem może zaowocować dziełem o wybitnych walorach artystycznych.

Po *Preludium e-moll* sięgnął wybitny hiszpański pianista jazzrockowy Jordi Sabates w utworze *Preludi en mi menor* z płyty *El Senyor dels Anells* (1974). Jest to jednak interpretacja stricte jazzowa, bliska wersji Oscara Petersona, z silnie synkopowanym rytmem lewej ręki i nie ma nic wspólnego z rockiem. Z wielkim pietyzmem potraktował *Etiudę rewolucyjną* Jordan Rudess – pianista Dream Theater, przedstawiając na solowym albumie *Prime Cuts* (2006) jej stricte klasyczne wykonanie, niczym z pierwszego etapu Konkursu Chopinowskiego. Rudess demonstruje błyskotliwą technikę i bardzo poprawną, choć może nazbyt chłodną interpretację.

Jeśli jakikolwiek pianista z kręgu rocka progresywnego zasługuje na miano par excellence chopinowskiego jest nim bez wątpienia Cyrille Verdeaux (ur. 1949) – lider francuskiej grupy Clearlight. Wybitnie utalentowany, już w wieku 14 lat zdał egzaminy do prestiżowego paryskiego konserwatorium Le Conservatoire National de Musique, w którym studiował kompozycję, harmonię i grę na fortepianie. Został z niego usunięty w 1968 r. *za udział w majowych protestach podczas studenckiej rewolty w Paryżu. Szopenowskie reminiscencje pojawiają się już na debiutanckim albumie Clearlight Symphony (1975) we fragmencie przywołującym nastrój Larghetto z Koncertu f-moll. Prawdziwe apogeum fascynacji Verdeaux Chopinem nastąpiło na trzecim longplayu Clearlight Les Contes du Singe Fou (1977), nagrany z udziałem młodzieńckiego (bo niespełna 17-letniego) Didiera Lockwooda, który później zyskał renomę jednego z najwybitniejszych skrzypków jazzowych na świecie. Muzyka z Les Contes... to synteza dzikiego, rozimprowizowanego fusion spod znaku najlepszego Mahavishnu Orchestra i pianistyki wyrastającej z ducha (jak się zaraz okaże na poły również w sensie dosłownym!) chopinowskich etiud i preludiiów. W takiej stylistyce mieści się jedna z dwóch centralnych kompozycji płyty – trzyczęściowa suita *Time Skater*. Pierwsza część to krótkie *Preludium* utrzymane w manierze najbardziej frenetycznych i popisowych preludiiów Chopina (*g-moll nr 22* czy „burzowego” *d-moll nr 24*), dodatkowo ozdobione ornamentacyjną partią klawesynu. Największe wrażenie robi jednak najdłuższa (bo ponad 9-minutowa) część trzecia *Cosmic Crusaders* porażająca kosmiczną (nomen omen!) wirtuozerią. Inicjuje ją seria cichych, nokturnowych figuracji przez całą klawiaturę fortepianu, a potem zaczyna się fenomenalne, nieokiełznane „wymiatanie” w kilku niezmiernie pokomplikowanych metrach.*

¹¹ *Podróż do kresu nocy – rozmowa Wiesława Weissa z Rayem Manzarkiem*, „Tylko Rock”, nr 2(78), luty 1998, s. 39.

¹² Trzeba pamiętać, że sam Chopin negował programowy charakter preludium, co podkreśla w swych wspomnieniach George Sand: (...) *gdy prosiłam, by posłuchał szmeru kropli spadających rzeczywiście na dach, zaprzeczył, jakoby to słyszał. Protestował z całych sił – i miał rację – przeciw dziecinadzie tych naśladownictw dla słuchu*; Cyt. za: Adam Czartkowski, Zofia Jeżewska: *Fryderyk Chopin*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970, s. 292.

Krzyżowców kończy porywające i znów wybitnie szopenowskie postludium w formie brawurowej etudy na dwa fortepiany.

Nie stylizowałem świadomie swoich partii fortepianu na Chopina – mówił mi Verdeaux – ale rzeczywiście mam pewne szczególne doświadczenie związane z Fryderykiem. Kilka miesięcy przed nagraniem tego albumu moja dobra znajoma, która trudniła się dość dziwną profesją – była medium spirytystycznym – poprosiła mnie, żebym poszedł z nią na cmentarz Père Lachaise, aby jej towarzyszyć w odprawianiu pewnych tajemniczych ceremonii. Odwiedziliśmy kilka grobowców, między innymi Allana Kardeca¹³ oraz Jima Morrisona i w pewnym momencie zatrzymaliśmy się przy grobie Chopina. Moja przyjaciółka pogrążyła się w medytacji, po czym nagle powiedziała mi: „Odezwij się do niego, on tutaj jest, wezwałam go tu dla ciebie...”. Byłem zaskoczony, ale ufając w jej umiejętności spirytystyczne, które demonstrowała mi już wcześniej, poprosiłem „Freda” bardzo serio, aby przekazał mi odrobinę swego geniuszu. Od tej pory wielu ludzi spontanicznie porównuje niektóre z moich fortepianowych kompozycji do Chopina, co niezwykle mi pochlebia. Osobiście uważam, że mój talent jest bardzo odległy od jego wielkiego geniuszu, ale że posiadam przynajmniej jego małą cząstkę – czyli dokładnie to, o co prosiłem...¹⁴.

Bardzo chopinowski charakter nosi również wspaniały nokturn *Songe de Crystal (Pieśń kryształu)*, w którym Verdeaux prezentuje dotknięcia chwiejne jak strusiowe pióro z następnej płyty *Clearlight – Visions* (1978) oraz album *Piano for the Third Ear* (1983) – zbiór przepięknych, neoklasycznych miniatur Verdeaux na fortepian solo. Znajdziemy tu między innymi fortepianowe pejzaże dedykowane francuskim malarzom doby impresjonizmu: *Toulouse Lautrec's Lament, Nymphes (for Monet)* łączące elementy szopenowskie z Ravelem, Debussym oraz muzyką arabską. Verdeaux potraktował pianistykę Chopina w sposób analogiczny do tego, w jaki Friedrich Gulda (1930–2000) przeniósł bachowską polifonię na grunt jazzu, osadził ją w kontekście rocka progresywnego i fusion, nie tracąc ani stricte rockowej ekspresji, ani wyrafinowania charakterystycznego dla muzyki klasycznej, ani – co najważniejsze – nie trywializując jej nawet w najmniejszym stopniu.

Kończąc wątek rockowych pianistów nawiązujących do Chopina należy wspomnieć o słynnym greckim mistrzu muzyki elektronicznej i filmowej – Vangelisie (ur. 1943). Na płycie *Private Collection* (1983), nagranej w duecie z wokalistą Yes Jonem Andersonem, znalazła się pieśń *Polonaise* oparta na temacie *Poloneza As-Dur*. Mimo iż utwór jest w zasadzie popowy i tonie w zawieszonym przesłodzonych, elektronicznych brzmieniach, to wykonany jest z dużym smakiem, a wokalna interpretacja Andersona ujmuje egzaltowanym liryzmem. Poza tym wykorzystanie *Poloneza As-Dur* ma tu głębokie uzasadnienie w tekście – *Polonaise* został dedykowany Polakom przeżywającym trudne chwile po wprowadzeniu stanu wojennego.

Do Chopina odwoływały się też inne, mniej znane grupy progresywne, choć często były to nawiązania marginalne. Tytułowy utwór z longplaya *Prologue* (1972) brytyjskiej grupy Renaissance celującej w dość bezwstydnym (bo zwykle bez powoływania się na źródło) cytatach z wielkich mistrzów rozpoczyna się tematem *Etudy rewolucyjnej*, który po kilkunastu taktach podlega schematycznej wariacji. Niemiecki, efemeryczny zespół Murphy Blend, bliski stylistyce Deep Purple i Uriah Heep, na swej jedynej płycie *First Loss* (1970) posłużył się cytatem z *Preludium c-moll* w utworze *Past Has Gone*. Natomiast inna grupa z RFN – Faithful Breath – oparła utwór tytułowy z albumu *Fading Beauty* na kantylenowym motywie *Scherza b-moll*, co ciekawe, granym na gitarze, a nie klawiszach.

O wiele ambitniej potraktowała muzykę Chopina grupa Opus Avantra z Wenecji, która z elementów muzyki weneckiej (od renesansu poprzez operę i pieśni gondolierów aż po twórczość awangardzisty Luigiho Nono) doprawionych

¹³ Allan Kardec (1804-1869) – francuski matematyk, fizyk i teoretyk spirytyzmu.

¹⁴ Zob. Jarosław Sawic: *Struna światła*, „Lizard” 2011, nr 2, s. 32.

szczyptą jazzu i rocka stworzyła unikatowy, dalece wykraczający poza kanon estetyczny rocka progresywnego styl. Na pierwszej płycie zespołu (*Introspezione*, 1974) zaśpiewała Donella del Monaco – bratanica wielkiego tenora z lat 40. i 50. Mario del Monaco. Jednak to drugi album *Lord Cromwell Plays Suite For Seven Vices*, nagrany już bez jej udziału, nawiązuje do Chopina. Utwór *Avarice* rozpoczyna się punktualistycznym, webernowskim motywem fortepianu, po którym słychać, przytoczony nutka w nutkę fragment, „oceanicznej” *Etiudy c-moll op. 25 nr 12*. Choć pianista Opus Avantry – Alfredo Tisocco – wykonuje ją dość ciężką ręką, to szybko zaczynają się dziać rzeczy niezmiernie ciekawe. Następuje stopniowa dekonstrukcja utworu: harmonia ulega rozluźnieniu, wznoszące i opadające arpeggia zostają zastąpione przez bitą ostrym staccato, quasi-skriabinowską melodię, która przechodzi w stricte awangardowy fragment ad libitum na syntezator i fortepian, zwieńczoną reprzyą webernowskiego tematu. Mimo iż całości brak trochę logicznie skonstruowanych łączników, utwór jest jedną z najbardziej śmiałych prób wykorzystania muzyki Chopina na niwie rockowej awangardy.

Jednak do najbardziej ognistych romansów rocka progresywnego z muzyką Chopina, w pewnym sensie antycypujących projekt Marii Pomianowskiej i to ab intra, doszło w krajach tak egzotycznych jak Chile i Indonezja. Na czwartym long-playu legendy chilijskiego rocka formacji Los Jaivas (*Los Jaivas*, 1975), nagrany w Argentynie, do której muzycy wyemigrowali po puczu Pinocheta, znalazła się nawiązująca do gatunku ludowych pieśni z Kuby kompozycja *Guajira Cosmica*. Zaczyna się fortepianową intradą stylizowaną na szopenowskie walce z cudownie falującym rubato, po czym przechodzi w nostalgiczną pieśń z wielogłosami i brawurowym akompaniamentem organów Hammonda. Fascynacja pianisty Los Jaivas Claudio Parry (ur. 1945) Chopinem miała charakter do pewnego stopnia pośredni, gdyż jego mistrzem był słynny chilijski pianista Claudio Arrau (1903–1991), wybitny interpretator repertuaru romantycznego, w tym naturalnie szopenowskiego¹⁵.

Chopin okupił swą podróż na Majorkę z George Sand w 1838 r. dramatycznym pogorszeniem stanu zdrowia podczas pory deszczowej. Pisał wtedy w liście do Juliana Fontany: *Chorowałem przez ostatnie dwa tygodnie jak pies: zaziębłem się mimo 18 stopni ciepła, róż, pomarańcz, palm i fig. 3 doktorów z całej wyspy najślawniejszych: jeden wachał com pluł, drugi stukał, skądem pluł, trzeci macał i słuchał, jakem pluł. Jeden mówił, że zem zdechł, drugi – że zdycham, 3-ci – że zdechnę*¹⁶. A co by się stało, gdyby Chopin wybrał się w wojaże stokroć bardziej dalekie i kurował się w cieniu kokosowych palm na tropikalnej wyspie Bali, delektując się dźwiękami autochtonicznej muzyki? Właśnie taką historię alternatywną zaprezentował w utworze *Chopin Larung* najwybitniejszy zespół w historii indonezyjskiego rocka – Guruh Gipsy. Jego jedyny album (*Guruh Gipsy*, 1977) – wydany jak większość indonezyjskich płyt w latach 70. nie na winylu, tylko na kasecie, zawierał unikalną fuzję rocka progresywnego w stylu Yes i ELP, fusion oraz muzyki orkiestr gamelanowych z Bali i Jawy. *Chopin Larung* zaczyna się odgłosami mew, morskich fal i mocnymi akordami fortepianu, na których tle imitujący brzmienie bambusowego fletu syntezator minimoog i delikatny głos rozwijają, niczym rajski ptak swe skrzydła, wyjątkowej urody melodię o dalekowschodnim kolorystyce. Potem następuje interludium, w którym pojawiają się obszerne wyjątki z *Fantazji-Improromptu cis-moll*, zrazu o charakterze cytatu in extenso, później gdy – wchodzi żeńska wokaliza, gongi i inne gamelanowe „perkusionalia” – rozbudowanej wariacji w balijskiej skali pelog, a w końcu quasi-psychodelicznej improwizacji, po której powraca ujęty na poły klasycznie (ale z towarzyszeniem gamelanu) temat *Fantazji*. Utwór zamyka się w formie łukowej – nieco zmienioną aranżacyjnie wersją pieśni z pierwszej części. Wszystko to sprawia, że *Chopin Larung* należy

¹⁵ Zob. David Ponce, *Prueba de sonido. Primeras historias de rock en Chile (1956-1984)*, Barcelona: Ediciones B, Grupo Zeta 2008, s. 153.

¹⁶ Józef M. Chomiński: *Chopin*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne 1978, s. 118.

do najciekawszych prób odczytania utworu z kręgu muzyki klasycznej (bo nie tylko Chopina!) przez pryzmat rocka progresywnego oraz muzyki etnicznej i jest przykładem erudycyjnej zabawy na najwyższym poziomie. W swej czarującej, arabskiej kolorystyce przypomina figurkę z chińskiej porcelany.

We współczesnej ambitnej muzyce rockowej na świecie motywy chopinowskie pojawiają się zdecydowanie rzadziej, a jeśli już, to nie są to nawiązania szczególnie interesujące. Brytyjska formacja Muse wykorzystwała w finale piosenki *United States of Euroasia* z płyty *The Resistance* (2009) obszerny fragment *Nokturnu Es-Dur op. 9 nr 2*, uzupełniając go dość tandetnym smyczkowym tłem. O ciekawszą adaptację chopinowskich wątków pokusił się belgijski zespół Kreng, który w utworze *Meisje in auto* (z płyty *L'Autopsie phenomenale de Dieu*, 2009) wtopił cytat z *Preludium c-moll* w ciemny pejzaż dźwięków z pogranicza stylu dark ambient i muzyki konkretnej. Na koniec warto wspomnieć o curiosum, jakim jest blackmetalowa wersja fragmentu *Marsza żałobnego* z trzeciej części *Sonaty b-moll*. Pojawia się ona w utworze *Call from the Grave* z płyty *Under the Sign of the Black Mark* (1987) szwedzkich pionierów black metalu Bathory. Oczywiście jest to nie tyle efekt fascynacji samą muzyką Chopina, co funeralną aurą utworu. *Marsz żałobny* pełni tu funkcję melodyjnej (sic!) kody po obligatoryjnej dawce piekielnego jazgotu uzupełnionej potępięcym rżeniem wokalisty. Być może nie czuję blackmetalowej konwencji, ale całość zamiast spodziewanej grozy wywołuje u mnie uśmiech politowania – jest to przykład szkaradnego bezguścia! Na pewno też – wbrew zamierzeniu Szwedów – nie patronują tej żenującej makabresce ani krwawi skandynawscy bogowie, ani Księżę Ciemności, tylko co najwyżej matołkowaty troll ze skołtunionym łbem i zaschniętym błotem za pazurami.

Jak zatem – po prześledzeniu powyższych przykładów – można odpowiedzieć na pytanie, które postawiłem na początku tekstu? Czy w obrębie muzyki rockowej da się wykorzystać w sposób artystycznie wartościowy szopenowskie motywy, czy muszą one niejako ex definitione podlegać wulgaryzacji i zbanalizowaniu? Odpowiedź sygnalizowałem już kilka razy wcześniej: naturalnie rock może twórczo transformować muzykę Chopina, ale tylko po spełnieniu określonych warunków. I na dodatek wysoka kompetencja wykonawcza nie gwarantuje wcale artystycznego sukcesu. Warto w tym kontekście przypomnieć znaną anegdotę związaną z malarzem Janem Styką. Otóż gdy postanowił on namalować ogromne płótno z wizerunkiem Matki Boskiej, ta ukazała się mu mówiąc: *Styko, ty mnie nie maluj na kolanach, ty mnie maluj dobrze*. Identycznie jest z rockową adaptacją muzyki Chopina – nie musi być ona czołobitna, co więcej, może być nawet obrazoburcza. Zawsze jednak powinna wynikać z autentycznej i głęboko przemyślanej fascynacji muzyką genialnego kompozytora.

Jarosław Sawic

Książki nadesłane

Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN, Lublin 2013

Alfred Marek Wierzbicki: *Autoportret z miastem. Wybór wierszy*. Posłowie Sławomir Jacek Żurek. Ss. 53.

Olga Dauksza: *Wiersze wybrane*. Wybór i posłowie Ewangelina Skalińska. Ss. 104+5 nlb.

Stefan Pomer: *Wiersze wybrane*. Wybór i posłowie Karolina Famulska-Ciesielska. Ss. 75+3 nlb.

teatr

MAGDALENA JANKOWSKA

Wesołe czarnowidztwo

Sezon 2012/2013 dobiegł końca. Teatr im J. Osterwy w Lublinie zamknął go czterema premierami – *Płatonowem* Czechowa (reż. Agnieszka Korytkowska-Mazur), *Pakujcie manatki* Hanocha Levina (reż. Artur Tyszkiewicz), *Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł* Pawła Demirskiego (reż. Remigiusz Bzyk) i *Napisem* Géralda Sibleyrysa (reż. Artur Tyszkiewicz). Dobór tytułów jest o tyle ważny, że stanowi pierwszą autorską propozycję dyrektora artystycznego tej sceny. Artur Tyszkiewicz kieruje lubelskim teatrem wprawdzie już drugi rok, ale ten poprzedni był w pewnej mierze kontynuacją wcześniej zaciągniętych zobowiązań. Upłynął również na rekonstrukcji zespołu uszczuplonego nagle o kilku aktorów, którzy odeszli wraz z Krzysztofem Babickim. Tegoroczny zestaw sztuk był podyktowany chęcią wprowadzenia popularnych poza Lublinem dramatopisarzy – Lewina i Demirskiego oraz wykorzystania modnych od dłuższego czasu tendencji inscenizacyjnych, po które ten teatr jeszcze nie sięgał.

Z czterech premierowych przedstawień najbardziej do zabrania głosu prowokuje mnie *Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł*. To ważne, że i w Lublinie mamy możliwość zetknięcia się choćby tylko z połową duetu „gorących nazwisk”, bowiem tym razem dopełniającą Pawła Demirskiego Monikę Strzępkę w reżyserii zastąpił Remigiusz Bzyk (laureat wielu nagród, a ostatnio nominowany do Gwarancji TVP Kultura 2013 za przedstawienie *Korzeniec* w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu.)

On też zaprojektował scenografię – klatkę ze spodów metalowych łożek, która wysunięta aż na pierwsze rzędy foteli ogranicza znacznie pole działania zamkniętym wewnątrz aktorom. Za ażurowym graniastosłupem biegnie rozciągnięta między kulisami wstęga w skośne białe- czerwone pasy. Temu jeszcze towarzyszy tabliczka z informacją, że teatr jest zamknięty do odwołania. Przesłanie tej aranżacji autor objaśnił w wywiadzie następująco: [...] *w całym kraju postępuje marginalizacja kultury. Brak wrażliwości rządzących na tę sferę życia jest coraz bardziej namacalny. Moja rezygnacja z przestrzeni dużej sceny i otaśmowienie jej, niczym budynku przed rozbiórką, jest symboliczna.*

Prowizorycznie zabezpieczone miejsce awarii czeka na interwencję wyspecjalizowanych służb, żeby znowu mogło być użyteczne, ale niewykluczone, że przyjdzie mu długo tkwić w tym stanie i w końcu zacznie być niebezpieczne. W takim właśnie położeniu znajduje się bohater zbiorowy tej sztuki rozpisany na osiem postaci. Przez szarą siatkę sprężyn widzimy dziwnie zestawione towarzystwo – jest tam stara bezbarwna kobieta, smutny chłopiec z misiem, dziewczyna w seksownych strojach i pozach, kibic z szalikiem swojego klubu, generał w ciemnych okularach i biskup – ubrani służbowo, niemłody turysta i bardzo biednie wyglądająca dziewczyna (kostiumy Iga Słupska i Szymon Szewczyk). Każdy jest



Halszka Lehman, Daniel Dobosz, Krzysztof Olchawa

„z innej bajki” – ale jak z czasem się okaże – łączy ich wszystkich przedziwna sytuacja, w jakiej się znaleźli: są już po własnym pogrzebie, a jeszcze nie trafili w zaświaty. Fizycznie posiadają jeszcze wszystkie cechy żywych ludzi, w żaden sposób nie pretendując do wymiaru ciał astralnych.

Nie używają swoich imion, więc i dla widza ich nie mają. Autor przydzielił im nazwy własne wynikające z najbardziej charakterystycznego atrybutu czy też funkcji, jaką spełniają w świecie dramatu. Z programu poznajemy osoby: Chłopiec (Daniel Dobosz), Dresiarz (Wojciech Rusin), Turysta (Przemysław Gąsiorowicz), Gwiazdka (Marta Ledwoń), Generał (Krzysztof Olchawa), Staruszka (Halszka Lehman), Biskup (Paweł Kos), Wanda (Marta Sroka). Brak *nominaacji* podkreśla brak wzajemnego stosunku między postaciami i kształtuje relację, w jaką my się wdajemy z osobami dramatu

Ich kwestie wyznaczają cały przekrój języków. Dresiarz mówi jak kibol, wojskowy i duchowny sięgają po utarte w swoich kręgach formuły, kandydatka na celebrytkę powtarza „kawalki” ukształtowane w środowisku ludzi sceny i estrady. Wypowiadają tekst jakby w przymusie produkowania słów – wspomnień, wyjaśnień, usprawiedliwień. Jednak czasami język traci funkcję socjalnej charakterystyki – styl przestaje pasować do użytkownika, słowniki się mieszają. Mowa ulega zaskakującej unifikacji. Wymieniają zdania, które łączą się ze sobą jakimś drobnym motywem, imitując tym samym rozmowę, namiastkę porozumienia:

CHŁOPIEC – dlaczego dopuściliście do tego, że była komuna?

GENERAŁ – a dlaczego twoja matka jest kurwą? – bo zmusiła ją do tego historyczna konieczność! – macie wreszcie paszporty i możecie wyjeżdżać

GWIAZDKA – bo przecież nieważne w jakim zakątku Polski mieszkasz – wszędzie co lubisz znajdziesz w Nowym Jorku

BISKUP – możecie wyjeżdżać – możecie pracować za granicą pod warunkiem że tu kurwa wróćcie i przywieźcie swoje pieniądze

TURYSTA – na przykład Agata – mogła pracować za granicą, bo jej ojciec miał po swoim ojcu niemieckie obywatelstwo – jej dziadek w czasie wojny podpisał Volkslistę i stał się niejako obywatelem Niemiec – ale nie każdy z was miał takie szczęście i dziadka volksdeutscha

GENERAŁ – a teraz wszyscy macie szczęście – możecie pracować i podróżować – podróżować-podróżować – podróżować jest bosko – możecie się stąd zbierać

– gracias – gracias – gracias – nikt nam nawet za to nie podziękuje – Że macie Internet i kredyty studenckie – i że jesteście wolni
CHŁOPIEC – moja wolność jest określona przez granice mojej konsumpcji – jestem zniewolony

Z tej przerzucającej się kwestiami zbiorowości wylaniają się też indywidualne, bardziej intymne, portrety. Postaci bowiem co pewien czas walczą o skupienie na sobie uwagi publiczności, nawiązanie z nią bezpośredniego kontaktu, wzruszenie jej swoją historią. W tym celu stają przy siatce, twarzą do widowni, i opowiadają, uchylając najgłębsze zakamarki duszy. Opowiadają o własnej śmierci.

Najbardziej wzruszający jest Chłopiec (Daniel Dobosz) jako eurosierota, jeden z tych, co w depresji po rozłące z rodzicami – gasterbeiterami popełniają samobójstwo. Jego neurotyczna osobowość zapisana w ruchach budzi głębokie współczucie. A przecież to on deklaruje się jako nieopanowany konsument dóbr materialnych. Równie silne emocje wyzwała Staruszka (Halszka Lehman), kiedy występując w uświęconej postaci ofiary wojennej, wprowadza nas w swoje lęki. W istocie zaś po wyzwoleniu obozu zabiła swoją współwięźniarkę z Auschwitz – „Wandę, co nie chciała Niemca”, aby ta nie ujawniła w rodzinnej wiosce, że była obozową kurtyzaną. Wanda (Marta Sroka) też „przebija się” do nas ze swoją samotnością i rozpaczą. Nawet Generał w ciemnych okularach (Krzysztof Olchawa) opowiadający o pogrzebie matki, kiedy to dla zachowania zasad nie wszedł do kościoła, staje się godnym politowania człowiekiem. Za każdym razem dostrzegamy jaskrawą sprzeczność słów i czynów tych ludzi, ale poddajemy się ich doraźnym manipulacjom.

Jakby dla kontrastu inne osoby dramatu odchodzą z tego świata w sposób niezasłużenie w ich mniemaniu prozaiczny. Turystę zabija doniczka spadająca z balkonu w czasie, kiedy złodzieje usiłują mu ukraść aparat. Gwiazdeczka ginie jadąc wymarzoną autem z mężczyzną „o szerokich horyzontach”. Dresiarza trafia kula z pistoletu policjanta, kiedy ten interweniuje w obronie studentów napadniętych przez grupę kiboli.

Kiedy cofają się w głąb pudła, między pozostałych, nabieramy do nich dystansu i możemy porównać treść zwierzeń z płynącą z innych źródeł wiedzą o człowieku i zobaczyć w każdej z osób marionetkę animowaną przez własne natręctwa biorące się z nieczystego sumienia.



Halszka Lehman

Obcujemy z echemi samobójstwa, morderstwa, pedofilii, zbrodni politycznej, prostytutce, o jakich się tu mówi, a jednak w trakcie tej jednoaktówki nie przestajemy się śmiać. Autor zadbał, by mnogość dowcipów, na ogół niewysokiego lotu, zawartych w sztuce, nie pozwoliła nam zatrzymać się na dłużej nad jakimkolwiek problemem. Obudowane komizmem sceny, które nas tak wzruszyły, szybko zaczynamy traktować jako „wyciskacze łez”. Bo przecież *Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł* to – jak sam Demirski określa swój utwór – bulwarówka. Autor opatrzył ją podtytułem: *czyli w heroicznych walkach narodu polskiego wszystkie sztachety zostały zużyte*. I w druku reklamowym, towarzyszącym premierze, dorzucił „ostrzeżenie”: *Nie ma w niej wzniosłych postaci przemawiających wyrafinowanym wierszem ze swych piedestałów. Nie ma w niej miejsca na bajkową scenografię i fantastyczne kostiumy. Nie ma w niej miejsca na epilog z morałem. Jeśli ktoś oczekuje koturnowej wzniosłości – zawiedzie się. Jeśli ktoś oczekuje pustej rozrywki – zawiedzie się. Jeśli ktoś oczekuje bajkowej feerii – zawiedzie się. Jeśli ktoś oczekuje opowiadki umoralniającej – zawiedzie się. Jeśli ktoś oczekuje wyrafinowanego języka – zawiedzie się. Jeśli ktoś oczekuje apolityczności – zawiedzie się. Jeśli ktoś oczekuje poprawności politycznej – zawiedzie się. Jeśli ktoś oczekuje spektaklu o niczym – zawiedzie się. To wszystko zaś kończy słowami: *Odważnych, tolerancyjnych, nieobojętnych i nieprzewrażliwionych zapraszamy na spektakl!**

Czytając *Ostrzeżenie!* można było ulec pokusie spekulacji: skoro się mówi: „jak coś jest do wszystkiego, to jest do niczego”, to z odwrócenia płynie wniosek: jeżeli coś nie jest do tego, ani do tego, ani do tego, może służyć do wszystkiego. Najwidoczniej wielu tej pokusie uległo i posypały się okrzyki „drugie Wesele”, „Polaków portret własny”, „A to jest Polska właśnie” oraz że to sztuka tak odważna, jak jeszcze nie było! Faktycznie możemy po niej szkolną metodą powtarzać rejestr figur-symboli z rozszyfrowaniem znaczeń jak u Wyspiańskiego. Postaci autentyczne: Generał w ciemnych okularach – postać wzorowana na żyjącym generale Wojciechu Jaruzelskim, sprawcy stanu wojennego do dziś nieosądzonym, Biskup – jego pierwowzorem jest arcybiskup metropolita poznański, a następnie arcybiskup senior archidiecezji poznańskiej – Juliusz Paetz oskarżony o molestowanie. Postaci fikcyjne: Staruszka, więźniarka Auschwitz – ikona narodowej martyrologii opartej na zafalszowaniu wojennej przeszłości. I tak dalej, i tak dalej. W tym wymiarze podobieństwo uderzające. Ale zaraz rodzi się pytanie: skoro to ma być „Wesele” XXI wieku, to gdzie spór sprzecznych racji, które tak życiu społecznemu, jak i sztuce nadają prawdziwą dynamikę? Gdzie konflikt idei? Tu przecież brak dyskursu. Natomiast diagnoza, że cała duchowość Polaków uległa kompletnej degradacji na podstawie wyłącznie takich przedstawicieli, byłaby młodzieńczo uproszczonym pesymizmem.

To nie jest narodowe zwierciadło, w którym możemy się przeglądać, to lustro weneckie, jakie wykorzystuje policja, by obserwować podejrzanych. Gdzie są inni przedstawiciele tej nacji? Ci, co także żyją z pamięcią stanu wojennego, afer w sferach duchowych, bankowych, politycznych, administracyjnych, nieleckiego bytu instytucji i ludzi kultury, a nawet upadku polskiej piłki nożnej oraz ogólnoświatowego kryzysu, a jednak... Właśnie o to zmaganie upominają się dzieła pretendujące do obrazowania świata, opisu kondycji człowieka, sprostanania złożoności tej relacji.

Gdyby dramat narodowy nie wymagał specyficznie rozłożonych napięć, to kocktajl serwowany nam przez media, skłaniałby nas do wielogodzinnych refleksji, tymczasem my płynnie przechodzimy przy takim dajmy na to „Teleexpressie” od westchnienia „Boże, ale to tragedia!” do „Ale fajnie!”

Zatem i ta sztuka nie staje się „przygodą człowieka myślącego”. Pokazuje świat w uproszczonej postaci, zbudowany z gotowych elementów, znaków utrwalonych w świadomości. Korzysta z podpowiedzi inżyniera Mamonia, że lubimy to, co już znamy. Kabaretowe „wstawki” bawią, lecz polskie problemy ulatują widzom

z głów już w chwili wybrzmienia ostatnich oklasków. Jest rejestrem naszych dawno przeliczonych „upiorów”, a nie ich studium. A jeśli już Demirski ma nam coś uświadamiać, to zatrważające dla mentalności społeczeństwa skutki popkultury, kształtowanie naszego „światopoglądu” przez sensacyjnie spreparowane „niusy” i cikliwie programy z udziałem bohaterów o patologicznych cechach (patrz casus mamy Madzi).

Toteż zamiast popadać w głęboki pesymizm, który nie pozostawia miejsca na nic innego poza bezwolnym zanurzeniem się w morzu głupoty i łajdactwa, przynajmniej – *Był sobie...* to sztuka rozrywkowa, napisana zgodnie z zasadami wybranego gatunku, inscenizowana w Lublinie bez zarzutu przez Remigiusza Bzyka i dobrze zagrana przez aktorów Teatru im. J. Osterwy. Jeśli od niej nie żądać zbyt wiele, daje widzom chwilę odpoczynku przy dobrej zabawie. Czegoż chcieć od bulwarówki jak nie populizmu i dosadności, taniej sensacji, szokujących scen, erotyki, łatwo przyswajalnego języka oraz odwoływania się do emocji z pominięciem intelektu. I to wszystko dostaliśmy. Dla jednych będzie to ulubiona pozycja teatralna, inni skorzystają z niej jak z kolorowego pisemka w kolejce do kasy albo poczekalni. Pozwólmy Demirskiemu „zrzucić z ramion płaszcz Konrada”. Albowiem reakcja na tę sztukę lepiej pokazała, gdzie jesteśmy i jak myślimy, niż to, co sam autor w swe dzieło wpisał. Chyba że on to przewidział?

Magdalena Jankowska
Fotografie Bartłomiej Sowa

Paweł Demirski: *Był sobie Polak, Polak, Polak i diabeł*. Reżyseria i scenografia: Remigiusz Bzyk; kostiumy i współpraca scenograficzna: Iga Słupska, Szymon Szewczyk; muzyka: Jan Grudzień. Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Premiera 25 maja 2013 r.



Krzysztof Olchawa, Daniel Dobosz

bez tytułu

LESZEK MĄDZIK

Park

Przyjechałem nocą, w deszczu. Zmęczenie dało o sobie znać, więc szybko wylądowałem w łóżku. Niespodziankę przyniósł poranek, gdy spojrzałem w okno. To już nie ten pejzaż, który przyjął mnie, gdy dotarłem do Pałacu Opatów w Oliwie. To co było ukryte, ujawniło się w pełni. Deszczowe chmury ustąpiły, odkrywając błękitne niebo i nasyczone głębią zieleni drzewa. Paleta była wyjątkowo bogata. Zachłannie wpatrywałem się w te wszystkie plany w zróżnicowanych tonacjach, które przypominały malarzy takich jak Watteau, Boucher i Fragonard. A że był to świt, tylko delikatny powiew wiatru poruszał potężnymi koronami drzew. Liście drżały bardziej z nieśmiałości niż z niepokoju o to, co przyniesie dzień.

Okno, w którym stałem, nie było za duże, ale otwierało szeroką perspektywę w głąb parku. Tonacja zieleni sprawiała, że chciałem zanurzać się coraz mocniej. Niesamowitości dodawała obrazowi tafla wody, która co jakiś czas przedzierała trawniki. Lustro wody odbijało stojące nad nią drzewa, zwielokrotniając je. Im więcej przybywało słońca, tym pejzaż stawał się coraz bardziej rajski, niemal trącił kiczem. I można by go tak zostawić w pamięci, jak i w rzeczywistości, ale oto doszedł nowy element. W tej nieskazitelnej ciszy pojawił się człowiek. Najpierw jeden, potem drugi, trzeci. Niewidoczne z daleka alejki wypełniły się przechodniami.

Mówię „przechodniami”, gdyż tempo i szybkość, z jaką się przemieszczali, nie sugerowała, że ich obecność bierze się z potrzeby smakowania urody parku. Po prostu droga do wyznaczonego celu prowadziła ich przez soczystą zielen przyrody. Pewnie codziennie zmierzali tym traktem z myślami odległymi od kontemplacji piękna natury. Z godziny na godzinę rytm przenikający park Oliwski zmieniał się, stawał się bardziej spokojny, zintegrowany z otoczeniem. Kolorowe plamy ubrań pozwalały lepiej dostrzec odcinające się na tle zieleni postacie.

Przystaniami dla wędrujących były ławki, ich kolor wtapiał się w tło impresjonistycznego parku. Ławki były małymi scenkami teatralnymi, na których przypadkowi aktorzy rozgrywali w swoistej pantomimie własne radości i kłopoty. Jedne postacie bardziej splątane, inne z dystansem, ale prawdziwe i przekonujące. Tuż przed południem pojawiły się nowe obiekty, rekwizyty nierozzerwalnie związane z ich właścicielami. To wózki dziecięce pchane przez młode matki. Stateczność tych scen zakłócały nieregularne pochylenia się nad pojazdami, z których dochodził niemowlęcy płacz. Park stawał się coraz głośniejszy. Głos ptaków splatał się z niewinną, ale donośną tonacją krzyku maluchów. Czas płynął, a ciepłe powietrze usypiało dotlenione maleństwo. Z pobliskiej katedry dzwony obwieszczały południe. Ich dźwięk dyscyplinował spacerowiczów, przywołując do kolejnych zadań w rozkładzie dnia.

Zrobiło się znowu ciszej. Przyroda odpoczywała od gwaru i krzyku. Pozornie osamotniona, ale nie na długo, bowiem przestrzeń zaczęli wypełniać nowi aktorzy tego

spektaklu na otwartej scenie. Ich kroki i sylwetki mówiły nie tylko o nadchodzącej porze dnia, ale i o ich wieku. Starsi mężczyźni i kobiety, jak na zwolnionym filmie, przemieszczali się na tle witalnej przyrody jeszcze bardziej wzmacniającej kontrast. Bohaterów tych wędrówek zatrzymywały ławki – miejsca wytchnienia i zadumy. Jednych na dłużej, innych na moment. Tak jak niewidocznie przyszedli, tak też i zniknęli pod wieczór, zostawiając wspomnienia chwil, których świadkami były milczące drzewa. Wieczór gubił linię wody, drzew i pustoszejącej przestrzeni. Jeszcze tylko bezszelestnie, prawie niewidoczny, przebiegł między drzewami mały rudy pies, obsikał jedno z nich i pobiegł za panem.

Leszek Mądzik

Książki nadesłane

Poezja

Bolesław Leśmian: *Wiersze wybrane*. Wydawnictwo Jednooki Kruk, Biała Podlaska 2013, ss. 90.

Anna Frajllich: *Niezapominajki*. Płyta CD, zrealizowana przez Annę Gielarowską i Waldemara Sutryka. Nagrana przez „KabART” Pracownia Muzyczna Dariusz Kabaciński, Szczecin 2012. Wydana z okazji siedemdziesiątej rocznicy urodzin autorki, poświęcona także pamięci Danuty Chudzianki i Ewy Kołogórskiej.

Tymoteusz Karpowicz: *Dzieła zebrane*, tom 3. Biuro Literackie, Wrocław 2013. Tom 3. ss. 393.

Marek Czuku: *Nietrwała kompozycja. Wiersze metafizyczne i religijne*. Wybór i układ Małgorzata Juda-Mieloch. Wydawnictwo Republika Ostrowska, Ostrow Wielkopolski 2013, ss. 111.

Jacek F. Brzozowski: *Galatea*. Wydawnictwo Cedro i Synowie, Kielce 2013, ss. 99.

Danuta Agnieszka Kurczewicz: *Domy bez głów*. Wydawnictwo TAWA, Chełm 2012, ss. 85.

Arkadiusz Rytelewski: *Endorczymy*. Wydawnictwo Liber Duo, Lublin 2012, ss. 54.

Grzegorz Jędrak: *Badland*. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Łódź 2012, ss. 72+3 nlb.

Irena Wyczółkowska: *Portret z duszą na ramieniu*. Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2013, ss. 49.

Kamil Brewiński: *Clubbing*. Hub Wydawniczy Rozdzielczość Chleba, Kraków 2013, ss. 48.

Bogumiła Rydzowa: *Ten most zbudowałam z ulotnych mgieł...* Polihymnia, Lublin 2013, ss. 211.

Zbigniew Waldemar Okoń: *Dom nasz będzie ogromny*. Chełmski Klub Literatów „Osnowa”, Chełm 2012, ss. 35.

Stanisław Kopiec: *Niebieski gościniec. Wiersze wybrane*. Słowo wstępne Józef Baran. Wybór, opracowanie i posłowie Maria Jentys-Borełowska. Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr”, Warszawa 2013, ss. 286.

Michał Murowaniecki: *Owoce noża*. Łódzki Dom Kultury, Łódź 2012, ss. 49+3 nlb.

Słowo nie umiera. XXVII Zaduszki Poetów – poświęcone Wisławie Szymborskiej. Oficyna Konfraterni Poetów, Kraków 2012, ss. 98+6 nlb.

namiętności

MAREK DANIELKIEWICZ

Fotografie

*(...) jeszcze zapach twój unosi się
w pustych korytarzach ulic.
tnie niczym szpada dachy kamienic.(...)*

Rafał Mieczysławski, z tomu pt. *rzucone na światło*

Zamarłem, gdy dowiedziałem się o zawale serca mojego znajomego poety. Natychmiast zacząłem kalkulować, że to dopiero pierwszy zawał, że przecież kiedyś profesor Jan Kott miał pięć zawałów i szczęśliwie dożył późnego wieku, więc nie jest jeszcze aż tak źle. W takich sytuacjach człowiek szuka jakiegoś kojącego wytłumaczenia, byleby tylko odsunąć od siebie myśl o najgorszym. I tak jest – przynajmniej w moim życiu – ze wszystkim. Migam się, wiję jak węgorz, sam siebie próbuję oszukiwać...

Tymczasem coraz więcej przedwczesnych śmierci wokół nas. Uwikłani w codzienność nie potrafimy ich w porę dostrzec. Mechanizmy samozachowawcze sprawiają, że w pewnym sensie stajemy się impregnowani na całą zewnętrżność.

W chaosie informacyjnym giną wiadomości najważniejsze. Na ich selekcję nie mamy czasu, a jakże często wytrwałości, siły i ochoty. Dlatego nie dziwi nas, że jedni ludzie gdzieś znikają, a ich miejsce zajmują nieznajomi. Jeśli cokolwiek dziwi, to czemu tak szybko przyzwyczajamy się do zmian na gorsze.

Często w snach pojawiają się zmarli przyjaciele, są młodzi, odmienieni, jakby poddani retuszowi... Wtedy zastanawiamy się, skąd w nich ta zmiana i czemu tak zniemacka, tak nieoczekiwanie dają o sobie znać.

Przyznaję, że jestem maniakiem twórczości Mircei Eliadego, więc prawie wszystko tłumaczę sobie na jego sposób, czyli jestem upartym poszukiwaczem drogi wyjścia z labiryntu. W tym labiryncie tkwię razem z innymi. Mamy podobne lub takie same problemy. Każdą znajomość traktuję jako rzadki dar, zaszczyt czy nawet cud. Bo dla czego akurat ci ludzie, ci poeci, ci aktorzy, ci dziennikarze, ci naukowcy, a nie inni są mi bliscy... Jak to się stało, że właśnie oni... Czy jest w tym moja zasługa...

Uświadomienie sobie kruchości życia, to pierwszy krok na drodze do odkrycia własnego losu. Taki on jest. Prostota i zwyczajność tych paru słów nie budzi oporu.

Artyści należą do świata osobnego. Dostęp do niego mają tylko nieliczni. Dlatego śmierć artysty wzbudza większe zainteresowanie. Jest stratą jakby boleśniej odczuwaną. Ale nawet i oni odejdą kiedyś w mrok zupełnej niepamięci. Taki jest mechanizm. Tak sobie to zaplanowała Natura.

Mirek Olszówka (1960-2010) był postacią charakterystyczną, indywidualnością znaną i cenioną szeroko poza Lublinem. Z jego śmiercią wciąż trudno się pogodzić. Dlatego nie dziwią opowiadania o mężczyźnie w kapeluszu, który spaceruje z lekko pochyloną głową uliczkami Starego Miasta. To prawdopodobne. Czemu miałby opuścić miejsce, które pokochał za życia?

Na archiwalnych fotografiach wygląda imponująco – inaczej w czasach gdy był aktorem i mimem, inaczej w towarzystwie muzyków i intelektualistów, jeszcze inaczej w miesiącach poprzedzających śmierć. Przejmująco o jego ostatnich chwilach życia pisał o. Tomasz Dostatni.

Festiwal *Inne Brzmienia* w Lublinie to jego dziecko. Dzisiaj dziecko dorasta bez ojca. Dojrzewa w cieniu jego legendy. To prawda, że jest otoczone tłumem, ale tłum zawsze pozostaje anonimowy.

Celem Mirka Olszówki menadżera było łączenie artystów różnych gatunków muzycznych i różnej narodowości, by powstała nowa jakość nieulegająca popularnym trendom, komercji; bez schlebiana masowym gustom muzycznym. Sądził, że jest w Lublinie zapotrzebowanie na oryginalne i ambitne propozycje artystyczne.

Chciał również wzbogacić lubelskie życie wystawiennicze, prezentując przy okazji festiwalu artystów plastyków i fotografików z najwyższej półki. Tej myśli stara się po jego śmierci sprostać Janek Taraszkiewicz z grupą współpracowników.

Bogatą dokumentację festiwalu *Inne Brzmienia* wykonał Robert Grablewski, specjalizujący się w fotografii koncertowej, zaś oprawa graficzna kolejnych edycji jest w gestii Krzysztofa Rumowskiego, który na co dzień pracuje w UMCS i zajmuje się grafiką książkową; ostatnio zmienił nie do poznania oprawy graficzne miesięczników „Nowe Książki”, „Teatr Lalek” czy „Dialog”.

Podczas upalnych dni piątej edycji festiwalu *Inne Brzmienia* (lipiec 2012 roku) mieliśmy okazję spotkać się z legendą artystów fotografików Markiem Karewiczem, którego do fotografowania piosenkarzy i muzyków, szczególnie jazzmanów namówił Leopold Tyrmand (1920-1985). Karewicz posłuchał rady pisarza i dzięki temu w polskich zbiorach mamy tysiące zdjęć najwybitniejszych artystów polskich i zagranicznych, choćby Krzysztofa Komedy (1931-1969) i Milesa Davisa (1926-1991).

Festiwal Inne Brzmienia w obiektywie Roberta Grablewskiego

Długowłosey chłopak z aparatem fotograficznym –
szekspirowski Ariel zwiastujący muzyczny spektakl
Wieża Trynitaraska opakowana jak obiekty Christo

Na najwyższym piętrze staromiejskiej kamienicy
mimo zbliżającej się północy i oślepiających reflektorów
podrygująca kobieta z niemowlęciem

W czerwieni i fiolecie, głowa przy głowie
sprawdzamy czy żyjemy naprawdę –
nikt nie wymyślił lepszej metody potwierdzenia naszej obecności

Bywalcy Mandragory przysięgają, że widzieli mężczyznę w kapeluszu...
Szedł ulicą Rybną i nie reagował na zaczepki
Jest paru wiarygodnych świadków

Marek Danielkiewicz

KRYSTYNA RYBICKA

100 LAT / 100 × MALEWICZ MUZEUM KSIĄŻKI ARTYSTYCZNEJ W ŁODZI

Wieczorem 18 maja 2013 r. rozpoczęła się w Łodzi kolejna edycja Nocy Muzeów. Program był bardzo bogaty i różnorodny, więc nic dziwnego, że chętni do zwiedzania ustawiali się nieraz w długich kolejkach, co w ciepły majowy wieczór kojarzyło się z oczekiwaniem na jakieś uroczyste wydarzenie. Jedną z takich niezwykłych atrakcji było z pewnością spotkanie poświęcone Kazimierzowi Malewiczowi, specjalnemu bohaterowi tegorocznej imprezy, zorganizowane w Muzeum Książki Artystycznej w Łodzi przez Jadwigę i Janusza Tryznów. To wymarzone miejsce do frapującej rozmowy i celebrowania setnej rocznicy powstania jednego z najważniejszych obrazów XX wieku, czyli *Czarnego kwadratu na białym tle*. Zaproszenie do dyskusji m.in. o aktualności manifestacji suprematyzmu i obecności abstrakcji geometrycznej w sztuce współczesnej przyjęli znakomici goście: prof. Stanisław Fijałkowski, prof. Janusz Zagrodzki i Tadeusz Mysłowski, amerykański twórca polskiego pochodzenia, pozostający w kręgu postkonstruktywistycznych działań artystycznych, autor *Krzesło Tronu dla Malewicza*. Słowem: spotkanie mistrzów.



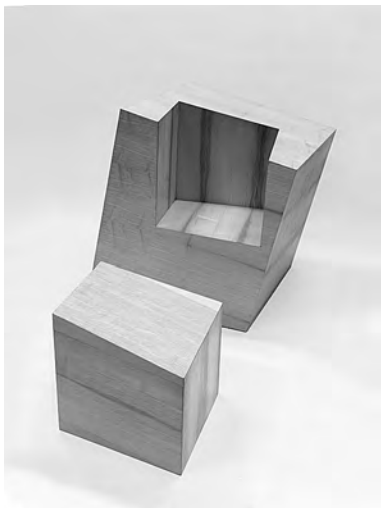
Po spotkaniu w Muzeum Książki Artystycznej w Łodzi, 18/19 maja 2013 r. Stoją od lewej: prof. Janusz Zagrodzki, Tadeusz Mysłowski, Janusz Tryzno, prof. Stanisław Fijałkowski, Jadwiga Tryzno. Fot. K. Rybicka

Prof. Stanisław Fijałkowski, twórca jedyne polskiego przekładu *Świata bez-przedmiotowego* Kazimierza Malewicza, komentując swoją pracę translatorską, wyznał skromnie: *Niewiele mam do powiedzenia na temat Malewicza, ponieważ jestem malarzem, a nie historykiem sztuki. Malewicz interesował mnie głównie ze względu na to, że Strzemiński, którego jestem uczniem, bardzo często spotykał się z Malewiczem. Malewicz, będąc w Berlinie, nawiązał kontakty z Bauhausem. Wydał książkę (Kazimir Malewitsch: Die Gegenstandslose Welt. Begründung und Erklärung des russischen Suprematismus, Monachium 1927 – przyp. K. R.) i z wydania niemieckiego, pierwszego wydania Bauhausu, przetłumaczyłem ją na język polski. Podjąłem się tego, ponieważ silna więź pomiędzy Strzemińskim i Malewiczem oraz mną i Strzemińskim jako skłaniała mnie, żeby polskim czytelnikom przedstawić ten ważny dokument. Dziwiłem się bardzo, że tłumacze zawodowi nigdy nie przetłumaczyli ani Malewicza, ani Kandinsky'ego. Musiał się za to wziąć malarz (...). Pociągała mnie z jednej strony zbieżność pewnych ujęć, z drugiej strony różnice, kolosalne różnice między Strzemińskim a Malewiczem. Malewicz cały był nastawiony na metafizykę, a Strzemiński odżegnywał się od każdego znaczenia, które wybiega poza obraz wzrokowy. To bardzo ciekawe.*

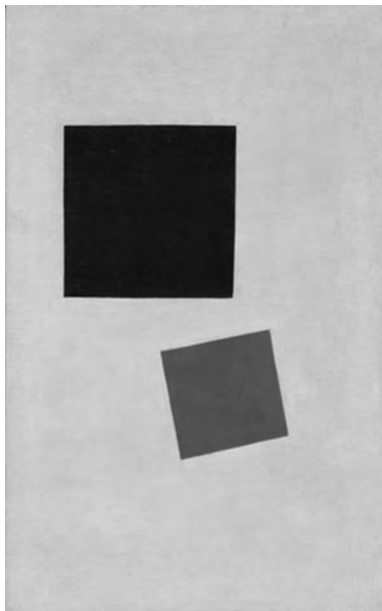
Prof. Janusz Zagrodzki przypomniał o wystawie Kazimierza Malewicza, która odbyła się w Polskim Klubie Artystycznym w hotelu Polonia w Warszawie w marcu 1927 r., o dramatycznym w skutkach przerwaniu podróży Malewicza po Europie, o związkach z polskimi artystami, z Henrykiem Stażewskim, Władysławem Strzemińskim. Powiedział m.in.: *Malewicz w czasie pobytu w Warszawie miał do dyspozycji właśnie pracownię Stażewskiego i tam namalował kilka obrazów, których z różnych powodów nie mógł przywieźć ze sobą. Stażewski mu to ułatwił. Część z obrazów ze Stedelijk Museum w Amsterdamie została namalowana w Warszawie dzięki finansowemu wsparciu Stażewskiego. Ciekawe jest również to, że obrazy Malewicza – zrolowane – były przywiezione pod pachą. Kilkadziesiąt obrazów trzeba było przygotować na wystawę, a to były same płótna. Podwijano ich kromkę i przybijano je bezpośrednio do ściany. Nie stać było Malewicza i jego kolegów, żeby zrobić do nich krosna. (...) Malewicz, będąc w Berlinie, miał nadzieję, że po zamknięciu wystawy pojedzie do Paryża, więc powstała idea, żeby część obrazów zostawić w Warszawie w Galerii Sztuki Nowoczesnej, którą Strzemiński chciał otworzyć pod egidą grupy Praesens. Malewicz zostawił jeden architekton i dwa obrazy u Szymona Syrkusa, które potem miały trafić do kolekcji grupy „a.r.”, ale nigdy nie trafiły. Jest tam cały szereg sytuacji wyjątkowych. (...) Malewicz wyjechał z Berlina, ponieważ zamykali mu Государственный институт художественной культуры (ГИИХУК) w Leningradzie. Parę osób zostało zaaresztowanych, on pojechał ratować sytuację. Skończyło się na tym, że po przyjeździe został zatrzymany. Już nigdy potem Malewicz za granicę nie wyjechał.*

Tadeusz Mysłowski zwrócił również uwagę na ogromny wpływ Malewicza na powstawanie amerykańskiego minimal artu, na twórczość takich artystów, jak Robert Ryman, który przez trzydzieści lat malował monochromatyczne obrazy w bieli, Donald Judd, Dan Flavin, Mark Rothko, Ad Reinhardt. Zresztą Mysłowski całą swoją twórczością zaświadcza o bogactwie koncepcji Kazimierza Malewicza. Ich wzajemne ponadczasowe relacje artystyczne stanowią swoisty intymny dialog. Tadeusz Mysłowski, analizując formę kwadratu i krzyża, obrazując ich struktury przestrzenne, tworząc cykle *Cross Over*, *Avenue of the Americas* czy *W kierunku geometrii organicznej*, bada kosmiczny wymiar *Czarnego kwadratu...* i jego tkanekę. Pokazuje jak pod mikroskopem jego organiczność, nieprzewidywalność, ze śladami żmudnych ludzkich zmaganiań, wzlotów i zaniechań, niepowtarzalnością ludzkiego bytu w bezmiarze wszechświata.

KrzesełTron dla Malewicza to artystyczny hommage złożony artyście przez artystę. Kompozycja obrazu *Malarski realizm chłopca z plecakiem, msza kolorów w czwartym wymiarze* (1915, MOMA Nowy Jork) zainspirowała Mysłowskiego



Tadeusz Mysłowski: *Krzesło Tron dla Malewicza*, 2006, fot. P. Maciuk



Kazimierz Malewicz: *Realizm malarski chłopca z tornistrem w czwartym wymiarze. Czarny i czerwony kwadrat*, 1915, wym. 71,1 x 44,4 cm, olej, Museum of Modern Art, Nowy Jork

do wyprowadzenia formy przestrzennej, nawiązującej do majestatycznego kształtu siedziska, tronu. Powrócił do wcześniejszego cyklu *Krzesła Tronów*, tworzonych dla wybranych artystów od 2006 r., zmieniając jednak materiał, z którego został wykonany pierwowzór. Zrezygnował z surowego drewna na rzecz bardziej miękkiej faktury. Użyty materiał miał zaakcentować wniesione do instalacji przesłanie – zamieszczone w tablicie teksty dotyczące Kazimierza Malewicza przeniknęły abstrakcyjną wirtualną rzeczywistość, zaś tradycyjny materiał użyty do skonstruowania *Krzesła Tronu* nawiązał do gramatury papierowej książki.

Wybrana przez Mysłowskiego kompozycja Malewicza nie jest przypadkowa. Ów obraz był prezentowany w Warszawie na wspomnianej już wystawie w hotelu Polonia w marcu 1927 r. I właśnie z tego powodu miejsce to stało się dla Tadeusza Mysłowskiego szczególnie bliskie. Podczas swoich pobytów w Polsce w latach 80. był wielokrotnym gościem hotelu, wykonał również projekt *Krzesła Tronu* – pomnika mającego stanąć w Alejach Jerozolimskich przed wejściem do dawnego Klubu Artystycznego.

Symboliczna instalacja niespodziewanie ujawniła drzemiącą w niej energię podczas uroczystego wieczoru; wspomagana magnetyzującym spojrzeniem czujnych oczu Kazimierza Malewicza stała się miejscem wypoczynku pięknego czarnego kota, który mimo perswazji do końca spotkania nie chciał opuścić siedziska...

Kolejnym punktem spotkania z Malewiczem w Muzeum Książki Artystycznej były działania wielomedialne – *CZARNYsupreKWADRATmatyzm* – przeprowadzone przez Józefa Żuka-Piwkowskiego i grono jego przyjaciół: Dariusza Adryńczyka, Andrzeja Janaszewskiego, Sławka Kalwinka, Jana Pieniążka, Jarosława Sapieję, Tadeusza Sudnika i Macieja Walczaka, artystów, którzy hermetycznym językiem filmu, muzyki, słowa weszli w kosmiczną ciszę *Czarnego kwadratu*. Uwolniona energia pulsującym tętnem poruszyła bezmiar, a drgające wnętrzości odwiecznej czerni brutalnie odebrały dystans – przejście na drugą stronę idei.



Tadeusz Mysłowski: *KrzesełTron dla Malewicza*, 2013, fot. K. Rybicka



Symultanicznie w sali obok transmitowany był film dokumentalny o Kazimierzu Malewiczu, przedstawiający bezcenne archiwalia oraz miejsca, w których przyszło mu żyć i umierać.

Dokładnie o północy z niespodziewanie uroczystej ciszy i aksamitnej ciemności wyłoniła się w całej swej typograficznej i przestrzennej urodzie książka *Bibliografia i rysunki Zbigniewa Brzezińskiego*, kolejne jej wydanie, dzieło Wydawnictwa Correspondance des Arts.

Jadwiga Tryzno napisała o książce: *Koncepcja wyłoniła się po przyjęciu dwóch założeń: oparcia bryły o architektoniczną konstrukcję wymaganowanej biblioteki Zbigniewa Brzezińskiego oraz użycia formy „czarnego kwadratu” Kazimierza Malewicza do zaprojektowania poszczególnych stron łączących tekst bibliografii i obrazy rysunków. Zestawienie na płaszczyźnie papieru esencji twórczości Brzezińskiego i Malewicza – dwu gigantów o polskim pochodzeniu, działających po dwóch stronach komunistycznego lustra (...). Aby narzucić tempo robót, postanowiliśmy ustalić datę pierwszego publicznego pokazu książki na dzień, a właściwie Noc Muzeów – 18/19 maja 2013 r. Z tej okazji został przygotowany program poświęcony setnej rocznicy ogłoszenia koncepcji „czarnego kwadratu” przez Kazimierza Malewicza.*

Pani Tryzno, kończąc spotkanie, podsumowała: *Zresztą, jeśli chodzi o Malewicza, to moje wrażenie jest takie, że on żyje. 100 lat minęło, a ten czarny kwadrat i inne kwadraty, które nam do świadomości włożył, są ciągle żywe...*

Krystyna Rybicka



Bibliografia i rysunki Zbigniewa Brzezińskiego w edycji Wydawnictwa Correspondance des Arts

noty o autorach

Maciej Białas – ur. 1972 w Przemyślu. Kompozytor, koncertujący muzyk, publicysta. Ukończył Akademię Muzyczną im. G. i K. Bacewiczów w Łodzi w klasie fortepianu prof. Z. Lasockiego. Doktor nauk humanistycznych w dyscyplinie kulturoznawstwo; adiunkt w Zakładzie Pedagogiki Instrumentalnej Instytutu Muzyki Wydziału Artystycznego UMCS. W grudniu 2001 r. w Lublinie miało miejsce prawykonanie jego *Koncertu na 2 gitary i 8 instrumentów*. W swoim dorobku ma kilkadziesiąt publikacji i referatów wygłoszonych na konferencjach naukowych, w tym jedną monografię (*Orfeusz technokrata. Media w upowszechnianiu muzyki poważnej*). Jako pianista uczestniczył w latach 2001-2010 w blisko 50 koncertach (występował m.in. z orkiestrą symfoniczną Filharmonii Lubelskiej jako solista) i 200 audycjach muzycznych. Od 2004 r. współpracuje z „Akcentem”. Od 2011 r. przebywa w Stanach Zjednoczonych.

Adam Binduga – ur. 1971 w Barlinku. Absolwent filologii polskiej KUL, dziennikarz radiowy. Debiutował w „Kresach” w 1992 r., publikował także na łachach „Akcentu”, w prasie codziennej oraz w czasopiśmie rolniczych. Obecnie pracuje przy finansowej obsłudze rolnictwa. Zainteresowania: uprawa pomidorów i historia cywilizacji. Od 1995 r. mieszka we Wrocławiu.

Marek Danielkiewicz – ur. 1958 w Lubartowie. Poeta, recenzent teatralny i literacki, felietonista, rysownik. Studiował teologię w KUL i prawo samorządowe w Instytucie Prawa PAN w Warszawie. Pracował jako nauczyciel i urzędnik. W latach 2000-2009 dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. A. Mickiewicza w Lubartowie. Debiutował tomem wierszy *Nie ma miejsca dla przyjezdnych* (1987). Ponadto opublikował: *Osobne ocalenie* (1990), *Pochwała domu* (1993), *Powrót do Pustej Doliny* (1995), *Namiętności. Notatnik teatralny i literacki* (2000), *Droga do Kozłówki* (2001), *Chłopak z prowincji* (2004), *Emil z ulicy Lubelskiej* (2009). W przygotowaniu do druku tom *Pożegnanie* w opracowaniu graficznym Arkadiusza Dereckiego oraz zbiór wierszy w języku węgierskim. Teksty ogłaszał także m.in. w „Akcentcie”, „Agni”, „Folks=Sztyme”, „Kamienie”, „Magyar Napló”, „Okolicach”, „Opcjach”, „Poezji”, „Portrecie”, „Redzie”, „Swito – wyd”, „Szpilkach”, „Twórczości” i antologiach. Członek Zarządu Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi (2005) i Medalem Wojewody Lubelskiego (2011). Mieszka w Lubartowie.

Anna Frajlich – ur. 1942 w Kattatałdyk w Kirgiskiej SRR, gdzie w czasie II wojny światowej przebywali jej rodzice, którzy pochodzili ze Lwowa. Po zakończeniu wojny zamieszkała z rodziną w Szczecinie. Następnie przeniosła się do Warszawy, gdzie ukończyła filologię polską na UW. Wyemigrowała z Polski wraz z mężem i synem w 1969 r., a w 1970 r. osiadła w Nowym Jorku. Jest autorką 13 tomów poetyckich opublikowanych w Polsce i za granicą, zbioru opowiadań, kilku książek eseistycznych i epistolarnych, laureatką Nagrody Fundacji Kościelskich (1980) oraz nagrody Fundacji Władysława i Nelly Turzańskich (2003).

W 2002 r. odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, w 2008 r. uhonorowana tytułem Ambasadora Szczecina. Stale współpracuje z „Przeglądem Polskim” (dodatkiem literacko-kulturalnym do nowojorskiego „Nowego Dziennika”), a w Polsce jej wiersze i eseje ukazywały się m.in. w „Akcentcie”, „Rzeczpospolitej (Plus-Minus)”, „Tygodniku Powszechnym”, „Odrze”, „Więzi” i „Pograniczach”. Od lat wykłada język i literaturę polską na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Związana współpracą z „Akcentem” odwiedza Lublin podczas każdego pobytu w Polsce.

Michał Jagiełło – ur. 1941 w Janikowicach pod Krakowem. Absolwent polonistyki UJ, prozaik, poeta, autor opracowań historyczno-literackich i esejów. Tatarnik, alpinista (Kaukaz, Pamir, Góry Pontyjskie, Alpy Julijskie i szwajcarskie), ratownik GOPR i TOPR. W latach 1989-1997 wiceminister kultury, 1998-2007 dyrektor Biblioteki Narodowej, przez wiele lat przewodniczący Krajowej Rady Bibliotecznej. Najważniejsze publikacje historyczno-literackie i z zakresu historii idei: *Tatry w poezji i sztuce polskiej* (wspólnie z Jackiem Woźniakowskim, 1975); „*Tygodnik Powszechny*” i *komunizm 1945-1953* (1988, drugi obieg), *Trwałość i zmiana. Szkice o „Przeglądzie Powszechnym” 1984-1918* (1993), *Partnerstwo dla przyszłości. Szkice o polityce wschodniej i mniejszościach narodowych* (1995, 2000), *Ogrody kultury i żywioly rynku* (1998); *Gałązka kosodrzewiny. Najdawniejsze wypadki tatrzańskie w piśmiennictwie polskim* (1999, 2000, 2001), *Próba rozmowy. Szkice o katolicyzmie odrodzeniowym i „Tygodniku Powszechnym” 1945-1953*, t. 1-2 (2001), *Zbójnicka sonata. Zbójnictwo tatrzańskie w piśmiennictwie polskim XIX i początku XX wieku* (2003, 2004, 2006), *Słowacy w polskich oczach. Obraz Słowaków w piśmiennictwie polskim*, t. 1-2 (2005), *Tatry i poeci. Antologia wierszy* (2007), przewodniki po lekturach – *Narody i narodowości* (2010), *Razem czy osobno* (2011). Proza: *Hotel klasy Lux* (1978, ekranizacja 1979), *Obsesja. Opowiadania* (1978), *Świętlista obręcz* (1979), *Wołanie w górach* (1979, do dziś osiem wydań), *Bez oddechu* (1981), *Studnia* (1985), *Obsesja i inne góry* (1994), *Trójkątna turnia* (1996), *Za granicą grań* (1998), *Jawnie i skrycie* (2000). Poezja: *Goryczka, słodyczka, czas opowieści* (2007), *Sosna i pies. Poemat z zagrody* (2008), *Ciało i pamięć* (2010). Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2009). Mieszka w Warszawie.

Magdalena Jankowska – poetka i krytyk teatralny. Autorka tomów poezji: *I co dalej?* (1990), *Kula i skrzydło* (1992), *Zbiór otwarty* (1994), *Tak się składa* (1998), *Już* (2002), *Salon mebli kuchennych* (2006), *Skrzyżowanie* (2011) oraz książki prozatorskiej *Billing* (2001). Stała współpracowniczka „Akcentu”. Recenzje publikowała również w „Kamieniu”, „Kresach”, „Na przykład”, „Scenie”, „Sycynie”, „Relacjach”, „Tygodniku Współczesnym”, „Życiu Warszawy”. Ostatnio w „Akencie” specjalizuje się w omówieniach dramaturgii radiowej.

Konstandinos Kawafis – ur. 29 kwietnia 1863 r. w Aleksandrii w Egipcie, zmarł tamże w dniu swoich urodzin siedemdziesiąt lat później. Grecki poeta, reformator wiersza i kodyfikator literackiego języka nowogreckiego; jeden z najważniejszych poetów XX wieku. Związany z Aleksandrią, gdzie spędził większą część swego życia; przez pewien czas mieszkał także w Anglii, Francji i w Konstantynopolu, skąd pochodziła jego rodzina. W Aleksandrii pracował jako dziennikarz i urzędnik państwowy. Za życia nie wydał żadnej książki poetyckiej. Swoje wiersze, czelowane całymi latami, publikował wyłącznie w prasie literackiej. Tzw. kanon poezji Kawafisa obejmuje 154 utwory, których wyboru dokonał tuż przed śmiercią sam poeta. W poezji tej powracają takie tematy jak: historia i dziedzictwo kultury śródziemnomorskiej (szczególnie Grecji doby hellenistycznej i Bizancjum), przemijanie, indywidualizm, zmysłowość i miłość homoseksualna. Język Kawafisa cechuje prostota, doskonałość formalna i rzadka precyzja oraz specyficzna, subtelna ironia. Do najważniejszych utworów poety z Aleksandrii należą m.in.: *Czekając na barbarzyńców*, *Miasto* i *Itaka*.

Samantha Kitsch – pseudonim literacki. Według informacji na stronie internetowej Instytutu Mikołowskiego autorka czterech tomów poetyckich: *Bahama* (1996), *25 wierszy* (2006), *Helena* (2009) i *Ulubiony sport* (2011). Ponadto wiersze publikowała m.in. w „Akencie”, „Czasie Kultury”, „FA-arcie”, „Kresach”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Odrze”, „Studium”, „Twórczości” i „Zeszytach Literackich”.

Małgorzata Krakowiak – ur. 1980 w Chorzowie. Absolwentka filozofii oraz politologii UŚ. Podróżniczka i dziennikarka. Przez prawie 3 lata mieszkała w Australii, gdzie pracowała w Ambasadzie RP w Canberze. Pobył na antypodach zwieńczyła podróżą dookoła kontynentu, którą opisuje na swoim blogu <http://odwschodudozachodu.wordpress.com/>. Główny obszar zainteresowań autorki to Europa Środkowa oraz Australia. Jej teksty ukazały się m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Biuletynie Migracyjnym” Ośrodka Badań nad Migracjami UW, czeskim magazynie „Navýchod”, na portalach internetowych Nesweek.pl, PortalFilmowy.pl, Panorama Kultur. Europa Mniej Znana. Mieszka na zmianę w Bytomiu i w małej miejscowości pod czeską Pragę.

Lechosław Lameński – ur. 1949 w Bydgoszczy. Profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie kieruje Katedrą Historii Sztuki Nowoczesnej. Redaktor działu pla-

styki i historii sztuki w „Akcentie” (od 1985 r.). Autor ponad 160 artykułów, recenzji, wstępów do katalogów, a także książek *Tomasz Oskar Sosnowski, 1810-1886, rzeźbiarz polski w Rzymie* (1997), *Stach z Warty. Szukalski i Szczep Rogate Serce* (2007), *Moi artyści, moje galerie. Teksty o sztuce XIX i XX wieku* (2008). W pracach zbiorowych, publikacjach na łamach „Akcentu” i w katalogach opracowywał m.in. twórczość Zdzisława Beksińskiego, Jerzego Dudy-Gracza, Jerzego Jarnuszkiewicza, Rafała Malczewskiego, Grzegorza Mazurka, Antoniego Michalaka, Stanisława Szukalskiego, Stanisława Bałdygi, Jacka Wojciechowskiego, Tomasza Zawadzkiego, Tomka Kawiaka. Współpracował ze „Znakiem”, „Biuletynem Historii Sztuki” i „Tygodnikiem Powszechnym”, gdzie publikował m.in. artykuły na temat Magdaleny Abakanowicz, Edwarda Dwurnika, Jana Lebensteina, Aliny Szapocznikow. Od 2009 r. członek Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa (SKOZK).

Imre Laurinyecz – ur. 1966 w Békéscsabie. Ukończył filologię polską w Debreczynie, studiował także w KUL (uczestnik seminarium doktoranckiego prof. Władysława Panasasa i prof. Józefa Fertę). Obecnie finalizuje rozprawę doktorską poświęconą bajkowym i baśniowym schematom w twórczości Brunona Schulza. Współpracował z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN” w Lublinie. Publikował rozmowy z węgierskimi pisarzami (m.in. z György Konrádem, Péterem Balassa) na łamach czasopism regionalnych. Pracował jako organista, nauczyciel; współpracował z wydawnictwem benedyktynów na Węgrzech. Przygotowuje książkę autobiograficzną pod tytułem *W koszyku Boga*. Mieszka na Węgrzech.

Ewa Dunaj Mazur [Dunaj-Kozakow] – ur. 1956 w Gdańsku. Historyczka literatury, krytyczka literacka, nauczycielka akademicka w UMCS, autorka m.in. monografii *Bursa* (1996), opracowań lektur szkolnych z literatury powszechnej i polskiej oraz podręcznika do literatury XX/XXI wieku dla szkół średnich. Pod panięńskim nazwiskiem Ewa Mazur opublikowała tomy poetyckie: *Nikt nie chciał ponosić odpowiedzialności* (1983), *Wspomnienia i przepowiednie* (1992), *Był ogród* (1994), *Pochwała ciemnych godzin* (2001). Jej wiersze były tłumaczone m.in. na łużycki, niemiecki i ukraiński. Stale współpracuje z „Akcentem”, mieszka w Lublinie.

Maciej Melecki – ur. 1969 w Mikołowie. Poeta i scenarzysta filmowy, redaktor pisma „Arkadia”, dyrektor Instytutu Mikołowskiego. Autor arkuszy: *Zachodzenie za siebie* (1993), *Dalsze zajścia* (1998), *Panoramix* (2001), *Opuszczone strony* (2008) i tomów wierszy: *Te sprawy* (1995), *Niebezpiecznie blisko* (1996), *Zimni ogrodnicy* (1999), *Przygodki i odmiany* (2001), *Bermudzkie historie* (2005), *Zawsze wszędzie indziej – wybór wierszy 1995-2005* (2008), *Przester* (2009), *Szereg zerwań* (2011). Redaktor książki *Reszta krwi – wiersze nieznanne* (1999), zawierającej niepublikowane wiersze Rafała Wojaczka. Mieszka w Mikołowie. Prezentowane utwory pochodzą z przygotowywanego do druku tomu *Pola toku*.

Karolina Przesmycka – ur. 1982 w Lublinie. Absolwentka politologii i dziennikarstwa UMCS. Autorka artykułów publicystycznych oraz naukowych z pogranicza politologii, socjologii, historii i filozofii. Od wielu lat zainteresowana problematyką Europy Środkowowschodniej. Współorganizatorka Wakacyjnej Akademii Reportażu im. Ryszarda Kapuścińskiego. Obecnie pracuje jako grafik komputerowy.

Jarosław Sawic – ur. 1976 w Lublinie. Krytyk muzyczny specjalizujący się w rocku progresywnym, fusion i folku. Współpracownik magazynu „Lizard”. Autor kilkudziesięciu tekstów (artykuły, eseje, recenzje, wywiady) publikowanych na łamach „Akcentu”, „Lizarda”, „Midrasza”, „Twojego Bluesa”.

Łukasz Suskiewicz – ur. 1977 w Częstochowie. Prozaik, radca prawny, absolwent Uniwersytetu Śląskiego. Autor powieści *Egri Bikaver*. Publikował m.in. na łamach „Frazy”, „Kresów”, „Opowieści”, „Twórczości”, „Tygla Kultury” oraz w antologiach współczesnych polskich opowiadań (2008, 2011). Mieszka w Częstochowie.

Małgorzata Szlachetka – ur. 1980 w Lublinie. Dziennikarka, autorka tekstów krytycznoliterackich. Absolwentka filologii polskiej UMCS i studiów podyplomowych z dziennikarstwa na UW. Od lutego 2006 r. do stycznia 2013 r. pracowała w „Gazecie Wyborczej Lublin”, obecnie w „Kurierze Lubelskim”. Jako krytyk literacki debiutowała na łamach „Akcentu” 2004 nr 3-4, z którym stale współpracuje, publikowała także w „Nowych Książkach” i „Twórczości”. Mieszka w Lublinie.

Bogusław Wróblewski – ur. 1955 w Lubartowie. Absolwent polonistyki UMCS, gdzie obecnie pracuje. Doktorat w 1986 r. pod kierunkiem prof. Jerzego Świącha. Założyciel (1980) i redaktor naczelny „Akcentu”. Debiutował w 1973 r. wierszem w „Kamieniu”. Jest m.in. autorem zbioru szkiców pt. *Wydziedziczenie i kompleksy* (1986), rozprawy *Die Problematik Ostmitteleuropas in literarischen Zeitschriften in Polen* (1996), krytycznej edycji *Wierszy zebranych* Zbigniewa Chałki (1997) i Waława Oszejcy (2003), almanachu *Zaulek poetów* (2005), współredaktorem *Pism* Danuty Mostwin (2003), pracy zbiorowej na temat Isaaca B. Singera (2005), książki dedykowanej profesorowi Jerzemu Świąchowi pt. *Słowa i metody* (2009), a także autorem około stu publikacji w pracach zbiorowych i czasopismach (również w Niemczech, USA, na Ukrainie i na Węgrzech). Opracował tom szkiców o pisarstwie Ryszarda Kapuścińskiego pt. *Życie jest z przenikania* (PIW, 2008). Współautor monografii twórczości wychodźców z Europy Środkowej *Exile and Return of Writers from East-Central Europe. A Compendium* (Verlag de Gruyter, Berlin – New York 2009). Ostatnio dla serii Biblioteka „Akcentu” przygotował antologię *Lublin – miasto poetów* (2012) oraz *Jeszcze bliżej. Antologia nowej liryki węgierskiej* (2013). Tłumaczył poezję z niemieckiego i rosyjskiego (piosenki Włodzimierza Wysockiego). W latach 1998-2005 członek Rady Programowej Polskiego Radia S.A. w Warszawie. Laureat m.in. Nagrody Fundacji Polcul (2006) oraz Nagrody Miasta Lublin za całokształt osiągnięć w dziedzinie kultury (2010). Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006) i Medalem Zasłużony Kulturze – Gloria Artis (2010).

W następnych numerach:

- Proza Judyty Bednarczyk, Andrzeja Goworskiego, Sławomira Majewskiego, Julianny Jonek, Eugeniusza Koźmińskiego;
- Wiersze Jacka Giszczaka, Sławomira Hornika, Waldemara Michalskiego, Rafała Mieczysławsky’ego, Jánosa Oláha;
- Maciej Białas o Basi Stępnia-Wilk;
- Jarosław Wach o twórczości Wiesława Myśliwskiego;
- Omówienia nowych książek prozatorskich i literaturoznawczych.

Autorem fotografii prac Stasysa Eidrigevičiausa reprodukowanych w „Akencie” nr 1/2013 jest Ignacy Eidrigevičius. Przepraszamy za pominięcie tej informacji.

Contents and Summaries

Mark Danielkiewicz: *poems* / 7

Emigration odyssey in letters – Bogusław Wróblewski: the editorial / 11

The introductory essay presenting the collection of letters by Jan Leszcza, a Polish poet who after World War II settled in the United States. Wróblewski demonstrates how through the reading of letters and poems we can reconstruct the biography of the generation of Polish “soldiers immigrants.” The author makes references to his article *Polish WW II Veteran Émigré Writers in the United States* published in the international monograph *Exile and Return of Writers from East-Central Europe. A Compendium*. Ed. by J. Neubauer and B. Z. Török (Verlag de Gruyter, Berlin – New York 2009).

Emigration odyssey in letters – the letters from Jan Leszcza to Jan Kowalik / 28

The letters by Jan Leszcza, a Polish poet in exile, addressed to Jan Kowalik, a bibliographer and a poet who also settled in the United States. The carefully edited correspondence, found by Bogusław Wróblewski in the archives of the Hoover Institution (California) and provided with a profuse number of footnotes and comments, reveals a fascinating story of the generation of authors pushed by the war to the western occupation zone in Germany, and later to America.

Łukasz Suskiewicz: *The beast* / 63

A moving story about two different ways of treating a horse by a peasant and by an officer. For the peasant a horse is just a beast of burden, for the officer – a comrade in arms. The cavalryman would rather kill the animal which once served in the army than let anyone tarnish its dignity.

Michał Jagiełło: *poems* / 66

Małgorzata Krakowiak: *The country of great hopes and visions of the past. On the novels by Diane Armstrong* / 70

The characteristics of the prose by Diane Armstrong – an Australian writer of Polish descent who left Poland as a child after World War II. The following recurrent themes in Armstrong’s novels are identified: the motif of immigration, cultural alienation in a new country, a man exposed to a test and the issue of intolerance. In the essay they are juxtaposed with the themes popular among other immigrant writers in Australia (Mark Raphael Baker, Yoram Gross, Peter Skrzynecki and Abraham Biderman).

Ewa Mazur: *poems* / 77

Anna Frajlich: *Five months of life (1990)* / 80

An excerpt of Frajlich’s diary. She is a poet and an author of short stories and essays. Frajlich emigrated from Poland with her husband and son

in 1969. In 1970 she settled in New York and for many years she taught Polish language and literature at Columbia University.

Maciej Melecki: *poems* / 93

Imre Laurinyecz: *The escape* / 69

A nostalgic story depicting the inner world of a young and lonely protagonist who stays in a boarding school run by very strict and fearsome friars.

Karolina Przesmycka: *The Forefathers over the Commonwealth, or how the Belarusians want to revive the Polish-Lithuanian union* / 99

After nearly 220 years after the fall of the Grand Duchy of Lithuania its legacy is still alive. The Duchy's memory is cultivated not only by modern Poles and Lithuanians, but also by the residents of Belarus. The idea of the renewal in the relations between the nations which used to belong to the Grand Duchy of Lithuania relates to the cultural sphere (a common intellectual heritage and a value system) as well as political reality (the formation of a confederation). More or less utopian concepts, presented primarily on websites, can contribute to a valuable recovery of public debate in Poland and in Belarus.

Samantha Kitsch: *poems* / 106

Adam Binduga: *Gorillas* / 108

A metaphorical story taking place in the school environment during the era of communism in Poland. It deals with the topic of deliberate and deceitful obliteration of history which removes undesirable events from social consciousness and memory.

Małgorzata Szlachetka: *A cabaret without numbers* / 113

The presentation of a well-known Lublin cabaret "Łoża 44" and the artistic achievements of its creator, Irosław Szymański – a screenplay writer, a composer and a director who in the 1980s was a co-author of a television show *Meeting with a ballad*. Founded in 1972, the cabaret had been a highlight of the cultural life in Lublin. The satirical texts by Szymański featured an allusive commentary on Polish political and social reality.

Konstandinos Petrou Kawafis: *poems* / 118

REVIEWS

Selections, studies, syntheses

Bartłomiej Krupa: *The shadow of death* ["The Consequences of the Holocaust. Poland 1944-2010." Ed. Feliks Tych, Monika Adamczyk-Garbowska]; Małgorzata Szlachetka: *Dehnel has no change* [Jacek Dehnel "Junior Accountant. On books, reading and writing"]; Marcin Orliński: *In the state of dispersion* [Arkadiusz Bałajewski "Maps of two decades 1989-2009. Lines of continuity"]; Dominika Kurek: *Polish dragons and Polish knights* [Małgorzata Tkacz "Tales too real. Thirty years of fantasy in Poland"]; Karolina Ewa Wieliczko: *Always (beyond) fragment* [Jacek Łukasiewicz "TR"]; Rafał Czekaj: *A savant on the ramparts of mass culture* [Umberto Eco "On Mirrors and Other Essays"]; Arkadiusz Bałajewski: *The presence of Romanticism* [Magdalena Rabizo-Birek "The romantic and the modern. The presence of Romanticism in Polish contemporary literature"] / 122

Reviews of recently published scholarly books, essays and literary criticism seen through the lens of the most important phenomena in contemporary culture.

ART

Lechosław Lameński: *Expressive portraits and nostalgic landscapes by Stanisław Baja, the last Romantic in Polish Painting* / 149

The overview of paintings and graphics by Stanisław Baj, a professor in the Warsaw Academy of Fine Arts originating from the Eastern Borderlands of Poland. The most characteristic among Baj's works are the portraits of his mother and the peasants from his home village (seen as a symbol of a disappearing social group) and the landscapes of the river Bug. Lameński strongly denies the popular opinion that Baj is a representative of the long-gone peasant culture. The author claims that Baj is an artist deeply rooted in the best traditions of Polish portrait and landscape painting of the nineteenth and early twentieth century. In the second decade of the twenty-first century infused with extreme emotions Baj's compositions seem both up-to-date and timeless.

MUSIC

Jarosław Sawic: *Between artistry and banality. Chopin's themes in rock music* / 158

The author speculates whether within the rock music characterized by a fundamental simplicity or even a kind of primitivism, one can create compelling artistic interpretations of Frederic Chopin. Due to their formal character, Chopin's themes in rock music are divided into four categories: 1) a citation, 2) a paraphrase of a fragment interwoven into the author's composition, 3) a rock adaptation of Chopin's whole piece or its larger fragment, 4) a stylization of the piano part without resorting to citations or paraphrases. Sawic begins with the history of Chopin's themes in Polish rock music, then he tracks the impact of Chopin's music on eminent rock pianists, and finally he explores Chopin's reminiscences in the music of less known progressive rock bands from all over the world.

THEATRE

Magdalena Jankowska: *A merry twist to the prophecy of doom* / 167

The review of Paweł Demirski's play *There was a Pole, Pole, Pole and the devil* directed by Remigiusz Bzyk in Juliusz Osterwa Theatre in Lublin. Instead of an insightful study, the play simply discloses the record of Polish "ghosts" which have long been discovered. Although Bzyk's adaptation shows the world in a simplified form – constructed from prefabricated elements and characters established in the mind – it clearly exposes the appalling consequences of the impact of popular culture on the society's mentality and on the worldview formation dominated by sensational "news" and overemotional programs featuring characters with pathological inclinations.

NO TITLE

Leszek Mądzik: *A park* / 172

An impression on the park at the Abbot's Palace in Gdańsk-Oliwa. The morning light awakens the place which gradually fills up with people, voices of birds and children, resembling a stage in the theater.

PASSIONS

Marek Danielkiewicz: *Photographs* / 174

Health problems leading to friends' premature deaths impel the author to reflect on the fragility of life. Danielkiewicz revisits human self-defense mechanisms which are usually unconsciously activated in order to conceal the inevitable and the irreversible. It is also a kind of farewell to Mirosław Olszówka – actor-mime, director and co-founder of the theatre Scena Ruchu, manager of Voo Voo and Ossian, director of the “Different Sounds” Art’n’Music International Festival.

NOTES

Krystyna Rybicka: *100 years / 100 x Malewicz*. Book Art Museum in Łódź/ 176

A report from a meeting organized by Jadwiga and Janusz Tryzno at the Book Art Museum in Łódź during the 2013 edition of the Night of the Museums. There was a panel discussion devoted to the art of Kazimierz Malewicz, the legacy of Suprematism and the presence of geometric abstraction in contemporary art. The panelists were: prof. Stanisław Fijałkowski, prof. Janusz Zagrodzki and Tadeusz Mysłowski, an American artist of Polish descent, the author of innovative artistic projects inspired by Constructivism.

Notes about the authors / 180

Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Salon sprzedaży „Empik”
ul. Lipowa, Galeria „Plaza”
20-024 Lublin, tel. 81 534-36-98

Księgarnia „Empik”
Krakowskie Przedmieście 40
20-002 Lublin, tel. 81 534-32-73

Antykwariat przy Pałacu Tarłów
ul. Dolna Panny Marii 3a
20-010 Lublin, antykwarnia-lublin@wp.pl

Księgarnia – Antykwariat
ul. Jasna 7a
20-071 Lublin, tel. 813-078-887

Księgarnia „Ezop”
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 81 532-56-15

Galeria ZPAP
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 81 532-68-57

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin, tel. 81 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Ośrodek Informacji Turystycznej
ul. Jezuicka 1/3
20-113 Lublin, tel. 81 532-44-12

M. Grynder. Gdańska Księgarnia Naukowa
ul. Łągiewniki 56
80-855 Gdańsk, tel. 58 301-41-22

Księgarnia „Libella”
pl. Sejmu Śląskiego 1
40-032 Katowice, tel. 32 200-92-06

Księgarnia Literacka Stefan Zielski
plac Konstytucji 3 Maja 3
10-414 Olsztyn, tel. 89 533-62-24

T. Grajkowski – Księgarnia „Wrzenie Świata”
ul. Gałczyńskiego 7
00-362 Warszawa, tel. 22 828-49-98

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa, tel. 22 826-18-35

Księgarnia ORPAN „BIS”
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa, tel. 22 697-88-35

Libra. Księgarnia Wysyłkowa Janusz Kabath
ul. Kossutha 4/41
01-355 Warszawa, tel. 22 666-28-38

Księgarnia Wysyłkowa LEXICON
ul. Sengera „Cichego” 24 m.2A
02-790 Warszawa, tel. 22 648-41-23
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Księgarnia „Stacja Falenica”
ul. Patriotów 44a
04-912 Warszawa-Falenica, tel. 530-882-809

Księgarnia Akademicka
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra, tel. 68 326-35-20 w. 220

Tu do nabycia m.in. numery:

z 2008: 1 – wiersze B. Zadury i T. Chabrowskiego, proza J. Łukasiewicza, szkice o poezji Kapuścińskiego i o Polakach w Paryżu; 2 – A. Kochańczyk o dziennikach Iwaszkiewicza, szkice o rzeźbach Zamoyskiego, wiersze A. Niewiadomskiego i M. J. Kawałki; 3 – *Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof* (m.in. A. Boniecki, W. Oszejka, J. Pasierb, B. Taborski, J. Życiński, J. Tischner) + suplement *Wiersze* U. Jaros; 4 – nowa poezja ukraińska, J. Święch o współczesnej biografistyce, piosenki J. Kondraka, Tomek Kawiak – artysta niespokojny + suplement poetycki *I jeszcze dalej* W. Sołtysa.

z 2009: 1 – Balcerzan o Herbercie i Miłoszu, Cyborgi – figury globalizacji i industrializacji, „Widnokrąg” Myśliwskiego w Teatrze Osterwy; 2 – Proza T. Chabrowskiego i J. Bieruta, *Penderecki multimedialny*, Jak powstał pomnik na Majdanku; 3 – *Ostatnie dni Nazara Honczara*, Z Lublina na Manhattan – Tadeusz Mysłowski, *Internet jako miejsce pochówku*, Marcin Różycki – bard ironiczny i sentymentalny; 4 – Marcińczak o Bobkowskim, Zubiński o Hrabalu, Rzym i Jerozolimie – opowieść o dwóch miastach.

z 2010: 1 – Nowicki o prozie Brunona Schulza, Ryczkowska o opowiadaniach Andrzeja Pilipiuka, Wróblewski o pisarstwie Danuty Mostwin, malarstwo Jana Ziemskiego; 2 – Nowa powieść Jacka Dehnela, Łobodowski o Czechowiczu, Broniewskim, Gałczyńskim, Szkołot u Kapuścińskiego, Jarosław Wach: *Anatomia nienawiści*; 3 – Opowiadania Birute Jonuškaitė, Marcina Kreczmera, R. Książek o jankaniu w kulturze współczesnej, urodziny Hanny Krall; 4 – Hanna Krall: *Dom opieki*, Ryszard Kapuściński: *Fakty nie są nagie*, Marcin Czyż: *(U)kraina marzeń*, Jan Popek – artysta nostalgiczny.

z 2011: 1 – *Jerzy Giedroyc – Sokrates czy Robespierre?*, Graffiti – historia nowej wrażliwości, Jak Wyka czyta Różewicza?, *Kłopoty z „Latającym Cyrkiem Monty Pythona”*; 2 – Proza Amira Gutfreunda i Katalin Mezey, wiersze Hałny Kruk i Tadeusza Chabrowskiego, Bogdan Nowicki o ontologicznych herezjach Brunona Schulza, Muzyka klasyczna wobec wszechwładzy rynku; 3 – Nowa poezja ukraińska w przekładach Bohdana Zadury, Marek Kusiba: *Kochankowie z ulicy Kościelnej*, Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Sceny z życia codziennego artystów*; 4 – *Sienkiewicz metafizyczny*, Wojciech Białasiewicz o Wieniawie-Długoszowskim, „Zar” Leszka Mądziaka, Maciej Białas o Grzegorz Cichowskim.

z 2012: 1 – John Cage – artysta przelomu, o twórczości H. Krall, T. Różewicza, O. Tokarczuk i J. Dehnela; 2 – Najnowsza proza H. Krall, o rozmowach Miłosza z Bogiem, Latawiec i Balcerzan – poetycki duet; 3 – R. Kapuściński o „nowym dziennikarstwie”, rozmowa z A. Osiecką; 4 – *Ejdetyka lustra*, o lubelskiej etnolingwistyce, *Ars poetica dzisiejszej Ukrainy*.

„Akcent” można nabyć również w sieci Ruch, Pol Perfect, Garmond Press oraz Kolporter.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

**„Akcent” można zaprenumerować m.in. w sieci „Ruch” S.A.
i kupić w salonach prasowych i kioskach tej firmy. Oto niektóre adresy:**

Augustów	3-Go Maja 4	Piotrków Tryb.	Wojska Polskiego 24
Biała Podlaska	Sidorska 100	Piotrków Tryb.	Słowackiego 123
Białystok	Upalna 68 A	Płock	Morykoniego 2
Białystok	Mieszka I 8	Płock	Sienkiewicza 42
Białystok	Sitarska 9	Płock	Kobylińskiego 2
Białystok	Fabryczna 18	Poznań	Wrocławska/Podgórna
Bielsko-Biała	Warszawska 28	Poznań	Garbary
Brodnica	Duży Rynek	Poznań	Keplera 1
Bydgoszcz	Kruszwicka 1 Real	Poznań	Fredry/Kościuszki
Bydgoszcz	Magnuszewska 6 (Salon)	Przemysł	Mickiewicza 3
Bytom-Szombierki	Wyzwolenia 125	Przemysł	Kamienny Most
Chorzów	Wolności 8	Puławy	Centralna 10
Chorzów	Wolności 42	Pułtusk	Świętojańska 6
Ciechanów	Warszawska 62	Radzyń Podlaski	Ostrowiecka 5 A
Częstochowa	Kościuszki/Lelewela 16	Rybnik	Plac Wolności
Garwolin	Senatorska	Rzeszów	Zygmuntowska 10
Gdańsk	Dragana 17/18	Sanok	Rynek 16
Gdańsk	Sikorskiego/Cienista	Siedlce	Młynarska 10
Janów Lubelski	Wesoła 9	Słupsk	Mochneckiego
Jarosław	Jana Pawła II 16	Szczecin	Pl. Hołdu Pruskiego 8
Jaśło	Lwowska 24 H	Szczecin	5-Go Lipca 4
Kalisz	Narutowicza	Szczytno	Plac Juranda
Katowice	Chorzowska 111	Tarnów	Lwowska 2
Katowice	Pl. Oddz. Młodz. Powstań.	Tarnów	Krakowska 33
- Dworzec PKP		Tomaszów Lubelski	Króla Zygmunta 1
Kędzierzyn Koźle	Pamięci Sybiraków 1	Tomaszów Lubelski	Zamojska 9
Kielce	Radomska	Toruń	Fałata 41a
Kłodzko	Rodzinna 42	Toruń	Dąbrowskiego 8-24
Konin	Szeligowskiego	Toruń	Kujawska 10
Konin	Dworcowa	Trzebinia	Kościuszki
Koszalin	Zwycięstwa/Traugutta	Wałbrzych	Broniewskiego 12/14
Leszno	Rynek 30	Warszawa	Radarowa 4
Lublin	Krakowskie Przedmieście 27	Warszawa	Al. Jerozolimskie 144
Lublin	Gabriela Narutowicza 11	Warszawa	Słowackiego/Potockiej
Lublin	Jana Sawy 1a	Warszawa	Długa 1
Lublin	Bursztynowa 17	Warszawa	Puławska 1
Łosice	Rynek 30	Warszawa	Ostrobramska 75 C
Łódź	PKP Widzew	Warszawa	Marszałkowska 81
Łódź	Zachodnia 6	Warszawa	Kraśnińskiego 24
Łódź	Wróblewskiego 67	Warszawa	Złota 59
Łódź	Broniewskiego 59	Warszawa	Grochowska (Uniwersam) 207
Łódź	Piłsudskiego 124	Warszawa	Kopińska 2/4
Maków Mazowiecki	Moniuszki 4a	Warszawa	Żwirki I Wigury 1
Maków Podhalański	nr 29-31	Warszawa	Słowackiego 15/13
Mińsk Mazowiecki	Pl. Stary Rynek 5	Włocławek	Toruńska 51
Mragowo	Królewiecka 29	Włocławek	Pl. Wolności - Wysepka
Ostrołęka	Kopernika 24a	Wrocław	Kiełbańska 7
Ostróda	Czarneckiego 20/3	Wrocław	Kościuszki 11
Ostrów Maz.	Mieczkowskiego 23	Wrocław	Pl. Solny 6/7a
Pabianice	Grota Roweckiego 19	Zamość	Rynek Wielki 10
Pabianice	Wiejska 1/3	Zamość	Zamoyskiego 5/15
Piekary Śl.	Heneczka	Zgierz	Witkacego 1/3
Piekary Śl.	Wyszyńskiego	Zgorzelec	Kościuszki
Piła	Budowlanych	Żelechów	Rynek



**„Akcent” rozprowadzany jest także
w prenumeracie firm Pol Perfect, Garmond Press i Kolpolter**



15 Lat



z najwyższej półki



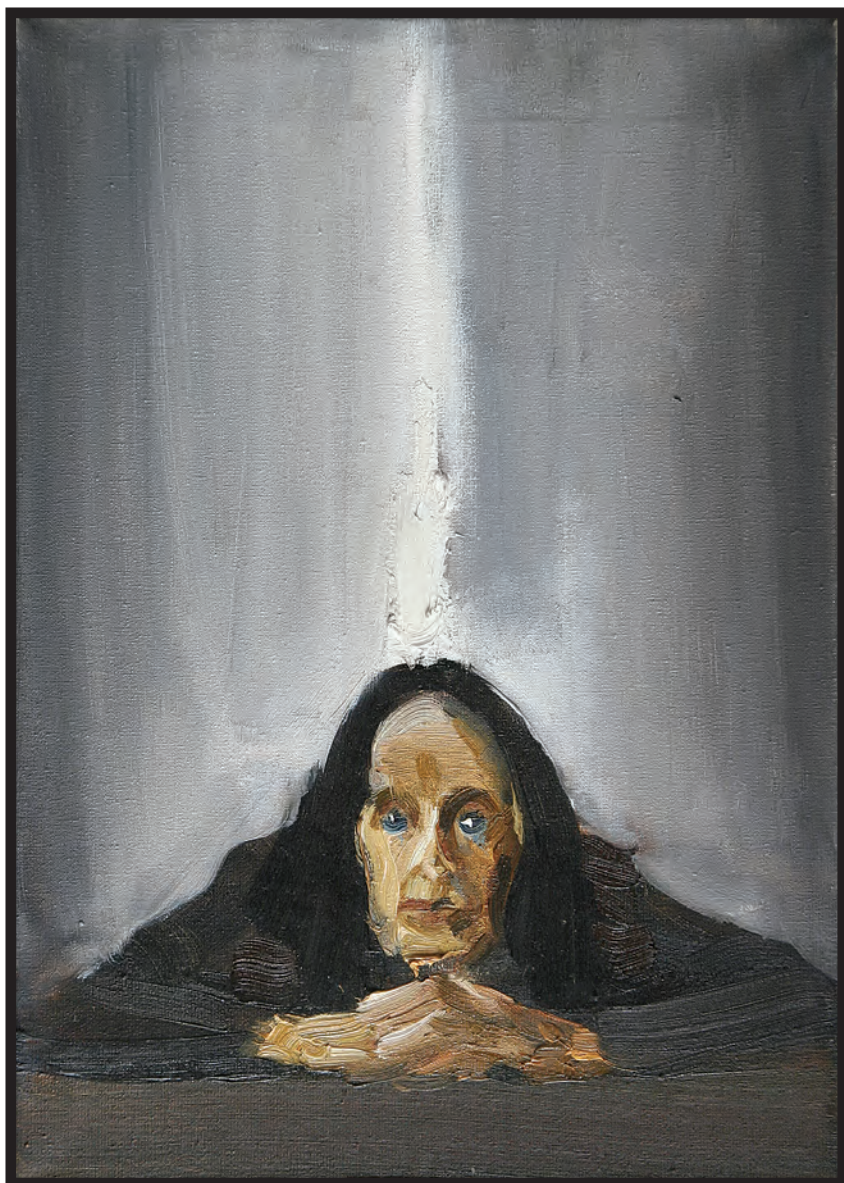
Instytut Książki Dział Wydawnictw
al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa, tel. +48226082374, tel./fax +48226082488
e-mail: czasopisma@instytutksiazki.pl
www.instytutksiazki.pl

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 10zł (w tym 5% VAT)
NR INDEKSU 352071
PL ISSN 0208-6220

